

Granica sokoła

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY



calibre 0.7.3

Książka ściągnięta z serwisu

www.Eksiazki.Org

Jaroslav Abramow-Newerly

Granica sokoła

WSTĘP

W Nawiało nam burzę wspomniałem, że kresowe nazwy zawsze mnie pociągały. Buczacz, Wołkowysk, Sircze...

Mojej fikcyjnej postaci - legioniście Grzegorzowi ze sztuki Klik-Klak kazałem stacjonować z pułkiem w Wołkowysku...

Przeglądam przedwojenny przewodnik po województwie tarnopolskim, a w nim zdjęcia słynnych zamków obronnych dawnej Rzeczypospolitej: Kamieńca Podolskiego, Chocimia, Okopów Świętej Trójcy... W tym ostatnim, dziś w ruinie, rozgrywała się akcja Nie-Boskiej komedii Zygmunta Krasińskiego. Głębokie korzenie. Sięgają po czasy rzymskie i wcześniej. Sprawdzam na mapie, gdzie biegnie odkryty jeszcze za austriackich czasów „wał Trajana”. Właśnie w tym rejonie. Wyławiam z przewodnika ciekawostki. Przedwojenne ceny dorożek, obiadów w restauracjach, pokoi hotelowych i łóżek w stanicach turystycznych. Działo wtedy prężne Podolskie Towarzystwo Krajoznawczo-Turystyczne, zachęcając do zwiedzania nowych szlaków. Można było sobie wędrować. Nie tylko palcem po mapie jak ja dziś...

Widok Zaleszczyk i Kołomyi nie wywołał żywszych wzruszeń - choć ponoć tam spędzałem moje pierwsze wakacje. Przewodnik zapewnia, że przebijający się malowniczymi zakolami przez ściany Wyżyny Podolskiej Dniestr w niczym nie ustępuje w swej krasie Przełomowi Dunajca. Ojciec też mówił, że ta rzeka dostarcza wiosłu i oku wielu wrażeń swym bystrym prądem między porohami. Niestety, nie mogę tego potwierdzić. Nic nie pamiętam - choć podobno kąpałem się w Dniestrze. O tym, że byłem w Zaleszczykach, świadczył tylko gliniany Hucuł w ludowym stroju - baraniej czapce i łykowych łapciach - z dwiema baryłkami bryndzy u stóp. Często macałem ten ser, sprawdzając, czy aby na pewno jest z gliny. Wyglądał na prawdziwy. Bardzo lubiłem tego barwnego Hucuła. Stał długo w naszym domu, dopóki nie zginął w Powstaniu Warszawskim...

Wychodzę na spacer z Websterem, moim psem beaglem. Jest to mały ogar (sfory podobnych Websterów często gonią na obrazach przedstawiających sceny myśliwskie) o niezwykłym wprost węchu. Spod najgrubszej warstwy śniegu wygrzebie kawałek zmarzniętej pizzy czy hamburgera. Zazdroszczę mu tego nosa.

W wieżowcu „Charles Bay Towers”, gdzie mieszkam, Webster cieszy się wielką

popularnością. Głównie ze względu na swe imię. Gdy go przywieźliśmy od hodowcy spod Barrie i szukaliśmy dla niego imienia, rzucił się od razu na słownik mojej córki Marysi Websters Dictionary i z pasją zaczął książkę gryźć. Córka krzyknęła:

- Webster! Sam sobie wybrał! - i został Websterem. Kanadyjczycy, słysząc to imię, wybuchają śmiechem. To tak jakby ktoś w Polsce nazwał psa „Czytelnik” czy „Ossolineum”.

Idę więc za Websterem. Mija nas właśnie sąsiadka Rosjanka, która w windzie przyznała się żonie, że jest z Baranowicz i ma matkę Polkę. Ze mną twardo rozmawia po angielsku. Ma pudełko miniaturkę, ruchliwą suczkę, też emigrantkę z Baranowicz, którą mój Webster wyraźnie adoruje. Czuje się przy niej wielki. Sąsiadka Rosjanka trzyma nas jednak na dystans. Tym razem, korzystając

Z tego, że jest wieczór i nikogo nie ma, rozmawia swobodnie po rosyjsku przez komórkowy telefon. Jej suczka w kaftaniku i ciepłych butkach (odwykła widać od srogiej, rosyjskiej zimy) puściła się pędem w stronę Webstera. Jednak czujna sąsiadka ostrym okrzykiem osadziła ją w miejscu:

- Suzi! Pajdi siuda!

No, proszę. Z psem rozmawia po rosyjsku? - pomyślałem z przekąsem. Przypomniał mi się artykuł w tutejszym „Związkowcu”, który przedstawił mnie jako znanego psiarza dzielącego swój czas między Polskę a Kanadę. Nie sądziłem, że drobny błąd przestawienia liter, zmieni pisarza w psiarza. W moim wypadku jednak to prawda. Prasa nie kłamie. Jestem znanym psiarzem. Każdy w moim bloku może to potwierdzić. Sąsiadka z Baranowicz też...

No, proszę. Baranowicze. Znów mnie dopadły... Zauważyłem, że jak nad czymś pracuję, to realia same wchodzą mi w ręce. Może to przypadek, a może ów stan skupienia na jednym celu, tak jak Webster skupia się na wączaniu, sprawia, że tak się dzieje. Dawniej bym tego nie zauważył, a teraz chciwie łowię każdy okrucz z Kresami. I wszystko mi się z nimi kojarzy...

Przy St. Michaels College mijają mnie sąsiad Rosjanin - tym razem z dużym psem collie. Webster nie lubi większych od siebie, czuje się przy nich mały, i szczeka zajadle. Trzymamy się więc na dystans, wymieniając tylko grzecznościowe: - Haj!

I wtedy właśnie, kiedy te dwie postacie Rosjan, w tym jedna z Kresów, stanęły na mojej drodze w sercu Toronto, stwierdziłem, że gdy ja na próżno głowię się nad rozpoczęciem książki, samo życie pcha mi się w łapy jak Websters Dictionary w pysk mego psa! O psiarzu nieszczęsny - pomyślałem. - Źle z tobą. Nie na darmo cię tak nazwano.

I już w windzie, patrząc na pracowicie splecione strączki warkoczy znajomej Murzynki, widziałem to pierwsze opowiadanie. Była to ucieczka przez granicę carskiego oficera - młodego sokoła kozaków dońskich - Fiodora Ławrowa. Dotąd stał dzielnie na straży imperium. Znieważony przez dowódcę, pułkownika Sołoguba, osławionego grafa Knuta, jak go nazywano ze względu na sadystyczne upodobania, w obronie swego honoru, w nagłym odruchu buntu ciał go szablą. Wiedząc, co go za to czeka, zbiegł na austriacką stronę. Jego brawurowy skok na koniu Rusłanie przez skutny lodem Zbrucz opisałem w Nawiało nam burzę.

JEŹDZIEC APOKALIPSY

- Ku wojnie idzie, panie hrabio. Prochem czuć...

- Prochem to z mojej kapiszonówki. A z kim ta wojna według Ambrożego ma być?

- Z Rosyją. Wiadomo - Ambrożę z szacunkiem ułożył strzelbę, w tyle dwu-kółki.

- I ma na tę wojnę, dowody?

- Niezbite. Nosem czuję - odparł chętnie.

- W nos wierzę. Taka trąba i za Zbrucz sięgnie - nos Ambrożego ze względu na swój rozmiar i kolor był częstym przedmiotem żartów hrabiego. Odbity od płowych wąsów sterczał jak głaz narzutowy w polu, jeszcze bardziej gąbczasty i granitowy.

- Pójdziemy za Zbrucz prać Moskale! Hej, wio! - krzyknął Ambrożę i ruszyli stromym duktem.

Hrabia Cielecki lubił tego pyskatego stangreta, który - choć szarak - nosił się z pańska. Łgarz i blagier z niego był przedni. Z dumą twierdził, że jest z braci szlachty, a takich Kazareckich jak on w jego rodzinnej Kazarówce jest cały zaścianek. Gdy hrabia jednak próbował dociec, gdzie owa Kazarówka jest, to raz okazywało się, że leży w pińskich błotach, a drugi raz - że pod rumuńską granicą nad brzegami Czeremosza. Hrabia w końcu przestał dochodzić prawdy, biorąc to szlachectwo Ambrożego za dobrą monetę. W przyływie humoru zwracał się do niego: - Imć Kazarecki z Kazarówki, miły panie bracie, herbu Głaz...

Ambrożę ten „głaz” dworujący z nosa taktownie zmilczał, zadzierając go wyżej z powodu „miłego pana brata hrabiego”. Dyspozycje zawsze wydawał w liczbie mnogiej: - Spiesz się nam, więc się zwijaj! - a gdy fornał ociągał się, beształ go ostro: - Ruszaj się, chamie, bo zaraz inaczej z tobą pogadamy, hultaju!

„Hultaj” był ulubionym zwrotem hrabiego Cieleckiego. Nim karciał służbę, i Ambrożę, powtarzając go, czuł, jak odhultaja się od reszty hultajstwa. Fornale przyjmowali to z pokorą. Wiadomo - chłop jeździ z hrabią na jednym wozie. Język ma kiej bicz. Chłaśnie i już łątka zostanie. Nie wyzwoli się z niej człowiek, jak z pańszczyzny. Czapkowali więc mu bardziej niż hrabiemu. Ambrożę wtedy topniał jak wosk i stawał się do rany przyłoż...

- Więc mówi, że ku wojnie idzie? - powtórzył hrabia z ziewnięciem. Ta włóczęga po Miodoborach nieco go zmęczyła. Lubiał snuć się po tych uroczyskach, trochę postrzelać, trochę poszukać pamiątek. Hrabia lubował się w historii tej ziemi i z pasją zgłębiał jej tajemnice. Nie rozstawał się ze swoją łopatką i co zoczył jakiś kurhanek - już kazał ludziom w nim kopać. Te swoje archeologiczne eskapady nazywał wyprawami po złote runo. Niedawno odkopał misę monet rzymskich przy „wale Trajana”. Wszystkie te starożytne skarby trzymał w specjalnych gablotkach, posegregowane, planując w przyszłości urządzić u siebie muzeum tej ziemi.

Tu, pod Sidorowem, często wędrował, korzystając z carte blanche sąsiadów

- hrabiów Bielskich, którzy, znając jego zbieracką pasję, pozwalali mu grzebać w swoich rozległych dobrach. Bielscy dziwili się jeno, że hrabiemu mało własnych ziem, które przy najlepszej chęci ciężko spenetrować.

Hrabia jednak miał w tym swój cel. Wspinając się na ten święty słowiański szczyt, zwany Bohutom, wiedział, że takiego widoku jak z Kruhłej Górki na całym ciepłym Podolu nie znajdzie. Intrygował go też czworobok otoczony wałem, który ze szczytu góry rysował się jasno. Wieść gminna niosła, że to pradawny ołtarz ofiarny, jeszcze z ery pogańskiej. Hrabia dawno chciał go zgłębić, ale funkcja starosty husiatyńskiego nie sprzyjała tym planom. Służba propublico bono pochłaniała moc czasu... - Gdyby doszło do wojny - dumiał

- to wszystko na nic. Inni po mnie będą grzebać w moim pałacu. Kamień na kamieniu z niego nie zostanie...

Znając krwawe dzieje tego przedmurza, był zaciekłym wrogiem wszelkich powstań i narodowych zrywów. - Nic prócz daremnej ofiary krwi nie niosą-twierdził. - A dziś, choć pod austriackim butem, w naszej Galicyi spokój. Cesarz na wiele pozwala. Gdyby zaś wojna? Hultajstwo z miejsca podniesie łeb i pohula sobie nie gorzej niż zbuntowana czerń Chmielnickiego, kiedy to, korzystając z klęski

hetmana Kalinowskiego pod Korsuniem, tak splądrowała moje dobra, że Turczyn z Tatarzynem mało mieli do roboty...

Spojrzał na ruiny zamku w Sidorowie: - Wszystko obróci się w perzynę. W jeden wielki Sidorów i „wał Trajana”. Nowe wykopalisko - sarkał w duchu.

- I jakie to znaki wojny widzi prócz własnego nosa? Niech mówi. I dubów smalonych nie plecie - wrócił do rozmowy.

- A takie, panie hrabio - rzekł godnie Ambroży - że kiedy wyjeżdżaliśmy na tę wyprawę, przybiegł do mnie z koszar znajomek mój Zdenek Furmanek z Ołomuńca...

- I co ten Czech, do diaska? - ponaglił go hrabia.

- Ten Czech jest gefrajtrem huzarów i miał jak raz wachę na granicy. - Siedzę ja sobie na odwachu w budce - mówił - a tu upiór jakowys gna na mnie od ruskiej strony. Czarny jak noc, a koń pod nim jeszcze czarniejszy, jak smok w tym krwawym słońcu zda się. - Zdenek w strachu, że Jeźdźca Apokalipsy zoczył lub czarta jakiegoś ujrzał, przeżegnał się krzyżem po trzykroć, choć Luter, nie katolik, psia wiara. Nic to nie dało, bo jeździec dalej gnał na niego. Wreszcie dopadł go i jednym skokiem szlaban przesadził. Z tyłu dopiero Zdenek stwierdził, że to nie upiór żaden, ale Moskał na koniu wielkiej postury, który w tym słońcu olbrzymem mu się zdał. Ochłonawszy, zaczął za nim wołać z kolegą: - Haiti Haiti - i ten po chwili konia wstrzymał i w ręce im się oddał...

- To jaka tu wojna, skoro strzał żaden nie padł?

- Rzecz w tym, panie hrabio, że to nie czubaryk żaden, ciemna kozacka dusza, ale oficyjer! W

pełnym rynsztunku bojowym. Wysztafirowany jak na paradę. A koń pod nim taki, że choć Zdenek Furmanek spec od koni i po cichu je nawet szwarcuje za kordon - w życiu takiego nie widział...

- To jeszcze nie znak - wzruszył ramionami hrabia.

- A dla mnie znak, ośmielę się zauważyć. - Jaki?

- Po pierwsze, nowy wiek się zbliża...

- To co?

- Pod koniec wieku zawsze Apokalipsą grozi... - E, tam...

- Po drugie zaś, jak takie grackie oficyjery knuta carskiego nie wytrzymują i na naszą stronę wieją, to znak, że koniec samodzierżawia. W armii bunt i Rosyja kaput. Kaput! - Ambroży mocniej podciął konia i dla podkreślenia swej racji kiwnął ze znanostwem swym wielkim, granitowym nosem. Ruszyli szparko Złotym Jarem...

Tym „grackim oficyjerm” był właśnie mój pra-pra-pra-pradziad. Dokładnie - powiedział Leszek Wawrów i podniósł słuchawkę.

- Ontario Bread Company speaking - zaczai i przeszedł na polski. - To ile pan chce? Chleb mamy po dolar sześćdziesiąt dziewięć. To proszę przyjeżdżać. Adres pan zna. 178 Ossington Avenue, at the rear. Yes. W podwórzu. Exactly. Nasza piekarnia jest między Dundas West a Queen Street. Okay. To bye, bye. Seeyou...

Leszka Wawrowa poznałem w redakcji „Związkowca” w 1993 roku. W Kładce przez Atlantyck na stronie 178 (teraz widzę zbieżność z numerem piekarni) pisałem: „Stanisław Bugajski z bratem i wspólnikami prowadził znaną piekarnię, która w 1993 roku pod innym kierownictwem i zmienioną nazwą »Ontario Bread Company Limited« obchodzi swoje sześćdziesięciolecie. Obecny właściciel Leszek Wawrów (historyk z wykształcenia, ale ten zawód chleba mu nie dawał), który teraz zarządza piekarnią wraz z bratem Jarosławem, przyniósł na to konto do redakcji »Związkowca« kilkanaście bochenków »mazowieckiego« i firmowych chałek w darze jubileuszowym. I mnie się taka chała dostała na moje sześćdziesięciolecie. Bo jestem rówieśnikiem tej piekarni...” Bohater Kładki przez Atlantyck, Tadeusz Gonsik, po przyjeździe do Kanady w 1949 roku zamieszkał w domu piekarza Bugajskiego, który rozwoził wtedy swoje pieczywo wozem konnym. Zdjęcie tego konnego wehikułu zamieściłem w książce. A teraz znów do mnie wraca. Wisi w ofisie obok dyplomów i fotografii pierwszego zarządu braci Bugajskich oraz obecnych współwłaścicieli piekarni - Leszka i Jarosława Wawrowych - pra-pra-pra-prawnuków Fiodora Ławrowa, którego desperacki skok przez Zbrucz rozpoczął Nawiało nam burzę. I jest to już jedyny koń w tej całkowicie zmechanizowanej, nowoczesnej piekarni.

Przypadek sprawił, iż jednym z laureatów Nagrody Fundacji Turzańskich w 1996 roku został autor pomnikowej pracy Dzieje Rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej Roman Aftanazy. Ja też tę nagrodę dostałem, uznałem więc to za znak (węsząc nosem jak Webster), że w tym zaiste benedyktyńskim dziele znajdę coś dla siebie. I rzeczywiście. W siódmym tomie, obejmującym województwo ruskie, ziemię halicką i lwowską, natrafiłem na dokładny opis dworu w Hadyńkowcach. I na historię rodu Cieleckich. Jest też fotografia pałacu z czasów jego największej świetności, przed spaleniem przez Rosjan w 1915 roku. Po 1920 Artur Cielecki odbudował dwór w kształcie znacznie skromniejszym, bez pierwszego piętra, skrócony o jedną oś od strony wschodniej.

Pałac i oficynę, jak pisze Aftanazy, otaczał dziesięciohektarowy park krajobrazowy z owalnym gazonem pośrodku. Stary drzewostan stanowiły strzeliste świerki, płaczące jesiony oraz bardzo rzadkie w tych stronach buki i platanowce. Od bramy poprzez dworskie pola wiodła do lasu sędziwa aleja lipowa długa na około półtora kilometra. Na jednej z lip umieszczony był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Fotografia tej alei z 1914 roku jest w książce Aftanazego. Przyglądam się jej uważniej. Aleja i święty obraz pełniły ważną rolę we wsi. Przede wszystkim zaś sam dwór Cieleckich, który od lat był centrum polonizacyjnym. Przyznają to ukraińskie źródła. O Hadyńkowcach i Cieleckich dużo jest w dwudziestym szóstym tomie ukraińskiego zbioru/ytoncz-nomemuarnij zbirnik czortkiwskoj okrug, ważnym dziele wydanym na emigracji w Toronto. Ciekawe jest to spojrzenie na nas z drugiej strony.

Obydwie prace zgodnie stwierdzają, że ród Cieleckich herbu Zaremba pojawił się na Podolu dawno. Przybył z kaliskiego na początku osiemnastego wieku, a może wcześniej. Według Aftanazego, pierwszym znanym na Podolu Cieleckim był Józef, a następnie jego syn Stanisław (1798-1855), rotmistrz kawalerii narodowej i starosta borszczowski, członek Stanów galicyjskich. Nie mógł on wypuścić z aresztu Ławrowa i wziąć go do siebie na służbę, wieść ustna bowiem rodziny Wawrowych wyraźnie głosi, że zrobił to starosta husia-tyński pod koniec osiemnastego wieku - Stanisław miałby wtedy dwa lata. Dlatego zdecydowałem się na jego ojca, Józefa Cieleckiego, nie mając pewności, czy był starostą husiatyńskim. W końcu nie to jest istotne. Ważne, że hrabia Cielecki wtedy żył, może inny niż go opisałem, ale na pewno wpływowy, wielki pan. Posiadał olbrzymie dobra ciągnące się od Hadyńkowiec w ko-pyczynieckiem przez Oryszkowce, Majdan, Skorodyńce aż po Byczkowce w czortkowskiem. Porchowa pod Buczaczem też do niego należała. I to są fakty, na których można się oprzeć.

Nad bogato rzeźbionymi dębowymi drzwiami wiodącymi do hallu widniał napis Vita recta optima. Portal z dwiema parami kolumn zwieńczoną attykową ścianką a na niej połączone herbowe tarcze: Zaremba Cieleckich i Łodzią Bnińskich. Po 1850 roku kolejny Cielecki ożenił się z Anną Bnińską i rozpoczął się okres największej świetności pałacu. Skoligaceni od lat ze starymi rodami Mycielskich, Siemieńskich i Tyszkiewiczów Cieleccy zgromadzili w swym pałacu bezcenne skarby sztuki. Obrazy, meble, dywany „buchara”, wielki księgozbiór. Najcenniejszym ponoć meblem była tak zwana numizmatyka - wysoka, mahoniowa szafka, ze zbiorów carskich. W dwóch szufladkach z czarnej gruszy, w kwadratowych przegródkach znajdowała się kolekcja monet, w tym również rzymskich, i medali polskich.

Gdy pisałem o pasji zbierackiej Józefa Cieleckiego pod „wałem Trajana”, pojęcia nie miałem

o dokumentacji zebranej przez Aftanazego. Co prawda kolekcję przechowywaną w gablotach gromadził nie Cielecki, a Lucjan Sie-mieński, pradziad ostatniego właściciela Hadyńkowiec - niemniej była.

Nie umiem sobie wyjaśnić tej mojej intuicji. Józef Cielecki nie był pierwszym hrabią, o którym pisałem. Zacząłem w 1965 roku od fikcyjnego hrabiego Zygmunta Dembopolskiego w Derbach w pałacu. Jego rodzinny Dembo-wiec, zmieniony w Państwową Stadninę Koni też wymyśliłem. Kamerdyner Józef, jedyny świadek przeszłości tego pałacu, wypowiadał w sztuce następującą kwestię: „Nigdy nie zapomnę ostatniej nocy. Front był tuż, tuż, działa grały za lasem, jaśnie pan już w szubie, zakutany po uszy, bo mróz wtedy ściał straszny, wyszedł ze mną przed pałac. Zaczęliśmy iść... Na każdym rogu pałacu przystawaliśmy chwilkę - jak nakazuje obyczaj. Na koniec, pamiętam, jaśnie pan zapytał: - Józefie, czyja tu jeszcze wróce? - Wróci najjaśniejszy pan - odparłem. - Przecież Bóg jest nad nami. - A on wtedy pokiwał smutno głową, wyciągnął rękę na wschód, skąd grzmiało, i rzekł: - Nie wróce, Józefie. To już koniec. Azja nadchodzi. - I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem”.

Do dziś nie wiem, jak tę kwestię przepuściła cenzura. Publiczność też nie wiedziała i szalała z radości tą sponaniczną, antyrządową reakcją, niechcący donosząc na mnie. Ale nie w tym rzecz. Dużo bardziej dziwi mnie fakt, że mojemu wyrzuconemu z pałacu hrabiemu Dembopolskiemu kazałem zamieszkać w Toronto. Pamiętam, jak błądziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu zwyciężyło Toronto dzięki dźwięczniejszej nazwie. A w dwadzieścia lat później, w 1985 roku, właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w Derbach w pałacu poznałem los emigranta.

Można rzec - przypadek. Jeśli tak, to dość dziwny. W każdym razie teraz w Toronto wodzę palcem po mapie byłego województwa tarnopolskiego i zbieram okruchy, które zostały mi po Nawiało nam burzę. Co więcej, twierdzę, że to nie przypadek. A jeżeli, to nieprzypadkowy.

Nie mogę się powstrzymać, by nie opisać pra-pra-pra-prababki braci Waw-rowych, klucznicy we dworze hrabiego Cieleckiego, z którą „gracki oficyjer z Rosyi”, ów niezwykle jeździec Apokalipsy Fiodor Ławrow był się ożenił. Zarówno jej imię, panieńskie nazwisko, jak i życiorys zmyśliłem. Niestety, nie prowadziła notatek. Gdyby je prowadziła - obyłoby się bez intuicji. I tak zwanego nosa. Ambrożego, czy Webstera...

BIAŁA RÓŻA

Już będąc w areszcie, Ławrow wzbudził ciekawość na dworze w Hadyńkowcach. Głównie za sprawą stangreta Ambrożego, który swą opowieść o tajemniczym jeźdźcu Apokalipsy powtórzył nie tylko hrabiemu, ale ochmistrzowi, kucharkom i kredensowemu, lokajowi Alfredowi, przede wszystkim zaś młodziutkiej klucznicy Róży z grubym jasnym warkoczem i szarymi oczami, do której od dawna smalił cholewki. Róża jednak nie zauważała tych jego amorów, traktując go jako

pociesznego gadułę, co mocno urażało męską ambicję Ambrożego. Czuł swym wytrawnym, granitowym nosem, że nawet on, Kazarecki z Kazarówki, miły brat jaśnie pana, na jednym z nim wozie jadąc, będzie miał niejakie kłopoty ze znalezieniem klucza do serca tej klucznicy. Ale walczył dalej, roztaczając swój męski czar jak paw ogon w tutejszym parku. A miał o co walczyć.

Róża bowiem była krewną hrabiny Cieleckiej, panną posażną, która prócz urody wносиła wiano. Ambroży wiedział, że hrabia w jednej sukni jej nie puści. Gra warta była świeczki. Nie na darmo stangret trwał jak głaz w swym kawalerskim stanie, pyszniąc się: - Ambroży nie włoży obrożi! Nie dam się okiełznać. To dobre dla mego konia, nie dla mnie! - by teraz wziąć byle dworską dziewczkę. Mierzył wyżej swym granitowym nosem...

Róża sprowadzona została spod Krakowa na usilną prośbę hrabiny Anny. Ojciec dziewczyny, Cezariusz Rostkowski, pułkownik pod Naczelnikiem Kościuszką, własnym sumptem utworzył oddział kosynierów ze swych poddanych. Padł chwalebnie w bitwie pod Szczekocinami, biorąc wprzód har-matę na wrogu. Młoda wdowa została z czworgiem dzieci, z których najstarsza Róża miała lat ledwie dwanaście. Na domiar złego biedna wdowa straciła nie tylko męża, ale i jego majątek. Większość dóbr bowiem leżało w zaborze rosyjskim i rząd carski w odwet za wybitną rolę Rostkowskiego w Insurekcji Kościuszki skonfiskował mu majątek. Ostała się jeno nędzna resztówka w Galicji, po austriackiej stronie. Zrozpaczona wdowa napisała dramatyczny list do hrabiny Cieleckiej, apelując do serca kochanej cioteczki, matki chrzestnej Róży, by zlitowała się nad biedną sierotą i wzięła ją do siebie na wychowanie. „Byłabym wtedy spokojna - pisała - że moja Różyczka pod doświadczonej i serdecznej okiem drogiej Cioteczki nie schłopieje mi na amen w tej naszej galicyjskiej, przysłowiowej biedzie”.

Hrabina Anna bardzo się tym listem przejęła i męczyła męża, zdeklarowanego wroga wszelkich konfederacji i powstań, by wziął pannę na wychowanie, na co on odpowiadał nie bez satysfakcji: - Zachciało się chłopu iść z kosą na wroga - to ma, księżycowy Jasio. Za jedną harmatę, którą mu Moskał wnet odbił, oddał życie, trzy dwory, tysiąc hektarów ziemi i osierocił pięć osób. Gdzież tu rachunek, duszko? Kalkulacja? Trza wprzód pomyśleć. Ginać w polu jak zając każdy kiej potrafi! - zrzedził w kółko. - Nie każdy jest takim statystą, j ak ty, mężusiu - próbowała schlebić mu hrabina. - Rostkowski zginął, Bóg z nim! Ale są przecież dziatki! Drobne dziatki! Jakże się nad nimi nie ulitować? Toć trzeba być bez serca!

Hrabia w końcu ustąpił, machnął ręką.

- Twoja rodzina! Bogać tam! Rób, jak chcesz - i wolant z Ambrożym ruszył pod Kraków.

W ten sposób dwunastoletnia Róża znalazła się w Hadyńkowcach. Z czasem została

klucznicą. Funkcja w jej wypadku zgoła tytułarna. Oboje hrabio-stwo bowiem traktowali ją jak własne dziecko. Róża zwracała się do hrabiego: „wujciu Józiu”, a do hrabiny: „mameczko Aniu”, co bardzo rozczułało hrabinę, zważywszy, że dawno miała wnuki w wieku Róży. Posłano ją na naukę do sióstr szarytek w Czortkowie. Przeszła kursa dla dobrze urodzonych panienek. Haftowała i tańczyła, równie biegła w klawikordzie jak we francuskim - była ozdobą salonów. Nadto wcale nie zadzierała swego kształtnego noska, co zwłaszcza przy Ambrożym odbijało. Gdy on nadymał swą różową, wielką trąbę - Róża skromniutko marszczyła swój maleńki noseczek.

Ten dziecięcy czar zjednał jej serca. Nazwano ją naszą białą Rózią, ze względu na gruby blond warkocz i jasną, mleczną płeć. Nic dziwnego, że gdy skończyła szesnaście lat i z pączka zmieniła się w kwiatek - rój kawalerów ciągnął do niej jak bąki do ula. Co śmielsi zgłaszali swój akces do jej ręki, na co ona odpowiadała ze śmiechem: - Wujaszek sam zdecyduje. Jam jemu powolna, panowie. - Tak studziła niewczesne kawalerskie zapały.

Wiedzieli, że hrabia Józef de Zaremba Cielecki za byle łykają nie wyda i że ta biała Róża warta jest więcej niż niejeden mórg czarnoziemem...

Przybываяc po raz pierwszy do pałacu w Hadyńkowcach w asyście Dany-ty Wynnyczenki, Fiodor Ławrow nawet nie przypuszczał, że ktoś może o nim słyszeć w tym starym, wytwornym dworze. Kołysząc się w nowym siodle, które sprokurował mu Danyło, pełen obaw rozglądał się wokół. Wynnyczenko, jadąc za nim, pogwizdywał skocznie. Jego remontowa kobyła przy koniu Fiodora, Rusłanie, wyglądała jak stara, żalobna wdowa.

Ze wszystkich okien pałacu i oficyny wyrzały ciekawe oczy. Każdy chciał zobaczyć tego Moskala, straszego jeźdźca Apokalipsy, co tak dziarsko przeskoczył Zbrucz. Pisk podkuchennej Melańci, która z emocji o mało nie wpadła do balii: - Łooj! Ale wždy harny molojec! - mówił sam za siebie...

Postawny Ławrow, w kozackiej barance chwacko nasadzonej na tył głowy, na swym kruczocznym ogierze zrobił wielkie wrażenie na całym fraucymerze, poczynając od podkuchennej Melańci, a kończąc na starej pannie Gertrudzie, guwernantce niemieckiego.

Ale kiwający się w siodle Fiodor nie miał o tym zielonego pojęcia...

Żał mi trochę stangreta Ambożego, który kroił mi się niemal na podolskiego Zagłobę. Szykowałem go na rywala Fiodora do ręki Białej Róży. Byłoby wiele zabawnych scen, jak imć Kazarecki z Kazarówki herbu „Głaz” swą granitową trąbą dobiera się do serca klucznicy, klnąc w żywy kamień Moskala, który w jej szarych oczach wzbudził gorętsze błyski. W końcu taki kontrast to samograj. Po namyśle jednak zrezygnowałem.

Fiodor Ławrow zmienił nazwisko na Wawrów i dał początek polskiej rodzinie Wawrowych. Jego potomkiem był Wincenty Wawrów, ojciec Jarosława i Leszka, obecnych właścicieli piekarni „Ontario Bread Company” w Toronto.

KONNE WYPADY Z CZORTKOWA

- Mój ojciec, Martyn Wynnyczenko, i jego starszy brat Iwan byli w 1920 roku w armii Petlury, który w sojuszu z Piłsudskim zamierzał iść na Rosję - powiedziała mi w swoim mieszkaniu na Indian Grove Olga Wawrów. - Formowani i szkoleni w Kamieńcu Podolskim czekali na znak do wspólnej ofensywy. Któregoś dnia nadszedł do teściowej mamci, Naści Wynnyczenko, list od stryja Iwanka. Stryjko prosił, by moja mamcia ich w Kamieńcu odwiedzili. Gdy mamcia tam przyjechała, przypadkowo stała się świadkiem tragicznego wypadku.

Stryjko Iwanko miał młodego ordynansa, Polaka z Hadyńkowiec, ledwie siedemnastoletniego Józka Kuśnierza. Był on do stryjka bardzo przywiązany i za nim na ochotnika ruszył na tę wojnę. Pod nieobecność porucznika Wynnyczenki, który prowadził ćwiczenia z żołnierzami, robił porządki w swej walizce i czyścił broń. Pech chciał, że właśnie w tym pokoju siedziała jakaś starsza dama z dwiema wnuczkami, młodymi pannami, z których jedna przyjechała do swego narzeczonego. Józio, czyszcząc broń, sprawdzał, czy zabezpieczył pistolet, i tak pechowo z niego strzelił, że zabił na miejscu jedną z panien siedzących naprzeciw. Akurat do pokoju wpadł mój tato Martyn i, widząc co się stało, krzyknął:

- Ty, Józiu, uciekaj! Wojna! Nikt nie będzie sprawdzał, kto winny...

- Ja niechcący to zrobił, gdzie będę uciekał - odparł chłopak w szoku.

Martyn pobiegł do brata, by Józia ratował. Tymczasem nadbiegł narzeczony tej panny i, widząc ją martwą na ziemi, w furii wywłócił biednego Józia na dziedziniec, postawił pod murem i z miejsca rozstrzelał. Gdy obaj bracia Wynnyczenko nadbiegli, chłopak już nie żył.

Ta historia takie na mamci zrobiła wrażenie, proszę pana, że zapamiętała imię i nazwisko tego chłopca, przekazała mnie i ja mogę panu dziś, po tylu latach powiedzieć w Toronto, że ten chłopiec nazywał się Józio Kuśnierz. Polak. Ordynans stryjka Iwanka w tej ukraińskiej armii.

Syn stryjka Iwanka Bohdan Wynnyczenko, którego poznałem w 1998 roku w Toronto, dodał parę szczegółów do opowieści o konnych wyprawach Martyna Wynnyczenki do Hadyńkowiec, gdy ten rok wcześniej służył wraz z bratem w Czortkowie*.

- Mój ojciec - mówił Bohdan - przedstawił to tak: - Wzywam Martyna i pytam:

- Co ty mi tak znikasz? Wciąż nie ma cię w Czortkowie. Moi podwładni skarżą się na ciebie!

- Boja do Hadyńkowiec muszę, Iwanku - tłumaczył mu stryjek. - Po co?

- Do naszych rodziców. Nie chciałem cię martwić, bracie, ale oni są w bardzo ciężkim stanie. Chorzy na tyfus. Prawie umierają. Ratuję ich, jak mogę. Zastrzyki codziennie robię...

- A, to rób, rób! Oczywiście. I ucałuj ich ode mnie.

- Ucałuję, Iwanku! Na pewno - zapewniał ojca stryjek. Gdy wracał, mój tata znów go pytał:

- No, jak, Martynku? Ucałowałeś rodziców ode mnie?

- Jasne, że ucałowałem, bracie. Obowiązkowo... - A jak mama z tatą się czują?

- Źle, Iwanku. Bardzo źle. Walczą biedni o życie. Nie wiem, czy wyżyją...

- To ratuj ich, bracie, na miły Boh! Jedź! - i sam go wysłał do Hadyńkowiec. Dopiero po wojnie dowiedział się, że Martynek tak ich ratował, że w końcu z Pawlinką Nawrocką się ożenił. A w Hadyńkowcach o tej wojaczce Martyna ludzie ułożyli wierszyk: „Gdyby nie Ukrainka, to by Pawlinką nie wyszła za Martynka!”

Bo walki w Zachodniej Halicji wtedy nazywano wojną o naszą małą Ukra-inkę, w odróżnieniu od tej wielkiej, zadnieprzańskiej - wyjaśnił na końcu Bohdan Wynnyczenko.

„Opowieści te zamieściłem w Nawiało nam burzę.

HENRYK JÓZEWSKI W TEATRZE WOJNY

Mój przyjaciel Janusz Wasylkowski, wielki znawca problematyki lwowskiej (to z jego kolekcji miałem przedwojenny przewodnik po województwie tar-nopolskim), podrzucił mi miesięcznik „Karta” z materiałami o powstaniu w Czortkowie. W numerze tym natrafiłem na wspomnienia Henryka Józewskiego. O tym bliskim współpracowniku Piłsudskiego, wojewodzie wołyńskim i obrońcy ludności ukraińskiej na Kresach, słyszałem już dawno w Paryżu od Jerzego Giedroycia, który chciał do tych wspomnień dotrzeć. W końcu dotarł i opublikował je w „Zeszytach Historycznych”.

Józewski, o którym Maria Dąbrowska pisze, że tylko Piłsudski wywarł na niej podobne wrażenie jako polityk i człowiek, był postacią niezwykłą. Niezlomnych zasad moralnych, bezkompromisowy antykomunista, pół życia spędził w konspiracji. Podczas pierwszej wojny światowej na osobisty rozkaz Komendanta (tak do końca życia mówił o Piłsudskim) organizował dywersyjno-spiegowską siatkę POW w Kijowie, na tyłach bolszewickiego frontu. Też w Kijowie po studiach malarskich debiutował jako scenograf w słynnym teatrze Stanisławy Wysockiej „Studia”, gdzie stawiał pierwsze kroki również Jarosław Iwaszkiewicz. Po odzyskaniu niepodległości Wincenty Drabik, przyjaciel Józewskiego z teatru Wysockiej, jeden z największych naszych scenografów, twórca monumentalnej oprawy plastycznej do Nie-Boskiej Komedii Krasińskiego, zaproponował mu stałą współpracę z Teatrem Polskim w Warszawie. Tę kuszącą ofertę Józewski z żalem odrzucił wobec nagłego skierowania go przez Belweder na prawdziwy teatr wojny. Komendant, zadowolony z jego misji na tyłach frontu w Kijowie, mianował go bowiem swoim reprezentantem w rządzie Ukraińskiej Narodowej Republiki atamana Petlury. W myśl zawartej umowy dwóch Polaków weszło w skład tego rządu: Józewski został wiceministrem spraw wewnętrznych, tekę ministra rolnictwa objął Stanisław Stempowski, późniejszy długoletni towarzysz życia Marii Dąbrowskiej.

Obaj polscy ministrowie ruszyli pośpiesznie do Kamieńca Podolskiego, gdzie w kwietniu 1920 roku przebywał już rząd Petlury, szykując się do rychłej ofensywy i formując pośpiesznie armię. Ciekawe dane o niej podał Jarosław Syrnok w „Przełądzie Wschodnim”.

W myśl sojuszniczego układu podpisanego w Belwederze 22 kwietnia 1920 roku rząd Ukraińskiej Narodowej Republiki zrzekł się ziem na zachód od rzeki Zbrucz za cenę uznania przez Polskę państwa ukraińskiego. Na mocy tego układu oprócz już działającej 6 Dywizji generała Marka Bezruczki utworzono 2 Dywizję Ołeksandra Udowyczenki (w sumie 556 oficerów, 3384 kozaków, 14 armat). Poza tymi dwiema dywizjami w skład armii UNR wchodziły jeszcze oddziały generała Omelanowycza Pawlenki (1397 oficerów i 5950 kozaków). Zgodnie z 7 paragrafem układu naczelne dowództwo Wojska Polskiego zobowiązało się udzielić pomocy armii ukraińskiej w postaci ekwipunku i zaopatrzenia. W Kamieńcu Podolskim przy tej tworzącej się armii przebywał już minister Henryk Józewski.

Los zetknął z Józewskim w jakimś sensie i mnie. Większość sztuk bowiem wystawiałem w Teatrze Polskim w Warszawie, w którym jako scenograf Józewski miał pracować. Kiedy tam pierwszy raz przyszedłem, jego przyjaciel Wincenty Drabik już nie żył (umarł w 1933 roku - w roku mego urodzenia), ale żywa pamięć o nim została. Starzy teatralni fachowcy pamiętali mistrza Drabika. Projekty jego dekoracji wisiały na ścianie w gabinecie dyrektora. Często na nie patrzyłem.

Między innymi na słynne Okopy Świętej Trójcy z Nie-Bo-skiej Komedii Krasińskiego.

To wszystko sprawiło, że wspomnienia Józewskiego stały mi się bliższe, a jego wybór - rezygnacja z własnej kariery artystycznej na rzecz służby publicznej - bardziej dramatyczny. Trudno więc, bym z tych pamiątek nie skorzystał. Tym bardziej, że świetnie oddają ten niezwykły okres. Józewski pisał:

„Urzędowaliśmy, czekając na posuwanie się frontu, by za nim podążyć. Poza pracą w ministerstwie byłem zaabsorbowany tym wszystkim, co się działo pomiędzy Ukrainą i Polską. Występowałem jako strona ukraińska. Byłem jednak Polakiem, wiedzieli o tym Polacy i wiedzieli Ukraińcy, to nadawało charakter powstałej instytucji. Wywiązanie się w takich warunkach ze spadających na mnie obowiązków nie mieściło się w schemacie normalnego i ogólnie przyjętego urzędowania.

Od czasu do czasu robiliśmy wycieczki na Okopy Świętej Trójcy - miejsce o jakimś niezwykłym uroku. Zresztą sam Kamieniec robił wrażenie zaczarowanego miasta wśród rozkołysanej, uśmiechniętej przyrody. Kolumbia dolina otoczona falującą, pagórkowatą okolicą. Pośrodku doliny wyrasta pionowo, z małymi tylko odchyleniami, masyw skalny. Właśnie na owym bloku znalazło sobie miejsce miasto otoczone murami - klasztory, kościoły, domy mieszkalne. Miasto polskie, jak Kraków. U jego stóp srebrny pierścień Smotrycza.

Miasto łączy ze światem wielki, masywny most turecki, zakończony zamkiem zbudowanym na drugim brzegu Smotrycza - tam zginęli Wołodyjowski i Ke-tling...

Po pewnym czasie udałem się z polecenia Atamana Petlury do Kijowa. Miałem w imieniu rządu UNR przejąć władzę z rąk generała Rydza Śmigłego i mianować ukraińskiego komisarza Kijowa. Sytuacja była oryginalna, a nawet w pewnym sensie niesamowita. Znany polskiemu społeczeństwu Henryk Józewski, kijowianin z urodzenia, działacz społeczny, prezes »Filarecji«, muzyk i współtwórca teatru »Studia« - zjawia się w Kijowie jako minister ukraiński i powołuje ukraińską administrację...

Największe wrażenie robiły na mnie polskie mundury ukazujące się tu i ówdzie w ulicznym tłumie. Powszechny nastrój był ożywiony i wesoły. Kijowianki tańczyły z polskimi żołnierzami na skwerach i placykach. Tego Kijów jeszcze nie widział, pomimo że niejedna armia przez to miasto przemaszerowała. Nawet żołnierze ukraińscy nie mieli takiego powodzenia. Nie trwało to długo. Front cofał się...”

Mało dziś wiemy o bogatych i starych tradycjach polskich w Kijowie przed rewolucją październikową. Stanisław Sławomir Nicieja w pracy *Polski Kijów i jego zagłada* w „Przeglądzie Wschodnim” dostarcza fascynujących informacji. Przed wybuchem wojny Kijów liczył 600 tysięcy mieszkańców, w tym 60 tysięcy Polaków. Ośrodkiem polskości był kościół Świętego Aleksandra ufundowany w połowie dziewiętnastego wieku przez Poniatowskich, położony w centrum miasta. Sławę zdobyła księgarnia wydawnicza Władysława Idzikowskiego na Kreszczatiku, niezwykle zasłużona w krzewieniu kultury polskiej. Specjalizowała się w druku partytur muzycznych największych naszych kompozytorów. Działo w Kijowie Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Patagonia

„Kijów był w imperium rosyjskim - pisze Nicieja - miastem, które mogło w latach 1905-1917 poszczycić się największą ilością czasopism polskich. Tam powstał dzięki Włodzimierzowi Grocholskiemu »Dziennik Kijowski, trafiający regularnie przez dwanaście lat do wszystkich polskich skupisk na Ukrainie, mający znakomity serwis informacyjny i korespondentów we wszystkich miastach polskich i stolicach europejskich». Oprócz niego wychodził „Świt”, w którym pisali Stanisław Brzozowski i Janusz Korczak, a z Ukraińców Iwan Franko i Wołodymyr Wynnyczenko, przyszły premier Republiki Ukrainy. W literackich „Kłosach” publikowali swe wiersze Leopold Staff i Kazimiera Iłakowiczówna. Były jeszcze „Kresy”, „Goniec Kijowski” i wiele innych.

O znakomitym teatrze polskim „Studia” Stanisławy Wysockiej wspomnieli już Józefski. Nicieja dodaje, że w czasie wojny ściągnęła tam czołówka polskich aktorów. Na deskach tego teatru triumfy święcili: Stefan Jaracz, Bolesław Bolesławski, Juliusz Osterwa, Janusz Strachocki, Stanisław Daczyński. Tych trzech ostatnich miałem szczęście sam po wojnie podziwiać na scenie.

„Scenografię wykonywał słynny Wincenty Drabik, a kierownikami literackimi byli Kornel Makuszyński i Władysław Gunther” - pisze Nicieja i cytuje wrażenia Tadeusza Zabłockiego: „Zostało mi w pamięci z czasów mego sztubactwa niezwykle przedstawienie Fircyka w zalotach. Nie dlatego, że autorem sztuki był daleki mój antenat, ale ze względu na wielki koncert aktorski Osterwy w roli Fircyka i Jaracza w roli Pustaka - hardego sługi”.

Można sobie wyobrazić. Warszawa już takiego koncertu nie miała szczęścia oglądać.

Bujnie rozwijało się w Kijowie szkolnictwo. Były dwa gimnazja męskie i jedno żeńskie z ośmiuset pięćdziesięcioma siedmioma uczennicami. W tym słynnym gimnazjum Wacławy Peretjatkowiczowej otwarto w 1917 roku Wyższe Polskie Kursy Naukowe, na których wykładali najwięksi polscy profesorowie. Podczas wojny liczba Polaków w Kijowie wzrosła do 100 tysięcy. W tym kwitującym mieście wielu Polaków porobiło zawrotne kariery. Jednym z nich był Franciszek Gołębek, który z małego cukiernika awansował na właściciela najmodniejszego w Kijowie hotelu François. Najelegantszy sklep jubilerski prowadził Polak Marszak, a w restauracji „Starą Ruś” inny Polak, Fruziński, serwował najlepsze dania. Potem słodyczami Fruzińskiego zajadała się przedwojenna Warszawa.

Wśród wybitnych późniejszych polityków polskich - oprócz Józefskiego - żyli podczas wojny w Kijowie przyszli ministrowie Artur Śliwiński i Janusz Jędrzejewicz, a także Wojciech Świętosławski i Wacław Grzybowski, ostatni nasz ambasador w Moskwie, który nie przyjął z rąk Mołotowa noty o wypowiedzeniu nam wojny w 1939 roku.

Liczne nasze ziemiaństwo wytworzyło na Ukrainie specyficzny typ ludzi. Nicieja przytacza ciekawą uwagę z eseju syna znanego ziemianina Ksawerego Glinki, który pisał, że gdy czytał powieść Margaret MitchelPrzemę/o z wiatrem, uderzyło go wielkie podobieństwo amerykańskiego Południa do jego rodzinnych stron - kijowskiego, humańskiego i Dzikich Pól. „Mieliśmy i my - pisał Glinka - takie typy Polek, które mogły posłużyć za wzór dla Scarlett, bohaterki Przemię o z wiatrem. Tak, przemię o z wiatrem. Kijów - kwitający, szczęśliwy, roześmiany, taki, jakim go znałem z lat mej młodości, przestał istnieć. Zginęli lub pomarli ludzie, ci wspaniali Polacy o twardych karkach i szerokim geście, którzy

nadawali ton memu miastu. Sowiecki terror niby rozpalone żelazo wypalił nawet najmniejszy ślad polskości, kultury polskiej, polskiego życia. Nie pozostało nic z tego, co było spuścizną pracy licznych pokoleń”.

Swój szkic Nicieja kończy cytatem poufnego raportu naszego konsula generalnego w Charkowie Konstantego Zaremby-Skrzyńskiego, który meldował do centrali MSZ w 1925 roku: „Jeśli porównamy polski stan posiadania na Ukrainie z okresu przedwojennego z tymi nikłymi przejawami życia polskiego, jakie tlą się gdzieś na obszarze dzisiejszej Ukrainy sowieckiej, wyda nam się, że stoimy przed zgliszczami olbrzymiego pożaru, który wniwecz obrócił wspaniałą dziejową budowlę...”

W krytycznym momencie wojny w sierpniu 1920 roku Piłsudski powierzył Józewskiemu nowe zadanie: stworzenia konspiracji i objęcia dowództwa na wypadek zajęcia Warszawy przez bolszewików. Zaprzyjaźniony z Józewskim Stanisław Broniewski „Orsza” - podczas okupacji dowódca Szarych Szeregów, organizator słynnego zamachu pod Arsenalem - tak to opisuje: „Bolszewicy zbliżali się. Wówczas przybył do Józewskiego zaufany człowiek Piłsudskiego-go z poleceniem stawienia się w Belwederze... Gdy Józewski tam przybył, przed wejściem do pałacu spostrzegł znane odkryte auto Piłsudskiego, gotowe do drogi. W holu na parterze pełno było ludzi, panował gwar i podniecenie. Widać było członków rządu i wojskowych. W pewnym momencie wezwany został na górę. Wszedł do małego pokoju, w którym nieraz przyjmował go Komendant (tak i tylko tak mówił o nim Józewski). Pokój teraz był pusty. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Piłsudski. Była godzina czternasta dnia 12 sierpnia. Piłsudski wolno podszedł do zamarłego na środku pokoju Józewskiego. Patrząc mu w oczy, uściśnął mu rękę, po czym po dłuższej chwili cofnął się i wyszedł. Nie padło ani jedno słowo...”

Potem, jak wiadomo, nastąpiło słynne uderzenie Piłsudskiego znad Wieprza, i karta wojny się odwróciła. Bolszewicy uciekali w panice. W opałach znalazła się nawet słynna konarmia i sam Komandami Budionny, który cudem wyrwał się z kotła polskiego wraz z towarzyszami: Klimentem Woroszyłowem i Siemionem Timoszenką, rozgromiony przez polskich ułanów generała Róm-mła w bitwie pod Komarowem. Na tym południowym froncie funkcję komisarza politycznego pełnił Józef Stalin, który nie usłuchał rozkazu Tuchaczew-skiego i z uporem parł na Lwów, chcąc go pierwszy zdobyć. Potem oskarżany był w Moskwie przez Lenina i Trackiego, że swą niesubordynacją przyczynił się do klęski Armii Czerwonej w „bitwie warszawskiej”.

Jak pisze we wspomnianym już szkicu Jarosław Syrnyk: „Bijąca się ramię przy ramieniu z armią polską armia ukraińska (obrona Zamościa przez oddziały Marka Bezruczki) stanęła w obliczu podpisania przez Polskę preliminariów pokojowych w Rydze 12 października 1920 roku. Pomimo ciężkiej sytuacji na froncie, Petlura zdecydował się kontynuować walkę. Dnia 14 sierpnia siły UNR liczyły około 7 tysięcy żołnierzy, jesienią zaś już około 40 tysięcy...”

Dnia 20 listopada oddziały ukraińskie zostały przyparte do Zbrucza. Jak się okazało, stacjonujące w Ożykowcach jednostki polskie nie bardzo wiedziały, co w danej sytuacji robić. Zgoda na rozpoczęcie ewakuacji dotarła dopiero 21 listopada o godzinie drugiej w nocy. Rozpoczęto ją w dwie godziny później i przebiegała sprawnie. Żołnierze ukraińscy zostali rozbrojeni we wsi Wołko-wiec, broni jednak nie spisywano. Jako przyczynę rozbrajania podawano obawę o to, czy pojawienie się oddziałów ukraińskich nie rozpali na nowo pol-sko-ukraińskiego

konfliktu w Galicji Wschodniej. Zdarzały się też przypadki, że niektórych oddziałów nie rozbrajano od razu. Wbrew nakazom MSW armii UNR odebrano konie...”.

Józewski tak opisuje koniec tej wojny: „Zaczęły się pertraktacje w Rydze i nadszedł dzień podpisania pokoju. Po pewnym czasie zostałem z panem Stanisławem Stempowskim wezwany przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Konstantego Skirmunta. Przyjął nas w sejmie, w gabinecie przylegającym do sali obrad, skąd dolatywał gwar. Minister zawiadomił nas:

- Jutro wyjeżdża do Tarnowa mieszana komisja polsko-bolszewicka dla skonstatowania miejsca pobytu atamana Petlury, który mocą traktatu ryskiego został pozbawiony prawa azylu...

Wiadomość ta spadła na mnie jak grom. Było mi dane poznać gorzki smak polityki i »konieczności« - nie mającej nic wspólnego z ludzką moralnością. Nie pamiętam, czy pożegnałem się z ministrem Skirmuntem. Nie miałem czasu do stracenia. Postanowiłem działać na własną rękę. Z dwoma peowiakami z KN III wybrałem się do Tarnowa. Kazałem im zabrać ze sobą broń. Zaproponowałem Atamanowi natychmiastowy wyjazd do Warszawy. Zaufał mi bez wahania. Mojej eskorcie udało się zdobyć przedział dla naszej czwórki w zwyczajnym pociągu i tak dojechaliśmy do Warszawy. O szarzejącej godzinie wsiadłem z Atamanem do taksówki i za chwilę byliśmy w pałacu Raczyńskich, w naszym mieszkaniu. Spotkał nas, z czarującym jak zwykle uśmiechem, pan Stanisław Stempowski. Na Atamana czekał przygotowany pokój”.

Przez parę miesięcy udało się Józewskiemu przechować Petlurę poszukiwanego jednocześnie przez polską dwójkę i bolszewicki wywiad. Ataman ukrywał się z żoną i córką Lesią w mieszkaniu jego serdecznego przyjaciela Włodzimierza Redlicha przy ulicy Pięknej. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Ani Polacy, ani Ukraińcy. Józewski często z Petlurą rozmawiał. Twierdził, że ataman, mimo położenia, w jakim się znalazł, nie miał żalu do Piłsudskie-go. Zawsze wyrażał się o nim z szacunkiem, uczuciem i przejęciem.

Czasem odwiedzali Petlurę jego zaufani łącznicy. Rząd sowiecki domagał się coraz głośniejsze od Polski wypełnienia traktatu ryskiego. Wydania Petlury i internowania ukraińskich oficerów. Ataman przy pomocy przyjaciół Józewskiego przerzucony został do Paryża, gdzie działał już rząd ukraiński na uchodźstwie. Tam zginął w 1926 roku trafiony na ulicy pięcioma kulami przez bolszewickiego agenta Szwarcbarta...

Jednostkowy czyn Józewskiego jaskrawo odbija od mało chlubnej karty naszego rządu i jego stosunku do byłego sojusznika po podpisaniu zwycięskiego traktatu w Rydze.

Oficerowie ukraińscy znaleźli się w obozach internowania w Szczypiornie i w Kaliszu. 15 maja 1921 roku obozy odwiedził Józef Piłsudski. O jego wizycie tak pisał pułkownik Juliusz Ulrych: „Jestem wezwany do Belwederu i otrzymuję osobiste rozkazy od Komendanta:

- Pan ich formował i pan teraz ma dbać o nich. Obóz ma być ich schronieniem, domem - rozkazał.

O decyzji przyjazdu Komendanta powiadomiłem generała Bezruczkę. Nie chciał wierzyć i głęboko wzruszony powiedział:

- To bardzo po rycersku...

Byłem świadkiem wielu manifestacji na cześć Piłsudskiego. Lecz takiego morza entuzjazmu, takiego bezmiaru uczuć, takiego zbiorowego wzruszenia - nie widziałem. A cóż Piłsudski? Powiedział, pamiętam, tych kilka pamiętnych słów:

- Ja Was przepraszam, Panowie. Ja Was za to bardzo przepraszam..."

Te rycerskie słowa Piłsudskiego wypowiedziane do przegranych sojuszników po zwycięskiej „bitwie warszawskiej” przeszły do historii, tak jak słowa Winstona Churchilla skierowane do Polaków w dwadzieścia lat później po „bitwie o Anglię”. I z równym entuzjazmem i wdzięcznością zostały przez nich przyjęte.

Nas samych w ćwierć wieku potem dotknęły podobne „konieczności” polityczne co Ukraińców w 1920 roku i na próżno pomstowaliśmy przeciw zdradzie aliantów i decydowaniu ponad naszymi głowami o naszym losie. Ale warto i o tej własnej ryskiej rysie pamiętać. Rzecz inna, że lekcja udzielona nam w Jalcie była wyjątkowo bolesna. W świetle Rygi zaś jeszcze boleśnieszka...

LATAWICA

Leszek Wawrów wspomniał, że jego ojciec Wieko w młodości bujnie ka-walerował w Hadyńkowicach. Jego pierwsza miłość nazywała się Ryśka Ka-pustyńska. Była córką fornala hrabiego Cieleckiego. Najpiękniejszą dziewczyną we wsi. Wszyscy się w niej kochali. A Wieko najwięcej. Postanowił się z nią ożenić. Matka próbowała mu to wybić z głowy: - Co ci z niej! - tłumaczyła. - Biedna córka fornala, bez ziemi wyrobnica! Żona jest do roboty, nie do zabawy. A jej tylko tańce w głowie. Latawica! Lala malowana.

Ale Wieko uparł się. Pewnego dnia poszedł z Ryską na zabawę do Probużnej. Dumnie wprowadził ją na salę. Miała czym imponować. Wysoka, smukła, z bujną piersią, nawet w lnianej bluzce wyglądała jak dama. Wszystkie panny gasły...

Kopciuszek przy niej - z dumą przyczesał grzebieniem włosy. Rój baciarów z Probużnej otoczył ich zaraz. Każdy chciał się przywitać.

- No, panie Wieko! - klepali go. - Pan wiesz, z kim przyjsć!

- Mam oczy - odparł godnie. Był bezsprzecznym zwyczajcą...

Kapela ruszyła. Skoczne rach-ciach-ciach poderwało salę. Skrzypek ciął od ucha. Wieko gwizdnął w palce i wziął Ryśkę do tańca. Zawirował w oberku. Spódniczka frunęła w górę. Kągłe, toczne uda błysnęły bielą. Dopiero teraz widać było, co to za nogi. Chłopcy stęknęli z podziwu. Pożerali ją wzrokiem. Pod wpływem ich spojrzeń Wieko z jeszcze większym ogniem zaczął krzesać hołubce i przytupywać nogą. Ich zazdrość dodała mu skrzydeł. Teraz był panem!

Gdy skrzypek urwał, zdyszani podeszli do baru. Fundnął Ryśce czekoladę, a sam wziął piwo. Upał był straszny. Znów otoczył ich rój baciarów. Czepiali się Ryski. Kiedy kapela zagrała, jeden z nich, Szymek, uklonił się i spytał:

- Pozwolisz, Wieko, na taniec z Ryską?

- Tańcz - rzekł z pańska i wyjął papierosa. Z satysfakcją ocenił swoją zdobycz.

Morowa. Najfajniejsza. Nikt takiej nie ma - wydał mięsiste wargi. Duma rozsadzała mu piersi. Po chwili, ku swemu największemu zdziwieniu, spostrzegł, że Ryśka w objęciach tego durnego Szymka też jest szczęśliwa. Szczerzy do niego zęby, jakby Pana Boga za nogi złapała. Objęta silnie wpół, łatwo dawała się wodzić. To go przykro dotknęło. By nie być posądzonym o zazdrość, odwrócił głowę. Wyszedł na dwór i zapalił papierosa. Kuzyn Jaśko Wawrów podeszedł do niego i pogratulował mu Ryski. Podziękował, ale nie sprawiło mu to już takiej frajdy...

Kiedy wrócił na salę, Ryśka wciąż szalała. Z ręką na karku Szymka gnała jak burza.

Latawica. Lala malowana - przemknęły mu słowa matki. Zamówił piwo. Kapela zagrała nowy kawałek. Ryśka tańczyła dalej. Widząc go z kuflem pod ścianą, kiwnęła do niego ręką. Uśmiechnął się krzywo. Po skończonym tańcu posłusznie wróciła do niego i czule wzięła pod rękę.

- Strasznie chce mi się pić, Wieko - poskarżyła się jak dziecko. Postawił jej oranżadę. Nie zdążyła dopić, gdy zbliżył się do nich Staszek Bruhał i, trzaskając w swe wojskowe oficerki, spytał uprzejmie:

- Czy mogę się zameldować u pana, panie Wawrów? I poprosić posłusznie o jedno tango z damą pana serca?

Ryska rozpromieniła się cała. Prosząco spojrzała na Wieka. Nigdy nie tańczyła z oficerem. To było marzenie każdej panny na tej sali. Przystojny Staszek, syn dworskiego kowala, w swym wyjściowym mundurze nie miał konkurencji. Był bożyszczem. Przyparty do muru Wieko odparł kwaśno:

- Służę panu, panie podporuczniku - nawet grzecznościowo nie myślał podwyższać mu rangi.

Bruhał podziękował i pewną ręką ujął Ryskę. Mocno przygarnął ją do siebie. Uległa mu zaraz. Wieko odwrócił się i - żeby coś ze sobą zrobić - znów wyszedł na dwór. Zapalił papierosa. Zapadał zmrok. Paru podpitych byczków wyło głośno pod starą topolą. Jeden z nich, o pysku rumianym jak malinówka, widząc go, zawołał:

- Rycz pan z nami, panie Wawrów! Bo inaczej nie kupim u pana w sklepie krówków! - Zarechotał głośno.

Nie myślał z nimi śpiewać. Dopalił papierosa i wrócił na salę. W tłumie z trudem odszukał Ryskę. W ramionach Bruhała przeciętych na skos oficerską koalicijką wydawała się jeszcze szczęśliwsza. Z pokraśniałą twarzą, radośnie potrząsała głową. On coś do niej mówił. Swobodnie zarzuciła mu rękę na szyję, jakby się znali od lat. Przycisnął ją mocniej i lekko musnął wargami. Odchyliła się, grożąc palcem. Obydwoje parsknęli śmiechem. Upojona tym oficerskim tangiem znów wtuliła się w niego, nie widząc, że jej kawaler Wieko coraz posępniej zerka spod ściany. Silniej ściska kufel i swoje twarde, waw-rowskie zęby...

Co jakiś czas znikali w tłumie. Syn kowala najwyraźniej kuł żelazo póki gorące. Po zakończeniu tańców szarmancko odprowadził Ryskę na miejsce, elegancko trzasnął przed Wiekiem w obcasy i, serdecznie dziękując, szybko oddalił się. Czas najwyższy, bo już panny z jego stadka z najwyższym wysiłkiem znosiły taniec z piękną Ryską.

Wieko stracił chęć do zabawy. Inni, korzystając z tego, coraz częściej prosili go o taniec z Ryską, na co on bezwolnie pozwalał. Po zabawie jak zwykle odprowadził ją na folwark. Była ciepła, wiosenna noc. Księżyc srebrzył stare lipy w dworskiej alei. Szli wolno, nic nie mówiąc. Przy figurze Matki Boskiej Częstochowskiej Ryska zatrzymała się i szepnęła tęsknie:

- Co za noc! Wyszalałam się...

W świetle księżycy wyglądała jak ta figura. Równie słodka i niewinna. Położyła mu dłoń na piersi i chciała złożyć głowę, ale cofnął się i oparł o gruby pień lipy. Wyciągnął paczkę „machorkowych” i zapalił.

- Był czas wcześniej - mruknął. Serce waliło mu jak młot u starego Bruha-la w kuźni.

Ale piękna diablica - musnął ją wzrokiem i wyżej spojrzął w zimny księżyc. Czuł, że jeśli pozwoli się jej przytulić, to przepadł. Złość minie i przebaczy jej wszystko. Znów go omota...

- Gniewasz się? - szepnęła.

Nic nie odparł. Stał-szttywno, z głową zwróconą w stronę pałacu, którego z tej alei nie było jeszcze widać.

- Co ja takiego zrobiłam? - zdziwiła się. - Nic.

- Pozwoliłeś im.

-I dalej pozwalałam, Ryśka. Szalej. Wolno ci...

- Nie rozumiem?

- Wzięcie masz.

- Moja wina, że się podobam? Mnie to wcale nie cieszy, Wicuş. Przysięgam. Ciebie jednego kocham! - spojrzała na niego tak, że gdyby jej w tym tangu ze Staszkiem nie widział, pomyślałby - święta. Cierpi jak ta Panna Bolesna...

- Nic nie poradzę, że oni tak na mnie lecą, Wicuş - powtórzyła.

- Ale ty przyszedłeś ze mną. Ja cię zaprosił - przypomniał jej ostro.

- Wiem. I wdzięczna ci jestem. Nigdy bym się tak nie wytańcowała. Nigdy...

- No, właśnie - przerwał jej. - A gdybyś mnie naprawdę kochała, to byś ta nawet nie spojrzała na nich. Nie byłiby ci w głowie chłopcy w mundurze - dociął jej. - A tak każdy dobry. Byle mocniej przycisnął...

- Nieprawda! - krzyknęła. - Ja ci na złość robiła, Wieko! Żebyś ty mnie bardziej kochał! Przysięgam! On mi się nic nie podoba! Stary! - rozplakała się. W tym płaczu była jeszcze bardziej niewinna. I piękna. Czuł, że zaraz go przekona. Tak jak już nieraz. Zdusił papierosa. Wdeptał go mocno w ziemię.

- No, nic, Ryśka! Wiz czyperewizl - rzucił swój ulubiony zwrot. Dziwne, ale po ukraińsku ten polski zwrot „wóz albo przewóz” ostrzej brzmiał. Jak cięcie szablą. Tak chciał właśnie odciąć tę pierwszą miłość. Za jednym zamachem. Ciach i po wszystkim...

- Co to znaczy? - spojrzała na niego z lękiem.

- Too - zatkało go niemal - że szczęście ci Boże, Ryśka! Szczęście ci Boże na nowej drodze! Trafisz sama. A mnie ta więcej nie ujrzysz!

- Nie! - zawyla prawie. - Stój! - wczepila się w niego. - Tyś całym moim życiem! Bez ciebie zginę! Wybacz mi! Ja już z nikim więcej nie zatańczę! Z nikim!

Strząsnął jajak natrętą muchę i szybkim, zamaszystym krokiem ruszył w stronę wsi. Głośny, histeryczny krzyk Ryski: - Wicuuuś! Nie rzucaj mnie! Ja umrę! Ja umrę bez ciebie! Tyś całym moim życiem! Wybacz mi! Ja już nigdy z nikim nie zatańczę! - niósł się za nim jak echo, zanim nie ucichł całkiem w tej starej, lipowej alei.

Gdy wrócił do domu, matka już spała. Rano położył jej pieniądze na stół i oświadczył:

- Nic mi po nich. Mama wezmą.

- Nie żenisz się z nią? - zdziwiła się. - Nie.

- Ta pewnie - ucieszyła się. - Młodyś. Jeszcze się pocieszysz...

Matka dołożyła do tych pieniędzy parę złotych i kupili u Studzińskich na Zarembie nowego, rocznego konia. Opłacało się. Wóz Wieka potoczył się różniej...

Po zerwaniu w alei lipowej więcej się ze sobą nie spotkali. Wieko widywał Ryśkęna zabawach. Wciąż była najpiękniejsza. Ale starosty do jej ojca jakoś nikt nie słał. Sprawdziło się to, co jej zawsze mówił: - Pamiętaj, Ryśka. Małpa z polem ma więcej szans niż ty ze swą urodą... - E, tam, Wieko - śmiała się. - Zazdrościsz mi wzięcia... - Mój sklep też je ma. Zwłaszcza gdy dam na kredyt. Aleja wiem, komu dać. A ty nie. Wierzysz temu, kto ci więcej obieca. Panieństwo to twój największy skarb. Dasz na kredyt, i szlus. Nigdy go nie odzyskasz. Nie każdy ma takie kupieckie słowo jak ja. Ale ty go nie cenisz. Czekasz na księcia z bajki...

I księżę przyszedł. Wesoły Zbyszko, baciara z Probużnej. Piękny i hojny. Oczarował ją całkiem. Nazywał swoją panią i boginią: - Ty jesteś prawdziwa hrabina Cielecka - szeptał. - Takiego ciała nie ma nikt! - i ścisnął ją aż do omdlenia. Obiecał ślub i wesele na całą wieś. Z orkiestrą z Czortkowa: - Wieko mógł ją sprowadzić, to ja też. Będą nam grać do białego rana...

Gdy pytała, dlaczego nie idzie do ojca prosić o jej rękę - odpowiadał, że

pójdzie. - Chcę to zrobić po wojsku, ale jak ci tak zależy, zrobię przed. Tylko mi zaufaj! Jak mam cię przekonać?! Zabić się?! - i przystawiał sobie fiński nóż do piersi. - Powiedz słowo, a wbiję go po sam sztyft! - Co ty! - Ryśka wyjmowała mu go z ręki. W żadnym wypadku nie chciała jego śmierci. Kochała go. Ale pamiętała słowa Wieka, że nie wolno jej dawać na kredyt. Więc broniła się. Kiedy czuła, że słabnie, odskakiwała i poprawiała spódniczkę.. Wtedy Zbyszko dostawał szału. I znów groził, że się zabije.

Aż pewnej nocy, gdy odprowadzał ją zabawy, zboczyli z drogi i weszli w las. Zatrzymał się i wyjął ze skórzanej podkówki dwuzłotówkę. Uniósł ją w górę. Twarz bogini Wenus błysnęła ze srebrnej monety:

- To jest panna, co? - szepnął w zachwycie.

- No - kiwnęła głową.

- Ale ty lepsza. Dla ciebie zawsze ją rzucę! - i cisnął za siebie.

- Co ty?! - krzyknęła. - Toż to majątek!

- Dam ci większy! - zapewnił ją, gdy schyliła się, by podnieść pieniądze.

- Grzech, by zginęła - wymacywała ją na klęczkach.

- Wróci. Do mnie wszystko wraca. Zaczarowałem ją - kucnął przy niej i lekko pociągnął ku sobie. Opadli w miękki mech. Objął ją czule. Zanucił tango, które tańczyli na sali. W ciszy leśnej zabrzmiało jeszcze słodziej. I omdlewająco. Teraz czar tych słów dotarł z całą mocą:

„Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci.

Zerwany w borze. O nocnej porze...”

- I widzisz? Przybyłaś - szepnął. - Dostaniesz ten kwiat - wskazał gęste paprocie, przy których usiedli.

Zrobiło jej się cieplej na duszy. Ogarnęło ją prawdziwe szczęście. Zamknęła oczy i z ufnością złożyła głowę na jego piersi. Przytulił ją mocno. Czowała się jak królowa z tego filmu, który oglądali w Kopyczyńcach. I - tak jak w kinie - wydało się jej, że pod każdym krzaczkiem czuwa brodaty krasnal, by nic się jej nie stało. A cóż może się stać, gdy jest przy niej on, Zbyszek, łagodny i czuły, co kocha ją nad życie?!

Osunęła się w trawę. Ostrożnie zadarł jej spódnice. Nie broniła się. Zdziwił się. Z wrażenia wstrzymał oddech. Widząc jednak, że nadszedł dzień, na który tak długo czekał - wykorzystał go bez namysłu.

- A uszanujesz aby?! - spytała z lękiem.

- Jasne! - krzyknął w ekstazie.

Poczuła ból. Księżyc jaśniej błysnął i Wenus ze srebrnej monety obróciła do niej głowę. Spojrzała na nią w laurowym wieńcu i mrugnęła ze srebrnego globu: - Co tam, Ryśka! Raz się żyje! Szalej! Ja też byłam panna...

I Ryśka zaszalała. Oddała to, co miała najdroższe. Siebie. Całą, i bez reszty. Na kredyt. Stało się to, przed czym tak przestrzegał ją Wieko.

Gdy oprzytomnieli, Zbyszko sam odszukał monetę i wręczył jej na pamiątkę:

- Przyniesie ci szczęście. Jak ten kwiat paproci. A pierścionek dostaniesz jutro...

Dał rzeczywiście, ale to nic nie zmieniło. Zaręczyn nie było. Zbyszko odkładał je stale. Parę

razy umawiał się z Ryski ojcem - tylko wciąż mu coś wypadalo. Potem ojciec wyjechał do Kanady, więc miał nowy wykręt. Czekal, az wróci. Jednak Ryśka mu wciąż wierzyła. Ciagle był miły, dumny z tego, że ma najpiękniejszą pannę we wsi. Czasem dochodziło między nimi do drobnych starć, które on łagodził słodkimi przeprosinami i podarunkami z miasta. Wtedy Ryśka cieszyła się jak dziecko i znów było pięknie. Aż pewnego dnia wyznała mu w największym sekrecie, że jest w ciąży. I będą mieli dziecko. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Breszesz! - zaśmiał się sztucznie, maskując zmieszanie.

- Nie! - szepnęła radośnie. - Będziemy mieli dziecko. Nie cieszysz się?!

- Cieszę - odparł głucho i potarł czuprynę. W pośpiechu sięgnął po papierosa. Ryśka w napięciu czekała, co powie. W milczeniu puszczał kłęby dymu, wreszcie rozegnał je, jakby się chciał opędzić, i szybko zaczął:

- No, tak. To jasne. Chcesz wyjść za mnie. Tylko widzisz... - zawahał się. - Czyja mogę się z tobą żenić, jak tyle gospodarskich cór wokół?! Przecież ojciec by mnie zabił. On tego nie zrozumie. Dla niego miłość to morgi! Tylko morgi!

-Jak to?

- Tak to. Niech to szlag trafi! - zaklął cicho.

- Boże. A ja byłam pewna...

- No, właśnie. Ty zawsze jesteś pewna! - wybuchnął. - Żyjesz jak rajski ptaszek, fruwasz, tańczysz, bawisz się - a życie jest twarde. Niestety...

- Czyli małpa z polem lepsza? - powtórzyła bezwiednie słowa Wieka.

- Nie lepsza! - zdenerwował się. - Ale nie żyj na księżycu. Trza wiedzieć, kim się jest, Ryśka!

-Kim?

- Wyrobnicą! - skończył w złości.

- Wyrobnicą? - spojrzała na niego zdziwiona.

-No, tak. Twój ojciec nie ma ziemi, a mój ma. Na tym polega różnica, Ryśka!

- Jaka różnica?

- Dla mojego ojca! - poprawił się. - Ja bym cię wziął, jak stoisz! W jednej koszuli! Ale on nie da! Uparł się, cap! I co mu zrobisz? Zabijesz? Do tego ten bachor, cholera! Nie możesz go mieć! Nie możesz!

- Ale mam - szepnęła z płaczem.

- To nie miej! Zrób coś, by nie mieć! Baby mają swoje sposoby! - potrząsnął nią mocno. Wgniótł niedopałek w ziemię. Twarz mu pobladła. Nigdy go takim nie widziała.

- I ty byś chciał? - rzekła z niedowierzaniem.

- Nie ja. Ty! O ciebie chodzi! Ja i tak pójdę do wojska... - I zostawisz mnie?

- Pobór to pobór. Nawet na twoje piękne oczy, Ryśka, mnie nie zwolnią-próbował zażartować.

- Ja cię nie puszczę! Nie puszczę! - wczepiła się w niego jak dziecko. - Kocham cię!

- Wiem - starał się uwolnić. - Ale musisz to zrobić. Musisz.

- Nigdy - ucięła krótko.

- Wiesz, co to panna z dzieckiem! - rzucił groźnie.

- Nie jestem panna, jestem twoja! - odparła naiwnie.

- Ale ja nie jestem twój! Nie mogę się z tobą żenić! Czy ty tego nie możesz zrozumieć?! - wypalił wreszcie.

Dopiero teraz to do niej dotarło. Bezradnie zdjęła mu ręce z szyi i opadła na pień drzewa.

- Gdybyś chciał; to byś mógł - mruknęła tylko.

- Chcę! Bóg mi świadkiem! - klęknął przy niej. - Ale ojciec jest jak głaz! Nie zmożę go. Przeklnie mnie, że ja bidniaczkę sobie wziął. Przegna!

- To przegna...

- I co? Z torbami pójdę? Tylko dlatego, że tobie się zachciewa... Naprawdę chcesz rodzić?

- Naprawdę - z uporem kiwnęła głową. Uśmiech ni to wyższości, ni pogardy zjawił się na jej twarzy.

- Twoja rzecz - wyprostował się. - Tylko wiedz! Ja mu nazwiska nie dam. Będzie Kapustyński jak ty. Żebyś się później nie czepiała...

- Nie będę - uspokoiła go. Wstała z pnia i podeszła do paproci rosnących w parowie. Zerwała liść. Dziwny uśmiezek nie schodził jej z warg. Ten uśmiezek jeszcze bardziej go zdenerwował. Całkiem stracił cierpliwość. Ryśka z powrotem siadła na pniu. Zaczęła wachlować się tym liściem paproci.

Dama! Czeka, aż się złamię. Nie doczeka się, hrabina! - pomyślał i bez oporów walił już

prosto z mostu:

- Chcesz mieć bękarta - miej! Tylko uprzedzam. Ja się go wyprę! Wyprę! - ryknął na cały las. - Chowaj go sobie sama. Dopiero wtedy zobaczysz, jak to miło. I przestaniesz się śmiać...

Zaczął chodzić tam i z powrotem. Wreszcie stanął nad nią jak prokurator i spytał:

- Więc co? Co postanowiłaś?! Mów!

Nie odezwała się. Bez słowa zdjęła pierścionek z palca i wręczyła mu. Zawahał się, ale wziął. Wolno rozpięła bluzkę na piersiach i z woreczka wysupłała srebrną monetę.

-Ją też weź...

- Może ci się przydać - rzekł ciepłej.

- Już nie - zaprzeczyła. - Dała mi szczęście. Może ta inną pannę zaczaruje - dalej trzymała monetę w ręku.

Wyrwał ją i cisnął na oślep. Spadła w gęste krzaki. Tym razem Ryśka nie myślała jej podnosić. Siedziała sztywna, nieobecna. Skorzystał z tego, że to ona zerwała, nie on - i ciężkim krokiem, obrażony, oddalił się szybko. Została sama na tej polanie. Ogluszona. W najgorszych snach nie przypuszczała, że wyjdzie z niego taki łotr. Ale wyszedł. Nie ma się co łudzić. Rzucił ją. Może liczyć tylko na siebie. Rozejrzała się. Zdjął ją strach. Poczuli się osaczona. Każdy świerk na tej polanie wydał się jej wilkiem gotowym skoczyć do gardła. Zerwała się, chcąc wyrwać się z tej matni. Zaczęła biec. Z lasu wypadła na pola i gnała nimi na przełaj. Słońce kryło się nad Pańską Doliną. Instynktownie biegła na folwark, chociaż wiedziała, że i tam nie ma dla niej ratunku. Była zgubiona. Zdyszana dopadła dworskiej alei i oparła się o starą lipę. Dziwnym trafem była to ta sama lipa z figurą Matki Boskiej Częstochowskiej, przy której rozstali się z Wiekiem. Przypomniało się jej wszystko. Bezradnie objęła drzewo i wściekle zaczęła tłuc głową w pień. Z furią wyrzucała słowa:

- O ja durna, duma! Doigrałam się! Doigrałam! A Wieko mówił, ostrzegał! „Bądź mądra! Nie szalej! Nie dawaj na kredyt!” Mam ślub z orkiestrą! Maam! - wyła jak zwierzę, powtarzając swą litanię. Bijąc tępo głową w pień, nie czuła bólu. Rana, którą jej zadał, była boleśniejsza. Rwała. Zdawała się śmiertelna. Nie do przeżycia... Dopiero gdy, ocierając twarz, spostrzegła na ręce ślady krwi, zrozumiała, że sama się poraniła. To ją ocuciło. Lekko oprzytomniała, ale zaraz strach wziął górę. Pojęła, że jest stracona. Do końca życia przeklęta. Napiętnowana. Wieś jej tego nigdy nie daruje. Już słyszała mściwy szept bab syczących z dziką satysfakcją: - Ma bajstruka! Ma! Latawica! Z bękartem sobie teraz polata, suka...

Wzdrygnęła się. W oczach stanęły jej te wszystkie nieszczęsnice, które wcześniej spotkał ten sam los, a którymi ona jeszcze wczoraj tak gardziła. Choćby ta Zielińska, matka Kornelki Stefaniuka. Stefaniuk przynajmniej Kor-nelce dał nazwisko, a ten łotr nawet tego nie chce! „Ja się go wyprę! Wyprę!” - krzyczał!

Znów zaczęła przeklinać i złorzeczyć na swój los. Bić pięściami w pień. Mało to dało. Ten krzyk ją w końcu wyczerpał. Opadła z sił i z rezygnacją objęła drzewo, które tak kornie przyjęło jej wybuch. Szemrało tylko cicho, gubiąc pierwsze jesienne liście. Był to jedyny znak ich wspólnego bólu.

Figura Matki Boskiej Częstochowskiej pociemniała i wtopiła się w czarny pień drzewa. Ryśka oderwała się od swej jedynej podpory i jak skazaniec ruszyła w stronę folwarku. Zmrok zapadał w alei lipowej. Nikłe światła czworaków uprzytomniły jej, że jest w domu. Nie wiedziała, kiedy do niego doszła. Stała w progu. Na szczęście matka z bratem byli jeszcze na służbie. Zanurzyła horniátko w wiadrze, popiła wody i przemyła zakrwawioną twarz. Nie zapalając kaganka, runęła na siennik. Zaduch ciasnej czworacznej izby zwiększył jej rozpacz. Nie widziała dla siebie wyjścia. Każde było złe. Nie miała nawet komu się zwierzyć. Gdyby pisnęła słówko, dopiero by było. Wyobrażała sobie już twarz ojca. Choć foryś u hrabiego Cieleckiego - nosił się jak pan. Miał swój honor. Dla niej wyjechał do Kanady, by kupić ziemię i przestać być wyrobnikiem. A ona mu taki kawał zrobiła.

Nie zniesie tej hańby. Nie zniesie! Zatłucze mnie! Zatłucze po powrocie jak nic - myślała.

W pierwszym odruchu strachu chciała spakować rzeczy i zniknąć w wielkim mieście. Jakimś Lwowie czy Tarnopolu. I tam spokojnie urodzić. Ale u kogo? Gdzie? Nie w rynsztoku przecież. Nikogo nie zna. Kto ją przyjmie w tym stanie? Z brzuchem.

Nawet najgorszy tłumok ma więcej szans niż ja... - Z przykrością stwierdziła, że ten łotr Zbyszko miał racje.. Musi się pozbyć dziecka. Musi. Nie ma innego wyjścia: - Z nim nie życie. Zamącą. Mnie i jego. Bada tak długo szcuć, aż się wścieknie. I samo zacznie gryźć. To lepiej niech zginie dziś. Jak jutro mają go powiesić jak Syniutę...

Powoli oswajała się z tą myślą:

- Tak jest. Wiz czyperewiz - powtórzyła, chcąc sama się upewnić. I znów stanął jej w oczach Wieko.

Gdybym go słuchała, to dziś chodziłabym sobie godnie z brzuchem jak ta jego żona

Oldzia. Ważna pani Wawrów! - pomyślała z przekąsem. - O, ja durna! Duma! - znów wyrzucała z siebie swą litanie.. Gdy się nieco uspokoiła, stwierdziła twardo:

- Musi zginąć. Musi. On albo ja.

Najpierw myślała o Zbyszku. Pójdzie, odszuka go i wydrapie mu oczy: - Popamięta, zbir! Mnie i swego bachora. Wypalę mu oczy zajzajerem! Niech się potem włóczy z gospodarską panną, ślepiec! Prowadzony za rączkę...

Wiedziała, że tego nie robi. Roilo jej się tylko w głowie. Z beziły, bólu, i własnej głupoty. Na siebie najbardziej była zła. W furii gotowa była się zabić: - Sama się zniszczyłam. Sama... - Po tej gonitwie myśli doszła do wniosku, że pozbycie się dziecka będzie jedynym rozsądnym wyjściem.

Strasznym, ale jedynym. Inaczej razem zginą. W powolnej, ludzkiej męczarni.

Łatwiej powiedzieć, ciężiej zrobić. Wiedziała, że baby we wsi mają swoje sposoby. Ten łotr miał rację. Choćby ta Zygryjka. Co z tego, gdy papła. Ozorem miele. Cała wieś od razu się dowie, że miała bękarta. Druga znachorka nie lepsza. - Musi być ktoś nie stąd. Ale kto?

Nikogo nie знаła. Nagle przypomniała sobie o jednej Dance, której matka była akuszerką w Trembowli. Spotkały się kiedyś na zabawie i dość polubiły.

- Ale jeśli ta matka odmówi, to też może rozgadać. Niby Trembowla daleko, ale świat mały. Za mały. Miejsca dla mnie w nim brak - stwierdziła z bólem.

Te myśli przerwało wejście matki z bratem. Zapalili świecę. Ryśka udała, że śpi. Zrobiła tylko miejsce dla matki, z którą razem spały. Bała się, by ją nie chwyciły mdłości. Częste torsje i tak budziły już czujność matki. Wciąż pytała, co to? Nie mogła jej przecież powiedzieć. Zaraz by napisała do ojca, a ten po powrocie... Wołała nie myśleć... Kochał ją bardzo, ale w gniewie nie znał granic...

Wkrótce świeca zgasła. W izbie rozległ się monotony szmer modlitwy. To matka dziękowała Bogu za miniony dzień.

Może ta dla mnie co wymodli? - pomyślała z goryczą. Nie wierzyła w ten cud. Swój los widziała czarniej niż osmolony okap w kuchni. - Całe życie chciałam się stąd wyrwać - i wyrwałam. Teraz będą wyrywać mi ciało z ciała. Najdroższe co mam. Hrabina Cielecka. Bogini! Takiego ciała nie ma nikt! - przedrzeźniała słowa tego drania. - Dużo z tego mam! Za ładna byłam. Za ładna. Ot co. Bóg pokarał mnie za pychę. Jak Ewę - wygnał z raju i wtrącił do piekieł. Teraz tylko piekło mi zostało. Tylko piekło...

Koszmary przelatywały jej przez głowę. Ujrzała nagle rozjechanego przez wóz psa. Powłóczył zgruchotanymi nogami, a z pokrwawionego pyska sterczały mu wielkie, żółte kły. Szczęrzył je na nią i łypał jednym, zdrowym okiem. Drugie mu wypłynęło. Zbliżał się do niej, a jego wściekły pysk dotknął prawie jej twarzy. Warczał na nią coraz groźniej. Zerwała się z trwogą:

- O, Boże! - krzyknęła.

Równe, ciężkie chrapanie brata na sąsiednim bombetlu uprzytomniło jej, że to nie żaden pies. Opadła z ulgą na siennik. Zamknęła oczy. Daremnie próbowała zasnąć. Dawniej to chrapanie nic jej nie przeszkadzało, a teraz czuła, że zwariuje. Jakby ją ktoś piłą ciesielską rznął przez pół. Z tym strasliwym: hu-ruu, huruu, hruuu... Żołądek podszedł jej do gardła. W panice zatkała uszy. Nie wiedziała, kiedy zasnęła. Rano wstała z twardym postanowieniem, że zaryzykuje i pojedzie do tej akuszerki. Nie ma co zwlekać. Obliczyła, że jest w drugim miesiącu ciąży, ale mogła się mylić. Nie miała żadnego doświadczenia...

Akurat w tym dniu Elo Hus wioził do Trembowli kapustę dla wojska i usadził ją na swym wozie z beczkami. Bała się, że od tego kołysania chwycą ją mdłości i sprytny Żyd wnet się domyśli. Ale nie. Nic takiego nie nastąpiło. Czuła się świetnie. Przy rubasznym Husie nawet wypogodniała.

Świat wydał się jej mniej czarny. Hus wesoło strzelał batem. Wyraźnie chciał ją zabawić. Coraz to cmokał na konie i znacząco wzdychał.

- A ja jaj. Jakie my wieziem sikse. Sam cymes. Palcy lizać! - wznosił oczy z błogością w niebo. - I czego panna Rysia szuka w tej naszej Trembowli. Czy aby nie nowego ułana? - mrugnął znacząco.

- Ułanów mam dość - odparła. - Za handlem jadę.

- Uuu, jak za handel to sygit - kiwnął ze zrozumieniem głową. - Byle nie kapustą! Bo ja już kapustę naszym ułanom wieżę i zrobiłaby mi panna Rysia niezły szpas! Taki fajny towar?! Z tymi oczkami?! Gwałt! Biedny Elo Hus zaraz by poszedł z torbami. Uny by tylko od panny Rysi brały hurtem! Nawet na wagę nie kładły. Te nasze ułany pod okienkiem - zaśmiał się i taktownie nie pytał, co to za „fajny towar”, za którym jedzie. Na pożegnanie znów polecił swój wóz i zapewnił, że - wracając pod wieczór - chętnie ją zabierze.

- Ze wściekłą rozkoszą. Pod hajrem! - zapewniał. - Mój prawy kun aż grzebie kopytem! Bo un strasznie łasy na takie pannę. A ja jaj, jaki un łasy! - wskazał go batem.

- A lewy? - spytała przekornie.

- Lewy miglanc. I głupi jak główkę kapusty. Tylko sieczkę ma w głowie. I obrok...

W lepszym humorze udała się na poszukiwanie Danki. Wiedziała, że mieszka ona koło placu Starej Targowicy na ulicy Wałowej. Tam ją kiedyś po festynie odprowadzała wraz ze Staszkiem Bruhalem. Jej dom był za Cmentarzem Żydowskim, blisko rzeki Gnieznej, do której wtedy podeszli. Danka chciała im pokazać szkolną przystań żeglarską...

Łatwo odszukała ten dom. Na furtce była tabliczka: „Akuszerka dyplomowana” - więc nie było wątpliwości. Obejrzała się i pociągnęła za dzwonek. Drzwi otworzyła Danka. Zrazu jej nie poznała, ale jak Ryśka powołała się na Staszka Bruhala, z którym wtedy była, zaraz sobie przypomniała i serdecznie zaprosiła do środka. Ryśka skłamała, że jest przejazdem u wujka w Trembowli i ciekawa była, co u niej słychać. Ze Staszkiem bowiem bardzo miło ją wspominają. Od niechcienia spytała o matkę. Danka posmutniała i oznajmiła jej, że matkę wczoraj właśnie operowano w szpitalu i stan jej jest bardzo ciężki. Nie wiadomo, czy przeżyje. Oczy jej się zaszklily. Wkrótce się rozpłakała. Ryśka poczuła, że w tym stanie też tej operacji nie przeżyje, ta nowina ją całkiem ścięła i również się rozpłakała. Danka wzruszona tym, że Ryśkę tak przejął los jej matki, mocno przytuliła ją i razem płakały. Ten wspólny płacz bardzo je zbliżył...

Danka pierwsza otarła łzy i z wdzięcznością uściskała Ryśkę. Spytała, czy może jej w czymś pomóc? Ryśka postanowiła zaryzykować i wyznać jej wszystko. Dobrze trafiła, bo Danka - podobnie jak matka - chciała być aku-szerką i wiele się od niej nauczyła. Dokładnie Ryśkę o wszystko wypytała i ofiarowała się ją zbadać. Po dłuższych oględzinach orzekła, że według niej ciąża jest dużo większa, niż Ryśka myśli i w tym stanie zabieg jest ryzykowny. Może go dokonać tylko doświadczony lekarz w swoim gabinecie. Zna takiego, ale on jest drogi i nie wiadomo, czy zechce. Osobiście radzi, by rodzić.

- Będzie piękny chłopiec. Po tobie i ojcu - zachęcała ją.

- Kiedy nie mogę. On się go wyparł - wyrwało się jej.

- Brzydko, jak na oficera...

- Jaki ta on oficer! Baciara podły! - krzyknęła w pasji.

- To nie Staszek Bruhał? - zdziwiła się.

- Ta skąd! Ze Staszkiem my tylko tańczyli. Staszek by tego nigdy nie zrobił! - znów rozplakała się na samą myśl, jak fatalnego dokonała wyboru. Zaczęła Dankę błagać, by sama dokonała tego zabiegu.

- Kiedy nie umiem. Nigdy tego nie robiłam!

- To zrobisz! Co ta! Ja ci wierzę! I nie boję się! - zapewniała ją.

- Ale ja się boję! Mogę cię zabić! - broniła się Danka.

- To zabij! Mnie ta wszystko jedno. Wolę śmierć niż taką hańbę!

Gdy Danka kategorycznie odmówiła, wpadła w histerię. Zaczęła krzyczeć, że zaraz skoczy z mostu albo rzuci się pod pierwszy pociąg.

- Życia dla mnie nie ma! - wołała.

Przerażona Danka dała jej walerianowych kropeł. Po nich Ryśka trochę się uspokoiła. Po chwili oświadczyła:

- Nie to nie. Trudno. Zrobię to sama...

Danka, nie bardzo wiedząc, czy Ryśka myśli o samobójstwie, czy o zabiegu, na wszelki wypadek zaczęła ją powstrzymywać przed tym szalonym krokiem:

- Jesteś piękna, młoda, masz życie przed sobą...

- Właśnie, że nie mam! - upierała się Ryśka. - I zrobię to! Żeby nie wiem co! - tupnęła jak dziecko nogą.

- Ale co chcesz zrobić? Zabić się?!

- Pozbyć się go! - wrzasnęła dziko. - W jaki sposób?

- Mój! Sama to zrobię!

- Ani się waż! - przestrzegła ją. - Znałam jedną taką, co sama usuwała sobie ciążę drutem od wełny i widziałam potem, jak konała w mękach!

- To ja też! Będę druga. Najwyżej! - odparła hardo.

Widać było, że nie panuje nad sobą. Po tym wybuchu siadła na krześle i nerwowo przebierała palcami. W jej nic niewidzących oczach czaił się bezgraniczny ból. Po chwili wstała i podziękowała Dance za jej dobroć i radę. Jeszcze raz błagała ją, by nic nikomu nie mówiła, jeśli nie chce jej zgubić. Na koniec objęła ją mocno, jakby licząc jeszcze na jej pomoc, po czym zrezygnowana wolno podeszła do furtki. Obejrzała się za siebie i na odchodnym rzuciła:

- To proste jak drut! A drut do wełny mam! Dziękuję!

Skrzywiła się i szybkim krokiem ruszyła w dół ulicy. Danka miała dziwne uczucie, że - chcąc ją całego serca ratować i przestrzec - niechcący zabiła. Ale zaraz otrząsnęła się z tej myśli, przypominając sobie, że przecież jest już spóźniona. Dawno powinna być u chorej matki w szpitalu.

Olga Wawrów opowiedziała mi dalszy ciąg tej historii.

- Koniec sierpnia, jak zwykle po żniwach pełno pracy w domu, a tu wpada do mnie na podwórze moja przyjaciółka Milka Kulczycka i woła:

- Chodź, Oldziu, ubieraj się, pójdziemy sobie popatrzeć na Ryską Kapustyńską...

- A co się stało? - pytam.

- Nie wiem dokładnie - mówi - ale ze szpitala w Czortkowie przywieźli ją konającą i w domu w dwa dni potem umarła...

Więc ja szybko chap-chap ubrała się i idę. A od nas na fulwarek do niej szmat drogi. Ja już była z moim Jarkiem w ciąży, ale co ta! Ciekawa byłam. Czasu po drodze my miały dpsć, więc pytam Milki, co za powód tej śmierci.

- Jakiś batiaryga z Probużnej do niej chodził i podobno ona z nim była w ciąży. Próbowала się jej pozbyć, coś się porobiło i wdało się zakażenie. Nie chciała powiedzieć, kto jej to dziecko zrobił, i tak umarła...

Nie wiem, czy to prawda, proszę pana, ale tak we wiosce mówili. Furtkę zamkniesz, języka ludziom nie. Pletli więc sobie. Ja u Ryski na fulwarku nigdy nie była. Dom jej był nowy, blachą kryty, bo ojciec z Kanady dolary słał. Wewnątrz tego domu było bardzo biednie i pusto. Ryśka leżała pośrodku izby na katafalku. W kącie stało jeszcze jedno łóżko zaścielone wysoko haftowanymi poduszkami. Więcej ja żadnych innych sprzętów nie widziała...

Ryśka ubrana była w białą suknię. W złożonych rękach trzymała bukietik lilii. Twarz miała siną, -jak to po zakażeniu, ale wciąż bardzo ładną. Nikogo z jej rodziny przy niej nie było - ani matki, ani brata, tylko tłum ludzi. Wchodzili i wychodzili. Jak na paradzie. Każdy chciał ją zobaczyć i pożegnać. Taka piękna, młoda. Wszystkim żal jej było. I ojca, co jak wróci z Kanady, już swej jedynej córki nie zobaczy. A bardzo ją kochał. Chciał u hrabiego Cieleckie-go, z którym razem ze Słobódki przyjechał i był u niego forysiem, kupić ziemi, by wreszcie Ryśkę jako gospodarską córkę dobrze wydać. A tu taka tragedia.

Drzwi do kuchni były uchylone i Milka, zawsze bardzo ciekawa, otworzyła je szerzej i kiwnęła na mnie ręką:

- Chodź, Oldziu, zobaczymy co ta w środku!

My z Milką weszły i ujrzały kuchnię, w której prócz pieca nie było nic. A ona tak czarna i usmolona ta kuchnia była, że ja takiej drugiej w życiu nie widziała. Tak my szybko wycofały się i z powrotem te drzwi przymknęły.

Po chwili nazad ruszyły na wieś. Milka mieszkała parę domów przede mną, więc wcześniej się pożegnała.

A ja doszła do mego domu i widzę, proszę pana, że mój Wieko stoi przy furtce ze swą starszą siostrą Maryją i bardzo przejęci o czymś mówią. Jak mnie zobaczyli - urwali. Miny mieli ponure.

- Co wy tak szepczecie przy bramie?

- Później ci powiem - odrzekł Wieko i pyta, gdzie ja była.

Więc mówię, że poszliśmy z Milką na fulwarek popatrzeć sobie na Ryśkę Kapustyńską...

Spojrzeli po sobie i nic nie powiedzieli. Ja jednak od razu wiedziała, że oni przy tej bramie o Ryśce Kapustyńskiej mówili, tylko przy mnie nie chcieli...

Tyle Olga Wawrów. Jej syn Leszek przypomniał sobie, jak ojciec mu to przedstawił.

- Jak Ryśka umierała, to przysłała do mego tata swego brata z prośbą, żeby do niej przyszedł, bo chce mu coś ważnego przed śmiercią powiedzieć. Ale mój tato nie poszedł. Kiedy go spytałem - dlaczego, odparł:

- Po co? My wszystko co mieli sobie powiedzieć - powiedzieli. Ja nie miałem nic do dodania. A gdybym poszedł, to wszyscy we wsi by mówili: - No, tak. Wieko się w niej kocha i jest z nią. - Honor twojej mamy bym zhańbił. A ja miałem młodą żonę, dom, rodzinę, dziecko w drodze, więc po co?!

I nie poszedł. Na pogrzeb też. Twardego miałem tata - rzekł nie bez dumy. - Często się zastanawiałem - podjął po chwili - po co Ryśka tak bardzo chciała zobaczyć się z moim tatą. Jak pan myśli?

- Nie wiem - odparłem.

- A ja wiem. Ona mu chciała po prostu powiedzieć, że miał rację. Bo miał. Wszystko dokładnie przewidział. Wiedział, co robi. Mimo że bardzo ją kochał, nie ożenił się z nią. I wiem, że każdy z nas w życiu przez taką Ryśkę Kapul

styńską musi przejść. I zdecydować: - Wiz czyperewizl Ja też miałem swoją „Ryśkę”. Nic o

Ryśce Kapustyńskiej nie wiedząc, postąpiłem tak samo z Yvon-ne jak ojciec trzydzieści lat wcześniej. To dziwne, jak w genach mamy wszystko zakodowane, prawda?

Z DYMEM MACHORKOWEGO

- Kiedy przed wojną pracowałem w Monopolu - mówi Jan Korsak w domu Olgi Wawrów na Indian Grove - to często jeździłem do Hadyńkowic. Miałem do dyspozycji konia, motor i rower. Wybrałem rower. Nie trzeba go karmić, tankować, wszędzie dotarł. I wszędzie go można było w polu zostawić. Na bezpłatnym, niestrzeżonym parkingu - zaśmiał się.

- Nikt go nie ukradł?

- Każdy wiedział, że mój. Miał tabliczkę Monopolu.

- Jak współżyli Polacy z Ukraińcami? - spytałem.

- Różnie. W pewnych wsiach dobrze. Pomagali sobie wzajemnie w żniwach. W innych gorzej. Ja z Ukraińcami żyłem świetnie. Mówiłem perfekt po ukraińsku, znałem teren, byłem tutejszy. Wiedzieli, że mnie nie obchodzi narodowość, tylko tytoń. Każdego plantatora traktowałem na równi. Klasy tytoniu rozróżniałem, nie ludzi... Byłem jednocześnie kierownikiem uprawy i wykupu na cały okręg Probużna. Bardzo odpowiedzialne stanowisko. Mogłem łatwo skrzywdzić zarówno państwo, jak i plantatora, dokonując mylnej oceny plonów...

Mimo że pracownik Monopolu, pan Jan nie jest monopolistą i chętnie dzieli się ze mną swą wiedzą. Dzięki temu nie jestem ciemny jak tabaka w rogu i rozróżniam gatunki tytoniów. Wiem, że lekki, drobnolistny, papierosowy - to tykkułak, trapezont i hercegovina. Tytonie cygarowe to węgiersko-ogrodowy, wirginia i kentucky. Przeznaczone na łyeczko, czyli pokrycie cygar. Wreszcie tytonie ciężkie, machorkowe, które zawierają najwięcej smoły, żywicy i nikotyny. Machorka pomorska ma jej aż osiem procent...

Okazało się, że Polski Monopol Tytoniowy przed wojną był potęgą na tych terenach. Miał tu swą bazę. Prawdziwe zagłębie tytoniowe. Najwięcej zakładów. W Jagielnicy, Borszczowie, Monasterzyskach, Zabłotowie, Tarnopolu i Winnikach. Każdy prowadził inny dział i kooperował z drugim. Tak na przykład w Jagielnicy były Zakłady Uprawy Tytoniu, w Winnikach pod Lwowem słynna Wytwórnia Papierosów, Cygar i Tytoniów Fajkowych. Stąd „przedni winnicki”, który lubił palić Pańko Nawrocki, dziadek Olgi Wawrów, opisany przeze mnie w Nawiało nam burzę. Winniki w dziewięćdziesięciu procentach produkowały na eksport. Zabłotów specjalizował się w uprawie tytoniów ciężkich, machorkowych, które rosły obficie na ziemi pokuckiej.

Dostać się do Monopolu nie było łatwo. Przyjmowano tam najlepszych fachowców. Nie wystarczyło skończyć wyższe studia, trzeba było jeszcze w Monopolu odbyć praktykę. Przejść przez wszystkie szczeble i działy produkcji. Ten staż trwał stosunkowo długo. Jan Korsak zaczynał od asystenta fermentacyjnego na Stacji Doświadczalnej w Piadykach pod Kołomyją. Potem stopniowo awansował. Ale trud mu się opłacał. Przed wojną zarabiał 600 złotych miesięcznie. Majątek. Mógł za to kupić konia z rzędem. I to najwyższej klasy. Takiego, jakiego hodował u siebie hrabia Lanckoroński. U niego właśnie w Jagielnicy pan Jan odbywał praktykę jako student SGGW.

Hrabia Antoni Lanckoroński był ostatnim męskim potomkiem tego słynnego rodu. Jego ojciec, Karol Antoni Lanckoroński, szambelan papieski, członek Izby Panów Parlamentu Austro-

Węgierskiego, zbudował Muzeum Rolnicze w Wiedniu. Zatrudniał w nim ponoć sto dwadzieścia osób. W Jagielnicy w trosce o podniesienie poziomu tamtejszej gospodarki chłopskiej ufundował Średnią Szkołę Rolniczą. Działał w podobnym duchu co Artur Cielecki w Ha-dyńkowcach. Był znanym kolekcjonerem i mecenasem sztuki. Finansował wyprawy naukowe. W swym pałacu w Rozdole zgromadził sto dwadzieścia tysięcy fotografii najcenniejszych dzieł sztuki światowej. To już wiem nie od Jana Kor saka, ale od Romana Aftanazego z jego monumentalnych Dziejów w Rezydencji. Ciekawe, jak przekaz ustny z tym zapisem naukowym wzajemnie się dopełniają, tworząc szerszy obraz.

W ślady ojca poszedł hrabia Antoni Karol Lanckoroński, ostatni właściciel Rozdołu, Komorna i wielkich dóbr na Podolu.

- W Jagielnicy, w której się urodziłem - ciągnął pan Jan - Lanckoroński miał swoje wzorowe gospodarstwo rolno-hodowlane. Do klucza wchodziło dwadzieścia majątków z centralą w Nagórzance. Odznaczały się one najwyższą techniką i kulturą rolną. Promieniowały na okolicę. Tu stosowano na szerszą skalę nawozy sztuczne, używano maszyn i angielskich traktorów fergusonów, zatrudniano najlepszych specjalistów. Jagielnica specjalizowała się w hodowli bydła rasowego. Oddzielne miejsce zajmowała sławna stadnina koni. Sam hrabia, który skończył trzy fakultety: rolny, leśny i prawny w wiedeńskiej Hochbahnschule i w Akademii Rolniczej w Dublinach, brał żywy udział w kierowaniu majątkiem. Znany był z tego, że po swych dobrach zawsze jeździł konno na przełaj: gnał przez pole, gdzie popadło, na skróty. Przez zboże, kartofle, byle szybciej. Nie przejmował się. Często od tej ciągłej jazdy był cały w kurzu. Ale czuwał. Pańskie oko konia tuczy. Z każdym pracownikiem witał się, podając mu rękę z konią. Ludzie starali się i byli w ciągłym pogotowiu, bo nigdy nie wiedzieli, skąd hrabia na tym koniu wyskoczy... Lanckoroński ostro konkurował z Zakładami Tytoniowymi w Jagielnicy.

- W produkcji tytoniu?

- W piłce nożnej - zaśmiał się pan Jan. - Monopol walczył z Lanckoroną, proszę pana. Nakładały się na to różnice ideowe. Monopol należał do „Strzelca”, organizacji z ducha Legionów marszałka Piłsudskiego, Lanckoroną zaś skupiała młodzież narodową „Sokoła” spod znaku Romana Dmowskiego. Poziom był wyrównany, więc walka na boisku zacięta. Dla wzmocnienia swego klubu hrabia Lanckoroński sprowadził świetnego piłkarza z Krakowa - Szafranka, który stał się duszą drużyny i jej trenerem. W Monopolu, w którym aż do wojny grałem, proszę pana, wyróżniał się syn furmana dyrektora, Kazimierz Kubas, który swą karierę futbolową zaczął od podawania piłki na boisko. Oczywiście obydwa kluby nie miały żadnych szans w meczu z KOP-em Czortków, który należał do I Ligi Piłkarskiej. Swą ekstraklasę KOP zawdzięczał poborowi. Najlepszych piłkarzy wcielał do wojska i kierował do swego klubu. Grało tu wielu Ślązaków. Ja należałem z początku do „Sokoła”. Podczas uroczystości nosiłem taki kapelusz z piórem. Kiedy rozpocząłem pracę w Monopolu, zaczepił mnie dyrektor zakładów Feliks Raczyński i spytał, czy to prawda, że jestem w „Sokole”.

- Prawda - odrzekłem.

- Więc jak to będzie?

- Panie dyrektorze T - mówię - do „Sokoła” kazali mi należeć, a w „Strzelcu” bardzo chciałbym być...

- To będzie pan. I zmieni pan kapelusz z piórem na czapkę z orzełkiem - zaśmiał się. Bardzo mu się ta moja odpowiedź spodobała.

To był świetny gość. Po nim przyszedł dyrektor Mackiewicz. Pamiętam, jak się cieszył, idąc na wojnę, i podkpiwał ze mnie. - Ja już zmobilizowany, Jasiu - mówił - mam białą kartkę, a ty ruszysz z pospolitym ruszeniem, ze swoją niebieską... - Bardzo mu tej białej kartki zazdrościłem. Wkrótce zginął w Katyniu. A mnie ta niebieska kartka uratowała. Jako oficer, też bym pewnie tam wylądował...

Jak już wspomniałem na początku książki, moje pierwsze wakacje spędziłem w Kołomyi, ale nic z nich nie pamiętam. Gliniany Hucuł w domu tylko o tym świadczył. Teraz Jan Korsak opowiadał mi o Kołomyi, Zaleszczykach i Dniestrze, w którym podobno się kąpałem. Nie muszę więc sięgać do przedwojennego przewodnika turystycznego. Mam żywy przed sobą.

Okazuje się, że Kołomyja była jednym z nielicznych miast w Polsce o ulicznym oświetleniu gazowym. Wieczorem te gazowe latarnie uroczo mrugały. Jak każdy popularny kurort Kołomyja miała swoje eleganckie restauracje. Najbardziej luksusową z nich była „Oaza” - z odpowiednio wysokimi cenami.

- Będąc w Piadykach na praktyce, proszę pana - ciągnął pan Jan - często jeździłem do Kołomyi. Raz moi nowi koledzy, wiedząc, że znam miasto jak własną kieszeń, mówią:

- Zaprowadź nas, Jasiu, na dobry obiad!

- Dobry obiad czy lokal? - spytałem.

- Obiad oczywiście - odpowiedzieli.

- Okay. W taki razie ja was zaprowadzę do takiego lokalu, w jakim jeszcze nie byliście. I wszystkim wam stawiam! Jesteście moimi gośćmi...

- Fiu, fiu - gwizdnęli. - To z ciebie krezus, Jasiu! Drogo cię ten obiad będzie kosztował, bo nas jest sześcioro z dobrym apetytem.

- Nie szkodzi. Przeżyję - odparłem i pojechaliśmy do Kołomyi.

Przy stacji kolejki wąskotorowej na placu stały budy. Przy nich ławy i stoły pod parasolami. W każdej budzie Hucuł serwował inne danie. Zjeżdżali kolejką z gór i na platformach-lorkach wieźli jedzenie w glinianych garnkach. Potem w tych budach je gotowali. Mieli tam swoje kuchnie gazowe. Wszystko było świeżutkie, pachnące, prosto z gór. Jedni robili zupy, drudzy pierogi z kaszą, trzeci sznyce, kurczaki czy ryby - każdy specjalizował się w innym daniu...

- Na długo przed McDonaldem i Kentucky Fried Chicken Huculi z Kołomyi serwowali już fastfood - wtrąciłem.

- I to jakie! Palce lizać! Koledzy, nie domyślając się, że o ten lokal chodzi, wciąż mnie pytali:
- Gdzie ta twoja restauracja, Jasiu?

- Tu - mówię.

- Tuu?! Przecież tu jest targ...

- Spróbujcie na targu. Ręczę wam, że lepszej kuchni w całej Kołomyi nie znajdziecie!

I spróbowali. Podchodziliśmy kolejno do tych bud, a Huculi nam serwowali. Ja zaraz za to płaciłem. Najedli się potąd! Dawno im tak nie smakowało. Byli zachwyceni. Moja restauracja pod chmurką zrobiła furorę, a cały rachunek wyniósł mnie mniej niż jeden obiad w „Oazie”...

Na próżno szukać tej restauracji w starym przewodniku. O szefach kuchni z wysokiej połoniny zjeżdżających ciuchcią z gór ze swym menu jakoś głucho. Podobnie jest z innymi atrakcjami Kołomyi. Przewodnik po województwie tarnopolskim reklamuje malowniczy spływ po Dniestrze, a o unikalnym widoku między porohami milczy. Co prawda mój ojciec mówił, że to bystry szlak kajakowy, ale nie sądziłem, że aż tak bystry. Tymczasem Jan Korsak upewnił mnie, że rajd na Dniestrze był porywający, zgrany jak w orkiestrze. Wzdłuż rzeki szła granica państwowa. W pewnej chwili, jak na znak startera, wypływały z przeciwległych brzegów łódki, spotykając się na środku rzeki. Następowala błyskawiczna wymiana łodzi i załóg. Straż graniczna dziwnie tej sztafety przemycniczej nie dostrzegała. Odwrócona tyłem musiała być przekupiona.

- Polacy upłynniali wódkę i towar z mego Monopolu - mówił pan Jan - a Rumuni wina i karakułowe skórki z Besarabii. Siwe i czarne. W ich wyprawianiu byli mistrzami. Aby uzyskać tak piękne futro trzeba było najpierw jagnią umiejętnie obandażować. Wtedy pod tym bandażem włos z braku miejsca zaczynał się wici i kręcić. Stawał się lśniący jak ondulowany.

Nigdzie nie natrafiłem na nazwę bogatej osady kolonistów niemieckich pod Kołomyją - Bagnisberg. Dopiero pan Jan mi o niej powiedział:

- Niemcy mieszkali tam od paru pokoleń, mieli nowoczesne, duże gospodarstwa od czterdziestu do stu mórg. Żywny czarnoziem sięgał często do stu dwudziestu centymetrów w głąb gruntu. Zbiory więc mieli świetne. Każdy dom był kryty blachą lub dachówką, a kominy pomalowane na biało...
Dopiero podczas wojny zrozumiałem

dlaczego. Wie pan pan po co?

-Nie.

- To były znaki informacyjne. Po tych kominach piloci Luftwaffe orientowali się, gdzie mieszkają Niemcy. I ich domów nie bombardowali. Piąta kolumna działała u nas perfect.

Po chwili pan Jan wrócił do swego ulubionego tematu: plantacji tytoniu.

- Najcenniejsze są liście środkowe i wierzchołkowe - wyjaśniał. - Bo tytoń, proszę pana, zbiera się od dołu. Od spadków i nadspadków. To piąta, czwarta klasa. A potem im wyżej, tym

lepiej. Pierwsza, druga, a czasem i wyborowa. Wtedy plantator w zestawieniu wykupowym dostawał premię...

- Jak ten skup tytoniu wyglądał? - spytałem.

- Do fabryki w Jagielnicy plantator zajeżdżał ze swoim plonem. Miał go w papuszkach, wiązkach liści powiązanych ze sobą szołomyną, takim łyczkiem z kukurydzy jak sznureczek. Nim wiązało się liście za ogonki tak, że potem w fabryce raz pociągnął - i miał. Te papuszki układało się w beliki, czyli łuszczok. Ten łuszczok ważył już dwadzieścia pięć kilogramów. Teraz ja-jako kierownik uprawy i ekspert szacunkowy - oceniałem ten plon. Miałem przed sobą taryfę wykupową. W mojej księdze widniał numer koncesji każdego plantatora, jego nazwisko i adres oraz ilość zakontraktowanego tytoniu, którą zgłosił. Oceniałem następnie liście i przyznawałem klasę. Klas było pięć plus najlepsza - wyborowa. Przede mną, vis a vis, siedział urzędnik skarbowy, który z kolei w swojej księdze zapisywał wszystkie dane i dokonywał obliczeń. Potem nasze księgi można było porównać i skontrolować. Między nami stał wagowy, który pośrodku ważył towar. Urzędnik pilnował wagi. Potem dwie sor-terki fabryczne i cztery ładowaczki układały te sklasyfikowane beliki w hordy i wiozły do komory fermentacyjnej. W tej komorze mieściło się koło dwustu hord... Plantatorowi zaś tego samego dnia, proszę pana, z kasy fabryki wypłacano pieniądze, żeby nie musiał drugi raz jeździć. Był to więc złoty interes. My, jako pracownicy Monopoli, mieliśmy za zadanie podnosić ogólną kulturę rolno-hodowlaną na Kresach. Utrwalać polskość. Stąd mój częsty kontakt z osadnikami wojskowymi. Koloniści byli świetnymi gospodarzami. Państwo stworzyło im warunki, dało długotrwałe kredyty w Banku Rolnym, wyższe ceny skupu niż innym - i oni to wykorzystali. Na Zarembie taki Studziński, Bułaś czy Hajwas to byli już farmerzy w stylu zachodnim. Jak tu, w Kanadzie. Przyjemnie było do ich gospodarstwa wejść. Mieli konie rasowe ze stadniny Lanc-korońskiego. Często jeździłem do kolonistów z Czarnołożów, Czabarówki, na Majdan. To też była polska wioska. Ale generalnie od polityki stroniłem. Wszyscy wiedzieli, że mnie tytoń interesuje, nie poglądy czy narodowość. Wielu Ukraińcom pomagałem. Dostawali ode mnie premie, kredyty, mogli rozwijać plantacje. W Monopolu więc praca była dobra, proszę pana, ale pokusy miałem. Mój wuj, legionista, był szefem wywiadu KOP-u w Czortkowie. Często u niego bywałem w biurze przy ulicy Generała Dreszera. Wuj wysyłał ludzi za Zbrucz. Kierował siatką szpiegowską w Sowietach. Mnie zaproponował tę pracę: świetna pensja, szybki awans. Ale wujenka zaprotestowała:

- Co go wysyłasz?! Chcesz, żeby zginął jak ten biedny chłopiec, co go Sowietci zaraz na granicy zastrzelili?! -1 wuj już nigdy mnie nie namawiał.

Ale mój następca w Monopolu, Michał Dżam, z Tatarów krymskich, współdziałał z naszą „Dwójką”. Pomógł im wykryć jacejkę komunistyczną. Wiedział, kiedy mają zebranie, dał znać policji i wszystkich zgarnęli. Na procesie w Czortkowie dostali wysokie wyroki. Nasza „Dwójka” szukała ludzi obytych w terenie, a my znaliśmy każdy dom. Nasz wywiad na Kresach musiał walczyć na dwa fronty. Z komunistami, sowieckimi agentami, których Moskwa nam wciąż nasyłała, i nacjonalistami ukraińskimi, bardzo tu silnymi. To była ich baza. Galicja...

Michał Dżam, starszy już gość, był bardzo równy. Lubiliśmy się z nim. Gdy weszli Sowietci, zaraz zaczęli go szukać. Wezwano mnie do NKWD w Czortkowie na Dreszera i czekista spytał:

- Wy w Monopolie znali Dżama. Rabotali s nim...

- Rabotał - mówię.

- Takgdie on? On nam nužen...

-Dżama tu niet - rzekłem z miejsca. Wiedziałem już, po co on im „nužen”...

- Kak niet?! - obruszył się. - On dołžen byt’!

- Dżama tu niet, towariszcz - powtórzyłem - bo on umierł. - Kakumierł?!

- Nu, umierł - tłumaczę mu. - Gruby, chorował na serce. Nagle zasłabł i nim go dowieźli do szpitala, umarł...

- A ja jaj - zmartwił się szczerze.

Jakoś przekonałem go i Dżama przestali szukać. Gdy weszli Niemcy i Dżam zjawił się ponownie w Monopolu, powiedziałem mu:

- Słuchaj, Michał, ja ciebie uśmierciłem w NKWD. Zeznałem, żeś ty umarł na serce...

- Naprawdę?! - tak się ucieszył, że nie ma pan pojęcia. - Dziękuję ci, Jasiu - powtarzał. - Uratowałeś mi życie...

Dalej pracowaliśmy w Monopolu. Bo w przeciwieństwie do Rosjan Niemcy fachowców z fabryki nie zwalniali. Wyznaczyli nam tylko swego komisarza. Dlatego mieli przedni tytoń, nie siano do skrętów jak sowieciarze...

- Ta pewnie! Monopol to u nas kwitł - przyznała Olga Wawrów. - Z plantacji tytoniu my z Wiekiem świetnie żyli. Planowali nowy dom stawiać. Już zwieźli na podwórko materiał. Cegłę, blachę. Gdyby nie wojna, to my by mieli dziś fajny nowy dom...

- Kto by nie miał? - westchnął pan Jan. - Mój teść, proszę państwa, pracował wiele lat na kolei w Niagara Fali po amerykańskiej stronie. I w 1930 roku kupił od hrabiego Lanckorońskiego w Jagielnicy sześćdziesiąt mórg ziemi w jednym kawałku. Tę ziemię po naszym ślubie zapisał mojej żonie. Ja za pensję w Monopolu dokupiłem jeszcze kawałek i planowałem założyć nowoczesną farmę rolnohodowlaną...

- Z plantacją tytoniu, oczywiście...

- Sure. Bez tego by się nie obeszło. I co? Można sobie tylko powspominać. I powzdychać. Nic nie zostało z tej z Arkadii. Wszystko rozwiało się jak dymek z papierosa, proszę państwa...

-I żeby to przynajmniej z naszego eksportowego z Winników pod Lwowem, panie Janie... Ze złotym munsztukiem... A to z dymem zwykłego machorkowego „kapciucha”, skręta z sowieckiej „Prawdy” poszło. I rozwiało się - dmuchnąłem teatralnie w obrus, by tą tytoniową metaforą

zamknąć to monopolowe opowiadanie.

TAM GDZIE ŻÓŁWIE ŚPIEWAJĄ

Na razie ów nagły skręt historii w gazetowym skręcie wydawał się odległy. Nic nie wróżyło przyjścia nowego monopolu z prawdziwym dymem pożarów. I innego świata. Co nie znaczy, że nie było złowróźbnych znaków na niebie. Błyskawice niepokojów wciąż przecinały niebo przedwojennej Arkadii Olgi Wawrów i Jana Korsaka.

Inny świat zza Zbrucza też dawał o sobie znać. Co prawda nie tak silnie jak gdzie indziej na Kresach.

Henryk Józewski wspomina, że na Polesiu działał trzystusobowy oddział partyzancki Piwnia. Ten sowiecki desant zaszyty w niedostępnych bagnach i moczarach był niezwykle trudny do zwalczenia. Rzucono przeciw niemu duże jednostki KOP-u. Pułk żołnierzy wspierała miejscowa policja i samoloty. Te samoloty zrobiły fatalne wrażenie. Ludzie myśleli, że to wojna. Wybuchła panika. Józewski przekonał ministra spraw wewnętrznych Pierackiego, że frontalny atak wojska, lansowany przez wojewodę poleskiego Kostka-Biernackiego, nie ma sensu. W otwartej wojnie żołnierze z Piwniem nie wygrają. Podjął się jego, ujęcia. Był starym konspiratorem i myśliwym, doskonale znał teren. Traktując Piwnia jak głuszca, metodą podchodów i zasiadki, sobie tylko znanymi drogami i sposobami wytropił go i zlikwidował.

Po wojnie sam tropiony przez NKWD i UB samotnie prowadził działalność polityczną i publicystyczną. Złapany w 1953 roku, osadzony został w więzieniu na Mokotowie i skazany na karę śmierci, zamienioną potem na dożywocie. Śmierć Stalina go uratowała.

W swej oskarżycielskiej mowie prokurator za największą zbrodnię Józewskiego wobec PRL-u uznał właśnie likwidację komunistycznego oddziału Piwnia. Na długo przed wojną wszystko było w Moskwie ukartowane i z góry zaplanowane...

Mimo kordonu sanitarnego odcinającego ZSRR od reszty świata w Hadyńkowcach wiedziano, co dzieje się za Zbruczem.

Na wiosnę 1933 roku metropolita Andrej Szeptycki, głowa Kościoła greckokatolickiego w Polsce, zorganizował wielką manifestację religijną pod hasłem „Ukraińska młodzież Chrystusowi”. Na wzgórzu przed katedrą Świętego Jura we Lwowie zgromadziły się tłumy. Władyka Świętojurski nawoływał młodzież ukraińską do życia w duchu chrześcijańskim, rozwijania własnej kultury i języka, unikania gwałtów.

Szeptycki sympatyzował z Ukraińską Narodowo-Demokratyczną Organizacją (UNDO), mającą swoją legalną reprezentację w Sejmie. Choć gorąco pragnął niepodległego państwa ukraińskiego i sam walczył o nie na arenie międzynarodowej, przez blisko trzy lata objeżdżając w tym celu Europę, Amerykę i Kanadę, po decyzji ambasadorów przyznającej ostatecznie w 1923 roku Galicję Wschodnią Polsce podpisał deklarację lojalności u prezydenta Wojciechowskiego i odtąd stał na gruncie praw obowiązujących w II Rzeczypospolitej.

Był często w otwartej opozycji zarówno wobec terrorystycznych aktów OUN, jak i odwetowych akcji rządu. Nie godził się na zamykanie cerkwi prawosławnych i przejmowanie ich

przez Kościół greckokatolicki. Swą misję latynizacji Kościoła na Wschodzie i doprowadzenia go znów do Rzymu pojmował pokojowo. Dążył do tego powoli i uparcie. Z tej racji stale pamiętał o swych wiernych odciętych od Kościoła granicą ruską, znajdujących się w tragicznej sytuacji pod rządami bolszewików.

To on właśnie na jesieni 1933 roku zaprotestował przeciw planowemu głodowi na Ukrainie, dziś określanemu jako ludobójstwo. Pisała o tym szeroko przedwojenna prasa polska i ukraińska. Wiedzano o tym w Hadyńkowcach Olgi Wawrów - zarówno w ukraińskiej „Proswicie”, jak i Polskiej Czytelni Kółka Rolniczego. Tylko zachodni świat odkrył to ze zdumieniem pół wieku później. To jest też jedno z większych kuriozów naszych czasów. Przyczyny tej uporczywej głuchoty (w sprawach Holocaustu również) czekają wciąż na swego badacza.

W PRL-u wiele pisało się o dyktatorskich rządach Sanacji, krzywdach społecznych, walce Piłsudskiego z Sejmem, procesie brzeskim, Berezie Kartuskiej. Potępiano pacyfikacje wsi i gwałcenie praw mniejszości narodowych. Mało natomiast wie się o tym, że nie tylko po wojnie można było tę sanacyjną Polskę piętnować. Przed wojną też. I to właśnie te gnębione mniejszości narodowe mogły to robić. Delegacja posłów ukraińskich UNDO protestowała przeciw pacyfikacjom wsi nie tylko w Sejmie na ulicy Wiejskiej w Warszawie, ale również na arenie międzynarodowej w Lidze Narodów w Genewie. Ich protest został przyjęty i rząd polski oficjalnie został potępiony za łamanie praw obywatelskich.

Co dziwniejsze, to jawnie antypaństwowe wystąpienie posłów UNDO spotkało się z mniejszym atakiem polskich kół rządowych niż ukraińskiego podziemia. Przywódcy skrajnie nacjonalistycznej OUN oskarżali posłów UNDO o zdradę, narodową i kolaborację. To samo spotkało metropolitę Szeptyckie-go, który tej legalnej akcji patronował. Nacjonałiści negowali całkowicie istnienie państwa polskiego na tych terenach. Uważali je za okupanta. Tylko walkę zbrojną o „samostijną Ukrainę” uznawali. Kto układał się z polską władzą i próbował z nią paktować, ten był kolaborantem zasługującym na kulę i likwidację. Henryk Józewski ma po stokroć rację, pisząc, że restrykcyjna polityka lokalnej administracji wzmagala tylko antypolskie nastroje.

Kiedy latem 1928 roku Józewski, szef gabinetu Prezesa Rady Ministrów, został wojewodą wołyńskim, jego koledzy uznali to za degradację. Jak sam obrazowo to ujął - było to jedno z szesnastu województw, w którym żółwie śpiewają, a diabeł mówi dobranoc. „Dominującą grupą ludności byli na Wołyniu ukraińscy chłopci. Polacy stanowili 15 procent województwa. Żydzi zamieszkiwali miasta i miasteczka. Było trochę Rosjan. Wreszcie koloniści - Czesi i Niemcy. Wołyńska wieś w ogromnej większości była wsią moich lat dziecińczych, z którą było mi dobrze, a jej było dobrze ze mną. Rozmawiałem z nią często po ukraińsku, co w pewnych »bogoojczyźnianych« i »państwo-wotwórczych« kołach polskich wywoływało zastrzeżenia a nawet oburzenie” - pisze w swoim pamiętniku Instynkt podziemia.

Znajomości języka ukraińskiego i miejscowych stosunków zawdzięczał Józewski swe sukcesy jako wojewoda, podobnie jak Jan Korsak w Monopolu Tytoniowym, czy na najniższym, lokalnym szczeblu Wincenty Wawrów w polskim sklepie „Kółka Rolniczego” w Hadyńkowcach. Mimo że we wsi panowało hasło „Swój do swego”, potrafił przełamać je i przyjazną atmosferą przyciągnąć do siebie Ukraińców.

Józewski pisze też, że: „Współżycie polsko-ukraińskie ma swoje wiekowe tradycje, wrosło w obyczajowość, przybrało swoistą postać. Kto tego nie dostrzega, ten nie jest i nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, co dzieje się między Ukrainą a Polską. Niewiedza ta prowadzi do nieporozumień, zadrażnień, poczucia obcości i wrogości, zwłaszcza wtedy, gdy na scenie pojawia się polski wojujący nacjonalizm-jakże często identyfikowany z »miłością ojczyzny«, z »prawdziwym patriotyzmem«. Człowiek występujący z tymi hasłami gotów jest oddać za Polskę życie. Nie zdaje sobie sprawy, że oddanie za Polskę życia w takich właśnie warunkach jest targnięciem się na życie Polski. Ileż razy widziałem »działanie« tego rodzaju »Polaka-patrioty«. Tam gdzie Polak się taki zjawia, tam »trawa nie porasta« - pali się płomień wzajemnych, polsko-ukraińskich, antagonizmów”.

Mocne to słowa człowieka, którego o brak patriotyzmu trudno posądzić. Mocne i mądre.

Józewski wyraźnie odróżnia Wołyń od sąsiadującej z nim Galicji. Tędy szła granica między zaborami. W liberalnej monarchii Franciszka Józefa kształtowały się te dwa wojujące ze sobą nacjonalizmy - polski i ukraiński. Podsypane umiejętnie przez Austriaków dla równowagi sił. Tej swobody w zaborze rosyjskim nie było. Tu diabeł naprawdę mówił dobranoc, a wśród ludu panowała straszliwa ciemnota. Galicyjscy nacjonaści, podobnie jak sowieccy komuniści, postanowili lud ten oświecić. Przenieśli tam swoje legalne stowarzyszenia i tajne organizacje. Zarówno OUN, jak i KPZU uznały Wołyń za swój poligon doświadczalny.

„Ukraińscy terroryści galicyjscy - pisze Józewski - znaczyli swą drogę zabójstwami polskich dygnitarzy: Hołówki, Pierackiego. Ich działalność była kierowana i bardzo wydajnie wspomagana przez Niemcy. Z niemiejszą zajadłością sekundowały im Czechy. Prokuraturę wołyńską i władze bezpieczeństwa absorbowała bez przerwy walka z bolszewicką dywersją w postaci Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Wołyń był znany z olbrzymich procesów komunistycznych. Mnie to »urzędowanie z komuną«, konieczne i nieuniknione, specjalnie nie interesowało. Zostawiłem to bezpieczeństwu i policji, no i prokuraturze. Ograniczyłem się do przyjmowania sprawozdań. Mieliśmy także na Wołyniu do czynienia z bolszewicką dywersją zbrojną...” I tu następuje opis wspomnianego epizodu z Piwniem, w którym Józewski nie ograniczył się do sprawozdania, ale wziął czynny udział...

Zjawisko ekspansji na Wołyń z pogranicznej Galicji czy ZSRR, zarówno nacjonalistów, jak i internacjonalistów, które Józewski już jako wojewoda przed wojną zauważył, w czasie wojny przybrało tragiczny rozmiar. O tym eksporcie faszyzmu i komunizmu w te ciche i zacofane strony pisze dziś wielu historyków.

Nie świadczy to najlepiej o naturze ludzkiej. Lubimy w starym, „zmurszałym” państwie tworzyć nowy, surowy, rewolucyjny ład. Ojczulek Knut i Ma-tuszka Nahajka nie byli gościnni dla wielkich ideologów naszego wieku. Przygarniały ich, tak bardzo pogardzane przez nich, stare demokracje. Lenin obmyślał swój program nad jeziorem Bodeńskim w łagodnej Szwajcarii, Hitler w Wiedniu i republice weimarskiej, Bandera w przedwojennym Lwowie, Cho-mejni na emigracji w Paryżu...

Tam gdzie żółwie śpiewają i Polesia czar, ludzie wsłuchują się bardziej w głos natury niż partii. Mniej ich obchodzi samostijna Ukraina czy walka klas. Nie myślą, kim są. Są tutejsi. Cisi i ciemni. Dopiero musi przyjść zwiastun nowego - jakiś Piwień czy Stećko - żeby ich oświecić.

Wskazać, gdzie mają iść. Wtedy ruszają siekiery i studnie napęlniają się krwią. Granice biegną już nie środkiem rzeki, ale domu. I całkiem się zacierają. Nie wiadomo już, kogo więcej się bać. Obcego czy brata. Każdy bowiem może zabić.

POZUJĄC DO FOTOGRAFII

Zjeżdżamy z Websterem z naszego dwudziestego pierwszego piętra „Charles Bay Towers” na rutynowy spacer. Posikanki, jak mawiał mój ojciec, wyprowadzając swąjanniczkę Puńcię.

Jest sobota. Jak zwykle w tym dniu na Saint Mary Street stoją wytworne, długie limuzyny, które przywożą młode pary do ślubu. Teraz też są. Mijam długiego lincolna i bmw ze sztucznymi białymi wiankami na kufrze i napisem: -”Just married”. Na froncie wozu, nad maską dwie taśmy wstążek zwieńczone podobnym wiankiem.

Na schodach Yictoria College te młode pary tradycyjnie się fotografują. Panny młode w białych długich sukniach, z powłóczystym welonem, panowie młodzi w czarnych smokingach ze śnieżnymi torsami. Świadkowie i drużki różnie. Dziś są w jagodowych kostiumach. W tutejszej kaplicy na ślubnym kobiercu stają różne pary. Czarne i żółte, białe i brązowe...

Właśnie w tej kaplicy Yictoria College Chapel brał ślub przyjaciel mojej żony Wandzi z laboratorium Mont Sinai Hospital - Mikę (Majk) Bohdan Horak. Majk jest Ukraińcem urodzonym w Kanadzie, dumnym ze swego narodowego dziedzictwa, co podkreślił już w zaproszeniu dwoma słowami podziękowania: Thankyou i Diakujemy.

Rodzina jego narzeczonej Lyn Stansz przybyła do Kanady z Cejlonu i składa się w większości z tamtejszych Hindusów. Obydwoje państwo młodzi uzyskali doktoraty u szefa Wandzi, profesora Johna Roderera (który na tym ślubie był świadkiem), z tym, że Lyn po doktoracie poszła jeszcze na medycynę do Hamiltonu i teraz jest lekarką rodzinną - family doctor...

Ślub odbył się w obrządku protestanckim, choć Majk jest grekokatolikiem i co niedziela chodzi przykładowie z rodziną do cerkwi na Bathurst Street. Trzeba było jednak kompromisu. Tak więc w protestanckiej ceremonii znalazły się silne akcenty ukraińskie. Trzy dziewczęta w ludowych wyszywanych „sorocz-kach”, jakie nosiło się w Hadyńkowcach, z bandurami u stóp, odśpiewały „Ojczyzna nasz” w staro-cerkiewno-słowiańskim, a potem parę ukraińskich dumek, z których jedną znałem z lwowskiego folkloru. Zrobiło mi się cieplej na duszy. Powiało Podolem i tym, o czym piszę... Syn Johna Roderera Nathan - który przed dwunastu laty nauczył moją Marysię pierwszego angielskiego słowa: worm, bo jako trzylatek posjonował się wygrzebywaniem robaków spod cegieł (w końcu syn biologa), a ona odwdzięczyła mu się polskim „chomikiem”, bo razem się nim bawili i Nathan wołał na niego: Chemik! Chemik! - teraz w granatowym garniturze grał na skrzypcach „Ave Maria”...

Wesele wyprawiono w restauracji „Faculty Club University of Toronto”. Mistrzem ceremonii był wuj Lyn, znany lekarz neurolog, który po swej dowcipnej oracji wzywał kolejnych krewnych i gości do wygłoszenia spiczu na cześć państwa młodych. W hinduskiej rodzinie Lyn odbijała nordycką urodą jasnoblond bratowa Ruth, Niemka z pochodzenia, która też zabrała głos. Ten ślub był dla mnie triumfem miłości i tolerancji nad różnicami rasowo-religijnymi. Nie zawsze trzeba brać za karabin i siekiere, by wykazać wyższość swej nacji i religii. Można i tak. Po kanadyjsku. Tu jest to rzecz normalna... Czy aby jednak na pewno? Gwoli prawdy muszę zdradzić, że o ile ze strony panny młodej stawiała się cała rodzina, zjeżdżając na ten ślub z Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych, o tyle z najbliższych Majka (prócz przyjaciół, których ma wielu) przyszły tylko

ciotka i kuzynka. Matka, jego brat i siostra na ślub nie przyszli. Liczni krewni w Toronto za ich przykładem też. Tylko ta ciotka z córką wyłamały się z rodzinnego bojkotu. Mediacje i prośby Johna Roderera nie zdały się na nic. Matka Majka zacięła się i żadne argumenty do niej nie trafiły. Rokowania spełzły na niczym... Majk zniósł ten cios z godnością. W swej weselnej oracji publicznie podziękował rodzicom (ojciec już umarł) za ich miłość i troskę, bez których nie zdobyłby wyższego wykształcenia i nie byłby w Kanadzie tym, kim jest.

Sprzeciw matki, z którą był uczuciowo silnie związany, nie ułatwił mu tej decyzji o ślubie. Musiał ją jednak podjąć. I w liberalnej Kanadzie dopadła go ta dramatyczna konieczność wyboru: postawienia wszystkiego na jedną kartę. Wybrał Lyn. Mam nadzieję, że w przyszłości zwycięży i matka z rodziną w końcu ustąpią i zaakceptują to małżeństwo. Życzę mu tego z całego serca...

W Queens Parku, stałym miejscu moich spacerów, natknęliśmy się z Webs-terem na niecodzienny widok. Pod obeliskiem z pierwszej i drugiej wojny światowej, w których walczyli Kanadyjczycy, stał dziadek weteran w ciemnogramatowym, galowym mundurze. Na głowie miał wojskowy pierożek w szkocką kratę, na piersi zaś tyle medali, co marszałek Rokossowski. Stał wypięty na warcie i salutował pod nazwami bitew wyrytymi na obelisku: SICIL-LY, ORTONA, LIRIYALLEY, HITLER LINE, pozując do fotografii małemu Chińczykowi. Widać, jako uczestnik tych walk, chciał się uwiecznić przed swym odejściem z tego świata...

Widok był trochę jak z filmów Felliniego. Wskazywał na okrucieństwo czasu, który z biegiem lat z walecznego żołnierza czyni pajaca. Wyobcowanego cudaka. Tylko on jeszcze pamięta i słyszy huk dział - reszta świata spaceruje sobie bez troski po parku, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

-Brown nose, brown nosel - znajoma Niemka Sofija swoim twardym akcentem przywoływała czarną wiewiórkę z brązowym nosem. Już ją oswoiła. Stale dokarmia ptaki i wiewiórki ziarnem i chlebem. W tej zbożnej akcji piekarnia „Ontario Bread Company” ma swój skromny udział. To ja Sofiji daję chleb. Dzięki hojności braci Wawrowych mogę być łaskawcą i dzielić się nim z bliźnimi. Nawet parkingowy Hindus na ten chleb się załapał. Chwali go sobie wielce. Wciąż powtarza:

- Polish bread is very good! My wife - podkreśla zawsze - likes very much „babka” and „slasky”...

Nasza „babka” i „śląski” na naturalnym zakwasie zrobiły tu więc karierę. Przykład na to, że warto trzymać się własnych korzeni, a świat to czasem doceni...

Widok tego dziadka pod obeliskiem mnie nieco speszył. Pomyślałem sobie, czyja aby siedząc po uszy w Hadyńkowcach i odtwarzając drobiazgowo przedwojenny ślub Olgi Wawrów*, który ma się tak do tych/utf married, jak chłopski półkoszek do cadillaca, nie jestem takim dziadkiem na warcie? Przejętym własną dziejową misją, podczas gdy reszta ludzi spokojnie spaceruje sobie po parku i karmi wiewiórki...

Pod Parlamentem Ontaryjskim znów ujrzałem dwie ślubne limuzyny, a przy nich kierowców ubranych w siwe szynele, w butach z cholewami i okrągłych maciejówkach na głowie. - Ci

przynajmniej tak nie odbiegli od naszej dawnej służby dworskiej - pocieszyłem się. - U hrabiego Cieleckiego podobni byli...

Nagle z pobliskiej alejki doszły mnie polskie słowa:

- Ci żołnierze z „armii błękiej” Hallera byli wtedy pod Lwowem. W przeciwieństwie do krasnoarmiejców Budionnego w pikielhaubach i papachach mieli płaskie, francuskie hełmy, owijacze na nogach i sznurowane buty z juchtu...

Obejrzałem się. To Henryk Dasko-Daszkiewicz, biznesmen, krytyk i tłumacz szedł z jakimś kolegą i żywo dyskutował. Za nim grzecznie sunęło dwóch jego synków, o których on na tym spacerze całkiem zapomniał, pochłonięty bez reszty halleryczakami i butami z juchtu...

No, proszę! Nie jest tak źle - pomyślałem. - Nie ja jeden trwam w tym szaleństwie. Nie ma co się poddawać. Trzeba dalej przesłuchiwać świadków. Zał Opisałem go w Nawiało nam burzę, nim nie odejdą na wieczną wartę... Bo jak zostanie sam obelisk i suche napisy, to będzie jeszcze gorzej.

I wróciłem z Websterem do Hadyńkowiec.

Teraz dumam nad topograficzną mapą^ternopolskiej oblasti za sowieckich czasów, gdy Hadyńkowce przemianowano na pewien czas na Komsomolskoje. Wertuję notatki z rozmów z moimi świadkami i widzę, że przygnietli mnie kupą szczegółów. Wygrzebuję się z nich jak spod sterty zboża w majątkach hrabiego Lanckorońskiego, której rozmiary tak ściśle określił Jan Korsak: - Długość dwanaście metrów, szerokość sześć, wysokość cztery. Ułożona na półmetrowym podeniu, czyli ściółce... Zbudowanie takiej sterty wymagało murarskiej sztuki. Snopy dowoziło się w sześć par koni, a tą zbożową piramidę wznosili sternicy, rogowi i ścianowi. Każdy z nich odpowiadał za inną część sterty. Stertnik zarabiał dwa złote na dzień, rogowy o czterdzieści groszy więcej. Wiadomo. Praca na rogu cięższa. A ja sam muszę być sternikiem, ścianowym i rogowym i zbierać skrzętnie te ziarenka.

Prawie wszystko w tych stronach miało swoją, tutejszą, lokalną nazwę. Choćby drogi. Jednokierunkowa to sogłówka, polna - wygon, a ta największa, prowadząca w szeroki świat do Kopyczyniec czy Czortkowa - murowanka. Oczywiście mógłbym te drobiażdżki pominąć, ale bez nich obraz wsi byłby suchy, pozbawiony świeżego źródła, które zresztą miało w Hadyńkowcach też swoją lokalną nazwę. Mówiło się: - Idziemy do filmowej kernicji...

I mam uroki Galicji. Zachciało mi się prawdy szczegółu... Ze sterty informacji wyławiam wzmiankę, że wuj Jana Korsaka, szef wywiadu wschodniego w Czortkowie, w 1939 roku zdążył wykryć i aresztować dwudziestu ośmiu komunistów. To uprzytomniło mi, że należy się skupić na tych postaciach, które po nagłym przekroczeniu przez Sowiety granicy na Zbruczu odegrają za chwilę nową, przez nikogo nieprzewidzianą rolę.

Dobrze byłoby też zdążyć pogadać z ostatnimi świadkami. Zanim nie pozostaną po nich suche napisy. I to nekrologów, niestety.

ULOTKA Z „KUKURUDZIANNIKA”

Do wejścia Moskali był u nas spokój - wspomina Olga Wawrów. Tylko na drogach pojawiło się pełno uciekinierów, którzy pieszo i wozami ciągnęli naszą murowanką na Czortków ku granicy rumuńskiej. Dużo tam było wojskowych i cywilów. O wejściu Sowietów nikt u nas nie myślał, chociaż w połowie września przyszedł do mego tata Martyna poseł Furmaniuk i radził, by w razie gdyby Ruscy przyszli, mój tato, jako stary wojak od Petlury, uciekał. Ale mój tato nie chciał.

Ludzie w Hadyńkowicach jak dawniej młócili zboże w swoich stodołach. Mąż pani Olgi, Wieko Wawrów, był w polu, gdy nadleciał samolot. W strachu przed bombą schował się pod wóz. Zamiast bomb z tego „kukurudziannika” - jak mówi pani Olga - posypały się ulotki. Wieko jedną z nich podniósł i przyniósł do domu. Wcześniej zawiadowca stacji w Hadyńkowcach usłyszał w swym kryształkowym radiu odezwę prezydenta Mościckiego i przekazał wiadomość o napaści Sowietów na Polskę mieszkającemu przy stacji Martynowi Wynnyczenie.

- My od mego tata dowiedzieli się, że Ruscy przeszli granicę - wspomina pani Olga.

Treść tej ulotki znalazłem w książce Jerzego Juliana Szewczyńskiego Afasze Kopyczyńce. On też podał tekst orędzia do Narodu Ignacego Mościckiego wygłoszonego przez radio tuż przed opuszczeniem przez nasz rząd terytorium Polski. Sam autor książki, wówczas siedemnastoletni gimnazjalista, zgłosił się na ochotnika do drużyny OPL i na stanowiskach rkmów bronił Kopyczyńskich koszar. To on właśnie z budki strażniczej na dachu dostrzegł przez lornetkę eskadrę dornierów - z tymi polskimi znakami na ogonie - które lotem koszącym przeleciały nad miastem. Nie padł wtedy rozkaz „ognia” i może dlatego, jak twierdzi, bombardowce, nie zauważając koszar, zrzuciły bomby na budkę dróżnika pod Chorostkowem, a nie na miasto.

Prezydent Mościcki zaś w tym orędziu do Narodu, które złapał naczelnik stacji w Hadyńkowcach, mówił wtedy tak:

„Obywatele!

Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zмага się z przemocą wroga, od pierwszego dnia wojny, aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi całości bez mała niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wschodni najechał nasze ziemie, gwałcąc obowiązujące umowy i odwieczne zasady moralności. Stanęliśmy tedy nie po raz pierwszy w naszych dziejach w obliczu nawałnicy, zalewającej nasz kraj z zachodu i wschodu.

Polska, sprzymierzona z Anglią i Francją, walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu, o dobro przeciwko panowaniu zła w świecie. Z walki tej, wierzę w to niezłomnie, wyjść musi i wyjdzie zwycięsko.

Obywatele, z przejściowego potopu uchronić musimy uosobienie Rzeczypospolitej i źródło konstytucyjnej władzy. Dlatego, choć z ciężkim sercem, postanowiłem przenieść siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnym organów Państwa na terytorium jednego z naszych sojuszników. Stamtąd, w warunkach zapewniających im pełną suwerenność, stać oni będą na straży interesów Rzeczypospolitej i nadal prowadzić wojnę wraz z naszymi sprzymierzeńcami.

Obywatele, wiem, że mimo najcięższych przejść zachowacie, tak jak dotychczas, hart ducha, godność i dumę, którymi zasłużyliście sobie na podziw świata. Na każdego z was spada dzisiaj obowiązek czuwania nad honorem naszego Narodu w najcięższych warunkach.

Opatrzność wymierzy nam sprawiedliwość.

Prezydent RP. Ignacy Mościcki. Kossów. 17 września 1939 roku”.

Tego dnia o godzinie drugiej trzydzieści w nocy wojska sowieckie przekroczyły polską granicę na Zbruczu. Dla naszych żołnierzy cel tego marszu był niejasny. Nie wiedzieli, czy to sojusznik idzie na pomoc, czy wróg wbija nam nóż w plecy. Większość załóg stawiała jednak zaciekle opór.

Ten moment tak wspomina świadek wydarzeń Tomasz Podedworny z książki Szewczyńskiego:

„Mieszkałem w Olchowczyku około dwustu metrów od granicy, to jest Zbrucza, i byłem świadkiem przekroczenia przez bolszewików granicy. Dowódcą naszej strażnicy był plutonowy Giemski. Po zdobyciu strażnicy żołnierze zostali wzięci do niewoli, lecz nie wszyscy. Część przebrała się u ludzi i w ten sposób uniknęła niewoli. Dowódca tej strażnicy nie chciał w bród przejść przez rzekę, więc podano mu konia, którego Rosjanin prowadził za uzdę, i tak poszedł do niewoli. Rodzina jego została zesłana na Sybir. Podczas transportu dwóch jego synów zmarzło. Po pewnym czasie plutonowy Giemski powrócił z niewoli i zamieszkał przez jakiś czas w Kopyczyńcach. Dalszy jego los jest nieznan.

W Husiatynie sytuacja przedstawiała się inaczej. Tu toczyły się boje. Dowódcą obrony był kapitan, którego nazwiska nie pamiętam. W czasie tych walk bohaterskiego czynu dokonał sierżant Kolęda. Podczołgał się on pod bramę koszar, w której stał czołg sowiecki ostrzeliwujący obrońców. Zapalił go i na skutek wybuchu zginęło wielu czerwonoarmistów. Dalszy los sierżanta nie jest mi znany.

W obronie granicy w Husiatynie, oprócz żołnierzy KOP-u, udział brali strzelcy i studenci, między innymi dwaj bracia Recho wieżo wie. Jeden z nich po wojnie był rektorem KUL-u. Żaden z obrońców koszar nie dostał się do niewoli, bowiem budynki połączone były różnymi lochami, którymi się też wydostali. Miejscowi obrońcy po przebraniu się w cywilne stroje przedostali się różnymi drogami do Rumunii...”

Jerzy Szewczyński zaś tego dnia obudzony został o trzeciej rano okrzykiem starszego sierżanta Zająca:

- Bolszewicy przekroczyli granicę, alarm bojowy!

Oddział jego składał się z żołnierzy miejscowego batalionu KOP-u i ochotników. Dowódcą był kapitan Wąsik. Bronili pozycji w lesie za targowiskiem i cmentarzem wzdłuż murowanki czortkowskiej.

„W pierwszym momencie - pisze Szewczyński - zobaczyliśmy polski ciężarowy samochód

jadący z kierunku Czortkowa, który zatrzymał się pomiędzy mauzoleum Baworowskich i zabudowaniami gospodarczymi. Okazało się, że bolszewicy zmusili Stanisława Nowakowskiego (komendanta straży pożarnej) do prowadzenia samochodu, na który załadowali karabin maszynowy. Po pewnym czasie zaczęło się ostrzeliwanie naszych stanowisk przez karabiny maszynowe, czołgi i samoloty. Był to chrzest bojowy. Mając na wyposażeniu cztery do pięciu ręcznych karabinów maszynowych i jeden ciężki, dowódca nakazał marsz lasami na Czortków. Tam oddziały połączyły się i przedzierały w kierunku granicy rumuńskiej...”

Szewczyński skończył swoją kampanię 21 września 1939 roku, wracając w przebraniu do domu. Rodzice nie rozpoznali go w tym stroju i zapytali po ukraińsku:

- Do koho wy?

- Ja do mamy i taty - odparł.

Dopiero wtedy z płaczem odkryli w tym łachmaniarzu swego ukochanego syna, którego uznali za zabitego lub wziętego do niewoli.

Do Kopyczyniec, odległych od granicy o dwadzieścia cztery kilometry, Sowieci wkroczyli około dziesiątej. Czołgi udekorowane były polskim flagami i hasłami o radzieckiej pomocy w walce z hitlerowskim wrogiem. Rozrzucano te same ulotki, z których jedną, z kukuruźnika, podniósł na polu Wieko Wawrów i przyniósł do domu. Treść tej ulotki brzmi następująco:

„Żołnierze!

W ciągu ostatnich dni armia polska została ostatecznie rozgromiona. Żołnierze miast: Tarnopol, Galicz, Równo, Dubno w ilości przeszło 60 000 osób dobrowolnie przeszli na naszą stronę.

Żołnierze!

Co pozostało wam? Dlaczego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których posłaliście z propozycją poddania się. Nie wierzcie swym oficerom. Oficerowie i generałowie są waszymi wrogami, chcą oni waszej śmierci.

Żołnierze!

Bijcie oficerów i generałów. Nie podporządkowujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie ich z waszej ziemi. Przechodźcie śmiało do nas, do waszych braci, do Armii Czerwonej. Tu znajdziecie uwagę i troskliwość.

Pamiętajcie, że tylko Armia Czerwona wyzwoli naród polski z nieszczęsnej wojny i uzyskacie możliwość rozpocząć pokojowe życie.

Wierzcie nam! Armia Czerwona Związku Radzieckiego - to wasz jedyny przyjaciel.

Dowódca Frontu Ukraińskiego S. Timoszenko”.

Był to ten sam Siemion Timoszenko, dowódca 6 Dywizji Armii Konnej, późniejszy marszałek; który w 1920 roku wraz z towarzyszami: Stalinem, Woroszyłowem i Budionnym z trudem wy dostał się z kotła gnany za Zbrucz przez polskich ułanów.

W niespełna dwadzieścia lat potem znów go przekroczył.

Tym razem jednak całą operacją z Moskwy kierował nie Tuchaczewski czy Trocki, ale niepodzielnie sam Stalin, a jego stary druh Timoszenko, jako dowódca Frontu Ukraińskiego obiecywał w jego imieniu „uwagę i troskliwość”, rękując, że tylko jemu można wierzyć, albowiem jedynie „Armia Czerwona wyzwoli naród polski z nieszczęsnej wojny” i da możliwość rozpoczęcia „pokojowego życia”.

W tych dwóch odezwach - Mościckiego i Timoszenki - zderzyły się ze sobą dwa światy, dwie epoki, dwie kultury i dwie prawdy.

Tę drugą przyszło nam dopiero poznać.

Ulotka zrzucona z „kukurudziannika” była pierwszą próbką treści, formy i stylu, który już wkrótce miał towarzyszyć nam na co dzień przez wiele, wiele lat. Choćby z tej racji warto ją poznać z tymi błędami (nie tylko językowymi) i zadumać się nad jej niezwykłą trwałością w naszym długim, pokojowym, peerelowskim życiu.

W SZUMIE HUSARSKICH SKRZYDEŁ

Na Indian Grove pani Olga wspomina swoje ostatnie spotkanie ze stryjkiem Iwankiem w Hadyńkowcach we wrześniu 1939 roku. Jak w przebraniu ukraińskiego chłopca uciekał chłopskim wozem. Tę ostatnią rozmowę adwokata Iwana Wynnyczenki z jego młodszym bratem Martynem oraz okrutny los, jaki go wkrótce spotkał z rąk NKWD, opisałem w Nawiało nam burzę. Teraz dorzucam nowe szczegóły, o których opowiedzieli mi pani Olga i siedzący obok Jan Korsak...

- Patrząc wtedy na stryjka Iwanka - mówiła pani Olga - ja sobie przypomniała, jak on się na prawnika uczył z książką w ręku i w przerwie nauki, dla oddechu, wykrzykiwał: - Hoj ra-ra! Taj na Moskala! Serbiu zdobuły! Hoj ra-ra! - i tak chodził po ganku. Teraz ja się bała, że jak Moskale Polskę „zdobuły” to mu za to „hoj ra-ra” - że taki chojrak był - dobrze dadzą!

Coś tak czuła, choć młoda była i Moskali całkiem nie znała...

Stryjko Iwanko niby się zgadzał z tatem, że powinien uciekać do Rumunii, ale nie był ta całkiem pewien... - Bardziej zagrożeni zostają - twierdził i opowiedział, co słyszał od adwokata Roślaka w Czortkowie: że z chwilą wybuchu wojny z Hitlerem wielu Ukraińców aresztowano.

- Głównie komunistów i nacjonalistów - dodał pan Jan. - Z obawy przed dywersją na tyłach frontu. Mój wuj miał całą listę. Miano ich internować w Berezie Kartuskiej i Brześciu, jeden transport odszedł ze stacji, ale nie dojechał. Tak że większość trzymano w Okręgowym Więzieniu w Czortkowie. Normalnie mieściło się tam około dwustu więźniów, ale wtedy było ich ponad pięciuset - podał z inspektorską dokładnością.

- No, no. O tym ten Roślak mówił. Że przyszedł do niego w połowie września polski prokurator Czyżykowicz, abo coś tak, i dał mu klucze od tego więzienia. Roślak wraz z polskim strażnikiem wypuszczał więźniów na wolność tuż przed wkroczeniem Ruskich...

- Cyżkowicz. Władysław Cyżkowicz - uściślił pan Jan. - Szef Prokuratury Okręgowej w Czortkowie. Nastał tuż przed wojną. Znałem go. Bywał u mego wuja w biurze. Bardzo miły, porządny gość. I powiem więcej, moja panienczko, że ja już w Jagielnicy spotkałem tego dozorcę, co tych Ukraińców wypuścił, i o ile się nie mylę, to on nazywał się Zamorski lub Pomorski. To była głośna sprawa w Czortkowie, o której mało kto dziś wie. Prócz nas. Ten nasz prokurator nie uciekł do Rumunii, został na miejscu i Rosjanie go oczywiście zaraz aresztowali...

- Podobnie jak stryjka Iwanka, który nie posłuchał rad mego tata, nie uciekł tym wozem za granicę i zginął.

- Taak - westchnął pan Jan - koń i chłopski wóz to było wtedy zbawienie. Nie tacy panowie na nim uciekali. Ja, proszę państwa - poprawił się w krześle - byłem świadkiem historycznej chwili. Widziałem odjazd hrabiego Lanckorońskiego z jego majątku. Przed pałacem czekały już trzy jego auta upchane po wierzch, do których służba wciąż coś donosiła. Hrabia osobiście nadzorował załadunek. Wolno przechadzał się po dziedzińcu, ćmiąc papierosa. Palił zawsze „belwedery”, pamiętam. Nagle wbiegł oficjalista i zawołał:

- Bolszewicy w Ułaszkwcach, panie hrabio! Wnet tu będą! Hrabia zgniótł papierosa i krzyknął:

- Sierżęga!

- Jestem, panie hrabio!

A Sierżęga, trzeba państwu wiedzieć, był totumfackim hrabiego. Znali się z Legionów i hrabia ufał mu jak sobie. Zlecił szybko Sierżędze opiekę nad wszystkim, a sam co koń wyskoczy pognął chłopskim wozem, zabierając ze sobą tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Liczył, że drogą na Buczacz i Stanisławów wymknie się bolszewikom i ujdzie za granicę węgierską... Sierżęga ukrył wszystko w stebniku i spokojnie czekał przyjscia Rosjan. Nic mu nie zrobili. Niczego nie znaleźli, bo plądrowali w pałacu i oficynie, nie w stebniku...

- Stebnik to wozownia?

- Lodownia, proszę pana. Stawiało się w polu duży szałas i kryło grubą warstwą słomy, która pełniła funkcję izolatora. W środku składało lód wyrąbany w zimie ze stawów czy rzeki. Ten lód polewało się wodą, która, zamarzając, tworzyła lodowiec jak skała. W lecie nawet nie topniał. Potem się go rąbało znów na kawałki i używało do potrzeb domowych...

- Rozumiem.

- Wspomniany zaś Sierżęga, proszę państwa, po pewnym czasie znikł, a wraz z nim te wszystkie skarby, które ukrył w stebniku. Ludzie mówili, że po prostu okradł hrabiego, korzystając z historycznej chwili. Oczywiście nie muszę mówić, co to były za skarby, choćby w jednym tylko Rozdole, głównej rezydencji Lanckorońskich nad Dniestrem. To był drugi Wersal, na naszym Podolu, proszę państwa.

Sprawdzam w bezcennej książce Romana Aftanazego. Opis pałacu w Rozdole ze zdjęciami zajmuje ponad dwadzieścia stron. Siedziba rodowa pięciu r

pokoleń Rzewuskich. Na cześć żony jednego z nich - Franciszki - nazwana Frankopolem.

„Pałac, wraz ze skrzydłem i klasycystyczną oficyną, zawierał przeszło trzydzieści pokoi i sal - pisze Aftanazy. - Ośrodkiem ich był paradny hali wielki z jednoobiegową klatką schodową, ścianami dekorowanymi dębową boazerią i sufitem pokrytym także w dębie rzeźbionymi kasetonami. Wisiały tu drogocenne zabytkowe tkaniny obok kilkudziesięciu portretów rodzinnych. Na przeważnie marmurowych kolumnach lub cokołach balustrady stały wazony porcelanowe chińskie, japońskie i inne oraz popiersia. W hallu wielkim przechowywano namiot turecki, zdobyczny spod Wiednia...”

I Azja nadeszła! - jak mówił hrabia Dembopolski w Derbach w pałacu. Kiedy go tworzyłem w 1965 roku, pojęcia nie miałem o losie hrabiego Jerzego Cieleckiego (1900 -1979), czy ostatniego męskiego potomka wielkiego rodu Lanckorońskich hrabiego Antoniego (1893-1965). Nie wiedziałem nawet, że w tym właśnie 1965 roku umierał daleko od swego rodzinnego Rozdołu i Jagielnicy...

Dziś po tym, co usłyszałem, mogę górnolotnie powiedzieć, że na tym chłopskim wozie i ułańskim koniu odjechało parę wieków naszej historii. A w ucieczce przed tym nowym potopem i nawałnicą ze wschodu, polskim panom towarzyszyły skrzydła husarskie ich przodków, wielkich hetmanów koronnych, zwycięzców spod Chocimia i Wiednia.

Przekraczając Zbrucz, czołgi sowieckie przeorały nie tylko naszą ziemię, ale i świadomość. Choć niedawno wyjechały ze swych baz w Polsce, wciąż spod ich gąsiennic nie możemy się wydostać. Poharatani i niepełni. Siermiężny los tych ziem zdobywca (łagodnie mówiąc) ukrył na pół wieku w stebniku, zamroził i - jak Sierżęga - po prostu okradł. Dziś z trudem wyrąbujemy go po kawałku, wydobywając spod tego lodowca nasze bezcenne skarby do domowego użytku.

Bohaterowie „ostatniej linii obrony” na Dniestrze i Zbruczu (jeśli cudem przeżyli) nie mogli głośno mówić o obronie strażnic KOP-u w Olchowczyku czy Husiatynie. Umierali samotnie w konspiracji. Nie pozując nikomu do fotografii, jak ten kanadyjski weteran w Queens Parku w Toronto.

Nie było dla nich w Polsce takiego obelisku. Najwyżej pręgierz. Rektor Krechowicz, gdyby chciał się publicznie przyznać do obrony Husiatynia, pewnie nazajutrz przestałby być rektorem KUL-u...

O tym i o innych rzeczach zawsze dumam, gdy mijam z Websterem ten obelisk w Queens Park w Toronto z wykutymi nazwami bitew - świadectwo zwycięskiej chwały kanadyjskich żołnierzy w dwóch wojnach światowych...

KOŃ WCIAŻ W AKCJI

- Aaaa-łuuu! Aaaa-łuuu! - gość w wełnianej czapce naciągniętej na uszy stał pod spizowym pomnikiem króla Edwarda VII na koniu i wył jak wilk. Jego dwa duże psy hasały po Queens Parku. Gość, wyjąc przeciągle do Webstera, wyraźnie go prowokował...

Był wczesny ranek. Nie sypał suchy, drobny śnieg, ale do wiosny było daleko. Śnieg leżał wszędzie. Webster często lubi się w nim tarzać, budząc śmiech studentów, którzy tym skrótem idą na zajęcia. Najwięcej Chińczyków, znanych z ambicji i żądz wiedzy...

Zdumiony Webster uniósł przednią łapę na alert, świadom jednak kanadyjskich przepisów, że dobrze wychowany pies w mieście nie szczeka, a na pewno nie wyje - wstrzymał się od głosu. Niezrażony gość w uszatce dalej poszczekiwał, licząc na odzew. Webster wyżej podniósł uszy. Takiego wyjca wśród ludzi jeszcze nie widział.

W naszym wieżowcu na trzydziestu jeden piętrach Webster jest jedynym czworonożnym lokatorem. Administracja nie życzy sobie żadnych zwierząt, co podkreśla tabliczką przy wejściu: „pets are not allowed in the building”. Psim swędem udało się nam jednak go przeszwarcować, ale za każde warknięcie jest karany. Żyje jak mysz pod miotłą. Zobowiązaliśmy się w umowie unikać z nim tłoku w windzie, nie jeździć w godzinie szczytu i wychodzić tylko dolnym wyjściem przez lower lobby i parking. Webster ukrywa się więc jak za Niemca i jest w głębokim podziemiu... Nic dziwnego, że po tej lekcji ciszy to nagłe: - Aaaałuuu! Aaaa-łuuu! - nawet w parku było dla niego szokiem. Widząc, że Webster nie myśli się odszczeknąć i nie reaguje na wycie, gość w uszatce rozłożył bezradnie ręce i rzekł rozczarowany:

- Zatracił instynkt, you know?! W mieście zwierzęta przestają być sobą. A co to za cudowna rzecz instynkt! Nie ma nic lepszego nad instynkt i intuicję. Zmysły. Psy sercem czują więcej niż my głową. Są mądrzejsze. Tyle że nie mówią. I ja je właśnie próbuję uczyć - szczeknął przyjaźnie i pogłaskał Webs-tera. Jeden z jego psów poczuł się zazdrosny. Była to młoda suka, mieszanka rasy husky z owczarkiem alzackim.

- Ona też jest wielką oszustką. Wydawało się, że będzie mówić. Półtora roku ją uczę i nic. Nie odpowiada. Ale może przemówi...

Mój rozmówca okazał się Polakiem*, i do tego synem piekarza z Sosnowca, co uznałem za „nieprzypadkowy przypadek”. Przekonywał mnie, że Kanada to piękny kraj, tylko ludzie zapomnieli tu śpiewać i oddychać. Współżyć głęboko z przyrodą. Znali to Indianie. I górale w Tyrolu - dlatego jodłowali z zachwytu nad pięknem Alp. My też powinniśmy wyc - bo w ten sposób naturalnie oczyszczamy organizm i wypuszczamy z siebie smrody cywilizacji...

Wiekowe dęby w Queens Parku były jeszcze bardziej rdzawe, niemal kasztanowe. Za Carr Hali na Saint Joseph Street minęliśmy dom, który kolorem cegły przypominał carskie budownictwo koszarowe. Jego ostatnie ślady można spotkać w Cytadeli na Żoliborzu i Legionowie pod Warszawą...

Więc jednak coś zostaje z tej Uczty Bogów - pomyślałem. -1 warto zbierać okruszki...

Nagle na naszej drodze wyrósł policjant na koniu. Pysk konia, jak przed wiekami, chroniony był tarczą. Tyle że sztuczną. Z plastiku. Nauczyciele wyszli z publicznych szkół i od tygodnia strajkują, protestując przeciw polityce rządu premiera Harrisa. I ten konny policjant zabezpieczał ład i porządek. Przed Parlamentem Ontario gromadził się już tłum. Z żółtych szkolnych autobusów wychodzili wciąż nowi nauczyciele. Na jednym z transparentów dostrzegłem napis: „Jarris for governor of Alabama”!

Nauczycielom nie brakuje dowcipu - pomyślałem. - A koń policji wciąż się przydaje u progu nowego internetowo-rakietowego wieku. Co prawda do rozpędzania nauczycieli, ale zawsze. Nie całkiem zszedł na psy...

Spojrzałem na Webstera. Wąchał trawnik, idąc uparcie za swym bezbłędnym instynktem. Coś mnie nagle tknęło:

- Aaaa - łuuu! Aaaa-łuuu! - zawyłem jak wilk.

Policjant na koniu cofnął się. Na jego anglosaskiej prostej twarzy malowało się szczere zdumienie. Oto starszy, siwysir wyje jak pies, a jego dog milczy. Coś z nim nie tak.

- You have problem, dad?! - spytsA z troską.

- Not at all! - zaprzeczyłem szybko.

Co mu będę tłumaczył?! Że właśnie wymyśliłem tę scenę? I skończyłem opowiadanie o przekraczaniu przez Rosjan granicy na Zbruczu, której on, żeby się nawet wściekł na tym koniu, nie przyskoczy nigdy! Tak jak ten cały jego zachodni świat. Kiedy tuż po przybyciu do Kanady naiwnie skarżyłem się w

‘ Spotkanie to dokładnie opisałem w książce Młyn w piekarni liście do Sławomira Mrożka na ignorancję Zachodu, pisząc: „Ręce mi opadają...” - on odpisał krótko: „Mnie już dawno opadły...”

Więc co ma robić pisarz (ściślej psiarz, według „Związkowca”) w moim wieku wobec tak beznadziejnej sytuacji?! Nic tylko wyć: - Aaaa-łuuu! Aaaa-łuuu! - na cały Queens Park jak syrena na alarm dla miasta Warszawy. W tym właśnie 1939 roku. Thats it!

KLAPA Z CUKIERKAMI STALINA

- Tu dodam, moja panienczko - rzekł do Olgi Wawrów Jan Korsak, wracając z uporem do Monopolu pod okupacją sowiecką - że ta ich krupka to najpodlejszy gatunek machorki, którą oni palili w gazetowych skrętach. Trudno to nazwać tytoniem. Raczej sianem. Już po wojnie krążył u nas w Monopolu żart, proszę państwa. Pytają Ruskiego, czy zna nasze pisma „Przekrój” i „Przyjaciółkę”? - Niet - odpowiada. - Jeszcze w nich nie kurzyłem. - Tak to było. Mnie już na trzeci dzień wyrzucili z Monopolu w Jagielnicy, jako tak zwanego kurgula, czyli kułaka. Rosjanie, w przeciwieństwie do Niemców, polskich fachowców zwalniali, dawali swoich komunistów z wielką szkodą dla tytoniu. Robiła się z tego krupka.

W wyborach do sowieckich deputatów kandydatką była nasza sorterka w Monopolu Sabina Turkiewicz. Wysunął ją sam I sekretarz Partii w Czortkowie Osałenko. Miejscowych komunistów, takich jak Derkacz czy Lewicki, brali już na boczny tor, a rej wodzili ci zza Zbrucza. Hołową Czortkowa został niejaki Karpenko...

- Karpenko?

- Rosjanin lub Ukrainiec. Bo co?

- Nic, nic. W moich Aliantach sekretarzem partii we Władystoku zrobiłem Karpenkę. Tymczasem prawdziwy rządził wtedy w Czortkowie.

- No, właśnie. Choć ci miejscowi też dali się we znaki, jak choćby Jonasz Buchberg, żydowski krawiec, przedwojenny komunista.

Wkrótce do Czortkowa zjechało NKWD i przystąpiło do aresztowań. Na pierwszy ogień poszli długoletni burmistrz Czortkowa Stanisław Michałowski i prokurator Władysław Cyżkowicz, który posłuchał rad Roślaka i został. Wraz z Cyżkowiczem aresztowano dyrektora szpitala Zawadzkiego, dwóch bogatych kupców żydowskich i znanego lekarza ukraińskiego Petra Sinieńkiego. Zwłaszcza to ostatnie aresztowanie wzburzyło Ukraińców, bo to był bardzo szanowany i lubiany lekarz. Co do wspomnianego już adwokata Roślaka - ciągnął dalej pan Jan - to pracowałem z nim razem w Dzierżbanku. Ja w Probużnej, a on w Czortkowie. W randze zamiestitiela dyrektora likwidował polskie i ukraińskie banki. Ziemski, Rolny, Kasy Reiffeisena i Stefczyka, istniejące od czasów austriackich, PKO et cetera. Sowietci zrobili z tego jeden wielki państwowy bank - Dierżawnyj Bank - Dierżbank...

Ja sam pracowałem jako zastępca komisarza ziemskiego w Probużnej. Ko - ‘ misarz Usmedyński, praktyczny sowiet, wiele rzeczy dał sobie wytłumaczyć. Kontrolowałem kołchozy, które zaczęto tworzyć. W skupie obowiązywał frachowyj fond, to znaczy żelazny zapas na czas wojny, którego nie wolno było i tknąć. Wynosił on piętnaście procent skupu.

Najcięższy los spotkał osadników polskich. Tak to wspomina Tadeusz Ba - j nas z kolonii Czarnołozy, utworzonej z części Oryszkowiec hrabiego Cielec - j kiego. Przytaczam tę relację ze skrótami z książki Jerzego Szewczyńskiego:

„W grudniową niedzielę 1939 roku zaczęły się gromadzić hordy Ukraińców j z pałami. Przed pierwszym domem, gdzie mieszkał Polak ożeniony z osadnicz - j ką, banda odbyła naradę, czy miejscowych Polaków rabować...” (Jest to ciekawy szczegóół. Rozrózniano wtedy jeszcze miejscowych, swoich Polaków, od j kolonistów zwanych Mazurami...)

„Zacząła się gehenna. Bandy po kilkanaście osób wdzierały się do domówi i ładowały na wóz wszystko: zboże, odzież, meble, a nawet obrazy. Z obory j wyprowadzali cały inwentarz bez protestu właściciela, który chciał tylko ujść] żywy. W ciągu paru godzin zrabowano całą osadę Czarnołozy. Tak dokonał się akt zemsty nad »Lachami«. Nadchodzące święta Bożego Narodzenia byłyi smutne, pełne nerwowego napięcia, co dalej będzie, gdyż wiadomo było, że Ukraińcy nie zostawią osadników w spokoju. I nastał pamiętny piątek 10 lute-1 go 1940 roku. Szyby zadrzały o świcie w oknach od pukania i głośnego nawoływania: - Stawaj! Sobirajsia z wieszczami i uchadi!

Sowieccy żołnierze rozkazali zabrać ze sobą tylko mały worek do ręki, następnie powsadzali nas do sań stojących pod domem...

Taki los spotkał wszystkie okoliczne osady: Zaręba, Czarnokońce, Hetmańszczyzna, Korczakowa, Baworowszczyzna i inne naszego kopyczyńskiego powiatu. Na drodze utworzył się konwój, który skierowali do najbliższej stacji Hadyńkowce. Tu po kilka rodzin oprawcy umieszczali w towa wych wagonach. Późną nocą transport ruszył w daleką drogę. Miejscem pr znaczenia był posiołek Skaczok, kajski rejon, kirowska obłast...”

Kolonista z Baworowszczyzny tak wspomina ten czarny piątek:

„O piątej rano usłyszeliśmy mocny łomot, a na pytanie Ojca:

- Kto to? - padła odpowiedź:

- Odkrywaj! Nie bojsia!

Weszli do mieszkania we dwóch: sowiecki żołnierz i z komitetu ukraińskiego sam przewodniczący Depczuk ze wsi Baworowszczyzna, nasz znajomy. Oznajmili nam, że mamy półtorej godziny na zabranie osobistych rzeczy, pościeli i żywności. Zaczęli nas ładować jak bydło do zimnych wagonów bydlęcych, ile tylko mogli. W naszym wagonie było siedem rodzin, to jest dwadzieścia osiem osób. Gdy się skończyły nasze zapasy, zaczęła się tragedia... Rosyjska ludność na stacjach kolejowych przychodziła nam z pomocą. Po kryjomu podawali nam przez okienka, co mogli, chociaż wiedzieli, że grożą im za to surowe kary. Przetrwaliśmy przejazd przez góry Ural. Wreszcie 28 lutego dojechaliśmy do stacji docelowej Barnauł w Ałtajskim Kraju...”

Relacje innych świadków są podobne. Że pośrodku wagonu stał żelazny piecyk, a wycięta w podłodze dziura zastępowała ustęp. Zamknięci w zaplombowanych wagonach na stacjach stali po kilka dni. Każdy wagon był strzeżony przez żołnierza, który nawet po wodę konwojował. Raz dziennie podawano śmierdzącą zupę trudną do przełknięcia...

Dla oderwania się od tej makabry warto przytoczyć wspomnienie ze szkoły Jana Gacha w tym właśnie posiołku Skaczok.

„Pewnego dnia wpadła do klasy nasza nauczycielka i uradowana zapytała:

- Powiedzcie mi, dzieci, czy jest Bóg?!

Oczywiście polskie dzieci odpowiedziały twierdząco, natomiast rosyjskie zaprzeczyły. Wówczas nauczycielka zwróciła się do polskich dzieci, by poprosiły swojego Boga o cukierki. Oczywiście nastąpiła cisza. Następnie zwróciła się do dzieci rosyjskich:

- Poproście towarzysza Stalina o cukierki!

Gdy rosyjskie dzieci to uczyniły, natychmiast otworzyła się »klapa« w suficie i kilka kilogramów cukierków spadło na podłogę”.

W tej klapie z cukierkami Stalina zrzuconymi wraz z prawem radzieckim bez luk, kryła się ta wielka inność sowieckiej okupacji zwanej wyzwoleniem. Że dla ludzi w zaplombowanych wagonach wydawano gazetę „Wolne życie” i wmawiano im, że żyją w najszcześniejszym kraju. Tego w najpotworniejszych snach nikt nie przewidział. Dlatego trudno się dziwić, że niektórzy w pierwszej chwili na te cukierki Stalina się nabrali, wykazując dziecięcą naiwność. Nie każdy miał zdrowy, chłopski rozum Martyna Wynnyczenki. I nie zależało to od wykształcenia, czego dowiodła nam elita ukraińskiej palestry w Czortkowie.

Ojciec pani Olgi w mig domyślił się, co za tą klapą się kryje. Gorzej z jego starszym, uczonym bratem Iwanem...

Nie mówię już o tych, co wtedy mieli klapki na oczach i sami, własnoręcznie tę klapę otwierali. To oddzielny rozdział. Wciąż trudny dla mnie do pojęcia... sprawy zdecydowany jest poświęcić wszystko. Ścierpieć ataki z dwóch stron. Polaków i Ukraińców. Pierwsi uważają go za renegata, drudzy za Polaka.

Przed wojną bronił Ukraińców przed represjami rządu polskiego. W rządzie tym ministrem spraw wojskowych był jego brat Stanisław, który jakiś czas pełnił również funkcję szefa sztabu generalnego polskich sił zbrojnych. Co dziwniejsze, bracia nie stanęli po dwóch stronach muru granicznego jak Cześnik Raptusiewicz i Rejent Milczek w arcykomedii Zemsta ich dziadka Aleksandra Fredry. Szanowali swój wybór i prowadzili ze sobą braterski dialog.

Patrzę na unikalną fotografię* wszystkich pięciu braci Szeptyckich zamieszczoną w książce profesora Megocsiego. Metropolita Andrej (w metryce chrztu Roman Aleksander) siedzi między Stanisławem, generałem, i Aleksandrem (po dziadku Fredrze tak widać nazwanym), a nad nimi stoją archimandryta Klimentij (w metryce Kazimierz)** i Leon, ostatni właściciel rodowego majątku Szeptyckich w Przyłbicach. Nazwa ta brzmi dziś symbolicznie w zestawieniu z tym, co się wkrótce po zrobieniu tej fotografii stało. Uwieczniony na niej zjazd rodzinny miał miejsce w lipcu 1939 roku. Tuż przed nawałnicą i końcem tego świata. Za dwa miesiące uśmiechnięty na tym zdjęciu Leon Szeptycki z sarmackim, siwym wąsem nie będzie już żył. Zostanie zamordowany przez ukraińską tłuszcę w przyłbickim parku wraz z żoną Jadwigą z Szembeków Szeptycką tuż przed wkroczeniem Sowietów do Polski. Taką cenę płaciło się za trwanie na miejscu. I nieuciekanie chłopskim wozem.

Tym razem nie będę dokładnie cytował opisu świetności pałacu Szeptyckich z książki Romana Aftanazego, choć pałac ten jest równie piękny i historyczny co siedziba Lanckorońskich w Rozdole. Oprócz licznych dzieł sztuki i zabytkowych mebli, kolekcji broni, buław, karabel i kling pod portretem Jana III Sobieskiego, spokrewnionego z Szeptyckimi, było tam największe w Polsce prywatne muzeum teatralne Aleksandra Fredry z pietyzmem przez lata tworzone przez jego ukochaną córkę Zofię z Fredrów Szeptycką. W żelaznej skrzyni znajdowały się rękopisy jej ojca, w tym pamiętnik Trzy po trzy, i dużo rodzinnej korespondencji. Z wielu fredrianów wyróżniał się charakterystyczny fotel wybity poduszkami, z galeryjką pod oparcia na ręce, na którym Aleksander Fredro pisał swoje klasyczne arcykomedie.

Wszystko uległo zagładzie.

Zaś wnuk Fredry, metropolita Andrej, gdy w październiku 1939 roku kijowski „Komunist” atakował go, pisząc, że „unicki Kościół greckokatolicki od najdawniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy realizował brutalną i nieludzką politykę gnębienia i prześladowania ludu Zachodniej Ukrainy”, godnie

* Tę fotografię zamieściłem również w Nawiało nam burzę.

** Archimandryta Klimentij Szeptycki wymieniony został wśród dwudziestu ośmiu męczenników za wiarę przez Jana Pawła II podczas pamiętnej pielgrzymki na Ukrainę w czerwcu 2001 roku, odpowiadał w liście pasterskim do wiernych odczytanym w katedrze Święte - j go Jura we Lwowie:

„Nasz program jest następujący: podporządkujemy się prawu wydawane - j mu przez władzę dotąd, dopóki będzie w zgodzie z prawem boskim. Nie wtrącamy się do spraw politycznych i świeckich, ale jednocześnie wiernie będzie - j my służyć Chrystusowi, głosząc Słowo Boże i Pismo Święte wśród naszego j ludu...”

Ponieważ wiem (nie tylko od nauczycielki z posiołka Skaczok), że jedynym j bogiem w owym czasie był Josif Wissarionowicz Stalin, a Pismem Świętymi (również mojej młodości) jego Krótki Kurs WKP(b), rozumiem, że nie było j łatwo pogodzić chrześcijańską moralność z sowiecką reality.

Obawiam się, że uczeni na światowej sesji w Toronto nie do końca wyczerpali jej temat, który wciąż jest otwarty. I co gorsza aktualny...

POLSCY OFICEROWIE, POLSCY PANOWIE!

O Powstaniu Czortkowskim słyszałem od Jana Korsaka, który twierdził, że organizowali je trzej bracia Górcy. Jednego nawet uratował przed aresztowaniem.

W miesięczniku „Karta” Piotr Młotecki, zajmujący się działalnością Inspektoratu AK w Czortkowie, ogłosił na ten temat interesujący szkic, przytaczając dokumenty i relacje świadków.

We wstępie autor informuje, że w Czortkowie przed wojną znajdowało się dowództwo brygady KOP-u „Podole”. Był tam też Hufiec Kresowych Harcerzy, którym kierował harcmistrz Józef Opacki, peowiak z okresu pierwszej wojny światowej, zarazem kierownik wydziału kształcenia starszyny Lwowskiej Komendy Harcerzy.

Młotecki Opackiemu przypisuje zorganizowanie pierwszej konspiracji w Czortkowie. We Lwowie generał Marian Januszajtys, z którym Opacki był w ścisłym kontakcie, założył Polską Organizację Walki o Wolność. Wkrótce jednak POWW rozbita została przez NKWD. Jednocześnie w Tarnopolu major Karol Durko z 54 Pułku Piechoty założył POW. Z nim ściśle współpracował Heweliusz Malawski, który w Czortkowie utworzył inną konspiracyjną grupę pod kryptonimem „Orzeł Biały”.

Wkrótce wystąpiono z projektem powstania. Jego uczestnik Kłoty Id Atamaniuk tak to wspomina:

- „Gdzieś koło Bożego Narodzenia, albo na początku stycznia 1940 roku, w kościele Ojców Dominikanów, na chórze, odbyło się ślubowanie. Wtedy rozpoczęły się przygotowania do powstania. Kierowali nim trzej bracia Malawscy. Jan był prokuratorem wojskowym (następnie został adiutantem generała Sikorskiego), Felicjan pracował w II Oddziale Sztabu Generalnego, w wywiadzie, i on chyba kierował organizacją z trzecim bratem - Heweliuszem...”

Zatem trzej bracia Malawscy, nie Górcy, jak twierdził Jan Korsak.

Stanisław Muszyński, inny uczestnik powstania, tak to wspomina:

- „Pierwsza grupa miała sterroryzować funkcjonariuszy NKWD i zdobyć więzienie. Druga opanować koszary i zdobyć większe zapasy broni. Trzecia opanować stację kolejową i przygotować pociągi mające przewieźć rannych oficerów i powstańców do Zaleszczyk, ewentualnie do Rumunii. Czwarta zając szpital i umożliwić rannym oficerom dotarcie na stację kolejową. Czortków leżał niespełna czterdzieści kilometrów od granicy rumuńskiej. Znajdował się tam węzeł kolejowy, w lokomotywni stało dużo parowozów. Dlatego też celem powstania było zmobilizowanie jak największej ilości mężczyzn zdolnych do noszenia broni, a także ukrywających się oficerów KOP-u, i ucieczka pociągiem do Rumunii. Mogliśmy mieć do dyspozycji nowoczesne, jak na owe czasy, parowozy »Lux Torpedy«. W momencie wybuchu powstania po winny już czekać »pod parą« dzięki kolejarzom, z których znaczna część miała uczestniczyć w akcji...”

W tym czasie w Czortkowie przebywało mniej niż zazwyczaj wojsk sowieckich, w związku z wojną sowiecko-fińską. Widzieliśmy wcześniej, jak ładowano sowietów na eszelony podążające na

fiński front...

Podano hasło: Krzyż.

Odzew: Kopyczyńce.

Wieczorem w niedzielę 21 stycznia, w rocznicę Powstania Styczniowego,] wystrzelona w górę rakietą miała być sygnałem do rozpoczęcia akcji”.

W szyfrze przesłanym do rządu londyńskiego Bronisław Łoziński donosił;

„Powstanie zorganizowane zupełnie bezmyślnie i bezplanowo. Zwerbowani ochotnicy to przeważnie młodzież szkolna... udało się jedynie na krótko zająć szpital. Zastrzelono dwóch strażników. Powstanie było wyznaczone na godzinę dwunastą w nocy, ale młodzi zapaleńcy nie mogli się doczekać i wyszli na ulicę o trzy godziny wcześniej. Jak zdołałem ustalić z różnych relacji, na ulicach zastrzelono siedmiu żołnierzy i oficerów sowieckich...”

W innym szyfrze do Londynu donoszono:

„Z powodu nienależytego przygotowania powstania powstał w mieście nieopisany chaos i żaden z celów nie został osiągnięty (zdobycie koszar, więzienia i dworca). Po około dwugodzinnej bezcelowej strzelaninie... »powstanie« się skończyło. Skutek był taki, że zamordowano 9 bolszewików i że w dwóch następujących dniach NKWD aresztowało 6000 osób z Czortkowa i okolicznych wiosek...”

„Na przesłuchania brano nas na ulicę Piłsudskiego, do dawnego budynku »dwójki« - pisze dalej Klotyld Atamaniuk. - Stosowano wobec nas bicie, i ki, igły, szoki niskiej i wysokiej temperatury... Po jakimś czasie skierowano nas do więzienia w Czortkowie. Jeszcze tak niedawno oglądaliśmy je z wewnątrz. Po kilku dniach zabrano nas na dworzec, gdzie stały już przygotowane wagony. Dojechaliśmy do Tarnopola... No i w Wielką Sobotę znowu i wuj, dawaj do transportu. Na stacji zaczęliśmy wznosić okrzyki, śpiewać »Jeszcze Polska«... a także pieśni religijne. Nikt nie wiedział, dokąd jedziemy. A gdy dojechaliśmy do Odessy, znowu załadowali nas na samochody... Do dziś pamiętam: otworzyła się brama, na której widniał napis: »Jurma nr 38«.

Z więziennych okien słyszeliśmy okrzyki sowieckich więźniów: - Polscy oficerowie, polscy generałowie, polscy panowie! - My wszyscy byliśmy jeszcze przyzwoicie ubrani. Ja, pamiętam, miałem oficerki po bracie... Tam zauważyliśmy, że siedzą głównie sami Ukraińcy, którzy zaczęli nam dogryzać, że my tych warunków nie wytrzymamy, nie to co oni, bo oni poznali już to więzienie przed wrześniem 1939 roku...”

Z Odessy przewiezieni zostali po pewnym czasie z powrotem do Tarnopola, gdzie odbył się proces.

„Jeden z moich kolegów - wspomina Atamaniuk - tłumaczył się na rozprawie, że jest niewinny, gdyż o powstaniu nic nie wiedział. Wtedy prokurator odpowiedział mu:

- O waszym powstaniu już na drugi dzień wiedział sam Stalin!

Byliśmy z tego bardzo dumni. Gdy zaczęto odczytywać wyroki, to po każdym wstawaliśmy i gratulowaliśmy temu, który go otrzymał. Rozpierał nas patriotyzm. Ja dostałem wraz z innymi kolegami karę śmierci, którą później zmieniono mi na dziesięć lat łagrów. Co wtedy czułem? Byłem młody, była wojna - miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć...”

Bronisław Łoziński stwierdza:

„Malawski, jak się później dowiedziałem, uciekł z Czortkowa. Próbował przedostać się do Rumunii i został złapany przez sowiecką straż graniczną. Aresztowano go pod zmienionym nazwiskiem i wywieziono do Rosji”.

To najbardziej mnie zainteresowało, albowiem o poruczniku Malawskim opowiadał Janowi Korsakowi adwokat Roślak, wspominając swój pobyt w więzieniu „Na Brygidkach” we Lwowie.

- Roślak mi to mówił już tu - opowiadał pan Jan - jak spotkaliśmy się na ukraińskiej karawanie na Spadina Street w Toronto. Otóż po rozpoczęciu aresztowań inteligencji ukraińskiej w Czortkowie Roślak, ostrzeżony przez znajomych, uciekł do Lwowa. I tam na przystanku tramwajowym rozpoznał go krawiec Jonasz Buchberg, który we Lwowie był na szkoleniu tajnych agentów NKWD. Buchberg zaczął krzyczeć: - Wrag narada! Ja go znam! - Wyjął legitymację i wezwał milicjantów. Ci wzięli Roślaka na komendę. Najpierw uwięziono go przy ulicy Jachowicza, a potem trafił do więzienia „Na Brygidkach”. Na tydzień przed wejściem Niemców wśród strażników wybuchła panika i opuścili więzienie. Część więźniów, zwłaszcza młodszych, wyważyła drzwi celi, przesadziła wysoki mur i zaczęła uciekać. Ulicajechały sowieckie tanki i szła piechota. Otwarto do nich ogień i zaczęto z powrotem zaganiać do cel. Straż przed bramą objęło wojsko, potem zmienione znów przez NKWD. Pospiesznie powołana komisja z prokuratorem na czele zaczęła dzielić więźniów na politycznych i kryminalnych. Roślak zmyślił wersję, że przypadkowo na przystanku był świadkiem chuligańskiej awantury i niewinnie go zatrzymano. Prokurator kazał mu iść na prawo. Zaliczył go i kryminalnych i to uratowało mu życie. Bo politycznych zaraz zaczęli i strzeliwać na dziedzińcu więzienia lub w Stryjskim Parku. Roślak w celi i szła te egzekucyjne salwy. Ściśnięci byli w tej celi jak śledzie i tam rozpo znał go porucznik Malawski...

- Jeden z tych braci Malawskich?

- Nie wiem. Roślak twierdził, że znali się z widzenia z Czortkowa, gd Malawski służył w wojsku...

- Zbieżność duża.

- W tej celi Malawski go poratował. Dzielił się z nim wszystkim. Strażnic nie dawali im jeść, więc głodowali strasznie. Którejś nocy przeżyli silne bon bardowanie niemieckie. Bomby spadały obok więzienia. Mury trzęsły się wybuchów. Jedni modlili się, inni wymyślali Niemcom i Rosjanom. Najwięcej dezertarzy z sowieckiej armii. Siedziało ich kilku. O świcie usłyszeli po polsku:

- NKWD nie ma! Rozbijajcie cele! Uciekajcie!

Dezerterzy z Armii Czerwonej wyrwali z podłogi dębowe deski i nimi ja taranem bili w żelazne drzwi. Inni też na nie napierali i wspólnie udało im się je wypchnąć. Wybiegli na dziedziniec. Z górnych pięter słyszeli błagalne krzy więźniów, by ich wypuścili. Nie mieli czasu im pomóc.

Korzystając z rozbicia głównej bramy, wypadli na ulicę. Sowieccy żołnierze w popłochu uciekali grupkami i tym razem nie zwracali na nich uwagi. Malawski zaprowadził Roślaka do domu swej narzeczonej, nakarmił i przykrył. Potem Roślak przeniósł się do swego ukraińskiego przyjaciela, gdzie przesiedział aż do wejścia Niemców. Nie miał słów wdzięczności dla Malawskiego. Dzięki niemu ocalał. Albowiem tuż po ich ucieczce funkcjonarii NKWD, korzystając z chwilowego wstrzymania frontu, znów wrócili „do Brygidki”. Do uciekających więźniów strzelali. Powtórnie zamknęli bramy. Zaczęła się rzeź. Więźniów mordowali w celach lub rozstrzeliwali na dziedzińcu. W strachu, że nie zdążą wszystkich wybić, podpalili mury i ci w celach i piętrach spłonęli żywcem.

Gdy po wejściu Niemców rodziny pobiegły do więzienia w nadziei ujrzenia swych bliskich, zastały już tylko sterty trupów na ziemi i zwęglone zwłoka na górze, proszę pana - dokończył Jan Korsak...

Adwokat Roślak, pomyślałem, który w dniu wejścia Rosjan odbierał listy od naszego prokuratora i wraz z polskim strażnikiem uwalniał swych i więźniów z cel, mógł teraz porównać te dwa światy: pańską Polskę i robotniczą - chłopską ZSRR. I tych enkawudzistów, co do końca gorliwie spełniali swój katowski obowiązek, nie bacząc na śmiertelne zagrożenie własnego życia...jj

Przyznam, że po usłyszeniu tej historii zapragnąłem nagle, by pierwszy i miecki oddział dopadł ich i rozstrzelał... Ale zaraz przypomniałem sobie czarne napisy na murach: „Wawer pomścimy” i to, co drugi „sojusznik” z wyprawiał w Warszawie...

Zaiste trzeba było mieć nie lada szczęście, by wpaść w przyjazny uścisk takich

dwóch wodzów narodu, jak Kanclerz III Rzeszy Adolf Hitler i I Sekretarz Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików Józef Stalin.

Na wierszyk „Batkę Stalin dawaj mydła, bo już wszy dostają skrzydła” na-| trafiłem w książce Adama Pileckiego - „Leliwy” Garbaty los.

Pilecki urodził się w Bokowie, małej wsi pod Brzeżanami w powiecie podhajeckim. Szmat drogi od Czortkowa i Hadyńkowic. Ale i tu była spiczka i| krupka, a w kooperatywie brakowało soli, nafty i mydła. Jednak nie cukierków. Rzucano je z klapy jak w posiołku Skaczok. Na pustych półkach pojawiły się drewniane łyżki z czerwoną rączką. Nie było tylko nimi co jeść. Za to w| chatach leżało tarnopolskie „Wilne Żytli”, które gromiło polskich panów i wychwalało radosny los ukraińskiego ludu. Boków przeżył ten sam czarny| piątek 10 lutego 1940 roku i wywózkę na Sybir. Potem osadzanie Łemków na opustoszałych polskich osadniczych wioskach. Identycznie jak w Hadyńkow-cach z Zarębą, tu zrobiono z pobliską Kaszczówką.

Choć Boków leżał na boku świata i był przed wojną jedną z najbardziej za-| bitych deskami polsko-ukraińskich wsi - i on znalazł się w centrum wysiedleńczej akcji. Tu też była Sił Rada i działało NKWD.

Dziś, po ujawnieniu dokumentów, wiemy, że te wszystkie akcje przeprowa-| dzane we Lwowie, Czortkowie czy Hadyńkowcach były częścią wielkiego planu operacyjnego opracowanego przez Biuro Polityczne WKP(b) i samego Stalina. Podjęto odpowiednią decyzję, na mocy której Ławrentij Beria jesienią 1939 roku wydał rozkaz numer 0308 dotyczący stosunku do jeńców wojennych. Dla oficerów kazano utworzyć specjalne obozy. Część szeregowców polecono zwolnić, część skierować na przymusowe roboty do kopalń.

5 marca 1940 roku na wniosek Berii Biuro Polityczne WKP(b) postanowi-⁷

* Adam Pilecki - „Leliwa „Garbaty los - Od pałaców do kurnej chaty. Wspomnienie. Wrocław 1996. 1

ło zastosować najwyższy wymiar kary wobec blisko piętnastu tysięcy oficerów polskich. Uzasadniając swój wniosek, Beria powiedział:

- Oficerowie ci są uczestnikami wojny 1920 roku, zatwardziałyymi, nie rokującymi poprawy wrogami władzy radzieckiej i dla bezpieczeństwa ZSRR należy ich zlikwidować...

Wobec jedenastu tysięcy Polaków znajdujących się w więzieniach Zachodniej Ukrainy i Białorusi zaproponował podobny wymiar kary*. Wniosek Berii przeszedł jednomyślnie.

Pod protokołem podpisali się osobiście Stalin, Woroszyłow, Mołotow i Mikojan. Nieobecni na naradzie Kalinin i Kaganowicz udzielili swej zgody telefonicznie.

Formalnie wyroki miało wydawać Kolegium Specjalne NKWD - Iwan L. Basztakow, Bachczo (Bogdan) Z. Kobiłow i Wsiewołod N. Mier-kułow.

Od 3 kwietnia do 13 maja 1940 roku w Katyniu, Miednoje, Charkowie i innych dotąd nieustalonych miejscowościach NKWD wcielało w życie tę uchwałę strzałem w tył głowy.

Rada Komisarzy Ludowych ZSRR 5 grudnia 1939 roku zdecydowała o wielkich wywózkach. Pierwszą wyznaczono na ów feralny czarny piątek 10 lutego 1940 roku. Nadzorował ją osobiście zastępca Berii, jego rodak Gruzin, Wsiewołod Mierkułow. Deportacja objęła mieszkańców wsi i miasteczek, osadników rolnych i służbę leśną. Zsyłano głównie do pomocnych obwodów Rosji i zachodniej Syberii.

W czasie gdy na Kremlu Biuro Polityczne KC WKP(b) zdecydowało rozstrzelać polskich oficerów, Rada Komisarzy Ludowych ZSRR 2 marca 1940 roku zarządziła deportację następnych kategorii ludności.

Druga masowa zsyłka miała miejsce w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku. Ofiarami jej padły rodziny rozstrzelanych więźniów i element społecznie niebezpieczny. Niemal wszyscy zesłańcy znaleźli się w Kazachstanie.

Trzecia wielka wywózka nastąpiła 28 i 29 czerwca 1940 roku i objęła „bieżeńców”, czyli tych, którzy przed 1939 rokiem mieszkali w centralnej Polsce i uciekli na wschód przed Niemcami. Jej ofiarami aż w osiemdziesięciu czterech procentach padli Żydzi.

Czwarta i ostatnia akcja przesiedleńcza podjęta została 22 maja 1941 roku na mocy wspólnej decyzji KC WKP(b) i Rady Komisarzy Ludowych. Jej celem było oczyszczenie pasa granicznego z elementów niepożądanych. Aresztowanych uznano za tak zwanych zsyłoposieleńców skazanych na dwadzieścia lat pobytu w wyznaczonych rejonach ZSRR. Głównie w Kazachstanie.

Według oficjalnych danych NKWD, we wszystkich akcjach deportowano około trzystu trzydziestu - trzystu czterdziestu tysięcy ludzi, ale wiadomo, że

* Te dane czerpałem ze szkicu Andrzeja Paczkowskiego zamieszczonego w zbiorowej pracy autorów francuskich Czarna księga komunizmu Warszawa 1999 r. Jacek Trznadel polemizuje z nim, twierdząc, że opieranie się na danych NKWD jest mylące i nie powinno być stosowane. Nie odpowiadają one bowiem w żadnym wypadku rzeczywistej liczbie ofiar rzeczywista liczba zesłańców była parokrotnie większa. Oprócz tego blisko sto pięćdziesiąt tysięcy młodych mężczyzn wcielono siłą do Armii Czerwonej.

Tę pierwszą, piątkową akcję deportacyjną w Bokowie tak wspomina Adam Pilecki:

„Na plac przy »Sił Radzie« zajeżdżały sanie po saniach. Ukraińskim furmanom zrzedły miny, gdy wśród wygnańców znalazło się kilka rodzin ich nacji. Znacznie później zrozumieliśmy, że wywieźć na »białe niedźwiedzie« chciano wszystkich osiadłych na gruntach pochodzących z parcelacji folwarków.

Dokładnie o dwunastej ruszył żaloszny pochód. Starzy i mali opatuleni w łachmany jechali. Młodszy i silniejsi kroczyli obok san. Słomiane bury rozgar-] niały puszysty śnieg. Za pochodem zostawała szeroka droga, udeptana i twar - j da. Kulawy organista dzwonił na Anioł Pański. Powtarzanie tej czynności przez pięćdziesiąt lat weszło mu w krew. Kilkadziesiąt rodzin, które pozostały, wynosiło z chat, co kto miał: bochenek chleba, jakieś łachmany, buty, ba, nawet garnek

cieplej zacierki. Przyjmowano to bez słowa podzięk. Łzy obdarowanych i ofiarodawców były wystarczająco wymowne.

Szedłem w gromadzie rówieśników. Na liście nie figurowałem. Konwojenci nie przeszkadzali odprowadzać. Od sań Majcherczyków i Budzyków popłynęła pieśń: »Góralu, czy ci nie żak... Gdy zabrzmiało »odchodzić od stron ojczystych«, głosy ucichły, a ogólne łkanie zdławiło dalszy śpiew. Po chwili ktoś odporniejszy pociągnął solo: »Hej góral ci ja góral, hej spod samiuśkich Ta-] ter«. W tej pieśni czuć było jakąś nadzieję, wiarę w powrót.

Zadawałem sobie pytanie: - Czemu nie jesteśmy na liście, czemu tylko ich wzięto, dlaczego tylko dwie rodziny ukraińskie?

Czułem się jak zdrajca. Przeszedłem tak dziewięć kilometrów drogi, roz-l myślając o tym wszystkim. W Rudnikach stały już wagony towarowe. Nieszczelne i brudne. Piecyki węglowe dymiły raczej, niż grzały. W wagonie było i po kilka rodzin wraz z całym »dobytkiem«. Wszyscy dygotali z zimna, głodni] obdarci...”

Ten opis znamy. Powtarza się przy każdej miejscowości w ten mroźny feralny piątek. Deportacja w Bokowie świadczyła tylko o tym, jak władza luduj traktowała ten lud najbiedniejszy i Bogu Ducha winien.

No, właśnie. Czy na pewno aby Bogu Ducha winien? To głównie uderzyłoj mnie podczas lektury fragmentów tej książki, dotyczących Bokowa. Jak tenj lud zachowywał się, gdy został przez chwilę sam. Bez wszelkiej władzy. Za-i równo polskiej, jak i sowieckiej. Wolny i swobodny w połowie września 1939| roku. Opis tego daje sporo do myślenia:

„Uciekajcie, Janek! - szepnął Sławek Luty, drząc ze strachu. - W południe zabili pana dziedzica Gołębskiego i Gileckiego - dodał. Nie skończył. Banda zbliżała się zdecydowanie do wrót domu. Teściowa Aniela Rozumek z dziec-l kiem na rękę i synową obok stały przerażone na korytarzu. Przez oszklone drzwi widać było milczący pochód.

Wyglądali, jakby wracali ze żniw, wśród nich widzieliśmy najbliższych sąsiadów. Nie było czasu do namysłu. Padł strzał, teściowa osunęła się po ścianie. Bratowa Mania przejęła dziecko na swoje ręce. We troje zaryglowali się w spiżarce. Więzień nie wytrzymał, otworzył drzwi. Postąpił krok:

- Wiem bracia, po co przyszliście! Bierzcie życie, ale na rany Chrystusa proszę was, nie męczcie! - zawołał.

Jego mężna postawa onieśmieliła ich. Jednak on sam nie wytrzymał. Błysnęła siekiera, ucięła ramię Sławka Lutego.

Atakujący podali rannego do tyłu, a sami runęli w kierunku drzwi, które nie stanowiły żadnej przeszkody. Jak w świeże snopki wchodziły widły w ciało Janka z Szumlan herbu »Leliwa«... Ja z sześćdziesięcioletnim ojcem pełzałem wzdłuż rzędów niewykopanych jeszcze ziemniaków, w kierunku lasu. Płonęła Kaszczówka. Dookoła rozlegały się krzyki mordowanych, bił dzwon na

trwogęRano cichaczem skradaliśmy się do wioski... Widok naszego obejścia był

pożałowania godny... Za płotem u Kujawskich kilka kobiet lamentowało nad jakimś ludzkim strzępem. Podszedłem. W kałuży krwi leżał Broniek Kujawski. Domyślałem się tego raczej, gdyż owinięta w łachmany głowa straszyla tylko bezzębną szparą jamy ustnej. Wikta usiłowała wlać w nią kozie mleko, które brudnoczerwoną strugą spływało na odsłoniętą szyję. To właśnie on zwymyślał bandę, kiedy rąbała nasze drzwi. Wzywał też pomocy. Dzięki niemu uszliśmy z życiem' my, z naszej chatki..."

Dopiero prawdziwa wojna i wejście przyszłych konwojentów położyło kres tej rzezi. Rznął bidniak bidniaka za to, że bidniak i inny. To, co o wiele bogatsze Hadyńkowce ominęło bokiem, w Bokowie wybuchło z całą siłą. Pokazując, że człowiek morduje również tych, którzy nie mają nic. Ze zwykłej zemsty za własną nędzę. Straszliwa to lekcja...

Już wkrótce ci sami Ukraińcy, co wyrzynali podobnych sobie polskich łachmaniarzy, jak pisze Pilecki, równie gorliwie powtarzali wspomniany wierszyk, tyle że w wersji ukraińskiej, znanej mi od Olgi Wawrów: - Batku Stalin dawaj mylą, bo wże wuszy majut kryła... Po cichu zaś szeptali do ocalałego cudem autora: - Pilecki, to szcze tak ne budet - skarżąc się na wspólny nędzny los.

Mała to pociecha. Tę pierwszą rzeź ciężko było zapomnieć. Tylko ów Sławek Luty, z ręką odrąbaną przez broniącego się siekierą Janka z Szumlan herbu „Leliwa”, stał się rzecznikiem zgody i pojednania. To też dość znamienne.

RODZINA SZCZURKÓW

Jak w czterdziestym roku Moskale Mazurów z Zaremby wywozili - mówi Stepan Bodnaruk - to musiałem się stawić z saniami. Kazali o dwunastej w; nocy przyjechać do Sił-Rady na forszpan. Nie mówili po co i na jak długo. Ale tylko ukraińskim gospodarzom. Wiekowi Wawrowowi, Dobrzańskiemu i innym Polakom nie kazali się stawić. W chacie na skraju Zaremby żyła bogata kolonistka Jaroszka, to ją pierwszą załadowali do sań. A mróz był wtedy straszny. Ponad trzydzieści stopni. I ona biedna musiała na tym mrozie czekać parę godzin, aż ostatnie sanie załadują i nasz konwój ruszy. Kacapy celowo tak robili. Ludzie donieśli im, że Jaroszka kurgulka, więc specjalnie ją gnębili...

A ja swoimi saniami wziąłem najbiedniejszą rodzinę. Dwoje dorosłych i pięcioro dzieci. Bidniaki straszne. Szczurki się nazywali. Te dzieci bose, nagie, w cienkich szmacinach dygotały z zimna. To ja ściągnąłem z konia weretę, grubo tkaną, kupioną u tkaczy na Majdanie, tam cała wieś tkaczy, i okryłem te małe szczurki. One ze sobą wzięły do sań psa i koniecznie chciały z nim jechać na Sybir, ale Kacapy im zabronili. Zwierząt nie brali, tylko ludzi. Więc te Szczurki mnie tego Pikusia dały na przechowanie. Ten Pikuś po nich tak płakał, że pod oczami miał rowki całe wygnite od łez. W końcu zdechł z żalu...

Moskale przyrzekli' naszym bidniakom chaty po Mazurach. Wielu zaraz pobiegło się obłowić. Mój sąsiad paradował w kożusku, który tylko na Zarembie polscy osadnicy nosili.

No i siedzę ja sobie parę miesięcy temu na ławce w naszym parku Bloordale w Toronto i tuż obok słyszę nagle polską mowę. Nadstawiam więc ucha, ciekaw o czym te panie rozmawiają. A jedna z nich mówi, że tu do polskiego kościoła tak samo daleko, tylko wtedy szła na nogach, a teraz jeździ autem. Włączyłem się więc do rozmowy i pytam, skąd one są?

- Z tarnopolskiego - mówią.

- Ja też - ucieszyłem się.

- Ale naszej wsi to na pewno pan nie zna, bo to mała kolonia była...

- A jak się nazywa? - pytam.

- Zaremba - odpowiadają.

- To do kościoła w Hadyńkowcach miałyście panie cztery kilometry - śmieję się..

- Exactly\ - dziwią się. - A skąd pan wie?!

- Bo ja z Hadyńkowiec - mówię.

- No, to wie pan, że Ruscy nas z Zaremby wywieźli.

-Nie tylko wiem, ale ja sam saniami was wywoziłem do wagonów na stację w Hadyńkowcach... - Niemożliwe! - zdziwiły się.

- Możliwe. W pierwszych saniach jechała Jaroszka, a ja zabrałem rodzinę Szczurków...

- Szczurków! To my jesteśmy Szczurki! - wykrzyknęły.

- Niemożliwe! - Teraz ja się zdziwiłem, proszę pana. A to były te same małe szczurki, które ja wtedy okryłem weretą. Rodzice zginęli, a one wszystkie przeżyły. Dwoje mieszka w Ameryce, a troje w Kanadzie. Zaraz zaczęły mnie pytać o tego psa Pikusia, a jak im powiedziałem, że po nich tak rozpaczał, że rowki mu pod oczami od łez wygniły, aż w końcu zdechł, to tak płakały tu po nim w tym Bloordale Park, że nie mogłem ich uciszyć. W pół wieku po tamtym, lutowym piątku. Aż podbiegł do nich piesek taki sam, jakiego zostawiły w Zarembie. Jedna z nich krzyknęła:

- Pikuś! Pikuś! Chodź tu! - Dopiero wtedy się uspokoiły i po chwili odeszły. Tak tu było, proszę pana - dokończył.

Ionesco w swym modnym ongiś teatrze absurdu zadziwiał ludzi Łysą Śpiewaczką, gdzie był podobny dialog, a na końcu okazywało się, że rozmawiają ze sobą mąż i żona.

Tu pointa jest jeszcze niezwyklejsza. I bardziej dramatyczna. Jak życie...

GROŹNY SZKWAŁ

Pierwotnie w Nawiało nam burzę był wątek współczesny. Jego część oddzieliłem i tak powstał Młyn w piekarni - rzecz w formie lżejsza, bardziej rozrywkowa...

Wtedy, starając się opisać teraźniejszość, stanąłem wobec problemu realiów. Nie jestem muchą, czy pluskwą - jak nazywają brzydko mikrofon w ścianie - bym mógł podsłuchać rozmowy w piekarni. A na mój widok ludzie tężeją. Wiadomo - pisarz. Nawet jako psiarz z Websterem nie miałem szans. Nie odkryją przede mną swej duszy...

Czas więc zdradzić sekret mego warsztatu. Moim informatorem był Ciastowy Newyorker.

W języku amerykańskich służb specjalnych taki gość nazywa się deep throat - głębokie gardło. U nas - spółdzielnia ucho. Miałem więc w piekarni swoją wtyczkę. Spotykaliśmy się z Newyorkerem w „New Yorker Dęli” na Bay Street, żeby było śmieszniej. Tu nikt z piekarni nie mógł nas nakryć. Jako wytrawni spiskowcy zadbaliśmy o punkt kontaktowy, grunt wszelkiej konspiracji...

Gdy Newyorker był gotów, dawał mi cynk: - Dziś mam perłę, panie Jarosławie! Ubawi się pan setnie! - I już na wstępie referował rzecz z dialogami. Ucho miał świetne. Język też. Od razu widziałem wagowego Walcmistrza, czy piecowego Medalika. Imitował ich pysznie. Może zbyt złośliwie i z wyższością. Jako polonista z wykształcenia i eksdziennikarz, gardził ich prostactwem, często powtarzając w kawiarni: - W pana towarzystwie, panie Jarosławie, czuję, jak się odchamiam. Wreszcie właściwe milieu - podkreślał.

To odchamianie przypomniało mi nieco „odhultajanie” się stangreta Ambrożego w powozie hrabiego Cieleckiego.

Niemniej właśnie złośliwy Newyorker zbierał dla mnie materiał i realia z piekarni „Ontario Bread Company”, w której jako ciastowy pracował...

Towarzysz Stalin rozumiał problem literackiego tworzywa i takich jak ja literatów - zamkniętych w swojej wieży - jeśli nie wsadzał do łagru, to wysyłał w teren. Na tak zwaną delegację twórczą. By w kołchozach i fabrykach poznali prawdziwe życie mas. Głównie kierowano ich do hut i pegeerów, ale do piekarni też. Nie przypominam sobie jednak żadnego utworu o wypieku chleba w tej produkcyjnej literaturze - mój Młyn w piekarni jest więc pierwszy. Właśnie dzięki Newyorkerowi i metodzie donosu, która wtedy też była szeroko stosowana, zdobywałem niezbędny materiał.

Wysyłając pisarzy w teren, Stalin zachęcał ich do odwagi i nawoływał: - Potrzeba nam nowych Gogolów i Szchedrinów, towarzysze!

Nikt jednak nie był na tyle głupi, by pisać nowego Rewizora, i to z I Sekretarzem w roli Horodniczego. Sam pomysł był jednak zdrowy, tyle że nierealny. W tych próbach opisu prostych ludzi pisarze, zwani wówczas dumnie inżynierami ludzkich dusz, wypadli załośnię. Wyśmiano ich wraz z papierowymi bohaterami, których stworzyli, oskarżając o schematyzm i lakiernictwo. Tak

jakby krytyka rzeczywistości była specjalnością tamtego, stalinowskiego, okresu... Sporą przeszkodą był dystans między delegowanym pisarzem a jego bohaterami w terenie. Teren chciał wypaść jak najlepiej, kadził więc władzy i powstawały z tego koszmaki, które do dziś straszą w muzeum literackich osobliwości.

W opisach tych wypraw w teren stosunkowo najlepiej wypadł mój ojciec. Właśnie dlatego, że delegację twórczą głęboko schował do kieszeni i nie ujawnił. Zgłosił się do Fabryki Celulozy we Włocławku niejako pisarz, ale cieśla. Wraz z innymi stanął na placu i zaczął robić ośnikiem. Ociosywać drewniane bale. Ponieważ w czasie okupacji z konieczności przekwalifikował się z redaktora na stolarza, z tym ociosywaniem szło mu nieźle. Wkrótce wykonywał normę, a nawet ją przekraczał. We wszystkim co robił, musiał być dobry. W tym ociosywaniu też. Widząc w nim swojaka, robotnicy otworzyli duszę. Przestali się krępować. Tata sobie ciosał - a oni gadali. Te dniówki twórczej harówki trwały trzy miesiące, ale opłaciły się. Nikt nie wrócił z terenu z takim materiałem jak tata. Z tego doświadczenia i własnych przeżyć zrodziła się Pamiątka z Celulozy. I chociaż celuloza stanowi, jak wiadomo, podstawowy składnik papieru, ta powieść papierowa nie jest. Do dziś bohaterowie jej tchną życiem i wyróżniają się autentyzmem.

Nie każdego literata stać jednak na taką harówkę. I wyjazd w teren. Na pewno jako wagowy w „Ontario Bread Company” na Ossington Avenue skorzystałbym więcej. Nie potrzebowałbym zaczynać od pieca. Po prostu stałbym przy nim i słuchał. A Walcmistrz z Medalikiem by sobie gadali. Trudność w tym, że w piekarni jestem spalony. Każdy wie, kim jestem. Mogę co najwyżej wskoczyć do pieca, stamtąd garować i obserwować. Ale na taką ofiarę mnie nie stać. Nawet dla zdobycia prawdy.

Muszę zatem korzystać z niezbyt czystych metod. Spotykać się z moim deep throat w kawiarni i polegać na jego uchu. Z jego barwnych opowieści wyławiać prawdę nosem jak Webster pizzę w parku. Czasem Newyorkera przyłapuję na bladze. Gdy mu to mówię, obrusza się i unosi ambicją. Szybko więc łagodzę spór, by nie zostać bez „ucha” i nie stracić swego informatora...

- Pan, jako pisarz, panie Jarosławie - wyznał mi właśnie - świetnie wie, że w gruncie rzeczy prawdy o ludziach się nie dojdzie, bo my sami jej nie znamy. Przynajmniej ja o sobie nic nie wiem - wzruszył ramionami. - Mnie, Piotra Bielskiego, z zacnej kresowej rodziny, wciąż zadziwia i zastanawia niejaki Newyorker, który tu przed panem siedzi i któremu pan, notabene, chce cofnąć dziś akredytację jako pryncypał. Nie mogę dalej strzyc uchem w piekarni underyourprincipalship, jak mówią Kanadole...

- Może pan, panie Piotrze! - zapewniłem go.

- Dobrze, dobrze. Na tyle mi jeszcze mózg w ciasto nie wrósł, chociaż mógł. Jako ciastowemu! Nie? - westchnął ciężko. - Bo co ja tu robię, sweet idiot?! Niech mi pan powie? Nie, nie. To nie mogę być ja! To nie mogę być ja, panie Jarosławie! Ten gość, co przed panem siedzi, nie ma nic wspólnego ze mną. Nic! Nothing! - wskazał ręką na siebie.

Teraz też miałem to wrażenie, że mówię z kimś innym. Wesoły Newyorker zniknął raptem, a przede mną wyrósł Piotr Bielski. Zrobiło mi się go żal. Byłem pewien, że rolę „ucha” przyjął z pogodą ducha, a on tymczasem gryzł się. Tylko pokrywał wszystko błazenadą. Taka jest chyba

prawda na dnie Newyorkera myślałem.

- Wie pan, kto to jest Ostap Ortwin? - zagadnął mnie nagle.

- Oczywiście. A dlaczego pan pyta?

- Mały test, mistrzu. Na pańską wiedzę. Więc kto? - wrócił do dawnej roli Newyorkera.

- Ostatni prezes przedwojennego Związku Literatów we Lwowie.

- Brawo - pochwalił mnie.

- Ostap Ortwin pięknie się spisał podczas pierwszego wejścia Rosjan. Trwał bohatersko w swym gabinecie. Jak przed wojną - ciągnąłem dalej...

- Zgadza się - poświadczył.

- Mimo że większość literatów, niestety, opuściła go. I odeszła...

- Dokąd?

- Do nowego Związku Pisarzy.

- Ale gdzie on był? Ten nowy Związek Pisarzy? Oto jest pytanie? - egzaminował mnie dalej.

- Jak to gdzie?! - powtórzyłem jak uczeń.

- Chodzi mi o adres tego nowego Związku Pisarzy, panie Jarosławie. W listopadzie 1939 otrzymał on od władz nową siedzibę. Tam otwarto ten słynny klub ze stołówką, co tak przyciągała brać literacką...

- To prawda - potwierdziłem.

- U Ostapa Ortwina pozostały zasady. A tam mieli obiady - ciągnął mentorskim tonem. - W życiu zaś zawsze zwycięży koryto, panie Jarosławie. Piekarze, pisarze - wsio ryba! Tyle że w piekarni człowiek dosłownie stoi nad korytem i maca ciasto. Dla chleba naszego powszedniego, dla chleba - dokończył z ironią.

Ten nagły skok z piekarni w Toronto do Lwowa zirytował mnie. Co ma piernik do wiatraka? On chyba ma kuku. Niegroźne, ale ma. Te skoki są syptomatyczne - przyjrzałem mu się bliżej. Choć jak na piekarza - szczyt luminarza. Erudyta znad koryta. Trzeba mu przyznać, szydziłem w myśli.

On tymczasem perlił się i skrzył, chcąc wytknąć mi luki w wiedzy o okupacji sowieckiej we Lwowie. Ten ton stawał się coraz bardziej nieznośny... Co jest?! Masz mi kablować z piekarni, a nie przesłuchiwać w kawiarni! Opanuj się, chłopie! - wściekałem się w duchu.

On tymczasem z uporem wrócił do ostatniego pytania:

- Może mi pan łaskawie zdradzić, panie Jarosławie, gdzie mianowicie mieścił się ten nowy Związek Pisarzy Sowieckich, mam na myśli ulicę, rzecz jasna, i do kogo należał przed wojną ten dom. Dla ułatwienia dodam: pałacyk - rzekł, jakby prowadził quiz telewizyjny. - Na pańską odpowiedź nie liczę, bo pytanie jest równie podchwytliwe, jak podstępny był ów figiel historii, który pana na pewno, jako pisarza, zaskoczy - dokończył wyniośle.

- Nie zaskoczy mnie, panie Piotrze - odparłem mu równie wyniośle - i służę uprzejmie odpowiedzią. Nowy Związek Pisarzy mieścił się przy ulicy Kopernika. Czy tak, profesorze?

- La!?! Punkt dla pana, mistrzu! Brawo! - przyklasnął z zawodem. - Ale dokładnego numeru domu to na pewno pan nie zna - pocieszył się zaraz...

- Znam - rozczarowałem go szybko.

- Ej że?! - uniósł brwi z niedowierzaniem. - To słucham?

- Czterdzieści dwa. Dokładny adres brzmi: Lwów, ulica Mikołaja Kopernika czterdzieści dwa, panie Piotrze - zakpiłem z niego w żywe oczy.

- No, nie! - wybuchnął zdetonowany. - Jak pan mi jeszcze powie, do kogo należał ten pałacyk, to padnę trupem!

- To nie będzie łatwe. Przyznaję - westchnąłem ciężko.

- Myślę - potaknął prędko.

- Mój przyjaciel Janusz Wasylkowski może by wiedział...

- Też pewnie nie - rzekł chełpliwie. - Głowę dam, że nikt w Polsce nie wie. Prócz Newyorkera...

- Imnie, cholera...

- Pana?! - zdumiał się.

- No, tak - bąknąłem skromnie.

- Nie wierzę. To do kogo? Niech usłyszę, mistrzu! - teatralnie nadstawił ucha. Zrewanżowałem mu się równą teatralnością i po długiej, aktorskiej pauzie zaanonsowałem jak lokaj na scenie:

- Do hrabiów Bielskich, panie Piotrze. Pałacyk ten należał do hrabiów Bielskich, oczywiście - doniosłem godnie.

- La! To mnie pan upiekł, kurczą. Jak mówi Major w piekarni. Goodjob, towarzyszc. Job, job, non stop! Congratulation, sir - pokłonił mi się nisko. - Skąd pan to wie, do diabła?! Łeb bym dał sobie uciąć, cholera...

- To biorę łeb Newyorkera! - wskazałem na jego głowę

- Tylko nie Newyorkera, błagam! - przerwał mi. - Niech przynajmniej tu od niego odetchnę. Przy panu - spowaźniał nagle. - Ale słowo się rzekło. You 're right. To nie sfory piekarnicze. W naszej sferze słowo - to słowo. I trzeba coś zrobić z tą głową. Jakiś użytek...

- Najwyższy czas, panie Piotrze.

- Baa! - potarł dłonią skronie. - To nie takie proste. Dużo by o tym mówić. Ale wracając do testu, to zastrzelił mnie pan. Przecież pan nie Lwowianin?!

-Żoliborzanin...

-I taki mi pan wyciął numer. Dokładny...

- Pan też, widzę, orzeł w tym temacie...

- Ja to z mlekiem matki wyssałem. Ale pana sporo trudu musiał kosztować ten research. Sorry. Dokumentacja. Zaśmiecą już tę polską mowę, a poloniście i eksdziennikarzowi nie wypada!

-Przesada...

- O, ja. For surę. No, masz! Znów zamiast rzec jak prawy Polak: - O, tak, na pewno - mówię: - O, ja, for surę. Najlepszy dowód, panie Jarosławie, że zaśmiecą tę naszą mowę, choć nie wypada. O, Boże - stęknął. - Tylu rzeczy nie wypada, co? Mówię o Polsce. Bo tu - machnął ręką - liczy się łeb. Tylko łeb! Głowa, której pan ode mnie słusznie się domaga. Resztę to oni olewają. Pełny luz. Tu nikt nie męczy się w gorsecie. I to mi się podoba. Profesor wyklada w dzinsach i adidasach, student rzuca nogi na stół i okay. Byle miał głowę. A to,

że tam beknie bez sorry, czy kichnie jak grzmot?! Bóg z nim! And God blessyou! - uniósł wytwornie kubek. - Gdybym ja tak u swojej ciotki lub wujka czknął z lubością czy oblizał z cmoknięciem palce! - Jezu! Świat by runął, a moja matka wraz z nim! For surę! - zaśmiał się. - Awansowałem na Newyorkera. Mogę być szefem protokołu wśród nowo przybyłych mułów. Walcmistrza, Medalika itp. I dużo mi dała ta moja sfera - skończył szyderczo.

- Z tego wnoszę, panie Piotrze, że ci Bielscy ze Lwowa to jakaś pana rodzina?

- Dość bliska. Unbelievable, co?! - przygryzł wargi. - Trudno uwierzyć. Ja sam w to nie wierzę - przez chwilę zagaszony skubał serwetkę. Chcąc go pocieszyć, huknąłem dziarsko:

- Znaczą pan z hrabiów, panie Piotrze!

- Ciastowych - zbył mnie żartem.

- A ci hrabiowe Bielscy z pałacyku? - dopytywałem się dalej.

- Ta sama podolska linia. Naszym rodowym gniazdem były Pieniaki ze starym obronnym

zamkiem, panie Jarosławie, znaczy Bielskich z Olbrachcic herbu „Jelita”, bo tak brzmi nasze pełne nazwisko. Moim przodkiem był zarówno Antoni Bielski, nadworny łowczy koronny Stanisława Augusta, jak i Józef Bielski ze Stratyna, kasztelan halicki. Do nas należał też zamek w Sidorowie, o którym pan kiedyś wspomniał...

- Nie kiedyś, tylko na pierwszych stronach Nawiało nam burzę i tej książki. To przecież pod Sidorowem w Miodoborach hrabia Cielecki, korzystając z *carte blanche* sąsiadów hrabiów Bielskich, szukał w ich dobrach złotego runa i starożytnych skarbów. Kopał swą łopatką wokół „wału Trajana”...

- I dokopał się. Ja to mały wał?! Nieźle znaleźliście, panie Jarosławie - rzekł szyderczo.

- Ogromne. Nawet pan nie wie jakie!

- Przesada, ale miła...

- Jeżeli - to zbiegu okoliczności. Czy to nie dziwne, panie Piotrze, że pański przodek znał osobiście mego bohatera i dziś po dwustu latach na innej półkuli ja się o tym dowiaduję?! Tylko życie mogło sprawić taki cud. No i?! Niech pan mówi! Znaczą ci lwowscy Bielscy to pana krewni?

- Tak. Tyle że mój dziadek, a ściślej pradziadek, został w rodzinnym majątku, a jego brat po studiach przeniósł się do Lwowa. Mój dziadek Leon, którego pamiętani z Wrocławia, ukrywał się u Bielskich we Lwowie w czasie wojny. Jako młody oficer mieszkał przez jakiś czas nad tym Klubem Literatów na Kopernika, bo ich oczywiście z głównych pięter pałacu wysiudali won, łaskawie przydzielając poddasze...

- Dobrze, że nie wagon...

- Wagon też. Ale to dopiero w kwietniu 1940 roku.

- Podczas tak zwanej drugiej wielkiej wywózki - uściśliłem.

- Tak jest. Na razie Ruscy oswajali zwierzynę. Potrzebowali hrabiów do dekoracji, dla ozdoby demokracji - zachichotał ubawiony własnym rymem.

- Nie tylko hrabiów, panie Piotrze...

- Ten mój stryjeczny dziadek zdążył jeszcze powitać z nimi Nowy Rok, zanim go, w ramach noworocznych życzeń, nie wywieźli do Kazachstanu. Gdzie zmarł w niejasnych okolicznościach. Ojciec twierdził, że albo z głodu, albo popełnił samobójstwo. W 1939 roku, ściągnięty z górki swego pałacyku i odkurzony, czynił honory pana domu na balu sylwestrowym. Niezła szopka noworoczna, co?

- Stalinowska. Stalin był mistrzem. Geniusz jasełek. Muppet Show stulecia. Tak dyrygował swymi kukłami, że uwierzyły we własne życie. Podskakiwały wyżej niż ludzie. Nieludzko.

- No. Jak mój dziadek stanął we fraku ze śnieżnym torsem i wzniósł kielich szampana...

- To zaraz czerwoni wydali się mniej czerwoni...

- Zwłaszcza pańskim kolegom. Niestety. Nazwiska zmilczę. Nie najpiękniejsza to karta naszej literatury. I świadectwo postawy naszych kochanych intelektualistów...

- Liczyli, że uda im się we Lwowie stworzyć polski Piemont. I będzie można tego syberyjskiego niedźwiedzia jakoś oswoić.

- Srająmuszki, będzie wiosna! Wybielają się, szmaciarze. A kto tam wtedy nie tańczył na tym balu? I nie podskakiwał w „Czerwonym Sztandarze”?! Rzygać się chce. Pełny paw. I to nie narodu. Narodów ZSRR. Bo wszyscy wstąpili do tego nowego Związku Pisarzy...

- Oprócz Beaty Obertyńskiej, którą traktowano zresztą jak zadżumioną, Herminii Naglerowej, Stanisława Yincenza i paru innych. Oczywiście Ostapa Ortwina...

- No, właśnie. I nikt o nim słowa nie pisał.

- Adolf Rudnicki. Tuż po wojnie napisał o nim opowiadanie.

- Gdzie?

- W Ucieczce z wielkiej polany. Nazywało się Wielki Stefan Konecki. - TooOrtwinie?!

- Tak. Tylko Rudnicki zrobił z niego Koneckiego.

- Jak ja z siebie Newyorkera?!

- To było opowiadanie z kluczem. Rudnicki nie mógł powiedzieć całej prawdy, więc ukrył go pod pseudonimem. Ale ludzie wiedzieli, o kogo chodzi. Zwłaszcza ci, co byli we Lwowie. Jak pański dziadek...

- Biedny Ortwin. Po wojnie kolega pisarz musiał go ukryć, mimo że on sam w czasie wojny działał jawnie. I za Rusków, i za Niemców. Nie uciekł ze Lwowa, chociaż, jako Żyd z pochodzenia, był podwójnie zagrożony. Ale nie włożył opaski i olewał Ordnung niemiecki. Czuł się Polakiem.

- Bo nim był, panie Piotrze. Największym. Większym od tych z zacnym rodowodem. Był Wielkim Stefanem Koneckim. I takim go Rudnicki przedstawił.

- Tyle że pod fałszywym nazwiskiem. Ukrył przed światem... - Cenzurą...

- Swoją. Typowy wykręt autorów krajowych na tłumaczenie własnej cykorii. Sorry, panie Jarosławie. Za tę przykrą prawdę...

- Nie każdy był Ortwinem, panie Piotrze. W końcu Niemcy go rozstrzelali. Świadomie wybrał śmierć.

- Niż hańbę domową. Zgadza się - potwierdził.

- Były jeszcze inne drogi - przypominałem.

- Z których oni nie skorzystali. Niestety. Większość poszła na pasku. I kolaborowała. Nie mówię o Rudnickim. On akurat nie słał Stalina i nie dziękował mu za wyzwolenie spod jarzma polskich panów, czyli nas, Bielskich, którym słusznie zabrano pałacyk, przydzielając go ludziom pióra, by kwitła radziecka kultura! - wznosił ze wzdrganiem kubek w górę!

- Strasznie pan szydzi z moich starszych kolegów związkowych...

- Bo zasłużyli na to we Lwowie, wszarze!

- Ale ja ich znałem w Warszawie, panie Piotrze! Szanowałem. Pod patronatem jednego z nich zakładałem mój pierwszy kabaret, który zresztą przedpaździernikowa cenzura nam zdjęła...

- Powinszować patrona...

- Świetny pisarz. Żaden fanatyk. Raczej sceptyczny mędrzec i filozof. Mistrz aforyzmu. Wkrótce podbił Europę. Wróg dyktatury i dumny dziedzic śródziemnomorskiej kultury...

- Czyli kto, panie Jarosławie? Tu w Kanadzie nie musi pan używać klucza. Nazwisko tego mędrca, proszę?!

-Po co?!

- Bym sprawdził, jak się spisał we Lwowie...

- Podle. Z góry panu mówię. Przecierałem oczy, gdy go czytałem. Forma jeszcze uszła, ale treść?! Agitka najgorszego rzędu. I co go napadło?! Jak mógł się zwieść tym prostackim hasłem przy tej klasie umysłu?

- Poza klasą jest jeszcze charakter, panie Jarosławie. Którego temu mędrcom zabrakło. Załamał się, wieprz śródziemnomorski. I ruszył do koryta. Zgodnie z wizją Orwella, knur...

- Samym korytem i bydlęcym strachem pan tego nie wytłumaczy. On chyba naprawdę wierzył w ten raj. Jako przedwojenny lewicowiec.

- Znaczący debil. I żłób! Jak ciemny chłop mógł w mig rozeznaczyć się w grze Stalina, a on musiał latami dojrzewać - znaczący młot. Zacończony w rozwoju...

- Nie młot. Młot by tak mądrze nie pisał...

- No, mówię. Z czasem przejrzał na oczy, skurwiel. - Nie skurwiel. Delikatny, subtelny pan. Sam urok...

- Stalina. Nadziei świata. I sokoła Kaukazu...

-No, właśnie. Jak mógł go wielbić? Drugiego, równie świetnego artystę...

- Kogo, mistrzu?! Konkretnie! Niech pan skończy z unikami. Przynajmniej w Kanadzie. I zdradzi, kto ten drugi?! Skoro tak kryje pan pierwszego.

- Adam Ważyk. Okay?

- Kochany Adam Ważyk! - krzyknął z triumfem. - O którym Tuwim napisał fraszkę: „Wyrzuć swe pióro i kałamarzyk. Poeto Adam, nazwiskiem Ważyk”?!
- Ten sam, panie Piotrze...

- Od razu trzeba było tak mówić. Mój faworyt. On też we Lwowie zapomniał o poetach francuskich, których wielbił przed wojną, i zakochał się na śmierć w towarzyszku Majakowskim i jego czerwonych schodkach. Wchodził na nie z bolszewickim naganem. Po wojnie też trząsał literaturą i literatami. Główna tuba propagandowa KC.

- Do 1955 roku. Bo potem Poemat dla dorosłych zatrzęsł z kolei gmachem KC. Co poniektórzy towarzysze z Biura Politycznego zgłupieli. Z Bolesławem Bierutem i Konstantym Rokossowskim na czele. To był pierwszy znak odwiliży i Października, panie Piotrze. Potem ruszyła lawina. Ale kolejni I Sekretarze PZPR nie mogli mu darować tej podłej zdrady i złamania dyscypliny partyjnej. Właśnie jemu. Swej tubie. W armii i na akademiach wciąż śpiewano jego hymn I Korpusu Spoza gór i rzek, a autora słów nęcano do śmierci. Malutki zaś, schorowany Ważunio, z amputowaną na starość nogą, znosił te szykany z pogodą ducha. Popijał sobie wódeczkę, pisał świetne eseje i wiersze, znów tłumaczył swoich ukochanych poetów francuskich i ze stoickim spokojem obserwował kolejne wyczyny aparatu władzy...

- Który sam stworzył. Niezły Ważunio. Powinien mieć proces - rzucił z pasją.

- Wielki poeta i tłumacz. Erudyta prawie jak pan, panie Piotrze. Przez następne trzy dekady wykazał wielką godność i charakter, których innym zabrakło. Ja bym z niego tak nie szydził. I nie potępiał w czambuł. Odcierpiał swoje i odpokutował...

- I co z tym pańskim Ważuniem, mistrzu? - dociskał mnie dalej po chwili.

- Kiedy już po stanie wojennym w przyływie szczerości zapytałem go przy wódce w Spatifie: - Panie Adamie. Niech mi pan wytłumaczy? Jak pan, wyrafinowany poeta, miłośnik francuskiej awangardy, mógł pisać i robić to wszystko? - Oszalałem, oszalałem, drogi panie! To było szaleństwo - odparł krótko, trzepocąc rękami, i zmienił temat.

- Najłatwiej tak tłumaczyć się - skwitował to Newyorker. - A co z patronem kabaretu?

- Gdybym w 1955 roku znał jego lwowską przeszłość, pewnie bym inaczej słuchał facecji i witzów z czasów CK Monarchii Austro-Węgierskiej i raczej spytał o okres rządów CK WKP(b) na Ukrainie, których był tak aktywnym świadkiem...

- Pewnie by pan nie spytał, mistrzu. I też się bał...

- Możliwe. Nie było to zbyt bezpieczne za późnego Bieruta. Zgadzam się - przyznałem.

- A gdyby - to i tak by panu nie odpowiedział. Jak Ważyk. Uznał rzecz za niebyłą. Małą przerwę w życiorysie. I to równie podle...

- Był galicjaninem pod dużym urokiem Franciszka Józefa. Pamiętał go z dzieciństwa i wspominał z wielkim sentymentem. Wyraźnie nam, młodym, dawał cynk, że monarchia habsburska była o wiele liberalniejsza i sprawiedliwsza niż rządy partii, do której należał. Po cichu nazywał się monarchistą. Półzartem, oczywiście. Mnie, wierzącego wtedy, wstyd przyznać, w reformę socjalizmu, te jego poglądy lekko śmieszyły. Wydawały się wsteczne. A nawet reakcyjne. Po prostu nie z tego świata. Słuchałem ich jednak jak nieziemskich bajek. Dziś sądzę, że te bajki odegrały sporą rolę w mojej edukacji. Pomogły mi szybciej wyzbyć się złudzeń co do ustroju, w którym żyłem. Zbliżyć do Europy. I odsowietyzować. Bardzo mu jestem wdzięczny za te gawędy w kawiarni naszego Związku Literatów...

- No i?! - spojrzał na mnie wzrokiem prokuratora.

- W związku z tym nie chcę go wydać. Czułbym się trochę jak kapuś...

- Nie musi pan. Mimo pańskich uników, cny twórco krajowy, wiem, kto to jest. I nawet zacytuję panu jego wierszyk z epoki...

- Zdziwiał mnie pan, panie Piotrze. Swą erudycją...

- To moje hobby, panie Jarosławie. I sens życia. Łowię te perły od czasu studiów. Bardziej niż słówka kumpli z piekarni, które znoszę panu jak kurka. I bawię się nimi jak w kabarecie. Oto strofy pańskiego mistrza, mistrzu:

„Którą poeci wyśpiewali

ojczyzna, co to od Kamczatki

po szynach pędzi aż po San,

którą jak mleka pełny dzban

podają dzieciom czułe matki

-to Stalin.

Którą wykuło stu kowali

w pieśni i w czasie i w przestrzeni

w węglu i w miedzi, w srebrze wód

ojczyzna, której żaden knut

już swoim świstem nie ocieni

- to Stalin!...

I moja lira z nowej stali i dumnie przemieniona muza, obywateli jasny wzrok i głos i odech, myśl i krok i wolność, która nas odurza

- to Stalin.”

Tak pisał w „Czerwonym Sztandarze” w grudniu 1939 roku mistrz pańskiego kabaretu Stanisław Jerzy Lec, panie Jarosławie. W wierszu Stalin - spojrział na mnie z triumfem. - A List przesłany poetą do Kijowa w listopadzie tegoż roku zaczynał od słów:

„Przywitajmy się dzisiaj spowici jedną ojczyznę - już nie dzieli nóż Zbrucza chleba Ukrainy”...

Dobry ten nóż, nie? Oni nam go wbili, a on opiewał ojczyznę, której żaden knut świstem nie ocienił. Dumnie przemieniona muza? Zastrzeliłem pana, co, panie Jarosławie? Tym chlebkiem Ukrainy? Jako zwykły ciastowy...

- To prawda. Wziął mnie pan na widelec, panie Piotrze. Przyznaję...

- A, widzi pan! - podskoczył z radości.

- Bo „Widelec” nazywał się ten mój pierwszy kabaret - wyjaśniłem.

- Tak ostry?

- Dość. Każdego za wzorem mistrza braliśmy na widelec:

„Raz na widelec, raz na widelec! Widelec? F&fe-Lec!”. Tak bowiem brzmiała tytułowa piosenka Joanny Kulmowej. Z grą słów: Patrz - Lec. Vide - Lec!

- Z nowej stali! - ryknął serdecznie. - Super żart. Z podwójnym dnem. Po tej „lirze z nowej stali”.

Przypomniałem sobie opowieść mego sąsiada, poety z grupy „Skamandra”, Aleksandra Maliszewskiego. Podczas okupacji złożył mu wizytę kapitan Wehrmachtu. Na szczęście Maliszewskiego nie było w domu i żona odparła, że mąż jest w pracy.

- To proszę mu powiedzieć, że ja tu jeszcze zajrzę - odparł kapitan, zsalutował i wyszedł. Pan Aleksander na wszelki wypadek trzy dni nie nocował w domu.

- Po wojnie Lec podszedł do mnie w kawiarni Związku Literatów - mówił Maliszewski - i z czarująco niewinnym uśmiechem oświadczył: - Ty wiesz, Olek, że tym niemieckim kapitanem to byłem ja. To ja wtedy złożyłem ci wizytę - i zaśmiał się ze swego żartu. - Myślałem, że go zabiję - dokończył Maliszewski.

Okazało się, że Stanisław Jerzy Lec podczas okupacji ukrywał się w mundurze oficera niemieckiego. Z jego pochodzeniem taka postawa wymagała odwagi graniczącej z brawurą.

- Nie wiedziałem wtedy o tej twórczości, panie Piotrze - rzekłem głośno. - A program „Wideleca” cenzura zdjęła z próby generalnej w 1955 roku. I nic nie pomógł tu Lec ani jego lwowska lira...

- Aleja tę lirę znałem, mistrzu. Dziadek Leon widział Lecą w akcji w 1939 roku. Podobnie jak innych gwiazdorów PRL-u. Ze swego poddasza miał niezły punkt obserwacyjny na to dno i cyrk stalinowski. Widział, jak ci pańscy gawędziarze z kawiarni ZLP wychwalali pięciolatki, pędem gnając na obiadki. Wolność ich odurzała, cholera, w czasie gdy ludzi jak bydło pędzili do wagonów...

- Wielkie wywózki zaczęły się później, panie Piotrze. Gwoli ścisłości - przypomniałem.

- Po wywózkach też chwalili ten raj. A najgorsze, że wielu z nich ma dziś za to ulice, podczas gdy Ostap Ortwin dalej schowany jest pod korcem. Nawet najciemniejszego zaułka mu nie przydzielili. Cicho sza! Pełna zmowa milczenia. Może by pan tak, panie Jarosławie - podpuszczał mnie - napisał o tym jedynym sprawiedliwym w tym lwowskim stadzie świń, co wciąż uparcie urzędował w pustym gabinecie dawnego Związku Zawodowego Literatów Polskich, bez zawodowych literatów polskich. Bo ich już tam nie było. Masowo wstąpili do nowego Związku Pisarzy Ukrainy. Z zawodem zostawiając prezesa - dobił ich grą słów.

- To prawda. W starym ZZLP na Akademickiej został tylko on i sekretarz Zarządu Teodor Parnicki, którego zresztą wkrótce aresztowano. Henryk Vogler mówił mi, że ogromny, siwy, nieruchomy Ortwin w tym gabinecie miał w sobie coś niemal kamiennego...

- No, proszę. Najwyższy czas się nim zająć - podpuszczał mnie dalej. - Świadków pan znał, w tym Związku w naszym pałacyku nie zdążył pan być, jak pańscy starsi, mili koledzy z ZLP, których pan tak dzielnie broni z zawodowej solidarności. Konto więc ma pan czyste - może pan pokazać ten nasz lwowski chlew, do którego szczęśliwie pan nie dorósł. Nie utyłł się pan w tym gnoju jak ja w mące, cholera. Z racji wieku. To był żart, oczywiście. Dość świński. Przyznaję - zachichotał. - Nie chciałem pana broń Boże urazić. Zna pan mój język, panie Jarosławie. Czasem przesolę. Sorry. Nie wziął pan chyba tego serio?

- Jak najbardziej, panie Piotrze. To kluczowe pytanie. Często je sobie zadaję. Jak ja bym się zachował w tym stadzie świń, jak pan mówi...

- No, właśnie. Ciekawe - spojrzał na mnie z ironią. - Bo to była próba charakterów. Niewątpliwie...

- Może bym tak nie chwalił Stalina - rzekłem po chwili - ale daleko mi do klasy Ortwina. To pewne. Na taki hart ducha nie byłoby mnie stać. Nie jestem ze spiżu...

- To niech pan przynajmniej na jego pomnik zasłuży - przerwał mi. - Bo na starszych kolegów nie ma co liczyć. Zbyt uświnili się w tym folwarku zwierzęcym, I Ortwin działa na nich jak płachta

na byka. Jest wyrzutem sumienia. Uciekają przed nim co sił. A temat jest. Przyzna pan?

- Wielki. Wielki dramat, panie Piotrze.

- I farsa. Bo niech pan słucha - ożywił się. - Polski prezes bez polskich członków. Sam...

- Niezbyt polski - dodałem - żeby było śmieszniej.

- No, tak. Żyd, cholera. Słusznie. Ma pan rację...

- Powinien więc pierwszy narobić w majtki. Zgodnie z tradycją krzyknąć: Uś! Aj waj!
Gwałt! - i wiać gdzie pieprz rośnie...

- Niby tak - zgodził się.

- A on tymczasem, panie Piotrze, w reducie...

- No - podchwycił. - Trwa jak Sowiński na Woli. Woli śmierć. Walczy z pierwszymi
Ruskami, a potem z Niemcami. Na dwa fronty, cholera. I do tego bez Polaków! Bo Polacy uciekli
na szeroką Ukrainę. Do Sajuza Pisatielej! Dekują się w sowieckiej stołówce, czekając na lepsze
czasy. A póki co sławią ją pod niebiosami! No, co?! Złe kino?

- Straszne. Nikt tego nie kupi. To nie jest postać na nasz pomnik - wtrąciłem.

- Dlaczego?

- Nagle Ortwin. Ostap? Taki kozak?! „Coś” to nie tak, panie Piotrze. Czuję, że wpuszcza mnie
pan w maliny. Nie jest to typ na naszego bohatera...

- Dla przeciętnego Newyorkera? Bomba, uważam...

- Może dla Newyorkera, ale nie dla rdzennego Polaka. Boję się, że on nie przyjmie Ortwina do
narodowego Panteonu. I nie pokocha...

- Why not?! Berka Joselewicza jakoś pokochał...

- Berek zginął pod Kockiem. Wiodąc dzielnych chwatów! - No?!

- A Ortwin legł bez bitwy i bez literatów! Różnica...

- Jaka?! W końcu Berek stworzył oddział z żydowskich ułanów!

- A Ortwin oddział związkowy z byłych polskich panów! Z byłych! - podkreśliłem. - Bo oni
już panami polskimi nie chcieli być! Za skarby! Ciężył im ten wstrętny, przedwojenny balast i aby go
się pozbyć, masowo wstąpili do sekcji kajakowej...

- Po co? - spytał zdziwiony.

- Po to, by nie trwać biernie na boku jak Ortwin, tylko czynnie włączyć się w główny nurt - odparłem.

- Na kajaku?

- Tylko! Kajak lub błotna kąpiel. Inaczej był pan dalej panem, a nie kajakarzem. Wolnym obywatelem Kraju Rad, panie Piotrze!

- To jakaś metafora?

- Krajowego autora - odciąłem się. - Tym razem mój test na pańską wiedzę. I stwierdzam: kiepska. Duże braki. Nie wie pan, co to sekcja kajakowa? Dziadek nie mówił?!

-Nie...

- Znaczy nie kajakarz. Nie kajał się przed komisją, obiecując poprawę. Bo to był warunek przyjęcia do sekcji polskiej Sajuza Pisatielej USSR.

- Weryfikacja jak w stanie wojennym?

- Gorzej. Bardziej proces pokazowy. Oskarżony musiał się publicznie opluć i odciąć, obiecać poprawę przed całą salą i dopiero wtedy, ewentualnie, w drodze łaski, przyjmowano go do tej sekcji polskiej, w której musiał się wykazać, że zasłużył na ten zaszczyt! No i wykazywał się. Kaja-kaja-kajakarz.

- Kajał się. Kapuję...

- Kapował też. Jasne. I trzeba było ten sabat czarownic jakoś odreagować. Więc go wyśmiewano. Myślę, że wtedy zrodził się żart, który potem krążył u nas w Domu Literatury w czasach stalinowskich: „Warunek przyjęcia do ZLP? Wydanie dwóch książek lub dwóch kolegów”. We Lwowie przyjmowano raczej na tej drugiej podstawie. Bo z książkami było gorzej. O prowokacji NKWD w restauracji Aronsona, w tak zwanym Ognisku Inteligencji, dziadek chyba panu mówił...

- Trochę dziadek, a trochę Aleksander Wat. W Moim wieku. Bo jego wtedy w tej knajpie aresztowano...

- Chodziło o Broniewskiego. Sprawiał kłopot. Jako poeta - wiadomo. Bard rewolucji. Jeszcze w pańskiej Polsce sławił płonące piece Magnitogorska.

- To prawda - przyznał. - Przedwojenny komuch. Kajać się nie musiał. Chyba że za wyprawę kijowską...

- Którą ukończył w stopniu porucznika - dodałem.

- No, sir - obciął mnie. - Porucznikiem był mój dziadek Leon, a Władysław Broniewski wyszedł z wojny bolszewickiej w stopniu kapitana. Obniżył pan rangę poecie. On by panu tego

nigdy nie darował. Cenił sobie ją wyżej niż poetycką...

- Podobno. W każdym razie na froncie spisał się świetnie. Za męstwo w polu otrzymał krzyż walecznych - zrehabilitowałem się.

- No, sir - zagiął mnie znów. - Z przykrością stwierdzam braki w wiedzy na temat odznaczeń poety, mistrzu - mścił się za klęskę w sekcji kajakowej. - Władysław Broniewski był kawalerem orderu Virtuti Militari - zadał mi decydujący sztych.

- No, nie, panie Piotrze! Co pan z tą wiedzą o medalach robi przy Medaliku?!

- Macam ciasto. Gdzie znajdą lepszego ciastowego?! - zaśmiał się.

- Nigdzie - przyznałem.

I co on robi w piekarni z tą głową?! Ciastowy. Rasowy intelektualista ciastowy. Do tego hrabia kresowy. Z ruinami zamku obronnego w Sidorowie. I moja wtyczka. No, nie. Pełny bzik tropikalny. Postać z Witkacego. Nie na darmo pisał z niego pracę magisterską. Próbowałem go spytać o piekarnie, i Medalika, ale on wyraźnie wolał Broniewskiego. W tym się wyżywał. To był jego prawdziwy świat... Też musi odreagować, biedak, pomyślałem. I za swoją piekarnię rżnie lwowską świniarnię. W Toronto. Jak ukraińscy bidniacy polskich sąsiadów w Bokowie. Mści się za swój garbaty los. Zamiast wziąć się w garść. I zrobić użytek z tej głowy, którą dostał po zacnych przodkach. Wielkich łowczych koronnych...

- Dziadek był z nim na wódce - ciągnął Newyorker. - I nabuzowany Broniewski bluzgał mocno na Kraj Rad. Rad z niego nie był - zakalmburzył znowu, co stawało się z wolna drażniące. - Dziadek Leon zwierzył się poecie, że planuje ucieczkę przez Węgry do armii Sikorskiego.

- Brawo! - uściskał go Broniewski. - Idź i walcz, brachu! Jedyna droga, by nie zginęła! I nie zginie! - rąbnął w stół. - Władek ci to mówi! We Lwowie. Zawsze wiernym. No, może dziś ciut mniej - mrugnął. - Mmejsemperfidelis - ale wróci. Wróci, wróci. Wywalczymy go. Bagnet na broń. Jak w Legionach. Za twój marsz do Niepodległej, kolego! - wznosił toast. - Tylko w Sikorskim nadzieja. Bo tu - rozejrzał się - Bal u Senatora. Bal u Senatora, brachu. A raczej Stalina! - wyszeptał. - Nasz wieszcz Adam wszystko przewidział. Liczbę 44 też. Do 44 roku góra! I Hitler kaput! A teraz na tę drogę powiem ci mój nowy wiersz. Słuchaj - i zaczął recytować.

Dziadek mówił, że żaden wiersz nie zrobił na nim takiego wrażenia. Obaj z Broniewskim płakali...

- To musiał być Żołnierz Polski lub Syn podbitego narodu - wtrąciłem - bo

Broniewski świeżo je napisał pod wrażeniem klęski wrześnieowej. Cenzura mu ich nie puściła, twierdząc, że godzą w pakt Ribbentrop-Mołotow i są przejawem polskiego nacjonalizmu. Broniewski się z tym nie pogodził i na przekór władzy wszędzie je recytował. Mógł też wyszeptać na ucho pana dziadkowi ten wierszyk, który we Lwowie ułożył:

„I byłby nowy Grunwald byłyby nowe Płowce gdyby nie te bombowce i gdyby nie te czołgi

znad Wołgi...”

Nie była to najlepsza agitacja przed wyborem deputatów w sowieckiej Ukrainie. No i w końcu zdecydowali się go zamknąć - dokończyłem.

- Ciekawe, że Broniewskiego, sztandarowego piewcę rewolucji, wsadzili, a Ortwin, prezesa jaśniepolskiego Związku Literatów - nie. A Ortwin przecież dużo bardziej im się stawał, panie Jarosławie. Pan tylko słucha. Mały witz z albumu dziadka. Bo dziadek mnie z kolei edukował we Wrocławiu i otwierał oczy na rzeczywistość. Otóż opowiadał, że na jakimś kolejnym założycielskim zebraniu tego nowego Związku, na którym ukraiński dramaturg Korniejczuk mamił naszych sowieckim rajem, Ortwin wstał i spytał, czy naprawdę można pisać, o czym się chce. Korniejczuk odpowiedział mu:

- Konieczna, towarzyszc. Piszy kok chcesz! U nas swoboda! Swoboda wolnych narodów! - I dalej wciskał swój propagandowy kit.

Wtedy zdenerwowany Ortwin, wskazując palcem na siedzącą na sali Marię Kasproviczową, wykrzyknął:

- Przestańcie nas pouczać. Gdyby nie mąż tej pani, Lenin nie wyszedłby z austriackiego kryminału w Nowym Targu i nie byłoby tej całej waszej rewolucji!

Wszyscy zdębieli. Byli pewni, że zaraz Ortwin, jak Lenin, pójdzie siedzieć. Ale nie. Nie ruszyli go...

- Bo wciąż liczyli, że go kupią, panie Piotrze. Ortwin miał wielki autorytet we Lwowie. I olbrzymi kredyt zaufania. A tacy dla Rosjan zawsze są na wagę złota. Właśnie otrzymałem list od mego przyjaciela Jerzego Sito, autora sztuki Polonez o drugim rozbiórce polski i sejmie grodzieńskim...

- Znam Poloneza, panie Jarosławie. Byłem na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu. Grało go Ateneum z Warszawy, prawda?!

-Tak.

- To był chyba czerwiec 1981. Akurat zmarł kardynał Wyszyński i Festiwal skrócono z powodu żałoby narodowej. Byłem na Polonezie. Wielki spektakl. Aleksandra Śląska - boska caryca Katarzyna, Jan Świdorski - hrabia Rzewuski (mam go w oczach z tą buławą i sarmacko podgolonym czubem, zresztą daleki nasz krewny - mówię o hetmanie, nie aktorze Janie), wreszcie Czesław Wołłejko jako król Stanisław Augustgreat! Lepszy niż Chopin. Bo dotąd głównie z Chopinem się kojarzył. Po filmie. Ten Polonez mnie wzruszył. Zwłaszcza ostatnia scena. Rozbiór Polski w Grodnie dokonany, a towarzystwo z ruskim ambasadorem na czele tańczy sobie poloneza. Po trupie kraju, cholera.

- To fakt historyczny, panie Piotrze. Sito tego nie wymyślił. Ogiński naprawdę skomponował tego poloneza nazwanego Pożegnanie Ojczyzny. Jego premierą był bardziej przejęty niż rozbiorem

Polski.

- Publiczność to w mig złapała - ciągnął dalej. - Sytuacja była podobna. Ruscy na granicy i nikt nie był pewien, czy jutro nie wkroczą. Manewry, bratnia pomoc. Sybir nie tak odległy. I kolejny rozbiór...

- Doktryna Breżniewa go mocno uaktualniła. To pewne - wtrąciłem.

- Otóż to - podchwycił z zapalem. - Byłem wtedy przewodniczącym Komitetu „Solidarności” pracowników prasy...

- A ja członkiem jury tego Festiwalu - dodałem.

- Naprawdę? To pamięta pan tę owację?! Wszyscy wstali z miejsc i tylko: - łup-łup-łup! Skandowane brawa. Manifestacja narodowa. Dziadek Leon był ze mną na sali Teatru Polskiego i twierdził, że ostatnia scena przypomina mu ten bal sylwestrowy w pałacyku na Kopernika w 1939 roku. Był cały poruszony. Wciąż powtarzał: - Taż, że oni tego „Puloneza” puścili temu Site?

- Po pięciu latach upartych walk - wyjaśniłem mu. - To Klub Dramatopisarzy przy ZLP wymusił zgodę na ten tekst na cenzurze. Znów Klub i ZLP, panie Piotrze. Z twórcami krajowymi - przedrzeźniłem go.

- Często tymi samymi - podchwycił. - Pan się nie gniewa, panie Jarosławie, ale ja twierdzę, że ten wasz cały Związek Literatów powstał we Lwowie. W 1939 roku. Tam się zaczął.

- Wszystko się tam zaczęło, panie Piotrze - zgodziłem się. - I byłbym durniem, gdybym się gniewał. Za co?! Za prawdę?! A propos aktualności lwowskich spraw, to właśnie Jurek Sito zacytował mi w tym liście piękną rzecz. Otóż nasz ambasador w Rosji, zniecierpliwiony ponagleniami króla Stasia, nie mogącego się doczekać zatwierdzenia przez carycę Katarzynę swoich ważnych nominacji na Litwie, donosił mu: „Najjaśniejsza Pani w Petersburgu podjęła tajny zamysł niedopuszczania na urzędy w Polsce ludzi mądrych i prawych celem zabezpieczenia swoich interesów na Zachodzie”. A Jurek to skomentował: „Może być mądry, byle szubrawiec, i prawy, byle dureń...”

- Bardzo celne. Boję się, że ten tajny zamysł carycy Katarzyny obowiązuje do dziś - zadrwił Newyorker.

- Tym też się tłumaczy pobłażliwość NKWD w stosunku do Ortwinia - ciągnąłem dalej. - Wciąż liczone, że uda się z niego zrobić kukłę i szubrawca. Dlatego puszczono mimo uszu to zdanie o Leninie...

- Dziadek je wciąż powtarzał. Zwłaszcza podczas rocznicowych spiczów naszych partyjnych wodzów. Wtedy siadał obowiązkowo przy telewizorze i dogryzał im z lwowska: - Taż ty uspokuj się, siekretarz! Bresze i bresze! Słuchać hadko. Taż ty nie pouczaj nas, tylko dziękuj Kasprowiczowi! Bez niego nie byłoby tyj twojij kuchanyj Polski Ludowyj!

- Dziadek Leon wiedział, gdzie są nasze korzenie, nie? - dokończył z dumą.

- Rzekł pan przed chwilą, że często to ci sami literaci, panie Piotrze. Otóż ci sami i nie ci sami. W tym sęk. Mój patron był szubrawcem we Lwowie i mędrce w Warszawie. Inni zmieniali się z czasem. Z tchórzliwych kajakarzy - w śmiałych adwersarzy reżimu. To pan przecież powiedział, że prawdy o człowieku się nie dojdzie, bo on sam o sobie nic nie wie. I to jest chyba jedyna prawda, panie Piotrze. Na tym świecie. A przykładem pan - wskazałem go palcem. - Kiedy pan mnie zagiął z wiedzy o orderach, na próżno szukałem Newyorkera. Serio. A ile twarzy miał Broniewski?!

- Sporo. Jak dziadek po wojnie czytał Poemat o Stalinie, to wołał: - Taż to nie nasz Władek! Matrioszka! Podrobili go, sukinkoty!

- A w styczniu 1940 roku - bohater, panie Piotrze. Drugi po Ortwinie. Cały Lwów o nim mówił. Jak wyrznął w mordę enkawudzistę. I stawiał opór. W więzieniach na Zamarstynowie i Łubiance też się stawiał. Choć na przesłuchaniach wybili mu wszystkie zęby. Wyszedł dopiero z armią Andersa...

- Dziadek mówił, że tę bójkę w polskim Ognisku to Sowietci sprowokowali. I maczał w tym palce jakiś nasz kajakarz, który sprosił przyjaciół do tego lokalu, a potem przyszło NKWD i wszystkich zwinęło...

- Niestety. Co do tego świadkowie są zgodni. Pytanie tylko, czy zrobił to świadomie, czy nie. To drugie jest możliwe. Jego rola ograniczała się bowiem do tego, że spytał siedzących przyjaciół, to znaczy Broniewskiego z żoną, aktorką Marią Zarębińską, Watów, Tadeusza Peipera, Sternów, Skuzę i paru innych, czy pozwolą, że do ich stołu przysiadzie się jego znajomy, znany historyk sztuki, z damą swego serca, aktorką Teatru Polskiego. Nasz teatr we Lwowie kwitł wówczas i występowali w nim najwięksi polscy aktorzy. Zebrani przy stole zgodzili się chętnie. Kiedy para usiadła, Wojciech Skuza nachylił się do tej naszej aktorki i spytał, co się tu dzieje? W odpowiedzi dostał w zęby od jej partnera. Wszyscy zgłupieli. Rzekomy historyk sztuki ściągnął obrus i zaczął krzyczeć. Na ten znak zza pluszowej kotary wyskoczyło paru osiłków i zaczęło zebranych lżyć i szarpać. Nie oszczędzono pań. Broniewski stanął w ich obronie. Trzasnął jednego w zęby. Wywiązała się bójka. Wszyscy spojrzeli na przyjaciela-kajakarza. Ola Watowa spytała go:

- Słuchaj! Co to wszystko znaczy?!

Nie odparł jej nic. Błady jak trup zerwał się i nieprzytomny opuścił salę. W garderobie chwycił palto, które podał mu usłużnie szatniarz, i - przepuszczony na schodach przez kordon milicji i NKWD - wybiegł jak oszalały na ulicę. Tylko on jeden wyrwał się z tego kotła. Wszystkich innych aresztowano...

- To też pański kolega, ten kajakarz? - spytał z drwiną Newyorker.

- Poniekąd. Jeden z największych mistrzów naszej sceny, panie Piotrze. - A konkretnie?!

- Znakomity scenograf i zasłużony pedagog. Profesor ASP. Po wojnie dalej

pracował w teatrze z tymi, których wsadził. Świadomie, czy nieświadomie. I razem odbierali Państwowe Nagrody I stopnia za wybitne zasługi w sztuce. Naprawdę wybitne - podkreśliłem. - Może on nawet robił dekoracje do uroczystej akademii ku czci Władysława Broniewskiego z okazji jego pięćdziesięciolecia. Byłem na tej akademii w Teatrze Polskim, panie Piotrze. W 1947 roku. Nigdy w życiu nie widziałem większej gali na cześć żyjącego poety...

- Stalin umiał was czcić, panie Jarosławie. I zabijać. W tym był geniuszem - zachichotał złośliwie Newyorker.

- No, właśnie. W loży honorowej zasiadł jego najwierniejszy uczeń Bolesław Bierut wraz z rządem. Obok ambasador ZSRR Lebediew. Delegacja pisarzy radzieckich z Moskwy. Najwięksi artyści naszej sceny narodowej prezentowali dorobek poety. W tym oczywiście dwa lwowskie wiersze, za które siedział. Teraz puścili...

- Wraz z jubilatem, który stracił zęby, wznosząc zręby. I wnosząc trwałe wkład do niewzruszonej przyjaźni pokój miłujących narodów. Bierut! Stalin! Tak się krzyczało?! Co, panie Jarku?! - szydził ze mnie.

- Stalin! Bierut! - wyskandowałem poprawnie. - Gwoli ścisłości. Stalin nas wiódł zawsze na czele. Jubilat zaś z równym żarem co we Lwowie recytował swoje wiersze pod wielkim własnym portretem, większym od portretu marszałka Stalina. Owacja w teatrze była niemiejsza niż po Polonezie Sity. Zapewniam pana, panie Piotrze...

- Wierzę - przyznał rozbawiony. - I jak pan to wytłumaczy?

- Poematem o Stalinie, panie Jarosławie - rzekł z miejsca.

- Sam poemat piękny...

- Gorzej z bohaterem - zachichotał.

- Bez niego świetny. Do dziś go pamiętam:

„Piękne i groźne jest morze, gdy pędzi po falach szkwał, piękny jest w niebie orzeł nad szczytami urwistych skał, piękny jest napór i trwanie, piękny jest lot i polot: falę zatrzyma granit, orła wyprzedzi samolot, myśli wyprzedzą czyny, czyny legną opoką... Chwała imieniu Stalina! Pokój światu, pokój...” Złe?

- Pyszne. Z przedwojennym zębem poety - zadrwił. - Panu też, widzę, oko żywiej zabłysło. I poderwał się pan jak stary kawaleryjski koń! Na sygnał ułańskiej trąbki. Nawet za oceanem. Groźny to szkwał, panie Jarosławie. Nie chcę pana martwić...

- Poezja mojej młodości, panie Piotrze. Nic na to nie poradzę. Młodość szybuje nad nią. Narodową w formie, socjalistyczną w treści, jak się wtedy pisało...

- A tam, gdzie zjawia się bohater tytułowy? - spytał.

- Też nieźle. Największy dytyramb epoki. Z wiersza Po/rfon Rewolucji Październikowej...
Równie mistrzowski. Choćby ta fraza:

„Rewolucja-parowóz dziejów! Chwała jej maszynistom!

Cóż, że wrogie wiatry powieją? Chwała płonącym iskrom!

Chwała tym, co wśród ognia i mrozu, jak złom granitowy, trwali,

jak wcielona wola i rozum, jak Stalin”.

-1 piard! Po formie. Mistrz się pokłonił za nisko. Czapką do ziemi, po polsku! A o to szło, panie Jarosławie. By kłaniał się im ktoś wielki. Wieszcz, nie wesz. Wszarzy i kajakarzy mieli dość. I Ortwin ich przejrzał. Wiedział, że bój się toczy o duszę narodu. Dlatego był mądry i prawy. Jak złom granitowy trwał! A autor Ulicy Pawiej puścił pawia! Niestety - dobił poetę jego własnym wierszem.

- Broniewski czuł to - przerwałem mu. - Zygmunt Hertz z paryskiej „Kultury” mówił mi, że jak byli razem w 2. Korpusie Andersa, to zjawił się wysłannik rządu lubelskiego ambasador Wiktor Grosz, stary kolega Broniewskiego sprzed wojny, i zaczął go kusić nową Polską. Chłopsko-robotniczą. Bez wyzysku i krzywd. Szeptał mu w rewolucyjne ucho: - Władek! My to nie Rosja! U nas nie będzie Lwowa! Zobaczysz. Prezydent Bierut daje ci na to słowo honoru! Możesz pisać, co chcesz. Kazał mi to powtórzyć. Zniszczony kraj czeka. Kto go ma dźwignąć z ruin jak nie ty?! Swą niezawisłą pieśnią?!

W końcu Broniewski uległ. Ale w głębi duszy gryzł się. W dniu odjazdu spił się na umór i, wymachując biletem, krzyczał na cały port:

- Zdradziłem was, chłopaki! Odpływam! Sprzedałem się za marne, judaszowe grosze! Grosz mnie kupił! Naplujcie mi w ten podły ryj, bracia żołnierze! -1 płakał. Przeżywał dramat. W końcu prawdziwie kochał swój kraj, Płock nad Wisłą, równinne Mazowsze...

- Z marszałkiem Stalinem na czele - zakpił Newyorker.

- Wtedy na pewno nie!

- Ale potem pokochał. Nie wyparł się...

-1 nie chciał. Nie kajał się jak inni. Z uporem twierdził, że poemat od strony formy jest dobry i nie ma się go co wstydić. Formalnie miał rację.

- Gdyby nie maszynista! Co parowozem dziejów wywiózł parę milionów ludzi i zgnoił. W tym swego przyszłego piewęcę. Ja tej miłości nie rozumiem, panie Jarosławie. Sorry...

- Nie jest łatwa. To prawda - przyznałem. - Broniewski miał zwyczaj dzwonić w nocy do kolegów i czytać im swoje wiersze. Te nękające rozmowy telefoniczne były prawdziwą zmorą dla wielu. Wyrwani ze snu w środku nocy bełkotliwym głosem poety, który już o tej porze nie był w

formie, musieli wysłuchiwać jego nowych wierszy i zwierzeń. Monolog trwał w nieskończoność, a przerwać mistrzowi nie wypadało. Parę razy zadzwonił do mego ojca. I zawsze padały zdania o Poemacie o Stalinie.

- Stalin zbir! - bełkotał Broniewski. - Zły! Ale poemat dobry. Najlepszy! Nikt lepszego na świecie nie napisał. Zgadzasz się?! - i żądał rozgrzeszenia.

- Ja bym mu go, kurwa, nie dał - rzucił przez zęby Newyorker.

W czasie tej rozmowy nie przyznałem się Newyorkerowi do źródeł swej wiedzy. Skąd czerpałem te kajakowe mądrości, które go tak zaskoczyły. Otóż przypadek sprawił, że parę dni przed naszym spotkaniem w „New Yorker Dęli” Leszek Wawrów dał mi książkę Agnieszki Cieślikowej Prasa okupowanego Lwowa, którą przesłał mu z Warszawy znakomity znawca stosunków polsko-ukraińskich profesor Ryszard Torzecki. Książka ta jest pionierską pracą doktorską, niezwykle rzetelną i udokumentowaną. Stąd moja doktorska mądrość. Dzięki pani Agnieszce nie zbłądziłem się przed moim „uchem” i z honorem przeszedłem przez „mały test” Newyorkera. Przy okazji sam go przetestowałem. I muszę przyznać - zdumiał mnie. Nigdy nie posądzałem go o taką wiedzę. To, co mówił ze słów swego dziadka Leona, w pełni zgadzało się z treścią książki. A nie mógł jej przecież znać, skoro dopiero co wyszła w Warszawie. Aż takim erudytą nie jest. Ten test przywrócił mi wiarę w mego informatora: - Może nie buja?! Co prawda lubuje się w żartach i kalamburach, ale w treści jest nad wyraz wierny. Jak Lwów. Semper fidelis - i nowym okiem spojrzałem na Newyorkera...

Tymczasem on bił w Broniewskiego, jak czyniła to prasa sowiecka we Lwowie. Nawet po pół wieku, na drugiej półkuli, był dla niego bezlitosny. Broniewski jako autor wierszy z więzień sowieckich i Bliskiego Wschodu, dopiero dziś odkrytych i ukazujących nową twarz poety, nie mógł liczyć u Newyorkera na przedawnienie i amnestią w „New Yorker Dęli” na Bay Street.

Przypomniałem sobie cytowanego przez Agnieszkę Cieślikową Stefana Kolskiego, który we lwowskim „Czerwonym Sztandarze” w 1940 roku pisał: „Aresztowani to niedobitki najpodlejszego wroga rewolucji - agentury nacjonalizmu polskiego, ukraińskiego i żydowskiego. Kiedy rzesza inteligentów polskich pracuje rzetelnie w warunkach, jakie stworzyła im władza radziecka, znalazły się jednostki, które przybyły tu, aby przeprowadzić politykę nacjonalizmu polskiego, działającego pod komendą imperialistycznej Anglii i Francji... Oto w nocy na 24 stycznia we Lwowie, w restauracji zwanej »Ognisko Inteligencji«, grupa zdeprawowanych osobników urządziła pijatykę i pijacką burdę. Wśród zatrzymanych przez milicję znajdowali się Skuza, Broniewski, Stern, Wat, Peiper, Balicki i inni. Co robili ci ludzie na terenie czerwonego Lwowa w ciągu czterech miesięcy od dnia wyzwolenia zachodnich obwodów Ukrainy? Co Skuza, Broniewski i inni, mieniący się »pisarzami rewolucyjnymi«, zrobili pożytecznego w tym czasie dla klasy robotniczej, dla władzy radzieckiej? Gdzie jest granica, oddzielająca tych osobników, do szpiku kości przeżartych nacjonalizmem polskim, od kontrrewolucji? Na pytania te nietrudno odpowiedzieć. Jest rzeczą oczywistą, że deprawacja moralna i orgie pijackie stwarzają grunt, na którym żerują agentury kontrrewolucyjne. Toteż tego rodzaju elementom powinno się uważnie przyjrzeć społeczeństwo radzieckie - i w szczególności powołane do tego organy. Cała przeszłość tych ludzi wskazuje, że nie przybyli oni na ziemię radzieckie, by wespół z robotnikami, chłopami i inteligencją uczciwie i rzetelnie pracować dla sprawy komunizmu. Nie po to przybył do Lwowa kułacki pisarz Skuza, były

współpracownik chulikańskiego pisma »Prosto z mostu«, otwarty szowinista, publicznie występujący na zebraniach z antyradzieckimi przemówieniami. Nie po to przybył kapitan legionów Broniewski, oficer drugiego oddziału (defensywy wojskowej) z czasów wojny białej Polski przeciwko republice radzieckiej, nałogowy alkoholik, spijający się w warszawskich spelunkach z generałem Wieniawą-Długoszowskim i innymi dygnitarzami reżymu sanacyjnego, a ostatnio we Lwowie uprawiający szowinistyczną agitację przy pomocy wierszydeł nacjonalistycznych. Czujność wobec tego rodzaju zgniłych elementów jest najwyższym nakazem. Nacjonalizm jest najzłośliwszym i najpodlejszym wrogiem ludu...”

Znamy to. Styl Kolskiego obowiązywał u nas niemal do dziś. Przez całe moje dorosłe życie w podobnym stylu rozprawiano się z przeciwnikami politycznymi i z podobną wciekłością duszono wszelką myśl nie po linii partii. Z równą pogardą mijano się z prawdą i deptano fakty. Aż doprowadzono do tego, że żargon Kolskiego pożarł się sam. Zdławił własnym plugastwem i nienawiścią. Stwardniały na kość stanął nam w gardle. Mieliśmy go dość. Skwitowany został hasłem: „Prasa kłamie”.

Do dziś nasi dziennikarze nie mogą się z tego podnieść i odzyskać godności zawodowej, którą zabrał im Kolski. I jego następcy.

Na szczęście zwroty, którymi szermował Kolski, z czasem nabrały ironicznego znaczenia. Już sam tytuł jego artykułu Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną brzmi dziś farsowo. Podobnie jak zbitki „zdeprawowani osobnicy” i „chulikańskie wybryki”, czy późniejsze „warchoły” i „nieznani sprawcy”. Po prostu budzą śmiech.

Kiedy w stanie wojennym pojawiły się kartki i, jak za Stalina, dawano talony na sto czy dwieście gram mydła, a w „Trybunie Ludu” nowi Kolscy zapewniali, że już widać światło w tunelu, zaraz zaczął krążyć po Warszawie rosyjski wierszyk, by było jasne, skąd to „światło” przychodzi. Mimo frywolnej treści przytoczę go:

Mama myło pokupiła, mieżdu nóg siebia pomyła,

mnie goiowku, papie konczyk - wot i konczyłsia talonczyk.

Zdrowy, warszawski humor ratował nas od drętwej mowy Kolskiego...

Ale wtedy we Lwowie ten tytuł wesoły nie był. Każde słowo artykułu ocierało się o śmierć. Prowadziło pod mur lub do łągru. Stefan Kolski był starym moskiewskim komunistą, zastępcą naczelnego redaktora „Czerwonego Sztandaru”, głównym ideologiem pisma, w którym sekretarzem redakcji był Wiktor Grosz, późniejszy wąż-kusiciel, który sprowadził Broniewskiego do kraju. Wśród stałych współpracowników pisma znalazłem nazwiska wielu późniejszych moich starszych kolegów, znanych pisarzy i działaczy ZLP, recenzentów teatralnych, z których jeden był mi szczególnie życzliwy. Zapamiętałem go jako czcigodnego starca z głową rzymskiego senatora. Zawsze w muszce. Wszyscy oni startowali w lwowskiej gadzinówce, a w parę lat później czcili w Teatrze Polskim „nacjonalistyczną gadzinę” Broniewskiego, autora „szowinistycznych wierszydeł”. Skandując na jego cześć i gratulując sukcesu. A Władek - szeroka, słowiańska dusza - wybaczył im. Razem z nimi zasiadał w zarządach oraz prezydiach i chodził do „Spatifu” na wódkę.

Artykuł Stefana Kolskiego spowodował falę aresztowań. Wśród uwięzionych znalazł się przysły autor hymnu Partii i późniejszy sekretarz generalny ZLP Leopold Lewin. Aleksander Wat wydał mu z tego wojennego okresu jak najlepsze świadectwo: pomagał ludziom, jak mógł. Lewin też pisał dytyramby na cześć Stalina, ale ponieważ był poetą słabszym niż Broniewski - nikt o tym dziś nie pamięta.

Kiedy zastanawiam się, po co to robili po tych strasznych przeżyciach w ZSRR, odpowiedź przychodzi mi jedna. Żądza. Straszliwa żądza sławy. Bez granic. Nieludzka. Ta żądza każdego z nas zżera. Wsparta głodną pychą autorską. Wyglądamy jej jak kania dżdżu. Bez niej usychamy. Ważniejsza jest niż chleb powszedni. A często i prawość. Dla niej gotowi jesteśmy stracić cnotę - byle ją tylko posiąść. Za życia. Za życia oczywiście.

Przypominamy dzieci. Łasuchy z nas straszne. Nałogowe. Stąd te cukierki Stalina - rzucane z wielkiej klapy w pasiołku Skaczok, Hadyńkowcach czy Bokowie - działały bardziej na pisarzy niż łachmaniarzy. Ci bowiem woleli mięsna, posilną strawę niż słodką sławę. Dlatego też pięknie opakowana bomboniera, uroczyście wręczona naszemu poecie przez Wiktora Grosza w imieniu Prezydenta Bieruta, pierwszego ucznia marszałka Stalina, na Bliskim Wschodzie miała większą moc przyciągania niż w Hadyńkowcach czy Bokowie. Pokusa była wielka. Łasuch Władek ją złapał i płakał. A potem przejadł się nią aż do mdłości. I puścił pawia, za którego dziś tak surowo sędzi go New Yorker na Bay Street w Toronto.

Myślę, że wielki poeta Władysław Broniewski słusznie ma wielką aleję w Warszawie. Był może nie tyle alkoholikiem, co sławoholikiem. W pełni od sławy uzależnionym. Jak narkoman. Tak go widzę. Może się myłę.

A Wielki Cukiernik umiał słodzić. Najgorszy wierszokleta w jego epoletach lśnił i śnił o nieśmiertelności. Odurzony kaukaskim winem czuł się drugim Puszkinem. Mój ojciec zwykł mawiać o takich: - O, synu! To jest talent najwyższej próby! Z samego nadania Biura Politycznego KC! Przyznało mu go jednogłośnie, na specjalnym, nadzwyczajnym posiedzeniu - ma się czym chwalić...

O tym, że Broniewskiemu tak mało brakowało do... śmiertelności i tak dużo miał do wybaczenia ludziom, dowiedziałem się właśnie z książki Agnieszki Cieślikowej. Ujawniła ona, że nazajutrz po aresztowaniu poety, gdy siedział w więzieniu na Zamarstynowie, wśród jego kolegów w nowym Związku Literatów zrodziła się myśl publicznego odcięcia się od niego. Z inicjatywą tą wystąpili Bolesław Piach i Jerzy Putrament, późniejszy żelazny sekretarz i wybitny działacz naszego ZLP. Zredagowali oni wspólnie odpowiedni list do Nikity Chruszczowa, I Sekretarza KC Ukrainy, i zwołali w tej sprawie ogólne zebranie. Poddali swój wniosek pod głosowanie. I tylko odwaga cywilna Wandy Wasilewskiej, przyszłej organizatorki Związku Patriotów Polskich, sprawiła, że w ostatniej chwili wniosek ten został oddalony i do głosowania nie doszło. Gdyby doszło, nie wiadomo jak by to było. Wanda Wasilewska zdecydowała się osobiście interweniować na rzecz Broniewskiego i uwięzionych kolegów u Nikity Chruszczowa, ale spotkała się - jak pisze autorka - z jego grubiańską odmową.

Samą Wasilewska zaś wkrótce spotkał osobisty cios. Jej mąż Marian Bogatko, z zawodu murarz, przedwojenny działacz PPS i administrator „Dziennika Popularnego” w Warszawie, zginął w maju 1940 z rąk, jak niedawno wyszło na jaw, NKWD. Po śmierci męża Wasilewska wyszła

drugi raz za mąż, za dramatopisarza ukraińskiego Aleksandra Komiejczuka, tego właśnie, który we Lwowie odegrał kluczową rolę w zakładaniu nowego Związku Pisarzy. Po wojnie nie wróciła do Polski i do śmierci mieszkała z mężem w Kijowie jako obywatelka ZSRR. Jeśli do tego dodamy, że była ona córką Leona Wasilewskiego, najbliższego współpracownika i przyjaciela marszałka Piłsudskiego, jego biografa i tajnego wysłannika, który z kolei w Paryżu w styczniu 1919 roku odegrał kluczową rolę w nawiązaniu stosunków z rządem Ukraińskiej Republiki Narodowej i sprowadzeniu Semena Petlury do Belwederu - to historia ta wygląda trochę jak z kiepskiego żartu. W nie najlepszym guście. Na szczęście piłsudczyk Leon Wasilewski (podobnie jak Piłsudski, który był ojcem chrzestnym Wandy) umarł wcześniej i nie poznał roli swej córki w drugiej wojnie światowej oraz tego jej drugiego małżeństwa z Korniejczukiem. Gdyby tego dożył, umarłby pewnie na serce.

Jeśli więc Broniewski nazwał siebie Judaszem kupionym przez Grosza za nędzne grosze - dumalem dalej - to, siedząc w naszym Związku Literatów, miał prawo czuć się Zbawicielem, zdradzonym we Lwowie w godzinie próby przez swych przyjaciół, przyszłych klakierów...

- Mnie się zdaje, panie Jarosławie - przerwał mi to dumanie Newyorker - że Lwów był dla Stalina poletkiem doświadczalnym. Badał nas pod ciśnieniem. Ciekaw był, jak ten pański intelektualny Piemont się zachowa. A ponieważ w tym oswojaniu bestii nasz high life sam ochoczo skoczył mu na szyję, nic dziwnego, że objął go na niedźwiedzia tak, iż przez pół wieku musieliśmy mu wisieć u ryja. Rozbestwił się, nabrał smaku - i huzia na Józia! A raczej Józio na Polskę. Stalin zaczął zwiększać gwałty, aż doszedł do Jałty. Taka jest moja teoria. Doktryna Bielskiego. I chyba się rymuje z naszym przyszłym losem - zaśmiał się.

No, tak, uświadomiłem sobie. Przecież ci kajakarze sprawowali rząd dusz w Warszawie. Jak inicjator petycji do Chruszczowa Jerzy Putrament, sprawdzony we Lwowie, który do końca życia trząśł naszym Związkiem, sam drżąc przed Moskwą. Wciąż niuchał, jak tam jest, i merdał ogonem. To już mój Webster wykazuje więcej charakteru. Idzie zawsze w swoją stronę - odwrotną niż moja. Gdy go ciągnę, zapiera się tylnymi nóżkami, ryglując je w poprzek. W strachu, że mu urwę głowę, ustępuje - i on mnie prowadzi na smyczy. Na taki opór nasz związkowy stupajka nigdy się nie zdobył.

A prywatnie Pucio, jak go ciepło nazywaliśmy, cieszył się dużą sympatią. Dowcipny, z wielkim temperamentem, nawet w ponurych czasach stalinowskich, kiedy był sekretarzem generalnym ZLP i zastępcą członka KC PZPR, pozwalał sobie na chłopięcy wybryk zjeżdżania po poręczy schodów naszego Domu Literatów po posiedzeniu Zarządu Głównego, gdy inni towarzysze godnie z nich schodzili, namaszczeni ostatnimi dyrektywami partii. Bawił nas na zebraniach swym wileńskim humorem i akcentem, owym: - Wiecej, rozumiecie...

Uczynny i przyjazny jak mało kto, wielu załatwił stypendium i mieszkania. O bytowe sprawy kolegów troszczył się jak nikt. Chętnie interweniował w cenzurze. Parokrotnie sam ofiarowywał mi się z pomocą. Między innymi w sprawie Derbów w pałacu. Jak na wysokiego funkcjonariusza partyjnego i naczelnego redaktora pisma był niezwykle prosty. Każdy miał do niego dostęp. Nie zamykał się w gabinecie. Na równi z urzędnikami traktował fizycznych pracowników Związku Literatów. Kierowcę, kelnerki, sprzątaczkę. Prawdziwy typ przedwojennego inteligenta-demokraty.

Chyba w 1957 odwoził mnie z leśniczówki Pranie na Mazurach (Ziemek Feddecki mu ją odkrył, podobnie jak Gałczyńskiemu) swoją nową warszawą. Droga leśną szła kobieta z bańką mleka na plecach. Pucio zwolnił i rzekł:

- Podwieziemy kobiecinę. Co ma się zdzwigać. Ciężko jej... -1 podwiózł. Utkwił mi ten szczegół w pamięci.

W swoich licznych książkach często szokował polityczną odwagą, mówiąc o sprawach, które były wtedy publicznym tabu. O nim właśnie Lec ukuł złośliwe powiedzonko: „Putramentowi potrzebny jest stalinizm, aby był w nim liberałem...” Złośliwe, ale celne.

I drugi szczegół pamiętam. Kiedy Putrament jako współzałożyciel nowego, popaździernikowego pisma tuż przed Nowym - 1957 - Rokiem zaprosił nas trzech z STS-u: Witka Dąbrowskiego, Andrzeja Jareckiego i mnie do siebie do domu, proponując nam objęcie dziań satyry. Miał to być centrowy tygodnik społeczno-literacki wymierzony swym ostrzem z jednej strony przeciw „wściekłym”, jak ich wtedy nazywano w KC, ze studenckiego pisma „Poprostu”, a z drugiej przeciw dogmatykom: - Chodź o zwalczenie w partii skrajności i przycięcie skrzydeł - tłumaczył nam. Nie chcąc uczestniczyć w tych dożynkach i dywersji przeciw kolegom z „Poprostu”, łagodnie odmówiliśmy. Wtedy Putrament uśmiechnął się pobłaźliwie i rzucił: - Ej, chłopcy, chłopcy. Będziecie jeszcze wspominać reżym Ochaba jak oazę wolności...

I rzeczywiście. Z wyjątkową przenikliwością to przewidział.

Wkrótce to nowe pismo pod nazwą „Polityka” wyszło i po wykończeniu „wściekłych” stało się z czasem najbardziej liberalnym tygodnikiem partyjnym, często atakowanym przez wierchuszkę KC, jak kiedyś „Poprostu”, przeciw któremu powstało. W normalnym kraju Jerzy Putrament byłby pewnie świetnym pisarzem politycznym i publicystą. Miał ku temu wszelkie dane. Ale nazbyt go wtedy w Wilnie i we Lwowie przestraszano. Poddany sowieckiej pieriekowce podczas tego „wielkiego strachu”, pozostał odruchowo lękliwy. I w pełni dyspozycyjny...

- A najgorsze, panie Jarosławie - ciągnął Newyorker - i tego formalnie nie mogę strawić - to „formalnie” wybił złośliwie - że towarzysz Stalin ten swój teatr laboratorium, workshop, jak byśmy tu powiedzieli, zainstalował właśnie u mnie. Nie miał już gdzie wstawić swego doświadczalnego koryta, tylko u nas zrobił ten chlew. Na nasz koszt i pod naszym nazwiskiem. W pałacyku Bielskich, kurczą. I teraz muszę udawać Newyorkera. Kryć się ze wstydu w piekarni! - rzucił szyderczo. - Opaskudzili mi rodowe gniazdo, szmaciarze. Inaczej przecież nie mówili, jak tylko: - Jutro spotykamy się u Bielskich, towarzysze, i piszemy petycję do towarzysza Chruszczowa. No, nie było tak? - spojrzął na mnie drwiąco.

-Wszystko ci literaci, autorzy związkowi, panie Piotrze. W zasadzie ja?

- No, tak. Nie da się ukryć - przyznał z ironią.

-1 do tego tu znów musi się pan z nimi męczyć?!

- Nie męczyłbym się, gdyby nie tamten wrzesień. Wyjątkowa złośliwość losu...

-1 to miał być ten figiel historii, który pan dla mnie szykował?! - spytałem.

- Dość perfidny. Przyzna pan? - ucieszył się. -1 dalekosiężny - dodałem.

- No, właśnie. Inaczej byśmy nie gadali tu, w Toronto, o Lwowie, tylko byli w nim - poprawił się z godnością na krześle. - Pan Piotr Bielski z Olbrachcic herbu „Jelita” siedziałby sobie w rodzinnym gnieździe na Podolu i byłby dalej panem na Pieniakach...

- To prawda - przyznałem.

- A tak jest na zakwasie, kurczę. I flaki mu zamiast jelita się wywracają. Zwłaszcza wtedy, gdy trzeba je robić w piekarni. Jak mówi Major...

- Major Wawrów też byłby na Podolu. Nie tylko pana wysadzili z siodła, hrabio - rzuciłem z przekąsem.

- Mam nadzieję, że tym razem nie wykorzysta pan tych moich wynurzeń spoza piekarni do swej książki - spojrział na mnie uważnie. - A zresztą! - machnął ręką. - Co tam! Raz można się przyznać. Skoro już tak mnie poniosło, a pan mi wciąż nie wierzy...

Bez słowa sięgnął po portfel. Wyjął z niego stary, zniszczony paszport i demonstracyjnie położył przede mną.

- Pan sprawdzi łaskawie, mistrzu. Na dowód prawdy. Bo ciągle pan myśli, że żongluję faktami...

Ze starej fotografii wyjrzała młoda twarz mężczyzny podobnego do New-yorkera...

- To dziadek? - Widzi pan...

Rzeczywiście. Jak byk było napisane: Leon Władysław Bielski...

- Pan sprawdzi datę urodzenia...

- Lipiec 1903. Rocznik mego ojca...

-1 adres. Miejsce znaczy - dyrygował dalej.

- Pieniaki. Województwo tarnopolskie... - No. Miąłem się z lepszym światem, mistrzu?

- Raczej pan się nań nieco spóźnił, panie hrabio - odparłem krótko.

- No, właśnie. I tyle mi z tej rzeczywistości zostało - trzepnął paszportem w dłoń. - A wszystko Stalin. I ten jego workshop. Nie dziwi się więc pan, że mam do niego nieco gorętszy stosunek...

- Ja też nie ostygłem w uczuciach, jak pan widzi. Oko mi żywiej błysnęło.

- Wszyscy nie możemy wyzwolić się od Stalina. Odkąd w nas wszedł. Z Hitlerem jakoś poszło łatwiej. Od razu wiadomo było, kto wróg, kto przyjaciel. A ta gadzina wszystkich nas opaskudziła. Organizacyjnie zaś nie był wcale gorszy od Hitlera. Dalprikaz i wszystko grało jak w szwajcarskim zegarku. Mimo ruskiej roboty...

- To prawda, panie hrabio - przyznałem. - We Lwowie ten „wielki strach” zaczął się pod koniec stycznia. Po uchwale Biura Politycznego CK WKP(b). Feralny, czarny piątek był tuż, tuż.

Aresztowanie Władysława Broniewskiego i artykuł Kolskiego były więc tylko przygrywką do tej pierwszej wielkiej wywózki. Figłem zaś historii nie mniejszym niż Klub Sajuza Pisatielej w pałacyku Bielskich był fakt, że Wielki Maszynista parowozu dziejów od Broniewskiego, swego przysłego piewcy, wywózki zaczął. Sądzę, że obaj nie przypuszczali, iż zamknięci zostaną na wieki w jednym wielkim poemacie.

Dla mnie zaś jest to jeszcze jedna nauczka, że trzeba cholernie uważać na słowa. Dlatego nie włączę chyba tego lwowskiego rozdziału do mojej książki. A jeśli - to bez nazwisk. Po co piętnować dobrych kolegów za ich stare grzechy. Robić sobie i im przykrość? Bez sensu. W końcu przeleżały w stebniku pół wieku, mogą i drugie pół. Nie pali się. Nie piekarnia. A z piekarni New-yorker chyba kabluje rzetelnie. Jak kajakarze we Lwowie. Forma ciasta nie przerasta. Paszport świadczy o tym, ucieszyłem się.

- To co, pisarzu?! Psiarzu związkowy?! Do pióra! Zaś według New-yorkera: Świniarzu do komputera! - westchnąłem.

I zagrany tym marcowym hasłem mojej młodości, jak dumny orzeł Broniewskiego poszybowałem w górę. Lądując już w mojej wieży „Charles Bay Towers”, wciąż z groźnym szkwałem w sercu, powtarzałem: - Treść, znaczy, okay. Teraz trzeba tylko popracować nad formą.

I zacząłem jej mozolnie szukać. Szlifując to opowiadanie...

ZŁOTY JAR

Znów „nieprzypadkowy przypadek” sprawił, że nowy świadek historii stanął na mojej drodze. Jest nim znany reżyser filmowy Tadeusz Jaworski. Po marcu 1968 roku wyemigrował wraz z żoną Tamarą, znakomitą gobelinistką, do Kanady i osiadł w Toronto. Wiedziałem, że jest z Kresów, ale myślałem, że ze Stanisławowa. Tymczasem okazało się, że z Czortkowa. Zatem jak znalazł. Przed wojną chodził tam do szkoły i świetnie pamięta pierwsze wejście Sowietów. Potwierdził słowa moich dotychczasowych świadków i dorzucił wiele nowego. Świat jest mały. W Toronto dowiedziałem się, jak wyglądał wielce popularny i długoletni burmistrz Czortkowa Stanisław Michałowski, aresztowany w pierwszej kolejności. Tadeusz go świetnie znał, bo Michałowski przyjaźnił się z jego ojcem, dyrektorem czortkowskiej elektrowni. O lepsze oświetlenie więc trudno.

Michałowski często bywał w domu Tadeusza. Przychodził też do „Blimci”, najmodniejszej kawiarni w mieście. Odgrywała ona podobną rolę w Czortkowie co kawiarnia „Ziemiańska” w Warszawie. Spotykała się tam śmietanka towarzyska miasta. Może tam właśnie pił ostatnią kawę stryj Olgi Wawrów Iwan Wynnyczenko z adwokatem Roślakiem we wrześniu 1939 roku?

- Burmistrz Michałowski miał charakterystyczny wąsik ostro podkreślony w szpic i nosił złote binokle - mówi Tadeusz. - Wyjątkowo porządny gość. Związany z piłsudczykami, toczył boje z hallerczykami, którzy przeważali w mieście. Endecy i skrajni narodowcy twardo stali na rubieży, wrogo nastawieni do mniejszości etnicznych: Żydów i Ukraińców. Mieli za złe Michałowskiemu, że prowadzi liberalną politykę i toleruje na stanowiskach nie-Polaków. Żądali ich usunięcia. Michałowski się sprzeciwiał, jeśli uznał, że ktoś jest dobrym fachowcem. Na tej podstawie bronił mego ojca, którego endecy chcieli spławić i wepchnąć na jego miejsce swojego człowieka. W gimnazjum Słoktóry od paru lat wydaje, doktorowi Janowi Doliwie-Dobruckiemu z Brampton. Kiedy w redakcji „Związkowca” spotkałem się z nim, z miejsca zaznaczył, że nie jest ze Lwowa tylko z Czortkowa. No, to byłem w domu. Ten „Rocznik Lwowski” naprowadził mnie więc na nowego świadka. Mogłem pytać.

- Wie pan, że burmistrz Stanisław Michałowski miał wąs podkreślony w szpic? - błysnąłem swą czortkowską wiedzą.

- A jakże! Wysoki, z krótko przyszyżonymi włosami - potwierdził. - Wszystkie czortkowskie „świeczniki” znałem. Mój ojciec był kierownikiem „Sokoła”. Gospodarzem, jak się wtedy mówiło. Skończył znane gimnazjum klasyczne w Tarnopolu. Z greką i łaciną...

-1 Michałowski chodził do kawiarni „Blimcia”...

- „Blimcia” to w zasadzie była restauracja - poprawił mnie. - A kawiarnia mieściła się na piętrze. Zresztą tam była nie tylko kawiarnia. Bo musi pan wiedzieć, że Czortków, jako szanujący się stary gród...

- No, właśnie. Skąd wzięła się nazwa? - przerwałem mu.

- Pierwsza wzmianka pochodzi z 1427 roku i mówi, że wieś, wtedy zwana Czartkowice,

należy do ziemianina Prawdoty z Czartkowa, który na akcie hołdu złożonego przez szlachtę Grodów Czerwieńskich królowi Władysławowi Jagiełłę w Haliczu tak się podpisał. Ten Prawdota przybył z Wielkopolski i na pamiątkę swych rodowych Czartek tak nazwał nową osadę nad Seretem. W 1522 roku wnuk Prawdoty, Jerzy Czartkowski, otrzymał od króla Zygmunta Starego przywilej zamiany swojej dziedzicznej wsi Czartkowice w powiecie trembowelskim na miasteczko lokowane na prawie magdeburskim. Czartkowski w swym horodyszczu wznosił drewniany zamek obronny i dał początek Czortkowowi. Wszystko może pan wyczytać w piśmie „Znicz Podola”, wydawanym u nas przez Podolskie Towarzystwo Krajoznawczo-Turystyczne i redagowanym przez jego prezesa, haremistrza Józefa Opackiego, mojego profesora z gimnazjum Słowackiego. Opacki był haremistrzem czortkowskiej podchorągwi ZHP, instruktorem wychowania fizycznego, a podczas okupacji organizatorem konspiracji. Zaś znaną szkolną kapelę tamburynową prowadził u nas profesor Czyżda. Miał swojego asystenta, menadżera, jak byśmy dziś powiedzieli, Krzyżanowskiego, który bardzo przypominał z wyglądu księcia Józefa Poniatowskiego. Wysoki, z baczkami, włosy z czarnym lokiem. Obydwaj z Czyżda zdrowo lubili pompować, proszę pana, ale tamburynową orkiestra grała szac! A jakże!

- Czyżda uczył w gimnazjum Słowackiego?

- Nie. W szkole Żeromskiego. Spotkałem go po wojnie w Gliwicach. Poznał mnie zaraz:

- Ty się nazywasz Janek. I grałeś u mnie na drugich skrzypcach...

- Nie na pitrasicy?

-Nie. Na skrzypcach. A więc Czortków, jako szanujący sięgród, proszę pana - wrócił do przerwane go wątku - miał trzy burdele. A jakże. Jeden nad kawiarnią „Blimcia” przy ulicy Mickiewicza, drugi nad hotelem „Bristol” - ten był dla oficerów KOP-u, porucznicy tłumnie go odwiedzali po bibce, wesoło wracając do koszar. Fiakry już na nich czekały pod hotelem. U nas były duże koszary górne i dolne dla 25 Batalionu KOP-u z dwoma szwadronami kawalerii, trzeci stacjonował w Kopyczyńcach. Przed samą wojną ten batalion wzmocniono i w Czortkowie, w gmachu sądu, mieściło się dowództwo brygady KOP-u. Na czele tej brygady za moich czasów stał pułkownik Piekarski, a wcześniej dowodził nią pułkownik Nakoniecznikow z czarną przepaską na jednym oku jak pirat, a po nim pułkownik Stefan Rowecki, późniejszy generał „Grot”, dowódca Armii Krajowej. A jakże! Piękne wspomnienia o Czortkowie napisała córka „Grot”. Tak że Czortków posiadał silny garnizon wojskowy i klientów w numer salonie dwa nie brakowało. Oprócz wojskowych „Bristol” licznie odwiedzała podolska „rystokracja”, która przyjeżdżała tu w czwartek na flaczki. A trzeci, naj słynniejszy burdel, proszę pana, był u ciotki Kloplicowej przy dworcu. Dla kolejarzy i podróżnych. Ciotka Kloplicowa była damą z zasadami. Ceniła swój zawód. Każdą nowo przyjętą panienkę witała z kwiatami, wsadzała do wynajętej dorożki i dumnie obwoziła po mieście. Z przodu grała szac cygańska kapela, a z tyłu ciotka Kloplicowa prezentowała swój nowy nabytek. A jakże. Burdel-promocja we fiakrze była, że hej!

- Marketing, jak byśmy dziś powiedzieli.

-Tak jest. Burdel jako bałagan u ciotki Kloplicowej nie istniał, proszę pana. Dopiero Sowieci go wprowadzili. Czortków to było kulturalne, żywe miasto. Wesołe jak Lwów. I pod silnym

wpływem Lwowa. Wielu się tam kształciło. Jak przyjechał na gościnne występy radiowy kabaret „Na wesołej lwowskiej fali” i radca Strońc zegnał się z publicznością, mówiąc: - Mam nadzieję, że się jeszcze z państwem spotkam! - to zaraz mu ktoś dowcipny odkrzyknął: - U ciotki Klopcticowej! - i śmiech na sali był wielki. Tylko biedny Strońc nie wiedział, z czego się śmieją... Ja - dodał pan Jan - na ten temat ułożyłem wierszyk:

„Bo Czortków, proszę państwa, to nie kawał dziury,

miał trzy salony, gdzie Koryntu córy

umilały panom smutne dni i noce,

ofiarując im swoje dziewczęce owoce!”

I to prawda. Bez poetyckiej przenośni.

Czortków miał świetny klub sportowy - ciągnął dalej.

- Z drużyną piłkarską KOP-u - strzeliłem wiedzą Jana Korsaka.

- To też. Ale i Żydzi mieli swój klub. A jakże! „Hasmodeja” się nazywał. Z wszystkimi naszymi drużynami wygrywał: Ze „Strzelcem”, „Legionistami”, klubem „Kolejarza” - tylko z wojskiem nie mógł wygrać. Zawsze przegrywał. Raz spytałem kolegę z „Hasmodei”, dlaczego nigdy z wojskiem nie wygryją.

- Wiesz - odpowiedział - bo mniej boli przegrać mecz, niż dostać po mordzie! Kiedyś wojsku wbiliśmy gola i rozwścieczeni kibice strasznie nas pobili. Wolimy nie ryzykować.

Mieliśmy w Czortkowie własny Teatr Miejski, proszę pana, co prawda amatorski, ale na wysokim poziomie. Występowały tam panie Krukowska, Krzyżanowska, żona wspomnianego już Krzyżanowskiego, pani Wasilewska. Ona była jednocześnie drużynową „Sokoła”, świetna aktorka. Podobnie jak maszynista kolejowy Kostkiewicz, który dodatkowo grał w orkiestrze na pikolo. Ten teatr wystawił Czortkowską Szopkę Noworoczną, która cieszyła się wielkim powodzeniem. Powtarzano ją wielokroć. Wyśmiewała naszych miejscowych „świeczników”. Niektórzy z nich się poobrażali, pamiętam. A jakże!

- Ale nie burmistrz Michałowski?

- Nie, nie. Burmistrz Michałowski miał zmysł humoru. Pisał tę szopkę nasz świetny poeta Rogowski, który zginął podczas wojny. Jego ojciec był tercjanem w naszym gimnazjum Słowackiego. Pilnował porządku. Sprawdzał mundurki, czy przy każdym rękawie jest tarcza. Stał groźnie z dużym dzwonkiem przy wejściu i na spóźnialskich krzyczał: - Ach wy niedopieczone karamandle!

Karamandle podawano na ślubie Olgi Wawrów, przypomniałem sobie.

- Często na gościnne występy zjeżdżał do nas zawodowy teatr Łozińskiej ze Stanisławowa.

Znakomity, ale nasz Miejski nie był gorszy. Z Czortkowa pochodziła znana warszawska aktorka Ewa Bonacka, proszę pana...

- Żona scenografa Władysława Daszewskiego?

- Tak jest. Jej matka była bardzo dumna, że córka w Teatrze Polskim w Warszawie odnosi takie sukcesy. - Dostaje tyle kwiatów, zawsze - pokazywała nam ile. My w szkole też mieliśmy teatr klasa, a jakże! Prowadził go nauczyciel łaciny profesor Krwawicz. Reżyserował również w Teatrze Miejskim i kierował symfoniczną orkiestrą. Muzyków nie brakowało, bo mieliśmy szkoły muzyczne dwóch Stanisławowi Łukasiewiczza i Muchy. Ja do tej szkoły Łukasiewiczza chodziłem, ale pierwsze lekcje gry na skrzypcach jako chłopiec pobierałem u pana Siedzińskiego. Maestro Siedziński był mały, śniady, z czarnym wąsikiem, mój ojciec zawsze twierdził, że to musi być Cygan. Grał rzeczywiście pięknie na skrzypcach, ale był straszny kat. Za byle co bił mnie smyczkiem po palcach. Nie cierpiałem go więc i w duszy modliłem się, by Bóg go ukarał. I w karnawale, proszę pana, w gmachu „Sokoła” odbył się wielki bal wojskowy. Przybyli na niego wszyscy oficerowie naszego KOPu oraz ułani z Trembowli. Jedynym granatowym rodzyńkiem w zieleni ich mundurów był porucznik marynarki wojennej Janek Kamuda. Jego ojciec był maszynistą kolejowym i bardzo pysznił się swym synem oficerem.

Jak opisany przeze mnie w Nawiało nam burzę kował Bruhał Staszkiem w Hadyńkowcach, pomyślałem.

- Kamuda przybył prosto z Gdyni i w swym wizytowym marynarskim mundurze zadawał szyku. Z miejsca stał się gwiazdorem. Głównym obiektem westchnień wszystkich pań. Każda chciała z nim zatańczyć. A do tańca przygrywały dwie orkiestry, proszę pana, wojskowa i kolejowa. I tę drugą prowadził maestro Siedziński we fraku i śnieżnym gorsie. Po skończonym tańcu podochocony Kamuda stanął na estradzie, klasnął w dłonie i krzyknął:

- Maestrol A teraz dla mnie walca wiedeńskiego! Ej, rup! Siedziński wyprostował się godnie i odparł:

- O tym, co mam grać, ja decyduję, panie poruczniku. Nie będzie mi pan tu dyktował repertuaru...

-Nie?!

- Na pokładzie swego statku możesz pan sobie komenderować „ej rup” i pokrzykiwać jak na bradiagę, a za pulpitem ja jestem pierwszy po Bogu. I będę grać to, co zechcę. Zrozumiano?!

- W ogóle nie będziesz grać! - uniósł się Kamuda, wyjął pistolet i z miejsca strzelił. Podniósł się krzyk. Strzał był mistrzowski. Trafił Siedzińskiego w sam środek lewej dłoni. Część oficerów klasnęła z uznaniem. Uważali, że w obronie honoru Kamuda miał pełne prawo tak postąpić. Rana nie była groźna, pistolet był

małokalibrowy, szóstka belgijska, raczej zabawka, ale maestro został ukarany. Miałem więc satysfakcję. Po wojnie jestem raz we Wrocławiu, proszę pana, i co widzę?! Na murku siedzi mój

maestro. Podszedłem do niego i mówię:

- Pamięta pan, profesorze, jak bił mnie pan smyczkiem po palcach? Janek Dobrucki jestem.

Ucieszył się bardzo. Przypomniałem mu ten słynny strzał na balu.

- Oplącało się - zatarł ręce. - Oficerowie zapłacili mi dwieście złotych, żebym nie szedł do sądu. I nie robił skandalu. Zgarnąłem za ten strzał kupę forsy, a dłoń wygoiła się, jak widzisz. Gram do dziś.

Okazało się, że przyjechał do Wrocławia z cyrkową orkiestrą. Tak że kara za moje biedne palce nie była zbyt ciężka - pan Jan roześmiał się serdecznie.

- Życie w Czortkowie kwitło, proszę pana. A jakie drzewa, jakie widoki. Ja mieszkałem na lewym brzegu Seretu i jak rano wyszedłem na balkon, to ze swego domu widziałem całą panoramę Czortkowa. Dosłownie! Na lewo widok na cypel Jurczyńskiego, na prawo - na Wzgórza Wawrynowskie. W głębi wieże kościoła Dominikanów, a po lewej - na mury Zamku i cerkiew greckokatolicką. Przed sobą miałem młyny i wyspę na Serecie. Pociąg do stacji Biała Czortkowska zjeżdżał krętym jarem - raz znikał, raz się wyłaniał. Dyszał ciężko puf, puf, puf, jak w Lokomotywie Tuwima, wyrzucając z siebie kłęby pary, które wolno rozpląwały się w powietrzu. W Białej Czortkowskiej było rozwidlenie torów. Jedne biegły na Buczacz, drugie na Zaleszczyki. Ważna stacja. A jakże! A te dancingi w pawilonie Admiralicji! Tak nazywaliśmy gmach Ligi Morskiej i Kolonialnej między młynami za parowozownią kolejową na wyspie. Z jednej strony otaczał ją Seret, z drugiej rzeka Młynówka. Bajeczne miejsce. W czasie wianków Młynówką płynęła tratwa i gdy docierała do wyspy, to królewna Wanda, ta która nie chciała Niemca, zdejmowała z głowy koronę i skakała do Seretu. A jakże! Ludzie wypatrywali, kiedy wypłynie, a ona nie wypływała. Przykładnie szła na dno, a osierocona tratwa dalej płynęła już sama...

-1 co? Rzeczywiście biedna Wanda tonęła?

- Tonął, proszę pana, bo grał ją przystojny młody palacz kolejowy, który na każde wianki za dziesięć złotych urządzał ten cud. W tratwie zrobił sobie dziurę, kuczał w wodzie i gdy tratwa nadpływała, z powrotem na nią wchodził, spływał z prądem rzeki i za wyspą przebierał się. W następnym roku powtarzał ten numer. Takie to u nas były cuda wianki na kijku.

Oczywiście działałem w harcerstwie - podjął dalej. - Byłem w hufcu czortkowskim w 4 KDH, proszę pana. Kolejowej Drużynie Harcerskiej. A jakże! Mój ojciec był kolejarzem w Czortkowie, a w czasie wojny w Kopyczyńcach...

- „Moje” strony - zaśmiałem się. - Blisko Hadyńkowiec...

- Tak jest. Niemcy mobilizowali zwłaszcza starszych kolejarzy, którzy znali język z austriackich czasów. A ojciec znał perfektnie. I mnie przymusił. Zawsze burczał: - Jasiu! Ja znam twój stosunek do niemieckiego, ale ty się ucz! Kiedyś ten język ci się przyda. -1 przydał się. Ale wówczas o tym nie myślałem. Wolałem jeździć na wycieczki i obozy. Na obozie pod Skolem, na przykład, byłem już zastępowym, proszę pana. A jakże! Rozbiliśmy namioty we wspaniałym lesie, równie

pięknym jak w Postołówce. A w Postołówce był słynny obóz szkoleniowy dla wyższej kadry harcerskiej. Położony w bajecznym miejscu na skraju Miodoborów, naszego dziewiczego boru z miodem, jak sama nazwa wskazuje, bo w tym mateczniku były jeszcze barcie dzikich pszczół i bartnicy wybierali z nich miód jak przed wiekami. Nie wiem, czy pan wie?

- Wiem, że w pobliżu Miodoborów hrabia Cielecki szukał rzymskich skarbów w swych wyprawach po złote runo...

- No, właśnie - złoto. Oto najlepszy przykład. Nasz obóz pod Skolem, proszę pana, był w równie wiekowej kniei co w Miodoborach, tyle że w przeciwieństwie do Postołówki, która słynęła z rygoru, u nas takiego nie było. Niższa szarża, proszę pana. Tam szkolili się sami przybocznicy, drużynowi i ćwiki. Harcerskie „świeczniki”. A my, zwykli druhowie z lilijką, proszę pana...

-Szare szeregi...

- Tak jest. Nasz obóz był po jednej stronie głębokiego wąwozu, a po drugiej rozbiły namioty druhny z Żółkwi. Przedzielał nas stromy jar, na dnie którego płynął potok zwany Złotym Strumieniem.

- Już ciekawie się zaczyna - ucieszyłem się.

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy, niech się pan nie nastawia, druhny tylko odbierały dla nas pocztę, bo listonoszowi nie chciało się spuszczać w dół aż do potoku, skakać przez niego i wspinać do nas na górę. Druhny też się nie kwapiły, wkładały więc kamień do paczki listów i ciskały ją na naszą stronę. Czasem jednak ta poczta nie dolatywała i lądowała w strumieniu. Woda tam co prawda była pyszna jak sodowa, piliśmy ją garściami, ale listom to na zdrowie nie wychodziło. Postanowiłem z tym skończyć i zgłosiłem drużynowemu, że nasz zastęp chce zbudować most nad jarem. Zgodził się chętnie. Ścieliśmy parę masztowych sosen, związaliśmy linami, przerzuciliśmy na drugi brzeg i most wiszący był gotów. Radość była wielka, bo łączność z druhnami lepsza i zawsze szansę u nich większe - zaśmiał się. - Uroczystego otwarcia mostu dokonał podharcemistrz Kazimierz Smoła, czyli Kajo, jak go nazywaliśmy, nasz starszy kolega z gimnazjum, który pierwszy po nim przeszedł. A Kajo figura! Zastępca komendanta czortkowskiego hufca, profesora Józefa Opackiego. Na inspekcjach srożył się i smolił. Z tej okazji kropnąłem okolicznościowy tekst do znanej melodii i gdy Kajo po przecięciu wstęgi godnie wstąpił na most, ryknęliśmy zgodnie:

„Gdzie strumyk płynie z wolna,

most stanął, w sercach raj!

Sam Kajo po nim kroczy,

a nad nim szumi gaj!

Sam Kajo go przekroczył,

a most jak stoi, stał!”

Wytrzymał ciężar władzy. Śmiech był wielki! Kajo za tę wiszącą konstrukcję przyznał mi sprawność...

- Łącznościowca...

- Nie, nie. Pionierską, proszę pana. A zaraz potem zdobyłem jeszcze drugą. A jakże! Paru druhów przeżarło się dzikimi jagodami w lesie, zachorowało i dostało biegunki. A mnie akurat mama włożyła do apteczki sól karlsbadzką. Zaraz im ją zaaplikowałem, wyleczyłem przykładowie z tej sraczki i w nagrodę zdobyłem sprawność Samarytanina. To był mój lekarski debiut. Tak że obóz w Skolem wspominam miło. Ten strumień okazał się prawdziwie złoty. Obsypał mnie harcerską chwałą...

- Gdzie to Skole było? - spytałem.

- Na południe od Stryja. Od Skolego do granicznej stacji Woronienki było już bardzo blisko. Dalej zaczynała się tak zwana Ruś Zakarpacka. I Węgry. Mieszkało tam dużo Łemków...

- Słyszałem o Sokalu i Sokole, nigdy o Skolem - przyznałem ze wstydem.

- Skole to była mała miejscina sławna z dwóch rzeczy. Z wielkich tartaków, które dostarczały drewna na całe nasze Podole, i z szybów naftowych. Były one co prawda dużo mniejsze niż u nas w Buczyniźnie koło Kołomyi, czy paru innych wioskach huculskich, na przykład w Swobodzie Kopalnej czy Swobodzie Rungórskiej, ale pompowały do cystern zdrowo. W Skolem był też letni obóz dla piłkarzy trzech lwowskich klubów: „Pogoni”, „Lechii” i „Czarnych”. Podglądaliśmy często ich treningowe mecze. To były cudowne szczenięce lata. Cudowne! - pan Jan westchnął i ciągnął dalej jak ze złotego źródła. - Z moją drużyną harcerską brałem udział w różnych uroczystościach, których w Czortkowie nie brakowało. Eleganckie rauty w Admiralicji urządzano dla naszych „świeczników”, jak wspominałem, a w święta oczywiście odbywały się defilady. A jakże! Na czele maszerował zawsze pan Eisenbajfer, spolszczony Austriak, były legionista, naczelnik węzła kolejowego w Czortkowie. To była gruba fisza. Dosłownie. Brzuch miał jak bęben. Co mu nie przeszkadzało mieć najpiękniejszą w mieście żonę, z którą miał syna. Wszyscy głowili się, jak on tego syna zmaistrował. Pan Eisenbajfer kroczył dziarsko na czele pocztu sztandarowego, orkiestry i kompanii straży kolejowej, ale z powrotem wracał fiakrem. W obie strony sił mu już nie starczało. Czortków to było niezwykle miasto, proszę pana. Z cudownymi okolicami. Mieliśmy swoją własną puszcę. Halileja się nazywała. Jeździliśmy do niej na szkolne wycieczki. Często z kolegami wyprawialiśmy się rowerami do Kołomyi, gdzie dyrektorem szkoły był brat ojca, Władysław DoliwaDobrucki. Raz w drodze powrotnej, już mocno zmęczeni, postanowiliśmy zatrzymać się u Żyda w karczmie i coś zjeść. Karczmarz w ukłonach wyszedł nam naprzeciw. Wyglądał jak Jankiel z Pana Tadeusza.

- Co szanowni panicze sobie winszują? - spytał.

- Czy jest dobre piwo? - rzuciliśmy.

- Co znaczy jest? A czy „Okocim” to niedobre piwo? - odparł pytaniem na pytanie.

- Dobrze! - przyklasnęliśmy. - Dawaj pan po dużej halbie „Okocimia”!

- Już się kocim. A co do zjeść? Co panicze sobie zażyczą?

Ja bardzo lubiłem zimne nóżki, studenię, jak się u nas mówiło, więc zaraz ją zamówiłem. Przyniósł nam olbrzymią porcję wraz z piwem. Pijemy, zajadamy się, nóżki pycha, półmisek rozkoszy, proszę pana, aż tu do karczmy wchodzi Hucuł w łapciach, półkożuszku, z dużym młotem w rękę, bo widać szarwark na drodze odrabiał. Nieśmiało cupnął w kącie. Karczmarz na niego z góry:

- Szczo chcesz?

- Szczoś zjisty - bąknął Hucuł. - A hroszy majesz?

- Ta maju - Hucuł pokornie wysuptał z chusteczki nędzne dzwoniaki i położył na stole. Karczmarz odliczył z nich kilkanaście groszy i po chwili przyniósł mu taką maleńką porcyjkę nówek jak dla dziecka. Hucuł przyjął to z pokłonem i łapczywie zaczął jeść. Co jakiś czas tęsknie spoglądał na nasz stół. Widać było, że marzy o takim piwie. Przywołałem karczmarza i mówię, żeby taką samą halbę dał Hucułowi.

- A na co mu halba? - zdziwił się. - Un na maślance wyrósł, nawet nie wie, co to „Okocim”.

- To będzie wiedział. Ja płacę!

- Jak panycz płaci, to ja daję - uklonił się i podał piwo Hucułowi. Coś tam do niego szepnął, wskazując na mnie. Potem kazałem jeszcze temu Hucułowi podać taką samą porcję nówek jak nam. Trzeba było widzieć, co się działo. Takiej sceny w życiu już nie przeżyłem. Kiedy wychodziliśmy z karczmy, to ten Hucuł rzucił się przed nami na kolana, zaczął mnie po rękach całować i bić pokłony jak przed ikonostasem w cerkwi.

- Panyczu! - wołał. - Nehaj Matery Boża wam błohosławy! Nehaj Bohorodicaprynese wam szczastie! Szczob wasze żinki i diti były zdrowy i szczasfywy!

Nie wiedział, biedak, jak mi dziękować. Całą litanię na moją cześć odmówił. Gdy mi się w życiu czasem poszczęści, to myślę sobie, proszę pana, że to ten Hucuł w niebie dla mnie u Boga wymodlił...

W czasie tych moich wypraw najlepiej lubiłem jeździć do drugiego brata ojca, Stanisława Augusta Doliwy-Dobruckiego. Wachmistrza kawalerii. A jakże! Stryj mieszkał w Niźborgu Szlacheckim. Bo musi pan wiedzieć, że u nas były trzy Niźborgi: Niźborg Stary z młynem i ludnością mieszaną, Niźborg Nowy z pocztą, posterunkiem policji i samymi Ukraińcami oraz Niźborg Szlachecki, w którym - jak sama nazwa wskazuje - mieszkali od lat Dobruccy, Grabowscy, Klementowscy, Janiccy, Myśliccy. Mój stryj był już na emeryturze i hodował konie remonty dla wojska. Dostarczał je do Trembowli do 9. pułku ułanów, w którym sam kiedyś służył. Pozostali bracia Dobruccy, jak mój ojciec czy stryj Władysław z Kołomyi, mieli dobre posady państwowe i gospodarzę po rodzicach jemu zostawili. U stryja Stanisława Augusta na śniadanie regulaminowo

dostawałem pajdę chleba z masłem i kubek mleka oraz kiszony ogórek z miodem. Pycha. Każdemu polecam. Oczywiście musi być domowy...

- Z Nizborga Szlacheckiego...

- Rozumi się - podkreślił w lwowskim bałaku. - Ten Nizborg Szlachecki był ciekawie zaplanowany. Przypominał obóz warowny. Pośrodku był okrągły plac jak tarcza zegara. U góry, przy godzinie dwunastej, była droga do kościoła, po prawej stronie, przy godzinie trzeciej, szła droga do Husiatyna i granicy na Zbruczu, po lewej, przy dziewiątej, jechało się do Nizborga Nowego, a u dołu placu biegł trakt prowadzący do murowanki Kopyczyńce-Czortków.

Przed śniadaniem myłem się w zimnej wodzie. Przy czym dla koni była woda ustała, cieplejsza, a dla mnie zimna. Konie były ważniejsze. Stryj o nie bardzo dbał. Cały dzień pracowałem przy nich w stajni, czyściłem, szczotkowałem i czekałem, by pod wieczór stryj rozkazał: - Janek! A teraz siodłaj najlepszego konia i jedziemy do karczmy. - Miałem już upatrzonego rumaka, dosiadałem go fachowo i pod komendą stryj a, zawodowego wachmistrza kawalerii, ruszaliśmy z fasonem drogą na Nizborg Nowy, gdzie była karczma. Tam czekał już na nas u Żyda półmisek rozkoszy. Po drodze stryj nauczył mnie, jak wyprostowany w siodle jeździec, jedną ręką trzymając cugle, drugą w biegu wybija korek z butelki - pan Jan uderzył niby dnem flaszki w nadstawione ramię. - Pach! I korek poszedł - gwizdnął przeciągle. A my galopowaliśmy po złotym jarze...

- Złotym? - Tak.

- Ze stryjem wachmistrem?

- Zawodowym, proszę pana. A jakże!

- To jest w tym coś magicznego, panie Janie. W moich Derbach w pałacu też jest zawodowy wachmistrz Makar i bohaterka w drugim akcie sztuki woła: „- Do Złotego Jaru i z powrotem. Na czołowych folblutach dembowieckiej hodowli. Makar! Idziemy siodłać konie!” - Wymyślając wtedy wachmistrza i ten Złoty Jar, nie sądziłem, że po prawdziwym pan ze stryjem Stanisławem Augustem galopował...

- Nie całkiem. Ja go też wymyśliłem, panie Jarosławie, bo w drodze do karczmy na Nizborg Nowy takiego jaru nie było. Zagalopowałem się. Naprawdę jary zaczynały się u nas w okolicach Buczacza i Podhajec. Tam było ich w bród...

- Potraktujmy go więc umownie. Jako raj utracony. I wawóz pamięci. Każdy z nas taki jar w sobie nosi. Ja, jako „Jary” i Jarek, ten swój mały, Jarek” na moim podwórku właśnie opisałem*. Tylko mój był na Żoliborzu, a pański w Czortkowie...

- Ach, Czortków, proszę pana, to było niezwykle miasto. Niezwykłe. Czyste, zadbane. Kwitnące. Jak mały Lwów. Z cudownymi sadami. W każdym domu kity winogron. A jak nam było ich mało, to jechaliśmy lukstorpedą do Zaleszczyk na owoce. Zaleszczyki nazywano polskim Meranem. Podobnie jak słynne miasto we Włoszech leżały na półwyspie w kształcie podkowy.

Opływane ze wszystkich stron przez rzekę Dniestr. Niezwykle malowniczo położone, o słonecznym klimacie, w którym dojrzewają winogrona, arbuzy, brzoskwinie, morele i melony. Dla letników z centralnej Polski Zaleszczyki były orientalną sensacją. Przyjeżdżali tu tłumnie po owoce i murowaną pogodę. Wygrzać się w słońcu i wymasować ciało w spienionej, bystrej wodzie Dniestru...

- Byłem tam, panie Janie. Chyba w 1936 roku - pochwaliłem się.

- No, właśnie. Więc pan wie, że plaże nad Dniestrem tym się różnią od innych, że zamiast piasku są tam płaskie białe płyty kamienne, po których stąpa się ciężko, tak palą w stopy...

- Pewnie mama musiała mnie nieść na barana. Dlatego nie pamiętam. Gdybym się fest poparzył, może bym pamiętał...

- Każdy szanujący się Czortkowiec, proszę pana - ciągnął dalej pan Jan - miał własną piwniczkę wina. I to jakiego! Palcy lizać. Sam mniód! I ludzie wspaniali. Serdeczni, ciepłi, przylepni, jak ja to mówię. Krajana z Podola zawsze poznam. Gdziekolwiek by nie był. Żyliśmy w tym naszym Czortkowie jak w raju, nie wiedząc o tym. Tak jest. Nie wiedząc o tym - podkreślił śpiewnie. - Dopiero Sowieci nam to uświadomili. Jak do nas wkroczyli. Ich wejście było szokiem. Dosłownie. Jak jakiś makabryczny sen. Nikt się nie spodziewał, że ten potop nas zaleje. Ta szabrawa, dzika szarańcza. W smrodzie benzyny i spalin. W płaszczach bez pagonów, obszarpana, głodna. Rabująca wszystko co na drodze. Od razu nazwaliśmy ich „zegarmistrzami”. Sowieci z 1944 roku to byli lordowie przy tych dzikich czubarykach z 1939 roku, proszę pana.

- Czy pan słyszał o wypuszczaniu Ukraińców z więzienia w Czortkowie tuż przed wejściem Rosjan w 1939 roku? - sprawdzałem przekaz adwokata Roślaka i Jana Korsaka.

- A jakże! Mój kolega Stefek Woroch tam siedział, oskarżony o udział w

1 Patrz Lwy mojego podwórka.

OUN, i sam widziałem go na Browarowej, jak biegł z tobołkiem w rękę, z ogoloną głową i krzyczał: - Wie Polsce ne ma!

Jak wkroczyło NKWD, to ich wszystkich zaraz wylapało i z powrotem wsadziło. Stefkowi udało się ukryć i wyszedł dopiero za Niemców. W pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców Ukraińcy szaleli z radości. Sicz maszerowała, proszę, pana, wszędzie powiewały narodowe flagi, nawet baby na koszykach miały sino-żółte kokardy. Po dwóch tygodniach zjechało Gestapo, całe to ukraińskie państwo - z którego tak się cieszyli - zlikwidowało, sztandary z gmachów pościągało, ważniejszych aresztowało, mniej ważnych sprząło po mordzie, zaprowadziło Ordnung i zrobiło Generalną Gubernię. Kiedy spytałem Stefka:

- Gde twoja Ukraina?

- Ne znały. Może szcze i budę? - odparł zgnębiony.

Ukraińcy przed wojną mieli u nas w Czortkowie swoją silną reprezentację. Dużo inteligencji, adwokatów, lekarzy. Doktor Synenki na przykład...

- Petro? - spytałem.

- Tak jest. Bardzo znany lekarz. Nadzwyczaj porządny człowiek. Jak moja matka zachorowała i pobiegnęłam go wezwać, rzucił wszystko i zaraz do niej przyszedł. Szybko ją wyleczył...

- To jego aresztowanie tak wzburzyło Ukraińców, że zbierali podpisy...

- Te podpisy zbierała jego żona, proszę pana, a księga była wyłożona w ich domu. Ja sam złożyłem swój podpis, z ojcem. Te podpisy nic nie dały. Po pewnym czasie NKWD powiadomiło ją o śmierci męża i wtedy ona z rozpaczy popełniła samobójstwo. Otruła się. A potem okazało się, że to kłamstwo i doktor Petro Synenki przeżył. Wyszedł z Rosji z naszą armią Andersa i podobno po wojnie był lekarzem w Nowym Jorku. Rosjanie bardzo dużo ludzi aresztowali. Mnóstwo młodzieży. Zwłaszcza po powstaniu czortkowskim...

- Słyszałem, że dowodziło nim trzech braci Malawskich...

- To prawda. Choć powstanie to było dziwne. Na przykład profesor Opacki, który zakładał konspirację, dowiedział się o nim w chwili wybuchu. Są więc podejrzenia, że chytrze sprowokowane zostało przez Rosjan...

- Słyszałem również, że kierowali nim trzej bracia Górscy...

- Byli trzej bracia Górscy, a jakże! - potwierdził przekaz Jana Korsaka doktor Dobrucki. - Jeden nauczyciel, drugi też wykształcony, ale miał kłopoty psychiczne: jak szedł ulicą Mickiewicza, to głośno recytował Pana Tadeusza, żył w swoim świecie, proszę pana, a trzeci brat Górski miał duże ogrodnictwo w Czortkowie. Pamiętam, bo jak raz szedłem na randkę z dziewczyną, to mama powiedziała:

- Idź do Górskiego i kup jej bukietik fijołków. Tak będzie ładnie.

I ja do niego poszedłem, chciałem zapłacić, ale on nie przyjął ode mnie pieniędzy.

- Panie Janku - powiedział - pan schowa te moniaki do kieszeni. Przydadzą się.

Był bardzo miły. Możliwe, że walczył z bratem w powstaniu. Ale czy dowodził, tego panu nie powiem.

- To powstanie dokładnie wspomina Klotyld Atamaniuk...

- Znałem Klocia - ucieszył się doktor Dobrucki. - I jego brata Rudzia. A jakże! Bardzo porządni chłopcy. Ich ojciec, Antoni Atamaniuk, był maszynistą kolejowym, a potem w naszej szkole kierował łaźnią jako łaziebny. Ja też byłem w konspiracji, ale akurat wyjechałem do stryja Władysława do Kołomyi. Sowiecki kapitan, który tam kwaterował, zatkał szyber od pieca i mocno się zacządziałem. O trzy dni opóźniłem mój przyjazd do Czortkowa. Gdy wróciłem, to cały dworzec był obstawiony wojskiem. Pokazałem swój bilet. Znajomy Ukrainiec, Draźniowski się nazywał, pamiętam, nie wziął go ode mnie, tylko szepnął:

- Trymaj! Trymaj.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, ale obok niego stał mój ojciec, który szybko wziął mnie za rękę i bocznymi przejściami wyprowadził z dworca. Potem mi szepnął:

- W Czortkowie było powstanie - i dopiero wtedy się o nim dowiedziałem. Przez dziesięć dni nie wychodziłem z domu, ale NKWD w końcu w nocy i do nas przyszło.

- Gdzie byłeś 21 stycznia? - pytają.

- W Kołomyi - odparłem.

- Udwodnij to!

Pokazałem bilet. Popatrzyli na datę i to mnie uratowało. Chodzili po domach. Sprawdzali nawet, czy podeszwy bucików nie są mokre. Jak mokre, to aresztowali i nie było ratunku. Przed samym wyjściem w 1941 roku strzelali do ludzi na ulicach, podpalili starostwo, wysadzili miejski most na Serecie, no, straszna dzicz. Tylko propaganda u nich głośiła, że wszystko mają najlepsze. Produkują nawet pomarańcze w fabryce - zaśmiał się, powtarzając świadectwo Olgi Wawrów*.

- Nasz dom - opowiadał mi pierwszy mój rozmówca, Tadeusz Jaworski - zajął nowy dyrektor elektrowni Aleksandr Pietrowicz. W sumie niezły chłop, tylko straszny cham i pijak. Ledwie wstał z rana, łykał na czczo szklanę wódki i zapijał ją kubkiem mleka. To była jego zakąska. Jak sprowadził żonę z Rosji, to zauważyliśmy, że z łazienki znikło mydło. Jego kawałek odkryliśmy w klozecie. Dyrektorka tam się myła, myśląc muszlę klozetową z umywalką. Ubrała się też w nocną koszulę mojej mamy i wyszła na targ do miasta po zakupy...

- O tym słyszałem w Białymstoku. Podobno w teatrze na premierze żony sowieckich dygnitarzy paradowały w nocnych koszulach, myśląc, że są w wieczorowych sukniach. Dyrekcja bała się im zwrócić uwagę, a polska publiczność miała dodatkową zabawę, dużo lepszą niż na scenie...

1 Przekazałem je w Nawiało nam burzę

- Zgadza się - potwierdził Tadeusz. - Ten Aleksandr Pietrowicz strasznie bił swoją żonę. Jak furman klacz. Ona to dzielnie znosiła, aż w końcu nie wytrzymała i od niego uciekła. Pobiegł za nią skruszony na dworzec z kwiatkiem w rękę. Z tym jednym kwiatkiem w rękę go zapamiętałem. Wkrótce i on uciekł przed Niemcami.

To wyjście Rosjan w 1941 roku - ciągnął - kojarzy mi się ze smrodem benzyny i fetorem rozkładających się ciał. Krasnoarmiejcy, odjeżdżając na swych tankach w kłębach spalin, zostawili za sobą stos trupów. Pobiegliśmy do więzienia w Czortkowie. Na dziedzińcu pełno było ludzkich zwłok. Odkopywano ciała pomordowanych w więziennych piwnicach. Zrozpaczeni ludzie odnajdywali tam swoich bliskich. Płacz, lament. Widok ten straszy mnie do dziś. Koszmar...

Rozkaz Biura Politycznego WKP(b) był więc ściśle wykonany. Nie gorzej niż „Na Brygidkach” we Lwowie. Nie było to przypadkowe...

- Sklepikarz w naszej wiosce, Żyd Mordko, proszę pana - opowiadała mi o tych dniach w Hadyńkowcach, Olga Wawrów - miał dwóch synów. Starszego Lejzorka i młodszego Majorka. Lejzorek już się ożenił, proszę pana, i mieszkał na innej wiosce, a Majorka Sowieci wzięli do wojska. Był już w mundurze i skrył się w pszenicy. Ale miał pecha, bo jechał patrol na koniu i w tej pszenicy go zobaczył. Majorek wiedział, co go czeka, i zaczął uciekać. Wtedy żołdat z patrolu zdjął z ramienia karabin i w tym zbożu Majorka zastrzelił. Kiedy Mordko się o tym dowiedział, to wsiadł na wóz i pojechał do wioski, do Lejzorka, by go powiadomić o śmierci brata. Jak pojechał, tak i nie wrócił. Potem my się dowiedzieli, że na tej wiosce i Mordkę, i Lejzorka zamordowali.

- Kto? - spytałem.

- Tego panu nie powiem - odparła ostrożnie. - Nie Niemcy w każdym razie, bo oni do nas jeszcze nie weszli. Jak Mordczycha się dowiedziała, że jednego dnia straciła męża i dwóch synów, to jej się w głowie pomieszało. Zaczęła gadać od rzeczy, chodzić po wsi, śpiewać. Całkiem jej rozum odjęło, proszę pana...

Taką cenę zapłacił Majorek, kryjąc się w zbożu, zamiast własną pierśią bronić pokój miłujący Kraj Rad, który tak niecnie napadnięty został przez hitlerowskie hordy. Zdażył umrzeć przed tymi, którzy z okrzykiem: „Stalin” rzucali się pod czołgi, z koktajlem Mołotowa, wierząc święcie, że władcy Kremla o nich zadbają i pomyślą. Jak zadbali i pomyśleli, i jak to wcielili w czyn, moi świadkowie z Bokowa, Czortkowa, ze Lwowa i Hadyńkowiec właśnie opowiedzieli.

Jarosław Wawrów w 1978 roku odwiedził rodzinne Hadyńkowce i swój pobyt w Czortkowie tak podsumował w rozmowie ze mną:

- My dla nich wciąż byliśmy tym Zachodem. Przepaść między nami była straszna. Straaszna! Inny świat, kurczą. Mięso w sklepach kładziono klientowi prosto na rękę. Bez papieru. A nawet gazety. To samo w ciastkarni. Wystawiałeś łapę i ci kładli. Ubikacja na dworcu w Czortkowie była wspólna. Kobiety i mężczyźni załatwiali się obok siebie. Wszyscy stali lub kucali nad jedną dziurą. To u nas w polowej latrynie na poligonie był większy komfort i kultura. Przynajmniej belka pod tyłek była. Moja Urszula nie chciała tam wejść. A oni szli, normalnie - starzy, młodzi, dzieci. Nikt się tym wspólnym męsko-damskim kiblem na dworcu nie krępował. Moja córka była wstrząśnięta...

Jak w tej sytuacji, pomyślałem, nazwać dawny zakład ciotki Klopnicowej przy tym samym dworcu? Powiedzieć o nim burdel byłoby obrazą. Przypomniały mi się słowa dyrektora Kazimierza Dejmka, do którego przyszedłem tuż po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Siedział w gabinecie, który pamiętał czasy twórcy Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana. Na ścianach wisiały zdjęcia największych naszych mistrzów sceny i projekty Wincentego Drabika do Nie-Boskiej Komедii Zygmunta Krasieńskiego.

Siedliśmy za stylowym stołem. Patrzyłem smutno na wiszący na ścianie szkic „Okopów Świętej Trójcy” i myślałem o mojej biednej sztuce Darz Bór, którą Dejmek chciał wystawić, a teraz sprawa odplynęła w nierealną przyszłość. Było to tak jasne, że nawet o tym nie mówiliśmy. Dejmek swoim zwyczajem odpalał papierosa od papierosa. Po wypuszczeniu dłuższego dymu wgniótł niedopałek do pełnej już popielniczki, zapalił nowego papierosa i oświadczył:

- No, cóż, miły panie dobrodzieju? Cofnęliśmy się do lat stalinizmu. Tak to chyba należy określić. Wokół mundury. Mundury nie lubią kultury. Wiadomo. Cóż nam pozostaje? Bronić rudymentów. I stać na rubieży. A granica jest prosta. Nie ma co dumać. Brudny sracz - Wschód. Czysty - Zachód. I ja naszego czystego sracza przed tym zalewem gówna ze Wschodu mam zamiar w teatrze bronić - uciął i spojrzał na mnie twardo.

Kazimierz Dejmek wiedział, co mówi. Znał ten podział. Widział żołdatów w szarych szynelach i szpiczastych czapkach w 1939 roku po przekroczeniu granicy na Zbruczu w swoim rodzinnym Łucku. I dlatego w tych ponurych dniach stanu wojennego - z czołgami na ulicach, rozmowami kontrolowanymi i szlabanami na granicy każdego województwa - Państwowy Teatr Polski w Warszawie był oazą. Lśnił najczystszy blaskiem. Wyglądał jak przedwojenna bomboniera od Fruzińskiego. Zaskakiwał kulturą i elegancją. Bileterzy i portierzy w swych nowych uniformach wyglądali, jakby przyszli prosto z Comedie Fran9aise w Paryżu. Tu oddychało się innym powietrzem. Siedząc w wygodnym fotelu pod kryształowym żyrandolem, pamiętającym czasy Arnolda Szyfmana, na moment zapominałem o artykułach nowych Kolskich w „Żołnierzu Wolności”, zmobilizowanych prezenterach w telewizji i tupiących w filcówkach przy koksownikach zomowcach, którzy w papachach, z kałasznikowem w rękę, bronili naszych swobód demokratycznych tak niecznie wydartych nam przez Zachód i nieodpowiedzialne elementy z podziemnej „Solidarności”.

NADSZEDŁ TEN DZIEŃ

- Mój tato Martyn mieszkał przy stacji kolejowej - zaczęła Olga Wawrow - i w czerwcu sąsiedzi z wioski: Stepan Pohorecki i Kornelko Stefaniuk* prosto z pociągu przybiegli do niego z wielką nowiną. Wrócili ze Lwowa, proszę pana, i byli bardzo wzburzeni. Stepan Pohorecki wykrzykiwał radośnie:

- Nadszedł ten dzień, Martyn! Nadszedł! O którym marzyliśmy u Petlury! W Kamieńcu i Kijowie! W okopach na froncie. Wybiła godzina! Zapłacą! Zapłacą za śmierć twego brata Iwana i mego syna Myroszki! Zgnieciemy czerwoną gadzinę! Rozbijemy jaw puch! W puch!

A Kornelko wtórował mu swym chrapliwym głosem:

- Idziemy na Kreml, panie Wynnyczenko! Idziemy! Z Bandera! Nasz Bandera nie Petlura! Drugiej Rygi nie będzie! Zwycięzimy! - skrzeczał groźnie, dławiąc się aż tym zwycięstwem. I pokazali afisz, który potem rozwiesili przed naszą cerkwią. Była to odezwa do wszystkich Ukraińców. Mój tato nie podzielał ich zapału i nie bardzo ta wierzył w ten nowy rząd.

Ta odezwa to tak zwany akt 30 czerwca, którego tekst zaczerpnąłem z książki Wiktora Poliszczuka Gorzka prawda. Ogłoszony został przez lwowskie radio i opublikowany w ukraińskich gazetach. Szeroko rozpowszechniony na plakatach w całej Małopolsce Wschodniej. Oto pierwsza wersja tej odezwy:

„AKT PROKLAMOWANIA PAŃSTWA UKRAIŃSKIEGO!

Wola Narodu Ukraińskiego Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów pod przewodem STEPANA BANDERY ogłasza utworzenie Państwa Ukraińskiego” Członkowie ukraińskiego ruchu narodowego OUN, których opisałem w Nawiało nam burzę go, za które pokładły swe głowy całe pokolenia najlepszych synów Ukrainy. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, która pod przewodem jej Twórcy i Wodza Jewhena Konowalca prowadziła w ostatnich dziesięcioleciach krwawego moskiewskobolszewickiego ujarzmiania zaciętą walkę o wolność, wzywa cały naród Ukraiński nie składać broni tak długo, dopóki na wszystkich ziemiach ukraińskich nie będzie stworzona Suwerenna Władza Ukraińska. Suwerenna Władza Ukraińska zapewni narodowi ukraińskiemu ład i porządek, wszechstronny rozwój wszystkich jego sił i zaspokojenie wszystkich jego potrzeb. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów pod przewodem Stepana Bandery wzywa do podporządkowania się utworzonemu we Lwowie krajowemu Rządowi, przewodniczącym którego jest Jarosław Stećko. Sława Bohaterskiej Armii Niemieckiej i jej Fuhrerowi Adolfowi Hitlerowi! Ukraina dla Ukraińców! Precz z Moskwą!

Precz z obcą władzą na ziemi ukraińskiej! Budujemy Niepodległe Państwo Ukraińskie!”

Druga wersja tej odezwy, do której chętniej Ukraińcy się dziś przyznają, proklamuje stolicę w Kijowie i utworzenie narodo-rewolucyjnych sił zbrojnych, które walczyć będą o Suwerenne Soborowe Państwo Ukraińskie. Nie zawiera już fragmentu o Hitlerze i bohaterskiej armii niemieckiej i podpisana bezpośrednio przez Jarosława Stećkę kończy się następującymi hasłami: „Niech żyje Suwerenne Soborowe Państwo Ukraińskie! Niech żyje Organizacja Ukraińskich

Nacjonalistów! Niech żyje Prowidnyk Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepan Bandera!

Lwa-Gród, 30 czerwca 1941 roku godzina 20.

Jarosław Stećko. Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego”.

Powołując swój rząd, Stećko liczył, że Hitler ustąpi wobec faktów dokonanych.

Te same nadzieje żywili w 1944 roku nasi przywódcy wobec Stalina. Wzniecając powstanie, pragnęli pokazać mu, kto jest panem Stolicy. Powitać go w roli gospodarzy. Do powitania nie doszło. Stalin okazał się chytrzejszy.

Stećko z Hitlerem przeżył podobne rozczarowanie. Upokorzenie było straszne. Nie

dość, że prysła nadzieja na Suwerenne Soborowe Państwo Ukraińskie, to jeszcze tereny, na których miało powstać, podzielili i Galicję Wschodnią jak za Austrii potraktowano jako część zabranych ziem polskich. Co gorsza to Kraków - z gubernatorem Hansem Frankiem na Wawelu - stał się stolicą tego namiestnictwa, a nie Lwów jak za Franza-Josefa!

Ciężko Ukraińcom było to przeżyć. Zniesiono granicę na Sanie. Wszelkie obwieszczenia drukowano w trzech językach: po niemiecku, po polsku i po ukraińsku. W całej Galicji wprowadzono wspólną walutę. My w Warszawie te niemieckie banknoty nazywaliśmy „młynarkami”, od podpisu prezesa banku - Młynarskiego. Na pięćsetki mówiliśmy „górale”, ze względu na umieszczoną na niej podobiznę bacy z fajką.

Mam przed sobą jeden z takich banknotów, który podarował mi w swoim czasie Gienio Kuciński*, szwagier Piotra Zalewskiego, długoletniego dozorca „Domu Sierot” w Warszawie.

Dopiero teraz przyjrzałem mu się bliżej i widzę jego niezwykłość. Jest na nim jak byk napisane: „Sto złotych. Kraków 1. Sierpnia 1941 R. Prezydent i Zastępca Prezydenta” tu następują podpisy i u dołu - „Bank Emisyjny w Polsce”. Na odwrocie zaś widnieje panorama Lwowa z kościołem Bernardynów i katedrą Świętego Jura...

Wypuszczona więc została ta stuzłotówka w chwili, o której piszę. Tuż po likwidacji rządu Stećki. Jakby na otarcie ukraińskich łez.

Ten „Emisyjny Bank w Polsce” nie mógł cieszyć zwolenników Stepana Bandery. Podczas każdej płatności i zakupów w sklepach przypominał im o bankructwie koncepcji stawiania na Hitlera i Niemców.

* O kierowanej przez Cienia Kucińskiego platformie, która wwiozła do getta ziemniaki dla Pana Doktora i dzieci (pokazanej w filmie Wajdy „Korczak”), napisałem w książce lwy mojego podwórka.

DUMKA O SOKOLE

- Ja sobie niedawno przypomniała, proszę pana, że za Niemców do mego Wieka wieczorem przyszedł jakiś gość i namawiał go, by wstąpił do konspiracji. Po jego wyjściu mąż mi powiedział, że to był oficer z Probużnej. Ja go przedtem nigdy w Hadyńkowcach nie widziała - mówi Olga Wawrów.

- To znaczy nie Staszek Kulczycki?! - wtrąciłem.

- Ta gdzież?! Staszek Kulczycki mieszkał u nas za stawem. - I nie zginął...

- Ta skąd! Żyje do dziś z Milką w Hadyńkowcach. A czemu miałby zginąć?

- Bo Stanisław Kulczycki, dowódca kompanii AK w Probużnej, w lutym 1944 roku został zamordowany.

- To nie nasz Staszek, proszę pana...

- Też Stanisław. Z wojska. Byłem pewien, że to ten, z którym wodziła się pani za rękę nad rzeczką przed ślubem z Wiekiem. I odwinęła plecami na tej kładce*...

- To nie ten, proszę pana..

- O, Boże, pani Olgo. To straszne. Zmartwiła mnie pani...

- Czemu?! Wolałby pan, żeby zginął?!

- Jasne. Dla książki byłoby lepiej. Świetnie mi pasował. Rywal Wieka do pani ręki walczy w podziemiu! Dowódca placówki AK w Probużnej ginie z rąk banderowców. Zamordowany przez rodaków własnej żony Milki Firmaniuk. Jakiś Firmaniuk musiał tam być?! Jak ich tylu. Wtedy spotkanie z Wiekiem miałoby sens! A tak nie ma. Jest martwe! Skoro ten Staszek za stawem żyje, a zginął całkiem kto inny. Po co?! Bez sensu. Jak pani go nie znała?! Błąd

I Pisałem o tym w Nawiało nam burzę w sztuce, pani Olgo. Wskazuje na brak warsztatu. Znaczący nie panuję nad tworzywem, gubię bohaterów i nie umiem ich ze sobą powiązać. A on mi się świetnie wiązał. Z panią i Wiekiem. Idealnie. Powinien wkroczyć do akcji. Według wszelkich praw sztuki pisarskiej. Musi być dowódcą AK w Probużnej! I zginąć z rąk UPA...

- Kiedy żyje za stawem. Wyszłoby, że ja kłamię, a na co mi to?

- To prawda. Teraz widzi pani, jaki z tą prawdą kłopot?!

Człowiek spętany niajak Webster smyczą... Ciągnie w drugą stronę, a tu nic. Pech, pomyślałem. To samo miejsce, zawód, imię, nazwisko - i nie ten! W końcu Kulczyccy nie Firmaniuki! A Staszki nie Jarki! Tylu ich nie ma. A jednak pudło. „Nieprzypadkowy przypadek” tym razem nie strzelił. No, nic, psiarzu. Trzymaj się prawdy i zapomnij o tym tropie...

- A gdzie się pan na tego Kulczyckiego natknął? - spytała pani Olga.

- W książce Nasze Kopyczyńce. Autor, Jerzy Szewczyński, twierdzi, że Stanisław Kulczycki był pierwszym dowódcą AK w Probużnej, pani Olgo...

Jerzy Julian Szewczyński (pseudonimy „Laluś”, „Goguś”), uczestnik wielu akcji zbrojnych podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej, opisał w swej książce całą strukturę terytorialną Okręgu AK Tarnopol. Okręg ten, najsilniejszy i najlepiej zorganizowany na obszarze lwowskim, liczył około piętnastu tysięcy żołnierzy AK. Dla Komendy Głównej w Warszawie nosił kryptonimy: „Sztuka” i „Torf.

Podzielony został na cztery Inspektoraty. Jednym z nich był Inspektorat w Czortkowie (kryptonimy: „Winigrady”, „Krzemień”). Wśród osiemnastu obwodów tego Okręgu znalazły się Kopyczyńce (kryptonimy: „Jagienka”, „Kobałt”); obwód ten, który swym zasięgiem obejmował dawny powiat kopyczyński, zorganizowany był z kolei w cztery kompanie...

I właśnie IV Kompanii w Probużnej dowodzonej przez Stanisława Kulczyckiego podlegały oprócz Czarnokońców Małych i Wielkich, Kociubińczyków, Szymańkowa i Tłusteńskiego - Hadyńkowce...

Pierwszym Komendantem AK Inspektoratu w Czortkowie był rotmistrz kawalerii Bronisław Zawadzki (pseudonim „Soroka”), a obwodu w Kopyczyńcach z początku podporucznik Jan Marzęta (pseudonimy: „Keczal”, „Wisł”) były chorąży 13 Baonu. Od sierpnia 1942 do 1945 roku pracował on w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik” w Kopyczyńcach. Po nim komendantem został zawodowy starszy sierżant piechoty, podporucznik czasu wojny Roman Grodzicki (pseudonim „Surma”), oficjalnie pracujący jako agent skupu skór.

Naszą rozmowę przerwał dzwonek. Pani Olga spędziła z kolan kota Mykę i poszła otworzyć drzwi. Po chwili rozległ się znajomy, śpiewny głos:

- Przepraszam, że jestem late, ale traffic straszny. Na autostradzie był accident i wlokłem się gardinerem wolniej niż rowerem-wandererem po naszej murowance...

- Wierzę. Nasza murowanka fajna była. A pan Jarko już siedzi i pyta. Czasu nie traci. Proszę. Proszę wchodzić...

- Już, już, moja panienczko. Zdejmę tylko sweter, bo grzejesz tu bardzo. Pięknie dziś wyglądasz w tej bluzeczce, kochanie. Naprawdę. Bardzo ładnie...

Po chwili, jak zawsze w garniturze i białej koszuli wszedł kierownik tytoniowy na okręg Probużną Jan Korsak, a wraz z nim świat, o którym piszę. Pani Olga szybko dała nam coś do zjedzenia i naląła po kieliszku...

- Twoją wiśniówką nie wzgardzę, Olu - rzekł pan Jan. - Bo z czym się pije wódkę, proszę państwa?

- Z zagryzką.

- Nie. Z rozumem. Wódka jest dla mądrych ludzi, jak mawiał mój teść z Niagara Falls. Trzeba ją tylko umiejętnie dozować. Jak lekarstwo. Wtedy służy. Sam zawsze pił obowiązkowo jeden kieliszek do obiadu...

- Jak mój ojciec - wtrąciłem.

-1 dożył stu siedmiu lat, proszę państwa...

- Mój tata mniej, ale ponieważ lata obozów sowieckich i niemieckich liczył sobie podwójnie, to prawie zbliżył się do setki...

- Teść do końca był w świetnej formie. Na moich rękach umarł. Brał na górze kąpiel, wyszedł z wanny i woła:

- Jasiu, pomóż mi! Coś mi słabo!

Ja patrzę, a po nim taka biała smuga idzie. Jak cień. Widać, jak się przesuwa. Z twarzy na szyję, potem z ramion przez pierś do serca. Teść z różowego stał się biały. Jak biel doszła do stóp - osunął się, chwycił mnie, a gdy go wziąłem na ręce, już nie żył. To był moment. Widać było, jak go zabiera...

-Biała śmierć...

- Tak jest. Najlżejsza. Każdemu życzyć. Dlatego jak Ukraińcy zaczęli nas rżnąć, proszę państwa, to ja błagałem Boga, byle nie piłą. Bo to najgorsze. Ale niestety. Zaczęły się te rzezie, tortury, darcie z ludzi skóry - i trzeba było wiać. Za duże ryzyko. Nie dało się żyć. Przy najlepszej woli. Człowiek tylko drżał, kiedy mu drzwi wywalą w nocy...

- O, ja. To prawda...

- Do wejścia Niemców był pan w Probużnej? I zabezpieczał strachowyj fondl - przypomniałem mu.

- No, właśnie. Sowietci nie zdążyli nawet wziąć ziarnka. Tak uciekali - zaśmiał się.

-1 wrócił pan do Monopolu?

- Jak wszyscy co zdołali przeżyć. Wtedy zmartwychwstał Dżam, proszę pana. Ten, co go uśmierciłem w NKWD. Niemcy cenili naszych fachowców, tylko na dyrektora dali komisarza Niemca. Ze mną pracował inżynier Aleksander Denenfeld, absolwent szkoły w Wiedniu. Wybitny specjalista. Po wojnie spotkaliśmy się z nim w Pruszczu przy osuszaniu Żuław, proszę pana. Tam aż trzech dyrektorów z Monopolu na okręg Tarnopol pracowało...

W strachu, że dowiem się więcej o strukturze terytorialnej Monopolu tytoniowego w PRL-u niż o Armii Krajowej podczas okupacji, wróciłem znów do wojny:

- A fabryka w Jagielnicy produkowała dla potrzeb frontu?

- Tak. W związku z tym miałem dobry Ausweis i stosunki. Komisarz Wagner mnie lubił. To był miły, kulturalny Wiedeńczyk starej daty. Hitlera nie wielbił. Często pomagał. Przez niego wyciągnąłem cudem kolegę z aresztu w Czortkowie! Wagner zaświadczył, że jest mu niezbędny w produkcji dla wojska, zaręczył za niego i chłop wyszedł. A brał udział w akcji. Członek organizacji. Zgniłby w Gestapo jak nic...

- W Monopolu była komórka AK?

- Oczywiście. Aleja do niej nie należałem. Stroniłem od polityki. Miałem rodzinę. Dzieci. Łatwo można było wpaść. Nie chciałem się narażać, ale teraz zaryzykuję i zjem gołąbka, Olu. Drugiego. Jest bardzo smaczny...

- Jak kucharz kucharza chwali, znaczy sąokay - ucieszyła się pani Olga i dołożyła mi jeszcze dwa...

- Ja naprawdę dojdę do dwudziestu siedmiu*, pani Olgo...

- Ta tyle nie grozi, bo nie ma. Chyba że by ruszyła z rezerwy Leszka...

- Strachowyj gołąbkowyj fond?!

- Ja. Ale z tego byłaby wojna, bo mój Leszek bardzo moje gołąbki lubi. I by się gniewał, że mu je moje goście...

-Rozkrakali...

- Tak jest. Ja mu zawsze tuzin zamrażam i odkładam we frizerze.

- Wstebniku...

- Zapamiętał pan, widzę, Sierżęgę. I skarby hrabiego Lanckorońskiego - ożywił się pan Jan.

- No, właśnie. A propos hrabiego, panie Janie. W Kopyczyńcach działał za Niemców Zarząd Nieruchomości Ziemijskich...

- Tak zwany Legenschaftsverwaltung - podchwycił od razu. - Jego komisarzem był właśnie hrabia, ściślej baron kurlandzki, który mówił perfekt po rosyjsku, ale jego nazwiska nie pomnę. Wyleciało mi z głowy...

- Claus von Ungern Stenberg - podrzuciłem mu.

- Tak jest! Skąd pan wie?

- Od Jerzego Szewczyńskiego...

- Szewczyńskiego?! Znałem jednego Szewczyńskiego, ale tamten nie był Jerzy, proszę pana. Spotkałem go u Józefa Goryczki, zarządcy dóbr hrabiego Gołuchowskiego. Jak pracowałem w majątku Lanckorońskiego...

- To pewnie Franciszek Szewczyński. Jego ojciec. Bardzo znana i szanowana postać w Kopyczyńcach...

- Możliwe. W każdym razie pamiętam, że ten baron miał szofera Rosjanina, który nazywał się Wasia. I przez tego Wąsie można było wiele spraw załatwić. Nawiązuję tu do opisanego w Nawiało nam burzę historii z gołąbkami twiść. On był bardzo bystry i miły. Baron nie rozstawał się z nim na krok. Wszędzie razem jeździli. Ten Wasia umiał do niego trafić. Swój chłop, pijus, szczerą słowiańską duszą! Bardzo morowy. Baron przepadał za nim. Wasia działał na niego jak balsam. Kiedy baron był zły lub smutny, to zawsze wołał: - Wasia! Piej! Bo nuda unyńska! - Wasia piel. Wyciągał bałałajkę z trunku... - Kufra...

- Tak jest, zawsze ją tam w swoim volkswagenie miał, i śpiewał stare pieśni rosyjskie i romanse cygańskie. Baron znał je ze szkoły oficerskiej w Dorpacie, gdzie był elewem za cara Mikołaja. Wzruszony wyciągał butelkę koniaku, nalewał sobie i Wasi i wzdychał: - Mein Gott! Dorpat eto nie Kopyczyńcel Tam była wundenbar żyżń, meine Herren und Damen. Dawaj, Wasia „Bradiagę”! Albo „Wołga, Wołga”!

-1 Claus von Urigern Stenberg płakał nad carską młodością?!

- Tak jest. Sam widziałem, proszę pana - potaknął pan Jan. -1 ten Wasia tak pięknie piel?

- Super. Głos miał jak dzwon. Operowy. Występował w night-clubie „Pod samowarem” w Paryżu. Był tam taksówkarzem. Białoogwardzista. Od barona Wrangla. Stąd jeszcze większa słabość von Ungerna do Wasi. Bo baron też u Wrangla służył był w 1919. Wielu białych Rosjan potem poszło z Hitlerem na Moskwę. Bardzo miło tego Wąsie wspominać, proszę państwa. Morowy chłop. Z baronem tworzyli fajną parę. Rozumieli się w mig.

Potem, jak pracowałem w Monopolu w Złoczowie, to nasz kontakt się urwał. Pojęcia nie mam, co się z nimi stało. A dlaczego pan pytał o barona?

- Ciekawiło mnie pańskie zdanie o nim. - Jak najlepsze...

- A o Wasi?

- Też świetne - rzekł bez wahań.

- Tak myślałem.

- Pan ma inne? - zdziwił się.

- W połowie.

- To znaczy?!

- Co do barona - zgoda. Claus von Ungern Stenberg rzeczywiście porządny gość. Oddał Polakom sporo przysług. I na wiele rzeczy przymykał oko...

- Dzięki Wasi. To on mu w tym pomagał...

- Wierzę. Baron był typowym pruskim junkrem. Gardził Hitlerem. Podobnie jak jego brat, który zamieszany był w spisek. Nie było to więc trudne...

-A Wasia?

- Dosiadł się do barona. Niestety.

- Jak to dosiadł?! Woził go przecież... -1 przewiózł.

- Nie rozumiem?

-Kapitan NKWD. Najpewniej szef sowieckiej kontrrazwiedki na Kopyczyńce, panie Janie. Zrzucony na tyły frontu...

i-łia u tia Pił.

syń - Wasia kapitanem NKWD? - Z bałałajką...

- Daj pan spokój! Toż to morowy gość...

- Dlatego tak chwacko się spisał. Piel o bradiadze i informował władze o każdym ruchu wroga...

- Coś takiego! Nie do wiary. To mnie pan zdumiał, drogi panie - pan Jan otarł chustką czoło. - Jest pan tego pewien?!

- Jerzy Julian Szewczyński to rzetelny świadek. Twierdzi, że to był agent. Sowiecka wtyczka..

- Możliwe. Oni to umieli. Mój Boże! A ja go nauczyłem naszej dumki ukraińskiej. I jak on ją piei, szelma! Aż w gardle ścisnęło. Bardzo lubił tę dumkę...

-Jaką?

- Naszą podolską. „Gdyby orłem być”. U nas w Jagielnicy bardzo popularna. Znasz ją, Olu?

- Jak byś zanucił, to może by sobie przypomniała...

- Nie mam takiego głosu jak Wasia...

- Na szczęście. Nie chodzi o głos, panie Janie. Ważna treść. Niech pan zamarkuje...

- Tej dumki uczyła mnie jeszcze moja babcia Katarzyna - dopił wiśniówkę. - Znała ich mnóstwo. A bawiono się wtedy w Galicji na potęgę. Babcia w swym majątku pod Borszczowem

zdążyła urodzić się w złotych czasach cesarstwa, gdy słynny wódz, feldmarszałek hrabia Joseph Radetzky, dał łupnia królowi Sardynii pod Custozą i Novarą i cała CK monarchia szalała z radości, wiwatując...

-1 maszerując, panie Janie. Na jego cześć Johann Strauss (ojciec) skomponował słynny „Marsz Radetzkiego”...

- Oczywiście. Babcia Katarzyna go często nuciła.

- Z marsza pana zwalniam, panie Janie, ale podolskiej dumki nie daruję. Skoro do tego jeszcze ze starego śpiewnika babuni. Aż z czasów wojny z królem Sardynii, to tym bardziej...

- Koniecznie muszę?

- Absolutnie.

- Uparty pan jak kozioł, widzę.

- Śpiewaj, Jasiu. Co ta. Mnie nie musisz się wstydzić. A pan Jarko słów przede wszystkim ciekaw...

- Dawno jej nie śpiewałem. Mogę się pomylić - bronił się.

- Nie szkodzi. Wybaczymy ci - zapewniła go pani Olga.

- Okay, Olu. Spróbuję - ustąpił w końcu. Poprawił się w krzesło, odchrząknął i, obracając kieliszkiem w rękę, zanucił z ciepłym, kresowym akcentem:

„Żeby orłem być - lot sokoli mieć! Lotem orłem lub sokołem unosić się nad Podolem! Tamtym życiem żyć. Tamtym życiem żyć... Droga ziemia ta - myśl ją dobrze zna - 131

tam najpierwsze szczęście moje, tam najpierwsze niepokoje...

Tam najpierwsza łza. Tam najpierwsza łza...

Tamta noc i dzień - jak zaklęty cień!

Latał za mną wspomnienie, pierś orzeźwił, przebił tchnienie...

Boże w orła zmień. Boże w orła zmień...”

W ostatnim zdaniu głos śpiewającego zarwał się z cichym siorbnięciem. Gdy pan Jan skończył, zapadła cisza - obydwójce byli bliscy płaczu. Otarł twarz chustką i dopił reszkę wiśniówki...

- Tak to, moi państwo - westchnął ciężko.

-Jaa - rzuciła po chwili pani Olga. - Chciałoby się tym orłem być. I polatać sobie nad naszymi Hadyńkowcami, prawda? - otarła łzę chusteczką...

- Tymi dziadka Pańki, pani Olgo, gdzie wodę czerpało się z „filmowej kernicji” wśród łąk - dodałem.

- Ta o tych Hadyńkowcach ja mówię - potwierdziła.

- One już, niestety, jak zaklęty cień, Oldziu. Odchodzą wraz nami, moja panienczko. Bo za rok, za dzień, za chwilę może już nie być nas...

- To prawda. A nasze młode lata odpłyną w siną dal. Już odpłynęły...

- Znałaś tę dumkę, kochanie?!

- Ta pewnie. Mój Wieko śpiewał ją w czapce strzelca na akademii, kiedy mnie pierwszy raz wziął do polskiej czytelnicy. Co ja mu tak brawo biła. A tu, w Toroncie, jego brat Karolko o tym sokole śpiewał. On też miał bardzo fajny głos. Jak mój Wieko. Ja, ja... Mądre te słowa. Dopiero dziś ja je zrozumiała. Nie dziwię się, Jasiu, że one tak za serce ścisnęły. Jak ten Wasia z bałajką je śpiewał. W naszych Kopyczyńcach...

- Teraz zastanawiam się, proszę państwa - westchnął pan Jan - o jakim to orle ten sokół dumał, kiedy nam tę dumkę śpiewał? Z pewnością nie o naszym białym...

- Kaukaskim, panie Janie. Nad szczytami urwistych skał - wtrąciłem.

- Tak jest. Dwugłowym. Jak ten cały Wasia od Wrangla! Tak się podszył, bestia! To naprawdę wyższa szkoła jazdy. Niezły kierowca, co?!

-Wyczynowy. Do dziś najlepsi rajdowcy świata, panie Janie, niedościgli...

- To prawda - przyznał, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu nad talentem zwiadowczym tego Wasi, którego czysty głos tak szczerze podziwiał.

PECH SPRAWIEDLIWYCH

- Ale czasem udało się i Żydom przeżyć - mówi Irka Bodnaruk*. - Choćby Goldberg z Tłusteńkiego. Jego sąsiadką była przed wojną Marynia. Ukrainka. Bogata, gospodarska córka, bardzo ładna panna, ale miała pecha. Narzeczony zrobił jej dziecko i się z nianie ożenił. Sama mieszkała z tym synkiem Edziem. A Goldberg od dawna w niej się kochał, a ona w nim. Przypadli sobie do serca. Jak Żydów zaczęli gnać do getta, to ona mu mówi:

- Zostań ze mną, ja cię przechowam.

I on został. Ale raz Niemcy zrobili rewizję, co prawda go nie znaleźli, ale jak on japo tej rewizji zobaczył, to powiedział, że więcej nie chce jej na taki strach narażać. Nie ma sumienia i odszedł. Po drodze trafił na patrol niemiecki. Robili obławę. Był pewien, że to koniec. Przy drodze stała duża, drewniana figura z Matką Boską i on pod nią ukląkł, gotując się na śmierć. Czekał, kiedy w niego strzelą. Tymczasem oni popatrzyli na niego i przejechali pewni, że jak ktoś modli się pod figurą Matki Boskiej, znaczy nie Żyd. Wtedy przysiągł sobie, że jak przeżyje wojnę, to sięprzechrzci i weźmie ślub z Marynią. I tak zrobił...

- Czekał! - przerwał jej mąż, Stepan Bodnaruk. - Ja z nim pracowałem w Bu-

rahoskupie i wiem lepiej. Jego młodszy brat też ukrywał się, ale zginął, a on uratował się dlatego, że kolega załatwił mu pracę w Legenschafcie w Liskach. Niemcy mieli tam stajnię i konie i on im te konie czyścił. Pomagał stajennemu. Ale robił to, gdy ich nie było. Komendant był tak zadowolony, że wciąż pytał, kto te konie czyści, że ich sierść tak lśni, a kopyta błyszczą: - Są tak wycackane - mówił - że ja koniecznie muszę poznać tego stajennego i osobiście mu podziękować.

* Irka Bondaruk, młodsza siostra Olgi Wawrów, przyjechała do Kanady dopiero w 1979 roku. W Toronto wyszła za mąż za Stepana Bondaruka, którego знаła z Hadyńkowiec. Losy tej ukraińskiej pary opisałem w Nawiało nam burzę.

Ten kolega kręcił, jak mógł, by do tego podziękowania nie doszło, bo wiadomo było, czym by się skończyło. Wciąż go zwodził i Goldberg jako ten czyściciel koni u Niemców nad stajnią się przechowwał. Wiadomo, w paszczy lwa najbezpieczniej...

- A młodszy brat zginął? - spytałem.

- Tak. Ale kiedy, to już panu nie powiem - odparł Bodnaruk.

Na tego brata natrafiłem wkrótce w piśmie „Na Rubieży”. Wśród wielu innych nazwisk. Notka była krótka: „Goldberg Julian urodzony 1925, Żyd, zamordowany w Tłusteńkim przez banderowca o nazwisku Gawazyn pseudonim »Petlura« w 1943 roku”.

- Po wojnie swoje żydowskie nazwisko Goldberg - Złota Góra - przetłumaczył na Zołotohirski, proszę pana - ciągnął dalej Bodnaruk - przechrzcił się i ożenił z tą Marynią. Wzięli ślub w naszej cerkwie...

- Sowieci pozwalali na śluby kościelne?!

- Sami je brali. Ci z wielkiej Ukrainy przychodzili do naszego księdza Mykietina i prosili, by im dał ślub. Dopiero potem to się zmieniło. Ale zaraz po wojnie tak było, proszę pana...

- W każdym razie Zołotohirski z Marynią miał dwie córki. Oksanę i Nadię i chował jej Edzia - dodała pani Irka.

- Jak chował?! Dbał o Edzia jak o własnego syna. Kształcił. Zołotohirski był dyrektorem naszego Burahoskupu w Hadyńkowcach...

- Czekał. Burahoskup był przy stacji i koło mnie - przerwała mu znów żona. - Tak że my się dobrze znali ze Zołotohirskim.

- Boh ty mój! A ja z nim pracowałem! To wiem lepiej! - ożywił się Bodnaruk. - Ten Edzio skończył Politechnikę we Lwowie i akurat gdy odbierał dyplom, zadzwonił, że źle się poczuł. Ja byłem wtedy w gabinecie Zołotohirskiego i to słyszałem. Edzio z wojny chorował na gruźlicę kości. Zołotohirski stawał na głowie, by go ratować. Lekarstwa sprowadzał, lekarzy. Wszystko na nic. Wkrótce po otrzymaniu dyplomu inżyniera Edzio zmarł. Wojnę przeżył i po wojnie zmarł. To była straszna tragedia. Wszyscy o tym biednym Edziu Zołotohirskim mówili...

- A co z ich córkami? - spytałem.

- Oksana poszła w ojca, bardzo zdolna, jest lekarką we Lwowie, chyba profesorem, a wnuk Zołotohirskiego Bohdan taki sprytny, proszę pana, że jak miał trzy latka, to z domu z Kopyczyniec sam przyjechał do niego autobusami do biura. Zołotohirski pyta go:

- Bodziu, gdzie matka?! Kto cię przywiózł?!

- Sam się przywiozłem, dziadku - odparł. - I do ciebie przyszedłem... Nikt nie chciał wierzyć. A w domu gwałt. Szukają Bodzia przez milicję. Ale

bury w domu nie miał. Na wszystko mu pozwalano. Oczko w głowie całej rodziny Zołotohirskich - dokończył.

ŚWIADECTWO ISYDORA DIENERA

Przy obwodzie AK w Kopyczyńcach istniała tajna komórka „Żegoty” - akcji niesienia pomocy Żydom. W Kopyczyńcach fakt ten miał szczególne znaczenie. Miasto to bowiem było kolebką chasydyzmu, silnym ośrodkiem życia religijnego, społecznego i kulturalnego na Podolu. Synagoga kopyczyńska promieniowała na okolice.. Gmina żydowska była świetnie zorganizowana. W jej budynku mieściły się urzędy i archiwa, Związek Kupców, bank i Kasa Samopomocy, a nawet szkoła tańców prowadzona przez braci Klesnerów, wszystkich z zawodu fryzjerów. W Kopyczyńcach istniał też znany klub sportowy „Trumpeldor”. Działało wiele organizacji żydowskich, między innymi syjonistyczno-socjalistyczna „Gordonia”, na której czele stanął młody Pinchas Lublianiker. Wyemigrował on w 1925 roku do Palestyny i pod hebrajskim nazwiskiem Lavon był pierwszym ministrem obrony Izraela w rządzie premiera Ben Guriona. Wielu Żydów stanowiło elitę miasta. Byli to znani lekarze, dentyści, adwokaci, kupcy, profesorowie. Niektórzy z nich mocno spolonizowani.

Jednym z wielkich patriotów polskich był zastępca dowódcy Batalionu KOP-u w Kopyczyńcach kapitan Eugeniusz Nagiel, ochotnik wojny polsko-bolszewickiej, kawaler Virtuti Militari. Prowadził on zawsze oddzielnie swoich żołnierzy Żydów na nabożeństwo do synagogi. Aresztowany przez NKWD zginął w Katyniu.

Jedną z piękniejszych postaci okupowanych Kopyczyńców był przyjaciel szkolny Jerzego Szewczyńskiego, kolega z plutonu „Beja”, Józef Ruńka pseudonim „Ryś”. Podczas okupacji sowieckiej pracował on na kolei i dzięki temu, podobnie jak jego dowódca „Bej”, który podał się za kowala, uniknął wywózki. Nieżyjącemu już dziś Ruńce, który podczas okupacji niemieckiej niósł pomoc swym kolegom Żydom, zawdzięczamy jedno z bardziej przejmujących świadectw zagłady Żydów. Nadesłał je z Nowego Jorku ocalały świadek Holocaustu Isydor Diener*.

Tak pisze on do Ruńki w liście z Nowego Jorku:

„Drogi Józiu! Mimo że dopiero niedawno wróciłem ze szpitala i moje zdrowie szwankuje, zabrałem się do wykonania Twojej prośby...

Nim jeszcze ktoś postanowi wykorzystać moje wspomnienia w całości lub częściowo, to muszę uprzedzić, iż opuściłem Polskę jesienią 1945 roku i że zabrałem ze sobą niewiele, ale oprócz wspomnień zabrałem też język polski, którym i dziś się posługuję w domu z Bronią, w nim rozmyślałem, bo jest mi bardzo drogi jak pamięć mojej Matki, która od dziecka mnie tego języka uczyła. Jednak po tak długim czasie nie jestem w stanie odpowiadać za moje błędy i mam nadzieję, że ktoś, kto się będzie książką zajmował, poprawi je, za co z góry składam serdeczne Bóg zapłać. Używam czasem słów, które już wyszły z mody... a w mojej maszynie nie ma polskich czcionek, ę, ś, ć, ź itp.” - usprawiedliwia się.

Zbytecznie. W tych często niemodnych, jak mówi, słowach, z brakującymi polskimi czcionkami w angielskiej maszynie, Diener stworzył wstrząsający obraz zagłady, którego żaden pisarz nie jest w stanie ukazać. Trudno o lepszą formę dla tej strasznej prawdy. Jest oszczędna, ostra, celna. Stanowi syntezę.

Co zaś najbardziej uderza w tym świadectwie, to ów głęboko ludzki ton, pozbawiony stronniczości, jadu i nienawiści, owych urazów, które - jak demony - w następnych pokoleniach wykluczają wszelki dialog i rzeczową ocenę. Miłość Autora do rodzinnych Kopyczyńców, sentyment do tego skrawka ziemi, owego niepowtarzalnego galicyjskiego tygla, w którym wzrastał wraz z Polakami, Ukraińcami i innymi mniejszościami narodowymi, jest tak wielki, że nawet nieludzkie przeżycia wojny nie zdołały go zniszczyć.

Diener w każdym narodzie widzi ludzi, którzy w godzinie próby zachowują się różnie. Z jednych wyłazi bestia, drugich stać na akt największego człowieczeństwa.

Podobne widzenie świata odpowiada mi najbardziej. Dlatego - świadomy tego, że wiarygodniejszego świadka od Isydora Dienera nie znajdę, a sam nie jestem w stanie lepiej oddać tej nieludzkiej prawdy o zagładzie kopyczyńskich Żydów - zdecydowałem się skorzystać z Jego świadectwa. Myślę, że swym szlachetnym tonem nie tylko imponuje, ale stwarza jakiś cień nadziei na przyszłość. Pokazuje tym młodym w Nowym Jorku, Kijowie, Tel Awiwie czy Warszawie, co niczego w życiu nie przeżyli, a tak totalnie wszystko potępiają i wiedzą lepiej, że można inaczej. Znowu „nieprzypadkowy przypadek” sprawił, że niechcący stałem się owym przyszłym pisarzem, do którego raje trafiło to wspomnienie. Jednak nie zastosowałem się do prośby Isydora Dienera i w jego tekście niczego nie poprawiłem. Żadnego „niemodnego słowa”, bo takiego nie było. Każde stoi na swoim miejscu, dostatecznie wstrząsające i przeraźliwe.

* Jego wstrząsające świadectwo opublikowane w książce Jerzego Juliana Szewczyńskiego *Nasze Kopyczyńce* zamieściłem w aneksie książki *Nawiało nam burzę*.

„Nie jestem mistykiem, ale chciałbym wierzyć, że dusza starego rabina z Kopyczyńców, pogrzebanego na nieistniejącym już cmentarzu, unosi się teraz nad masowymi grobami pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci, a w rocznicę masakry czerwcowej i lipcowej zanoszi skargę Chrystusa na krzyżu: ELI, ELI, LAMA

SZABBACHTANI - Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?”

Tymi słowami zamknął swe wspomnienia Isydor Diener, syn Uhaima Dienera, właściciela dużego sklepu z konfekcją w Kopyczyńcach, który wydał bezpłatnie pięćdziesiąt ubrań dla polskich oficerów prowadzonych w konwoju pod koniec września 1939 roku, ułatwiając im w ten sposób ucieczkę z sowieckiej niewoli, która wiadomo czym by się dla nich skończyła.

Od Halusi Łabus* dowiedziałem się bliższych szczegółów o wspomnianym przez Dienera Władysławie Szepelowskim z ulicy Jabłonowskiej. Halusia go świetnie знаła.

- Czternastoletnia dziewczynka, Ludka lub Lotka - mówi - prowadzona była przez Niemców na śmierć. Ze śliskiego płaszcza zsunęła się jej opaska. Ponieważ była jasną blondynką i nie wyglądała na Żydówkę, żandarm odrzucił ją z kolumny i pchnął w tłum gapiów. Przyszła do Szepelowskiego, prosząc o ratunek. Szepelowski nie odmówił jej i chował ją w domu wraz z trojgiem swoich dzieci. Ale ktoś z sąsiadów doniósł, że ukrywa żydowską dziewczynkę. Niemcy zrobili u niego rewizję.

Na szczęście jedna córka Szepelowskiego była wtedy na wsi u rodziny i do tragedii nie doszło. Lotka sama chodziła z Niemcami do piwnicy i komórki, pomagając im szukać tej żydowskiej dziewczynki. Ponieważ liczba dzieci Szepelowskiego się zgadzała, Niemcy w końcu dali mu spokój. Dzięki temu przypadkowi, odwadze i słowiańskiemu wyglądowi Lotka ocalała a wraz z nią rodzina Szepelowskich. Po wojnie Lotka wyjechała do Izraela i nie zapomniała o swym wybawcy. Władysław Szepelowski ma dziś drzewko sprawiedliwych w muzeum Yad Vashem na wzgórzach Jerozolimy. Na jej zaproszenie też odwiedził Izrael i Ziemię Świętą - wspomina Halusia Łabus.

Jak z tego widać, najbliższych sąsiadów należało się bać najwięcej. Choć czasem zachowywali się wspaniale. Doktor Jan Dobrucki powiedział mi, że jego ojciec przechowywał u siebie w domu w Czortkowie młodą dziewczynę żydowską. Po wojnie córka najbliższego ukraińskiego sąsiada wyznała panu Janowi:

- My świetnie wiedzieliśmy, że wy w domu ukrywacie Żydówkę. Ale nasz ojciec zapowiedział nam, że jeśli choć słówko piśniemy, to własnoręcznie nas zabije. I myśmy milczały jak trusie do końca wojny...

* Kuzynka braci Wawrowych, córka Marii i Józefa Antoniów. To właśnie bohaterskiego młynarza Antoniowa wymienia Diener wśród sprawiedliwych niosących Żydom pomoc. Po drugim wejściu Sowietów do Hadyńkowic Antoniów był kierownikiem młyna. Zamordowany został okrutnie przez UPA tuż przed Bożym Narodzeniem 1944 roku i wyjazdem z rodziną do Polski. Jego ciała nie znaleziono nigdy. Pisałem o tym w Nawiało nam burzę.

- Naszą najbliższą sąsiadką - opowiadał pan Jan - była wdowa po księdzu greckokatolickim Maraku, popie, więc mówiliśmy na nią papadicha. Ta papadicha Marakowa mieszkała od nas przez ogród i ojciec z matką żyli z nią w wielkiej przyjaźni. To była dystygowana, wykształcona dama o arystokratycznych manierach. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zawsze przychodziła do nas z córką Natalią, Talcia, a my do niej po Trzech Królach, w ich święto. Mówiła wykwinną, wyszukaną polszczyznę. Zawsze zwracała się do ojca: - Szanowny panie Andrzeju. Czy raczy pan pozwolić, że ośmielę się panu zadać pytanie? - Proszu łaskawiej pani - odpowiadał ojciec po ukraińsku. Z szacunku dla siebie ona mówiła po polsku, a my po ukraińsku. Gdy zaczęły się te straszne rzezie i mordy, to Marakowa przybiegała do nas, mówiąc: - Panie Andrzeju! Mnie się to w głowie nie mieści. Ja się wstydzę, że jestem Ukrainką. - I płakała. Ale elita ukraińska była bezsilna wobec rozpasanej własnej hałastry. Ze światłymi Ukraińcami, Rusinami, jak mówiliśmy, żyliśmy świetnie. Podobnie jak z Żydami. Mój ojciec z CK Gimnazjum Klasycznego w Tarnopolu z wykładowym językiem polskim - tak na maturze z 1907 roku, którą mam do dziś, było napisane, a jakże - miał dwóch przyjaciół Żydów: doktora Blausztajna i doktora Andermana. Jak Niemcy zaczęli wywozić Żydów z czortkowskiego getta i rozstrzeliwać ich w Czarnym Lesie, to mój ojciec załatwił dla Andermana kryjówkę i papiery. O umówionej porze miał on zeskoczyć z ciężarówki. Strażnik był przekupiony. Doktor Anderman zeskoczył i byłby się uratował, ale po drodze w lesie natknął się na policjanta ukraińskiego, który go zastrzelił...

Była więc dystygowana papadicha Marakowa, ale byli też opisani przez Dienera Bełko i Marak. Gdyby nie ich myśliwska żyłka, większości kryjówek by nie wykryto. Ofiarą tej tropicielskiej pasji padł zarówno doktor Anderman, jak i wspomniany przez Dienera Longin Gomulkiewicz,

żołnierz AK. Dzięki donosowi sąsiadów Gestapo otoczyło jego dom przy ulicy Karasińskiego i znalazło ukrywających się Żydów. Zgodnie z hitlerowskim prawem Gomulkiewicz został skazany na śmierć i po przesłuchaniach i torturach rozstrzelany w więzieniu w Czortkowie.

Wspomniany przez Isydora Dienera Stanisław Grocholski z Kolonii Hetmańskiej ukrywał u siebie w bunkrze rodzinę Halpernów. Grocholski przed wojną służył z Halpernem w jednym pułku. Kolonia Hetmańska, jako polska osada wojskowa, niemal w całości została wywieziona na Sybir przez Sowieców w ów czarny piątek 1940 roku. Ocalało zaledwie parę polskich rodzin i wszystkie były w konspiracji AK. Sąsiedzi Grocholskiego - Jan Hawryliszyn i jego szwagier Śliwa, podobnie jak on żołnierze AK - też zbudowali u siebie schron, tyle że nie dla ludzi, a dla broni. Ich posesję wyznaczono na duży magazyn broni obwodu AK. Dzięki temu sąsiedzkiemu ubezpieczeniu i wspólnej konspiracji udało się Grocholskiemu uniknąć denuncjacji i przechować rodzinę Halpernów. Po wkroczeniu Sowieców jednak ten magazyn broni obwodu AK w Kolonii Hetmańskiej został przypadkowo odkryty. Duże roztopy spowodowały rozmycie ziemi. Wsparty podkładami kolejowymi schron na terenie posesji Śliwy i Hawryliszyna zarwał się pod kołami sowieckiej ciężarówki wojskowej. Obydwaj szwagrowie zostali aresztowani. I tu nastąpił jeden z piękniejszych aktów ludzkiej solidarności. Żydowska rodzina Halpernów, ukrywana po sąsiedzku przez Stanisława Grocholskiego, zgłosiła się do NKWD i zgodnie zeznała, że to była jej broń przeznaczona do samoobrony, a aresztowani Polacy są niewinni. I stał się cud. NKWD w to uwierzyło i Śliwę z Hawryliszynem wypuszczono.

Józef Antoniów, który znał Grocholskiego i bywał w Kolonii Hetmańskiej, podobnie umiał się dobrze maskować, mimo że jego dom w Kopyczyńcach stał na widoku, a czujność sąsiedzka była wzmożona. Odwaga jednak i zawód młynarza bardzo mu sprzyjały.

Utkwił mi w pamięci epizod, o którym wspomniał Jan Korsak.

- Miałem starszego kolegę ze szkoły w Jagielnicy - mówił - który był zawodowym oficerem, kapitanem artylerii. Nie zginął w Katyniu i po wyjściu z armią Andersa z Rosji walczył na Zachodzie. Jego żona zaś została w Salówce. To takie małe osiedle szlacheckie pod Jagielnicą. I trzeba trafu, proszę pana, że po wkroczeniu Niemców ta żona wracała wieczorem do domu skrótem przez pola i natrafiła na patrol żandarmów. To była bardzo elegancka dama, ta kapitanowa, piękna bruneta ze znanej ziemiańskiej rodziny, tyle że o semickich rysach. I ci żandarmi wzięli ją za Żydówkę. Nie pomogły żadne tłumaczenia, polska kenkarta, rodowe nazwisko. Aż przykro mówić, co z nią zrobili! Zgwałcili, proszę pana, potem wyrwali kołek z płotu, wbili w wiadome miejsce i zastrzelili. Rano z tym kołkiem w kroczu, tę nagą, nieszczęsną kobietę rodzina znalazła martwą w polu. To wierzyć się nie chce. Mąż wrócił z wojny i o takiej śmierci żony się dowiedział. Straszne...

Można było być polską kapitanową i też zginąć w polu. Wystarczyło mieć mniej szczęścia i być trochę bardziej podobnym do Żyda.

Z PODNIESIONĄ PRZYŁBICĄ

Przedwojenna metropolia we Lwowie i dwie sufraganie w Stanisławowie i Przemyślu obejmowały łącznie trzy miliony trzysta tysięcy wiernych. Kościół ten liczył trzy tysiące sześćset piętnaście świątyń i dwa tysiące trzystu osiemdziesięciu księży diecezjalnych. Podobnie dużą liczbę zakonników i siostr. Wszystkich wcielono do Cerkwi prawosławnej. Miejscowe greckokatolickie kościoły zamieniono w magazyny, najczęściej soli, bo najskuteczniej niszczyła wnętrza i mury. Księża musieli podpisać deklarację lojalności. Ci, co odmówili, byli natychmiast aresztowani. Wśród nich ksiądz Raczenko z Husiatyna, ten sam, którego wymienił w swym świadectwie Isydor Diener jako jednego z nielicznych sprawiedliwych. Bo są/wc/e i ludyska, jak mówił Stepan Bodnaruk. Ludzie w każdej sytuacji starają się być prawi. Pech chce, że ludyska im zawsze w tym przeszkadzają.

Andrej Szeptycki, choć marzył o zjednoczeniu Kościoła wschodniego, protestował przed wojną przed wcielaniem na siłę Cerkwi prawosławnej do Kościoła katolickiego w Polsce. Teraz posłuszna Stalinowi Cerkiew prawosławna tych oporów wobec kościoła greckokatolickiego nie miała...

Roman Dzwonkowski SAC w „Przeglądzie Wschodnim” podał wstrząsające dane o pogromie Kościoła greckokatolickiego. Dobrze, że jego długoletni przywódca metropolita Andrej Szeptycki tego nie dożył. Umarł 4 listopada 1944 roku, tuż przed tak zwanym Synodem Zjednoczeniowym. Jego uroczysty pogrzeb we Lwowie stał się ostatnią niezależną manifestacją społeczeństwa polskiego i ukraińskiego. Rzeczywistość sowiecka zjednoczyła wszystkich u trumny tego wielkiego kapłana, który przez ponad czterdzieści lat i w trudnych warunkach dwóch wojen światowych wiódł uparcie Kościół wschodni do Rzymu. Cena, jaką za to zapłacił, zwłaszcza podczas okupacji niemieckiej, owe kompromisy Szeptyckiego, budzą do dziś gorące spory. Nikt jednak nie neguje jego świętej misji i wielkości zamierzeń. Za śmiertelnego wroga uznał bolszewizm i Stalina. Bliska przyszłość dowiodła, że miał rację.

Ów Synod Zjednoczeniowy odbył się w dniach 5-10 marca 1945 roku. Zaplanowany w trzysta pięćdziesiątą rocznicę unii brzeskiej. Pod olbrzymią presją NKWD zmuszono hierarchię Kościoła greckokatolickiego (unickiego) do połączenia się z Cerkwią prawosławną. Następcę Szeptyckiego - metropolitę Józefa Slipyja, jego wikariusza generalnego biskupa Nikitę Budko, biskupa Mikołaja Czameckiego oraz biskupa Hrehorego Chomyszyna z koadiutorem Janem Latyszewskim aresztowano 25 kwietnia 1945 roku. W marcu następnego roku, jak pisze Roman Dzwonkowski, odbył się proces w Kijowie, na którym skazano ich pod zarzutem zdrady i kolaboracji z Niemcami na długoletnie kary łagru. W tym samym czasie władze PRL-u po roku więzienia wydały ZSRR biskupa Józefa Kocyłowskiego z Przemyśla oraz jego sufragana Hrehorego Łakotę.

Hrehory Chomyszyn zmarł w łagrze w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Kardynał Józef Slipyj, uznany za męczennika Kościoła, został wyciągnięty z obozu przez Papieża Jana XXIII w 1962 roku po długich pertraktacjach z rządem ZSRR. Po osiemnastu latach łagrów wrócił na Zachód i objął ponownie swe funkcje w Rzymie.

Ponieważ rozwiązane zakony przeszły do podziemia, niewykluczone, że jedną z katakumb był dom przy stacji w Hadyńkowcach, w którym zawsze praktyczny Martyn Wynnyczenko, ojciec Olgi

Wawrów, przechowywał siostrę Marię Chomyszyn jako swoją żonę*.

Po wykorzystaniu taktycznego współdziałania z AK na linii frontu, kroczące za Armią Czerwoną oddziały NKWD przystąpiły do czystki i rozbijania. W ramach poboru wcielano młodzież do armii Berlinga lub - co gorsza - do Istriebitelnych Batalionów przeznaczonych do walki z UPA i ukraińskim podziemiem. Do tychstriełkow, zwanych tu strepkami, brano najczęściej młodziutkich, piętnastoletnich chłopców, głównie Polaków, by skłócić ich z Ukraińcami i rozpalić ogień wzajemnej nienawiści. Ten szatański plan realizowany był różnymi metodami od otwartej wojny po skrytą prowokację.

Jerzemu Julianowi Szewczyńskiemu oficer NKWD zaproponował dowództwo w takim istriebitelnym batalionie. Udało mu się zbiec do naszego wojska. Wylądował w szkole lotniczej w Czkałowie - dziś Orenburgu. Nie uratowało go to jednak przed aresztowaniem przez nasze rodzime UB. Jeszcze gorszy los spotkał Józefa Ruńkę. Uprzedzony przez enkawudzistów polskiego pochodzenia o grożącym mu aresztowaniu zdołał się wymknąć do polskiego wojska, ale po wojnie w kraju nie uniknął represji. Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu sądził go w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej za to, że „w okresie od maja 1951 roku do chwili aresztowania w październiku tegoż roku na terenie Udanina, powiat Środa Śląska, był przywódcą powia* Tę historię dokładnie opisałem w Nawiało nam burzę towym nielegalnej organizacji Rzeczpospolita Polska Walcząca (RzPW), w ramach której usiłował zmienić przemocą ustrój Państwa Polskiego” - za co otrzymał łącznie karę ośmiu lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres czterech lat z przepadkiem mienia. Odpis tego wyroku drukuje w swej książce Jerzy Szewczyński, podając, że wraz z Ruńką aresztowano w tym czasie na Dolnym Śląsku około dwóch tysięcy żołnierzy Armii Krajowej pod zarzutem przynależności do tej organizacji. Była to szeroko zakrojona akcja naszego UB. We Wrocławiu na podstawie wyroku tegoż Wojskowego Sądu Rejonowego skazano na śmierć i rozstrzelano dziewięć osób. Maria Antoniów znalazła się wśród tych aresztowanych akowców...

Sam dowódca Szewczyńskiego „Bej” musiał pospiesznie uciekać z Kopyczyniec, bo UPA groziło mu na piśmie karą śmierci. Aresztowany przez UB w Warszawie rok przesiedział w śledztwie.

Doktor Jan Dobrucki opowiedział mi w Brampton o dalszych losach swego profesora, przywódcy harcerstwa i organizatora konspiracji w Czortkowie, harcmistrza Józefa Opackiego. W Wałbrzychu dowiedział się, że w szpitalu leży brat Opackiego, ciężko ranny podczas działań wojennych na froncie.

- Zaraz go odwiedziłem - wspomina doktor. - On mnie dobrze znał i mego ojca, ucieszył się bardzo i poprosił, bym jakoś zawiadomił jego brata, że on tu jest w szpitalu. Wiedziałem, że profesor Opacki ukrywa się we Wrocławiu, jest ścigany przez UB i trzeba to zrobić sprytnie. Zwróciłem się do mego przyjaciela z gimnazjum Słowackiego, on powiadomił profesora, profesor przyjechał i bracia po cichu w tym szpitalu się spotkali. Byłem dumny, że wywiązałem się z tej trudnej obietnicy. Profesor Opacki był dla nas, Czortkowie, wzorem. Wszyscy harcerze uwielbialiśmy go. Po roku czy dwóch dowiedziałem się, że został aresztowany i odbył się jego proces zamknięty we Wrocławiu. Dostał bardzo wysoki wyrok i wyszedł dopiero po Październiku 1956 roku.

Dowodem zaś na lojalną współpracę AK z Armią Czerwoną jest następująca odezwa:

„Żołnierze!

Wybiła godzina ostatecznej rozprawy z odwiecznym naszym wrogiem Niemcami! Pod naporem zwycięskiej Czerwonej Armii zostało złamane jarzmo terroru hitlerowskiego, z którym przez trzy lata prowadziliśmy walkę na śmierć i życie. Wojna toczy się obecnie na naszych ziemiach o wyzwolenie naszej Ojczyzny. Oddziały Armii Krajowej, walcząc na tyłach wroga w myśl rozkazów Rządu Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza, osłabiały opór niemiecki. Za pełny poświęcenia trud dziękuję Wam, Żołnierze. Pamiętajcie jednak, że bój o wolność toczy się nadal. Walcząc obecnie w zmienionych warunkach, z odchyłoną przyłbicą i we współdziałaniu bojowym z Armią Czerwoną, wzywam Was do zdwojenia wysiłków, karności i ofiarności w znoszeniu żołnierskiego trudu. Nagrodą nam będzie Wolna Niepodległa i Potężna Rzeczpospolita Polska.

Komendant Sił Zbrojnych Kraju na Obszar Południowo-Wschodni - generał brygady

Władysław Filipkowski. 26 lipca 1944 roku”.

Podniesiona przyłbica wobec zwycięskiej Armii Czerwonej nie bardzo się sprawdziła. Wiemy, jak się skończyło trwanie na miejscu, jak w Przyłbicach.

Wyprawą Olgi Wawrów za Zbrucz do Sum, gdzie Rosjanie szkolili wcielonych do armii Berlinga Polaków, już opisałem w Nawiało nam burzę. Teraz kolej na jej męża. Wincenty Wawrów, długoletni członek Zarządu Głównego i sekretarz finansowy Związku Polaków w Kanadzie, tak na taśmie wydobytej przez Leszka z archiwum wspomina w 1981 roku swój bojowy szlak.

„W Sumach szkolili nas krótko. Po kilku tygodniach ruszyliśmy nad Bug. Mnie wzięli do zmotoryzowanej artylerii. Zostałem przydzielony do 9 pułku samodzielnej brygady artylerii haubic 122. We wrześniu dotarliśmy na Grochów. Ze ściśniętym sercem patrzyliśmy się, jak Niemcy w okrutny sposób tłumili Powstanie, a Ruscy nam nie pozwolili iść na pomoc. Stalin ludzi miał za nic. Liczyła się polityka. Ginęliśmy bez sensu z winy Moskali. Jak w Kołobrzegu. Został przez nich zajęty za jednym uderzeniem. Niemcy się szybko wycofali, zostawiając w mieście olbrzymie składy wódki i spirytusu. Ruscy się oczywiście popili, Niemcy w nocy wrócili i wyrznęli ich do nogi. Umocnili się, zmienili miasto w twierdzę, zrobili z niego Festung Kolberg i dopiero wtedy ruskie naczalstwo kazało nam, Polakom, ten Festung zdobywać. Musieliśmy brać dom po domu w walce wręcz. Ilu tam naszych zginęło?! Strach bierze. Ruscy swoich traktowali jak bydło rzeźne, a co dopiero nas? W polach minowych czołgi z piechotą robiły im przejście. Tę rzeź oni nazywali rozpoznaniem w walce. Z tego rozpoznania mało kto żyw wracał. Chłopcy leżeli jak snopy. Dosłownie. Ale min niet. Droga wolna. Następni szli. I dawaj ognia! Za Stalina i Rodinu! Na Berlin! Byle przed Amerykancami. A Amerykanci wcale nie myśleli iść wpieriodpo trupach swych żołnierzy. Nie byli tacy durni. Oszczędzali ludzi. Nam ten Berlin w prezencie zostawili. By my go zajęli. I o niego się zabijali. Kiedyśmy go wreszcie zdobyli, no to ruskie naczalstwo nie pozwoliło nam w nim zostać. Bało się naszego spotkania z aliantami. I słusznie. Bo wszędzie, gdzie do spotkania doszło - osiemdziesiąt procent stanu kompanii, czy tam pułku, nie wracało do bazy. Zostawało po tamtej stronie. W strefie alianckiej. Taak”.

W opowieści z magnetofonowej taśmy nastąpiła pauza. Słysząc zaciągnięcie się papierosem i wolne wydmuchnięcie dymu. Po tej papierosowej pauzie Wincenty Wawrów podjął znów niskim, przyjemnym głosem, z wyraźnym hadyńkowieckim zaśpiewem:

„No i wycofali nas pod Berlin do lasu. Jak to miejsce się nazywało - nie powiem. Zapomniałem. W tym lesie my stali przeszło miesiąc. Tak coś koło tego. I szykowali się do nowej wojny. Byli pewni, że lada dzień wybuchnie, a wtedy wkroczymy do akcji. My mieli swoje tajne dowództwo i planowali, że jak tylko ta wojna wybuchnie, to my całą naszą grupą wyskoczmy, ruskim politrukom łeb ukręcimy i pełną brygadą z bronią i armatami przejdziemy do Amerykanów. Takie mieliśmy plany: Napatroszy się durnojob, jak my ich nazywali, w polskim mundurze - no to go ciach! Kulkę mu w łeb i swojego na jego miejsce dawać. Proste. Wiz czyperewiz! Tu czasu na dumanie nie było.

Dlatego my to powstanie w tajnym sztabie dokładnie opracowali, każdy miał swój odcinek i funkcję. Ja, pamiętam, miałem objąć dowództwo naszej czwartej kompanii haubic ciężkich, a mój kuzyn, Ludwik Żarski - mnie zastąpić...

Z tych pięknych planów nic nie wyszło, jak wiadomo, bo wojna nie wybuchła i trza było dalej słuchać naszych durnojobów. Niestety. My ich durnojoby lub chujoploty nazywali. Tych ruskich

politruków. Sorry za brzydkie słowo, ale oni durni byli strasznie. Wszyscy jednacy. Jak Ukraińcy powiadają: Gada jakby maku sje nail. Bredzi jakby się maku najadł. A w maku narkotyk. Wiadomo. No to dla nich tym narkotykiem był Stalin i partia. I trzeba było słuchać ich kazań. Najpierw tam pod Berlinem, a potem w Warszawie. Nastał dla mnie pokój bez domu. Jak ja to nazywał. Bo dom był, ale za Bugiem. W Hadyńkowcach. Dom i ziemia. Z dużą gospodarką. No, a pokój na świecie podpisany. Wielu naszych Galicjan zostawało, inni nie wiedzieli: wracać, nie wracać. Nagle zobaczyli świat. Dla robaka, co marchwi nie zna, i chrzan słodki, prawda? Jak cały czas w tym chrzanie siedzi. Tak i oni. Za wioskę głowy nie wytknął, to szeroki świat mu posmakował. I słodko kusił. Ale ja tych problemów nie miałem, szczerze powiedziawszy. Co ta - pomyślałem. - Wiz czyperewiz. Trza ryzykować i wracać. Choć nie do mojej Polski, tej nad Niczławąi Zbruczem, ale zawsze Polski. Lubelskiej, nie lubelskiej. Mniejsza. To się dla mnie nie liczyło. Zdecydowałem wracać i to samo nakazałem w listach żonie. By pakowała maneli i do mnie, do Polski, wraz z synem Jarkiem jechała...”

- My wciąż nie wiedzieli, czy będzie Polska w Hadyńkowcach, czy nie. Ludzie różnie mówili - zwierzała mi się nieco później Olga Wawrów. - Obok domu mego tata przy stacji jeden Rusek robił z belek, desek i tektury takie niby tanki i samoloty dla zmylenia Niemców...

-Makiety...

- Tak. Bardzo fajnie je robił i z góry wyglądały jak prawdziwe. Potem wszystkie ładowano na pociąg i brano na front. To był starszy gość i ja się z nim troszku zaprzyjaźniła. Nazywała go wujek, a on mi mówił doczka. Raz ten wujek siedział nad wiadrem, skrobał kartofle, pomyślała sobie - co ta, spytam go, co będzie z nami. Czy tu wróci Polska, czy nie. I pytam:

- Szczo tu budę?!

A on nic nie odparł. Pomyślała, że nie usłyszał i znowu go spytała:

- Szczo tu budę?

On długo nie odpowiadał, wreszcie cisnął kartoflem w wodę i burknął:

- Szczo budę? Szczo je, to budę! To co jest, to będzie!

I odtąd przestał być wujkiem, stał się oficjalny, sztywny, unikał mnie jak ognia. To ja się po tym domyśliła, że on ma chyba rację. Będzie to, co jest. Sowiety. Wieko był w wojsku, ale ja by się bała, żeby on wrócił do Hadyńkowiec. Jeden żołnierz przyjechał do nas na urlop, paradował w polskim mundurze i Ukraińcy go zabili...

Tak że robiło się u nas coraz mniej fajno, proszę pana. I trzeba się było repatriować do Polski. Dla mnie było to szczególnie ciężkie, bo tu miała całą rodzinę. Tata, siostry, brata, wujków. Oni wszyscy Ukraińcy byli i zostali. Tylko ja jedna pojechała. Gryzła się tym, ale matka Wieka Hanuśka, Ukrainka Anna Hryb, i mój tato Martyn, też Ukrainiec, to samo mi powiedzieli:

- Twoje miejsce przy mężu. Jedź do Polski.

I ja do niej z moim synkiem Jarkiem pojechała*...

* Tę trwającą przeszło miesiąc podróż w bydlęcym wagonie z Czortkowa do Prudnika dokładnie opisałem w Nawala nam burzę.

SPOTKANIE Z LEGNICĄ

W Nawiało nam burzę dokładnie opisałem wyprawę Olgi Wawrów z Prudnika do Legnicy na spotkanie z jej kuzynem Tońkiem Zacharczukiem. Tońko, podobnie jak mąż pani

Olgi Wieko, wzięty został do armii w 1944 roku, zdobył Berlin, ale z Berlina po wojnie już nie wrócił do rodzinnych Hadyńkowic, tylko jako czewonoarmista przerzucony został do radzieckiej bazy wojskowej w Polsce. O losie swej rodziny w ZSRR nie wiedział nic. Odcięty całkowicie szczelną granicą. Wspólni krewni w Kanadzie jakoś dowiedzieli się o jego pobycie w Legnicy i przez panią Olgę zapragnęli przekazać mu paczkę i list. To była jedyna możliwa droga. Pani Olga podjęła się tej ryzykownej misji. Dla lepszego upozorowania całej sprawy wzięła ze sobą małego Jarka i spotkała się z kuzynem w parku na ławce o umówionej porze. Tońko był bardziej przerażony niż ona. Nerwowo rozglądał się na boki. Jako żołnierz okupacyjnej armii zniewolony był bardziej od nas. O tym strachu zwycięzców warto pamiętać.

Ta kanadyjska paczka dla Tońka przypomniała mi moją paczkę rodem z Legnicy. Uświadomiłem sobie, że Olga Wawrów podczas tych odwiedzin mogła wśród przechodniów minąć na ulicy wysoką, zgrabną dziewczynę o tanecznym kroku, która wtedy była tu niemiecką służącą w polskim domu. U swojej pani nauczyła się pierwszych słów po polsku. Ta młoda Niemka, która przed wejściem Rosjan chodziła tu do gimnazjum i szkoły baletowej, w rok później wyszła za mąż za syna swych sąsiadów, który świeżo wrócił z francuskiej niewoli...

Był to Carl Horst Hiller, dziś wybitny krytyk operowy i wielce zasłużony tłumacz naszej dramaturgii radiowej. Razem z Brygidą, bo Brygida miała na imię ta młodzieńka wówczas dziewczyna, mieszkają obecnie w Obereip Eitorf pod Kolonią i od ponad trzydziestu lat są moimi wiernymi przyjaciółmi.

Karola Hillera ujrzałem po raz pierwszy w hotelu „Bristol” w 1966 roku.

Świeżo obejrzał Derby w pałacu w Teatrze Polskim i zainteresował się moją dramaturgią. Zdziwiłem się, że mówi jak rdzenny Polak i w naszych krajowych stosunkach jest znakomicie zorientowany. Okazało się, że dziesięć lat mieszkał w Polsce. Studiował wokalistykę w Poznaniu. Miał piękny głos i chciał zostać tenorem. Życie mu się ułożyło inaczej, ale miłość do opery została. Wydał niedawno cenną książkę o niemieckim okresie opery w Bostonie, która pod koniec dziewiętnastego wieku przez dziesięć lat kierowana była przez Niemców i wystawiała niemiecki repertuar.

Karol przełożył wiele moim słuchowisk. Sztukę Klik-Klak adaptował dla telewizji. Dzięki temu, że grała w niej słynna gwiazda przedwojennego i wojennego filmu niemieckiego Heinrike Krall, zarówno w telewizji w Kolonii, jak i w radio w Saarbriicken, gdzie odbyła się jej prapremiera, często ją powtarzano. Te powtórki, zwłaszcza w stanie wojennym, przy znanym kursie marki zachodniej w stosunku do złotego, były dla mnie sporym finansowym zastrzykiem.

W 1981 roku, korzystając z naukowego stypendium mojej żony Wandzi, która była na stażu w laboratorium w Hamburgu, odwiedziłem w Obereip Hillerów. Karol poznał mnie z reżyserem mojej sztuki Klik-Klak i kierownikiem teatru radiowego w Saarbriicken - Wernerem Klippertem.

Zatrzymaliśmy się dwa dni u niego. Z jego domu na wzgórzu widać było Francję - jak z Husiatynia spod cerkwi Świętego Onufrego drugi brzeg Zbrucza.

Werner zaproponował:

- Chodźcie. Przejdziemy się do Francji!

- Nie mam wizy! - rzekłem spłoszony.

- Ganz egal - machnął lekceważąco ręką. - Ja wystarczę. Ucieszyłem się, że ma tak wielką władzę, i poszliśmy. Za chwilę stanęliśmy

przed pustą budką i mostkiem granicznym. Werner podniósł szlaban, ukłonił się nisko i zaprosił mnie do środka:

- S'U vousplait, Monsieur!

Zdębiałem. Tak łatwe przejście przez granicę wprowadziło mnie w osłupienie. Widząc mój szok, Werner postanowił go uwiecznić. Naprędce wyreżyserował scenkę, w której ja grałem strażnika w tej budce, legitymującego Karola, i zrobił nam zdjęcia.

Werner u schyłku wojny był młodym żołnierzem Wehrmachtu. Jego pułk stał w Częstochowie. Bardzo chciał ją odwiedzić. Podobnie jak Karol był liberalnym socjaldemokratą, niezwykle przyjaznym Polsce. Propagował ją wszędzie. Promował w radio naszych pisarzy. Zachwycał się dramaturgią Witkacego. Z lubością powtarzał tytuł jednej z jego sztuk: - Kuurka wodna! Jak to cudownie brzmi! - zachwycał się.

Z tej podróży do Niemiec i Francji wróciłem 10 grudnia 1981. Trzy dni potem wprowadzono stan wojenny i granicę ustanowiono nawet między województwami. Wtedy zarówno Hillerowie, jak i Klippertowie przysyłali nam paczki żywnościowe i odzieżowe. Brygida sama chodziła po sąsiadach i zbierała dla nas rzeczy. Przeżyła w Legnicy „wyzwolenie” i wiedziała, co znaczą czołgi na ulicach. Przysyłała dla Marysi ubranka i odżywki. Nasza córeczka była w tym samym wieku co „Solidarność”, jak głosił słynny plakat rozlepiany na ulicach Warszawy, z dumnym napisem: „Mam już rok!”

W styczniu 1982 wszystko, co działo się przez ten rok, wydało się snem.

Któregoś dnia mój przyjaciel z STS-u Andrzej Wiktor Piotrowski, piekielnie inteligentny Piotr, jak go nazywaliśmy, nerwowo gryząc wykałaczkę, rzekł z diabolicznym chichotem:

- No, co, Jaruniu. Doczekaliśmy się. Epoka „Solidarności” jest dziś tak odległa, jak Księstwo Warszawskie. Możemy sobie tylko pomarzyć i śpiewać z nadzieją marsz legionów, ku pokrzepieniu serc. Obawiam się, że ten czas nigdy nie wróci.

Na to wyglądało. Ład i porządek, owe telefoniczne rozmowy kontrolowane, kartki na mięso, mydło i benzynę, zakaz poruszania się, przepustki do innych miast najlepiej o tym świadczyły. Przypominały bardziej moją studencką młodość z czasów stalinowskich na studium wojskowym niż

stabilizację kraju.

- Nowe wraca! - kpił Piotr. - Znow z karabinem w rękę będziemy musieli bronić „sztandaru swobód demokratycznych, wyrzuconego przez burżuazję za burtę”, jak pięknie określił to towarzysz Stalin w swym przemówieniu na XIX Zjeździe KPZR. W 1952 roku ten tekst musieliśmy wkuwać na pamięć jak strofy Pana Tadeusza. Teraz na ten sztandar swobód demokratycznych dumnie niesiony przez partię na czołgach chcą się targnąć nieodpowiedzialne elementy z „Solidarności”. Historia się powtarza, przyjacielu. Źle się urodziliśmy, ot, co! - ze smutkiem wypluł wykałaczkę.

I wtedy właśnie w pierwszym przepuszczonym przez wojskową cenzurę zagranicznym liście otrzymałem zdjęcia Wenera z naszego spaceru do Francji. W czasie gdy - jadąc z Marysią na wakacje pod Babią Górę do Zubrzyicy - legitymowany byłem i rewidowany na każdej wojewódzkiej rogatece, ta granica ze mną jako strażnikiem w budce wyglądała jak z teatru absurdu. Żart Witkacego z grobu, kurka wodna, pomyślałem.

Hillerowie mogli wyjechać z Legnicy dopiero w 1957 roku. Wcześniej ich nie wypuszczano. Jechali w zbliżonych warunkach co Olga Wawrów z Hadyńkowiec na Ziemię Zachodnie w 1945 roku. Z paroma walizkami w rękę i dwoma małymi synkami: Sylwestrem i Reinerem. Brygida mówiła, że dopiero na pierwszej stacji w RFN

odetchnęli. Jazda przez NRD była koszmarem...

Sylwkowi, tak jak Jarkowi Wawrowowi po przyjeździe z Hadyńkowiec do Prudnika, koledzy w szkole dokuczali za zły język. Jarek mówił w Polsce po ukraińsku, Sylwek w Niemczech po polsku. Śmiano się więc z jego dziwnego imienia Sylwester i przewzano: „Ostatni dzień roku”!

Znam Karola Hillera od ponad trzydziestu lat i nigdy nie zwierzał mi się ze swych przeżyć wojennych. Dopiero niedawno Brygida opowiedziała mi, co jako młody chłopak przeszedł. Podobnie jak Wieko Wawrów Karol pochodził z mieszanej rodziny. Tyle że nie polsko-ukraińskiej, a polsko-niemieckiej. Jego najbliżsi kuzyni, Hillerowie z Poznania, byli zdeklarowanymi Polakami, czynnymi w konspiracji... Pod koniec wojny Karol jako szesnastolatek został powołany do wojska. Po pewnym czasie postanowił z niego uciec. Ukrywał się u swoich krewnych w Poznaniu. Przy próbie powrotu do Legnicy żandarmi zatrzymali go na dworcu. Zakwestionowali jego papiery i szybko doszli, że jest dezerters. Stał przed sądem wojennym, który skazał go na karę śmierci. Hitler, tak jak Stalin, z dezertersami się nie cackał. Stawiał pod mur ifertig.

Karol czekał w celi śmierci na wyrok. Tylko dzięki desperackim staraniom matki i rodziny, płaczom i podaniom, odwołującym się do jego młodego wieku, udało się go cudem uratować i zamienić karę śmierci na służbę w karnym batalionie. Walczył na pierwszej linii frontu, biorąc udział w najbardziej straceńczych akcjach. W tym batalionie dostał się do niewoli alianckiej...

Obydwoje z Brygidą pozostali wielkimi miłośnikami Legnicy, w której się urodzili. Ciągłe ją odwiedzają. Karol mówił mi, że przed wojną - podobnie jak Wrocław, który był najsilniejszym ośrodkiem kulturalnym po Berlinie (coś jak u nas Lwów) - Legnica miała się czym poszczycić. Była tu przede wszystkim świetna opera i operetka głośna w całych Niemczech. Jako lokalny patriota Legnicy i wpływowy krytyk operowy, Karol starał się teraz, po opuszczeniu tej wielkiej bazy przez

wojska radzieckie, nawiązać do przedwojennych tradycji i stworzyć w Legnicy teatr muzyczny z prawdziwego zdarzenia. Te zabiegi spełzły, niestety, na niczym..

Ciekawiło mnie, jak w Legnicy przedstawiała się sprawa naszej Polonii i czy rodacy spod znaku Rodła byli tam liczni. Odparł mi, że przed wojną nie spotkał w Legnicy ani jednego Polaka i nie słyszał na ulicy języka polskiego. Obydwoje z Brygidą zapewnili mnie, że Legnica przed wojną była czysto niemieckim miastem.

Ta kanadyjska paczka dla Tońka Zacharczuka ożywiła we mnie stare wspomnienia Hillerów o przedwojennej niemieckiej Legnicy i moje - powojenne o tej rosyjskiej największej zamkniętej bazie wojskowej w Polsce. Opisałem rolę, jaką odegrała Legnica w Październiku 1956 i w czasie gdy zakładałem studenckie pismo „Od Nowa” - ale po namyśle z tego fragmentu zrezygnowałem. I sokół ma swoje granice. Nie może aż tak bezkarnie odbijać i zbaczać z trasy. I tak często znika z horyzontu, zostawiając mnie pośrodku kresowych puszczy Halilei i Miodoborów. Na szczęście mam Webstera. Jego nos ratuje mnie przed całkowitym zgubieniem tropu. W końcu myśliwski pies. I wielki talent. Tyle że zmarnowany pod moim biurkiem, które uznał za swą budę.

PAN PUZYN

- W Prudniku, w tych poniemieckich domach, to my mieli różnych sąsiadów - stwierdziła Olga Wawrów. - Na przykład pani Puzyn, zwłaszcza starsza, matka pana Puzyna - to była dama. Wielka lady, jak by my tu, w Toronto, powiedzieli. Na targ, czy do sklepu, szła zawsze w białych rękawiczkach i pięknym kapeluszu, z dużym psem dogiem, który w pysku niósł jej koszyk z zakupami i gazetę. To było wielkie państwo. Przy starszej pani Puzynie to moja sąsiadka Sorokowska...

- Była mniejszą panią...

- O, ja. Ale panią. Jak syn pani Puzyny z żoną szedł pod rękę ulicą, to moja sąsiadka Iwaniuczka do mnie wołała: - Są już nasze konie cugowe. Idą.

Bo oni rzeczywiście, tak jak takie dwa rasowe konie cugowe wyglądali. Obydwoje wysocy, smukli, z zadartymi głowami. Potrząsali blond grzywami. Fajno było na nich patrzeć. Jak oni tak razem tą ulicą szli. Nasz pan Puzyn z żoną...

-Puzyn?

- Ja. Puzyn, proszę pana - powtórzyła.

- Chyba Puzyna, pani Olgo - poprawiłem ją.

- Możliwe. Ja ta do nazwisk nie mam głowy. Mój Leszek śmieje się, że ja je przekreślam. Ale chyba dobrze zapamiętała. My ta wszyscy na nich wołali pan Puzyn i pani Puzyna...

- Puzynina. Na pewno Puzynina. To był wielki ród. Książęcy...

- Może ta i książęcy. Oni nam w Prudniku nie mówili, kim są. Wiem, że pani Puzyna, jak przychodziła do mnie na herbatę, to wspominała, że oni mieli jakieś majątki. Ale gdzie - to ja panu nie powiem.

- Musieli więc być z tych Puzynów. To wielki ród. Mieli w swej rodzinie marszałków i hetmanów. W tym stuleciu kardynała w Krakowie...

Może ten Puzyn z Prudnika, pomyślałem, był jakimś krewnym Konstantego Puzyny, naszego znakomitego krytyka teatralnego, pierwszego wydawcy i komentatora dramatów Witkacego. Miły i skromny Konstanty, zwany przez przyjaciół Ket, przez całe niemal życie związany był z miesięcznikiem „Dialog”. Wciągnął go do niego w 1956 roku założyciel i twórca tego unikalnego - w skali światowej - miesięcznika poświęconego w całości dramaturgii, niezapomniany Adam Tarn. Po przymusowej po Marcu 1968 roku emigracji Tarna do Kanady, gdzie Uniwersytet w Calgary zaproponował mu stanowisko wykładowcy (Tarn, mając wtedy sześćdziesiąt pięć lat, stworzył Kanadyjczykom podobny „Dialog” i ożywił tamtejszą myśl teatralną), Konstanty Puzyna został naczelnym redaktorem „Dialogu”. Tu - zawsze życzliwy i przystępny - walczył o wysoki poziom pisma i jego niezależność. Wyklócał się z cenzurą o zwolnienie zatrzymanych tekstów. Pamiętam, jak dzielnie wspierał mnie w Urzędzie Kontroli Prasy i Widowisk na Mysiej, gdy razem

odkręcaliśmy zdjęcie przez cenzurę mojego Skoku przez siebie. Pracował w „Dialogu” do końca. Do chwili gdy na wakacjach nie dopadł go zawał serca. W ciężkim stanie przewieziony do kliniki Akademii Medycznej w Białymstoku, został odratowany i kiedy wydawało się, że najgorsze ma za sobą, nastąpił drugi zawał, tym razem śmiertelny. Odszedł w 1989 roku, u progu wolności, w pełni sił twórczych. Ta nagła śmierć powszechnie lubianego i szanowanego Puzyny wszystkich nas mocno przygnębiła.

- A jak on miał na imię, ten Puzyn, pani Olgo? - spytałem.

- Czekał pan. Chwilka. Ja sobie przypomnę. Grześ. Grzegorz on miał na imię. Ten pan Puzyn. Ja. Bo ona jak do mnie przychodziła, to zawsze tak fajno o nim mówiła: - Grzesio. Mój Grzesio. - A on do niej Marion. Ona była Maria. Marysia. Ale Marysia to mu nie pasowało. Więcej Marion. Bardziej po pańsku brzmiało, nie? - zaśmiała się.

- Imienia jego matki pani nie pamięta? Tej starszej lady z psem...

- Nie. On miał jeszcze siostrę. Pannę. Nie wyszła za męża.

- Mieli dzieci ci Puzynowie?

- Mieli. Oczywiście. Córkę Danusię, proszę pana. Danusia jej było. Jedynaczka. Bardzo ładna panienka. Podobała się memu Jarkowi. Oni się nawet razem za ręce wodzili. Tak, proszę pana. Mój Jarko się jej też podobał. Gdy przyjechał do Prudnika w mundurze oficera zaraz po szkole jako młody podporucznik, to wszystkie panny się za nim oglądały...

- Jak za Staszkiem Bruhalem w Hadyńkowcach?

- Troszku. Chociaż ja ta wolała naszą rogatywkę niż ten okrągły, ruski rondel. Ale i w rondlu mu nie było źle. Danusi Puzyn się podobał. Jarko z Danusią chciał się nawet żenić. Tak, proszę pana...

-No i?

- Raz, pamiętam, umówił się z nią i poszli w dół łąkami na spacer. Wieczorem wrócił i powiedział:

- Ja się z nią, mamu, nie ożenię.

- Dlaczego, dziecko?

- Bo nie...

Nie to nie. Ja już więcej nie pytała. Wkrótce wyjechał. A Danusia jeszcze długo przychodziła. Niby to do mnie i do Leszka. Bo ona obok nas mieszkała. Na Matejki. A potem wyszła za męża, też za oficera. Jak mój Jarko, tylko lotnika. Pan Puzyn i pani Puzyna bardzo żalowali, że nie za Jarka. Lubili go, znali całą naszą rodzinę i chętnie widzieliby go jako męża ich Danusi. Ale, cóż. To nie były czasy mego dziadka Pańki Nawrockiego czy tata Martyna, żeby my naszym dzieciom męża czy

żonę wybierali. Same sobie znalazły. A ja aż do wyjazdu do Kanady z Puzynami się spotykała...

- Była pani u nich w domu?

- Oczywiście.

- Jak mieszkali?

- Jak my. W dwóch pokojach. Abo trzech. Nie. Dwóch. Trza by Jarka spytać. On tam częściej bywał.

- Mieli jakieś stare rzeczy, meble?

- Meble ponemieckie, jak my. Ale na ścianach widziałam troszku starych zdjęć, pamiątek. Ja rzadko u nich bywała. Częściej pani Puzyna u mnie. Jej wygodniej było. Nie miała w domu małych dzieci, wolniejsza była. I po pracy przychodziła pogadać. Jak to sąsiadka. Ja zaparzyła herbaty, coś dała na stół i ona sobie gadała. O swoim Grzesiu. Lubiła bardzo o nim mówić. I o teściowej. Też ją, jak ja swoją mamcię, nazywała mamcią. - Nasza mamcia - mówiła. - Mój Grzesio. - Stąd ja imię Grzesia bardziej zapamiętała niż starszej pani Puzyn. Bo ona zawsze mamcią była. Dla Grzesia i Marion...

- A gdzie Marion pracowała?

- W pośrednictwie pracy u nas w Prudniku. Urzędniczką była. A on pracował w Nysie. Ale co tam robił, to ja panu nie powiem. Urzędnikiem chyba był. W każdym razie my bardzo dobrze z nimi żyli, z Puzynami...

- I o mały włos nie zostałaby pani teściową panny z książęcego rodu, pani Olgo.

Wżenić się w Puzynów, pomyślałem, to nieco lepiej niż w Nawrockich! Major by wyżej strzelił niż jego dziadek Martyn. Po tym wojennym exodusie...

- A kto ta wtedy patrzył na ród? Wielkie państwo się rozleciało, proszę pana. Stalin wszystkich nas zrównał w tych ponemieckich domach... Służąca była wyżej, nad państwem. Często lepiej mieszkała.

- Nie wątpię.

- Nikt się tym pańskim pochodzeniem nie chwalił. Wszyscy byli równi. Lepiej się ta było z tym nie afiszować...

- To prawda. Teraz sobie uświadomiłem, że on mógł być Puzyn i pani wcale jego nazwiska nie przekręciła. Po prostu zmienił sobie Puzynę na Puzyna, by dali mu spokój. Ukrył się w Prudniku jak pani ojciec Martyn w Czortkowie. I po ucieczce z Sybiru z Wynnyczenki zrobił się Wyłyczenko*.

- Całkiem mogło tak być, proszę pana. Ja nie mówię nie...

- Puzyn brzmi jak kuzyn, pani Olgo. Swojsko. Po ludowemu... I nikt tego Puzyna nie kojarzył z bezetem.

- Co to bezet, proszę pana?

- Skrót. Be - były, zet - ziemianin. Bezet, były ziemianin, to była najgorsza swołocz. Zaraza, pani Olgo. Jak kulak. Wrzód na ciele społeczeństwa. Gnało się go nie gorzej niż bękarta w Hadyńkowcach. Wszystkie drzwi były przed nim zamknięte. Z takim garbem nie miał szans. Danusia dla swego męża byłaby tylko kulą u nogi. Psułaby mu opinię w kadrach. Żona dziedziczka? Córka obszarnika? Wroga klasowego? Dno. A Jarek klasowo byłokay. Pochodzenie robotniczo-chłopskie, syn kolejarza. To było to! Ludowa arystokracja, pani Olgo. Przyszłość narodu i awangarda postępu.

-Ja. Ja wiem...

- Tacy wkrótce zostali właścicielami Polski Ludowej. A ci wydziedziczeni bezeci - Puzyny czy Cieleccy - cieszyli się, że z życiem uszli chłopskim wozem. Jak hrabia Lanckoroński. Myślę, że pan Puzyna też tak z rodziną uciekał, zanim nie ukrył się w Prudniku jako Puzyn. Dziki Zachód był dla nich azylem i bezpieczną przystanią...

- To prawda. Czasy były batrackie - westchnęła.

- Dlatego w tych batrackich czasach Puzynowie cieszyli się, że - wydając córkę za ludowego oficera - dajają parasol ochronny. Pod skrzydłami lotnika ukryła się jak Maria Chomyszyn u pani ojca Martyna. W innym sensie, ale coś tak. Zna pani dalsze losy tych Puzynów?

- Wiem, że Danusia dzieci nie miała. Po moim wyjeździe z Prudnika, już w Kanadzie, ja się dowiedziała, że pan Puzyn nie żyje. Pojechał na rowerze do jakiejś wioski i tam go zabili. Ale kto i dlaczego - tego nie wiem. Niedługo po nim umarła jego żona Marion...

Major potwierdził, że zaraz po szkole oficerskiej chodził z Danusią, ale trwało to krótko. Podobnie jak matka jest pewien, że Puzynowie pochodzili z wyższej sfery. Ich sposób bycia na to wskazywał.

- Czułem, że się Danusi podobam, byłem o parę lat starszy, ale jakoś się nie zdecydowałem. Czasem tak bywa, kurczą - spoważniał i zamilkł.

Leszek, który też z nami siedział, mniej powściągliwy od brata, oświadczył krótko:

- Jarko bardzo się Dance podobał. Jak wyjechał, to wciąż mnie o niego pytała. Co z nim? Kiedy przyjedzie? Z sympatii do brata odziedziczyłem po niej

*Pisałem o tym w Nawialo nam burzę książki. Jak zdała maturę, to mi dała wszystkie swoje podręczniki z historii, aż do jedenastej klasy. Byłem wtedy w szóstej i trochę mi ciężko szło, ale przebrnąłem przez nie jakoś na moim drzewie...

- Jakim drzewie?

- Wierzbie. W polu rosła wierzba. Ja na niej uwiłem sobie takie bocianie gniazdo. Tam te książki od Danki czytałem...

- Ponoć nasz Major już jako elew miał duże powodzenie u dziewcząt. Czar munduru działał...

- Bez munduru czar też działał, tylko ja mu w tym przeszkadzałem. Pamiętam raz, kiedy jeszcze był w Technikum Weterynaryjnym w Nysie i przyjechał na niedzielę...

- Kto?! - spytał Major. - Ty!

- Skąd?!

- Z Nysy do Prudnika! Pociągiem!

- Zawsze siódma czternaście. Zaawsze! Pamiętam jak dziś, kurczą...

- I umówił się z Ryską Szandałą. Ryśka była młodszą siostrą Cześka Szandały, jego kolegi ze szkoły, i mieszkała obok nas na Matejki.

- Czternaście. Dokładnie na Matejki czternaście - uściślił Major.

- Ryśka była najpiękniejszą dziewczyną w Prudniku. Drugiej tak pięknej dziewczyny nie widziałem. Jak Ryśka Kapustyńska! Dlatego mówię, że każdy przez swoją Ryśkę Kapustyńską musiał przejść. Strasznie był w niej zakochany. Straasznie! Pierwsza szkolna miłość. No i wtedy siedział sobie z nią na ganku i flirtował. Chciał swobodnie pogadać, może pocałować, a ja kucnąłem pod gankiem i dłużyłem patykiem w ziemi. Przeszkadzałem mu. Nie chciałem odejść.

- Lesiu, musisz się tu bawić?!

- Muszę.

- Idź dalej. Tam też możesz grzebać patykiem...

- Tu mi wygodniej...

- Zjeżdżaj, bo dam ci w łeb! - Nie dasz, bo powiem mamie...

W końcu nie wiedział, jak się mnie pozbyć, i krzyknął:

- Dam ci kwodra i idź do restauracji!

- Jak dasz złotówkę, to pójdę...

Dopiero za tę cenę odszedłem. Sprytna bestia byłem, co? Wiedziałem, jak go podejść! I gdzie grzebać patykiem - chrapnął wesoło. - A miałem wtedy pięć lat.

- Sześć! Nie odmładzaj się tak. Miałem szesnaście lat, gdy chodziłem z Ryską Szandałą. Sorry,

ale muszę jechać. Gdyby dzwoniła moja żona, to powiedz jej, że ja już wyjechałem do sklepu. I wziąłem towar. Żeby się nie denerwowała...

-Okay.

- Bye. Jak będzie robił ze mnie playboya, to nieprawda. Casanovą w Prudniku nie byłem.

- Podcasanovą. Podporucznikiem - chrapnął Leszek. - Lepiej, że poszedł. Bo z nim ciężko mówić serio. Wszystko obróci w żart. A to akurat wesołe nie jest. Kiedy byłem w Prudniku w 1989 roku, to spotkałem Dankę Puzyn na cmentarzu. Ja przyszedłem odwiedzić grób ciotki Józki, a ona grób swoich rodziców. Powiedziałem jej wtedy:

- Wiesz, że Jarek od szesnastu lat jest w Kanadzie?

- Wiem - odparła. - Mówiono mi, że jako major sam wyszedł z wojska i wyjechał z rodziną. Ma dwóch synów i córkę Urszulę, prawda?

- Zgadza się - potwierdziłem.

- Ta jego Urszula przed wyjazdem do Kanady była nauczycielką w Chełmie?

- Tak. Teraz wyszła za męża i ma córkę Martę i syna Tomka...

- Znaczy Jarek jest podwójnym dziadkiem?! Trudno mi w to uwierzyć - poprawiła piękne włosy. - A ja, widzisz, sama. Rozwiodłam się - dodała. - Dość często przychodzę tu do rodziców. Powspominać szczeniące lata. Kiedy się miało zielono w głowie - to „zielono” podkreśliła - i wszyscy byliśmy piękni i młodzi. Ty to smarkacz. Pamiętasz moje książki?

- Jasne.

- Ciągłe tak namiętnie czytasz? - Tak.

- Teraz po angielsku, co? - Po polsku też...

- Ale nie na wierzbie - zaśmiała się. - A ty wiesz, że ta twoja wierzba jeszcze jest?

- Wiem. Oglądałem ją. Z resztkami mojego gniazda...

- Ale nie wiesz, że do dziś ją nazywają wierzbą Leszka. - To jest ta wierzba - mówią - gdzie Leszek Wawrów siedział i czytał książki. On teraz jest w Kanadzie. W Toronto. Masz pomnik w Prudniku, widzisz? - pogładziła mnie po ramieniu. - No, nic. Nie zatrzymuję. Pewno się spieszysz. Cieszę się, że cię widzę. Pozdrów Jarka. Mam nadzieję, że mnie jeszcze pamięta. I mamę, panią Olę, ucałuj mocno. Koniecznie. Bardzo ją kochałam. Tatę oczywiście też.

- Tato miał wylew.

- Wiem. Ucałuj pana Wieka...

- Jasne.

- Trzymaj się, Lesiu. I wpadaj do nas. Adres znasz. Ten sam. Nic się nie zmieniło. Zapraszam
- uścisnęła mnie mocno i ruszyła wolno w stronę grobu swoich rodziców...

Wszystko o naszym Jarku wiedziała...

BYK W CYKLU GRANICZNYM

Major ustawił krzesło i usiadł w nim wygodnie. Dziś na wspominki umówiliśmy się w piekarni.

- Po skończeniu podstawówki w Prudniku dostałem się, do Technikum Weterynaryjnego w Nysie. To warto opisać, kurczą - zaczął. - Za Niemców było tam wielkie seminarium duchowne, cały wydzielony kompleks bloków z olbrzymim boiskiem sportowym za wysokim murem, kortami tenisowymi, basenem pływackim, własnymi inspektami ogrodniczymi. Zwarta zabudowa paru budynków wzniesionych trochę na zasadzie amerykańskiego Pentagonu. Z podziemnymi przejściami prowadzącymi bezpośrednio do otaczających kościołów i katedry. Po dachach też tam można było dojść. Oczywiście była wielka stołówka, sala gimnastyczna i teatralna, wszystkie urządzenia szkolne i zaplecze kuchenne-gospodarcze. Nasi nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić, i umieścili tu w końcu Zespół Techników Szkolnych. Było ich cztery: Technikum Pszczelarskie, Zootechniczne, Agrotechniczne i nasze - Weterynaryjne. Mieściło się tu również Seminarium Duchowne i internaty. Dla dziewcząt też, co ważne...

- Jakie to były lata?

- Wstąpiłem do technikum w 1952 roku. Z Nysy do domu miałem dwadzieścia osiem kilometrów. Wystarczająco, by się usamodzielnąć. I wyjść spod skrzydeł matki...

- Jak się zachowywało ZMP? Bo był to czas największej walki z klerem...

- Jak się zachowywało? Śmiesznie, kurczą. Raz ktoś krzyknął do Kazia Skorusa, który był przewodniczącym koła ZMP:

- Kaziu! Dziś środa popielcowa! Warto by iść do kościoła!

- To idziemy! Dawaj! - gwizdnął w palce, zrobił zbiórkę i całym kołem ZMP dachami pomaszerowaliśmy na mszę. Jak się dyrektor o tym dowiedział, dostał szału.

- Skandal! - ryczał. - Czarna reakcja! Klerykalną propagandę mi tu uprawiacie? Który z was był głównym prowodyrem?!

- Przewodniczący ZMP Skorus! - odkrzyknęliśmy chórem.

- Kto?! Skorus?! - zbaraniał i lekko się zatkał. Od razu przestał krzyżeć. Nazajutrz sprawę wyciszył i więcej o tej mszy nie mówił.

- A Skorus wyleciał?

- Skąd?! Dalej był przewodniczącym.

- To liberalnie. Bo był to najgorszy okres. Era księży-patriotów, procesu biskupa kieleckiego Kaczmarka, aresztowania kardynała Wyszyńskiego...

- On siedział wówczas u nas. W klasztoru w górach nad granicą czeską. Pod Kopą Biskupią w Jarałtówku. A my walczyliśmy zaciekle z klerykami z tego seminarium. Ząb za ząb. Biliśmy się strasznie...

- To jednak - mruknąłem.

- W siatkę. W siatkę, panie Jarku - uspokoił mnie. - Bo w piłkę nożną nie grali. I muszę przyznać - dobrzy byli, kurczą. Uwija. Nie rozbierali się do majtek i koszulek jak my, zdejmowali tylko sutanny i w czarnych spodniach i białych koszulach - zawsze nam dołożyli. Zaawsze! Byli nie do pobicia, kurczą. Nie wiem czemu, ale tak było. Nawet nasza reprezentacja złożona z czterech techników nie dawała im rady. Klerycy nie krzyczeli, nie klęli, tylko w ciszy przytyk-przytyk wystawiali piłkę, ścinali i punkt! Często już jednego serwu nam brakowało do zwycięstwa - i przegrywaliśmy. Widać Pan Bóg grał po ich stronie boiska. Bo czasem niemożliwą piłkę odbierali i przerzucali przez siatkę. W defensywie byli super, mieli niezwykłego ducha do walki...

Od 1957 roku byłem już elewem pierwszego roku oficerskiej szkoły Wojsk Ochrony Pogranicza w Kętrzynie - mówił dalej.

- Tam, gdzie graf Claus von Stauffenberg, pułkownik sztabu Oberkommando der Wehrmacht, dokonał nieudanego zamachu na Hitlera w 1944 roku? W jego letniej kwaterze na Mazurach, tak zwanym Wilczym Szańcu?

- Tak jest. Często tam mieliśmy zajęcia w terenie. Rozstawialiśmy namioty na parę dni szkolenia. W wolnych chwilach łaziliśmy po tej kwaterze. Bunkry były wysadzone, tylko betonowe płyty i gruz sterczały, ale jeszcze między drzewami rozciągnięte były siatki ochronne ze sztucznymi liśćmi. Te liście były z ebonitu, bo plastiku Niemcy jeszcze nie znali. Pełno tam było też drutów, które ludzie cięli i zabierali. Te druty były bardzo sprytnie naciągnięte na specjalne paliki z wypustkami i rowkiem, tak że nie trzeba było ich wiązać. Zaskakiwały jak na haczyk...

W lecie mieliśmy zajęcia praktyczne na strażnicy. W 1958 roku nasza kompania wzięła udział w uroczystej defiladzie wojskowej, która odbyła się w Łodzi z okazji Święta Odrodzenia 22 lipca. Każdą szkołę oficerską reprezentowała jedna kompania. W sumie zjechało się około dziesięciu tysięcy żołnierzy. Zakwaterowano nas w namiotach na lotnisku w Barlinku. Byliśmy tam trzy tygodnie i ćwiczyliśmy do tej defilady. Jeszcze w nocy w ramach próby przemaszerowaliśmy przez miasto. Było wtedy bardzo upalne lato. Jak odpoczywaliśmy, pamiętam, to można było się kłaść na chodnikach. Tak płyty były nagrzane. Z wojska został mi nawyk, że mogę spać w każdej chwili i w każdych warunkach. Moment - i śpię. Na te obchody zjechały władze z całej Polski. Defilada była wielkim wyróżnieniem dla Łodzi. Uczczono w ten sposób robotnicze miasto tkaczek. Mieliśmy wszystko wyćwiczone na medal i ten nasz marsz wypadł bardzo efektownie, kurczą. Wszystkie rodzaje broni - piechota, marynarze, lotnicy z orkiestrą i sztandarami - szły czwórkami równym, defiladowym krokiem. Na komendę: „Prezentuj broń” błysnęliśmy jednym karabinem. Gdy zbliżyliśmy się do trybuny, sprawozdawca radiowy krzyknął:

- Idzie szkoła oficerska WOP-u z Kętrzyna! Przyszli obrońcy naszych granic! Niech żyje młoda kadra odrodzonego Wojska Polskiego!

- Niech żyje! - podchwycił tłum, a w tym tłumie matka z Leszkiem, którzy specjalnie przyjechali do mnie z Prudnika.

Trąbki i wstążki zawsze muszą być, tylko jeść nie ma co. Wie pan, jak to za Sowietów - przypomniały mi się słowa Olgi Wawrów, gdy opowiadała, jak to żołdat na koniu, bijąc w bęben, ogłaszał uroczyste w Hadyńkowcach zwycięstwo nad Hitlerem. - Na parady, zloty i obchody zawsze pieniądze są.

- Lesio bardzo tę defiladę przeżył - ciągnął Major. - Chociaż ja też. Do dziś na przykład pamiętam, kto był wtedy I Sekretarzem Partii. I kto przemawiał do nas w imieniu tkaczek łódzkich...

- Towarzyszka Michalina Tatarkówna-Majkowska! - podrzuciłem.

- Zgadza się - roześmiał się. - Nawet niegłupio gadała. Bez mowy-trawy. Aż się zdziwiłem...

- Bo Tatarkówna na VIII Plenum PZPR w październiku 1956 roku wyróżniła się odwagą. To ona właśnie zgłosiła wniosek o zmianę porządku obrad i szybszy wybór Gomułki na I Sekretarza, aby mógł reprezentować partię w rozmowach z delegacją radziecką przybyłą z Chruszczowem na czele. W nagrodę Gomułka najdłużej ją trzymał ze wszystkich popaździernikowych sekretarzy KW. Najwcześniej w ramach normalizacji w partii i kraju polecił Stefan Staszewski w Warszawie, najpóźniej Michalina Tatarkówna-Majkowska w Łodzi. Zdążyła jeszcze wygłosić to ludzkie przemówienie na waszej defiladzie...

- Tak jest. Po trzech tygodniach wróciłem do Kętrzyna i tam jako podchorąży WOPu dalej uczyłem się strzec granicy PRL-u. I to nie tej starej, na Zbruczu, gdzie się urodziłem, tylko tej nowej, na Odrze i Bugu...

Inaczej nasz Major szedłby w Baonie KOP-u w Kopyczyńcach w święto Jordanu i Krzyża z lodu, tak pięknie opisane przez Jerzego Szewczyńskiego. Też z orkiestrą i sztandarem, a tłum wyległby na ulicę. Tyle że bez paru narodowości, z których jedną do szczytu wyniszczono, a drugą wyrzucono za San, pomyślałem...

- Dlaczego pan rzucasz chleb w swój koszyk, a nie do pudła! - krzyknął Jarek.

- Bo nie trafiłem, panie Major - odparł dobrodusznie stary Kolumbus, który często brał chleb od tyłu piekarni.

- Okay. Dziś pan możesz pudłować. I wziąć nawet pięć. Jak pan dasz radę.

- Czemu by nie? Ja z wojny starszy sierżant, panie Major...

- Że starszy, to widzę...

- Od generała Mączka pancerniak. Z kawalerii zmotoryzowanej. Dziesięć bochenków dźwignę po osiemdziesiątce jak nic. Tylko mi Major daj!

- Dam, kurczę! Jak pan taki czołgista. Bierz pan z maczkiem lub z kminkiem. Do wyboru.

Napiekli dziś tego chleba jak wariaci...

- To dziękuję. Bóg zapłać! - Kolumbus przyłożył rękę do granatowego beretu i wydreptał drobnym kroczeniem z piekarni. Całej swej siły nie użył. Wziął tylko pięć bochenków...

- Od Mączka i maczkiem drobi, kurczą. Tak to jest, panie Jarku - westchnął Major. - Z każdego zucha Bóg zrobi starucha. Nie ma siły. To o czym mówiliśmy? Bo przerwał nam ten pancerniak...

- O szkole oficerskiej w Kętrzynie...

- O, ja. Tam szybko zorientowałem się, że politycznych mniej ganiają niż liniowych i zgłosiłem się do tych pierwszych...

- Polityczni musieli być w partii...

- Wszyscy musieli. Całym rokiem gromadnie wstąpiliśmy do PZPR-u... -1 co na to ojciec?

- WOP uznał za przedwojenny KOP. Też strześliśmy granic, tyle że innych. Nie chwalilem mu się, że jestem politruk.

- Durnojob - jak mawiał pod Berlinem.

-1 chujoplot - uściślił, - Zgadza się. Ale ojciec jednego nie rozumiał. Że partia w wojsku to była inna partia. Martwa. Działała siłą bezwładu. Lenin ją stworzył, więc była. Wisiała na transparentach. Ale nikt w nią nie wierzył. Paru durniów. A z nich śmialiśmy się. Reszta udawała partyjniaków. Zwłaszcza ci z rodzin prominentów. Chociaż to też zależało. Kazik Kuriata, syn generała Kuriaty, był równy chłopak, ale na przykład szwagier dowódcy WOP-u strasznie się panoszył. Straasznie! Korzystał z małżeństwa swojej siostry, jak mógł. Dowódca kompanii to był dla niego mniej niż kolega. Tylko od tego, by mu przynieść zgodę Warszawy na kolejny urlop. Połowę czasu spędził w delegacji. Komendant Szkoły wolał z nim nie zadzierać, bo bał się szefa na górze. Ale tak jest wszędzie, kurczą. Kto by tu jeszcze? Podpułkownik Bronisław Kluk też się wyróżnił...

- Czym?

- Długą stopą. Miał tak wielką stopę jak podolski złodziej. Dosłownie. Śmialiśmy się, że najpierw z daleka szły czubki butów, potem całe buty, a na końcu sam pułkownik Kluk. Przyznał, że w bitwie pod Lenino biegł na bosaka, bo długo nie mógł wyfasować butów. Wreszcie zdarł z jakiegoś Niemca. Bo w całej Rosji nie było...

- Na poligonie w Muszakach podobny kłopot miał znany kompozytor Mateusz Świącicki - wtrąciłem. - Późniejszy twórca przeboju „Pod papugami”. Dla niego z kolei szef kompanii Szymus nie mógł wyfasować w magazynie pasa. Mateusz, rodem z Wilna, przedstawił to z drwiącą troską:

- No, nie mają pasa. Niby armia klasa, a nie może mnie przepasać. Mój ojciec grubszy był, a w przedwojennym wojsku miał dwie dziurki luzu. A tu - w najdłuższym ludowym pasie trzech dziurek do klamry brak. Trzy dziurki w nosie i skończyło się.. Jak u nas w Wilnie mówiło się...

- O! Kierownik cyklu granicznego major Michałowski też był ciekawy gość, kurczę - przerwał mi Jarek.

- Co to „cykl graniczny”?

- Zajęcia na ćwiczebnej granicy. Była specjalnie wydzielona, ogrodzona, z zasiekami, pasem granicznym, budką, szlabanem, tak jak to wygląda na normalnej strażnicy. I Michałowski na tej ćwiczebnej granicy hodował byka. Byk pasł się spokojnie. Nikomu nie przeszkadzał. Major miał tam też króliki. Teren ogrodzony, bezpieczny, na uboczu - pasował mu. Na jakimś zebraniu zaatakował go za tego byka i prywatną hodowlę jeden nadgorliwiec. Nazwał go kułakiem i zażądał od niego samokrytyki. Michałowski spokojnie wstał, zacisnął dłoń w kułak i oświadczył:

- Kułak, to to! A mojego byka możecie w jaja pocałować, towarzyszu! Oczywiście śmiano się w kułak. A jego byk dalej pasł się...

- W ramach cyklu granicznego...

- Tak jest. Trzeba umieć odezwać się. I w odpowiedniej chwili zrobić gest Kozakiewicza. W lecie wyjeżdżaliśmy na strażnice. W różne końce Polski.

- Zgodnie z pieśnią masową Edwarda Olearczyka - i zanuciłem piosenkę mojej młodości:

„Tam za górą jest granica, przy granicy zaś strażnica...

W tej strażnicy na granicy żołnierz pisał list.

Tego listu wszystkie treści żołnierz w tej piosence zmieścił

I powstała ta piosenka, której refren brzmi:

Gdzieś daleko za mgłą jest rodzinny mój dom”.

- Do domu za mgłą zbyt często listów nie słałem - przyznał. - Pamiętam, że jak raz z Warszawy do mojej pierwszej strażnicy w Rokicie - mieszczącej się na terenie dawnej fabryki broni i amunicji - przyjechał na inspekcję I zastępca szefa sztabu WOP-u pułkownik Feliks Stramik, to musiałem po niego wyjeżdżać, bo sam z kierowcą by do nas nie trafił.

- Stramik?

- Później generał. Bardzo zdolny młody gość. Z klasą. Już wtedy wyróżniał się u nas w WOP-ie.

- Też krajan. Lwowiak. - Tak?

- Najstarszy brat Basi Krasieńskiej. Żony mego przyjaciela Janusza Krasieńskiego. Osobiście go nie znam, ale Basia mówiła, że jako młody chłopak zgłosił się do wojska, gdy kościuszkowcy wkroczyli do Lwowa...

- Bardzo bym chciał z nim się spotkać. I pogadać. Spodobał mi się wtedy na tej inspekcji. Fachowiec. Z Rokity Rosjanie oczywiście wszystko wywieźli, cały sprzęt, zostawiając nam gołe ściany.

- Jak ta fabryka za Niemców się nazywała?

- Nie wiem. Po wojnie wzięła nazwę od Zakładów „Rokita” w Brzegu, do których resztki sprzętu stąd wywieziono. W Rokicie były jeszcze konie. W brygadzie zresztą też. Na akademii w Krośnie - opowiadał dalej - w rocznicę rewolucji październikowej jakiś dureń chciał wywiesić hasło: „Koni polski! Bierz przykład z konia radzieckiego!” W ostatniej chwili go powstrzymano. Z końmi dużo historii było, kurczą. W Rokicie przede mną służył słynny porucznik Gniadek. Krążyły o nim legendy. Raz przyjechał na inspekcję jakiś pułkownik z brygady i wsiadł na niego, że wszystkich koni nie wystawił do zajęć.

- Bo więcej nie ma! - odparł Gniadek.

- To świnię osiodłajcie, kurwa! - rzucił wściekle.

- Rozkaz, obywatelu pułkownika.

Za chwilę Gniadek przyprowadził trzy świnię.

- Co wy?! Zwariowaliście?! - krzyknął pułkownik.

- Melduję według rozkazu! Pstre świnię złotnickie w pełnym rynsztunku bojowym, obywatelu pułkownika. Więcej macior zarodowych pod siodło na strażnicy Rokita nie mamy!

Cała brygada ryła ze śmiechu z tych świń.

- To mieliście tam gospodarstwo?

- Q, ja. Ja sam hodowałem królice.

- Jak major Michałowski byka?

- Tak. Ale na naszej strażnicy miały lepsze warunki niż na ćwiczebnej. Trzymałem je na dachu bunkra. Biegały sobie swobodnie w betenowej nieszczęśliwej między drzewami i nie dały rady zejść. Miały trawkę, liście, pięknie się rozmnożyły. Na tej górze...

- Gdzie strażnica...

- Tak jest. Na strażnicy zaś królice. O! Teraz sobie przypomniałem. Tak też śpiewaliśmy. Różne rzeczy się działy.

- Inne niż w piosence?

- O, ja. Raz nasz dowódca wracał w nocy konno i tak pechowo strzelił z pistoletu, że zamiast

w ziemię, trafił w konia.

- To nieźle strzelał...

- Pijany był, kurczę. Zaczął się głupio tłumaczyć, że strzelono do niego podczas inspekcji granicy i konia pod nim zabito. Przyjechał weterynarz z brygady, obejrzał wlot kuli i rzekł:

- To ten snajper musiał siedzieć na drzewie, żeby tak celnie w kłęb konia pod panem trafić, kapitanie.

Oczywiście musiał płacić karę.

Kiedy jako młody podporucznik przyjechałem do Rokity, to od razu jeden cwaniak postanowił mnie pouczyć na zajęciach.

- Poprzedni dowódca podskakiwał - mówił. - Ale tu miałem na niego czarny notes, zgłosiłem do dowódcy batalionu i ten go szybko usadził. Potem grzecznie jadł mi z ręki jak mój pies - zaśmiał się. - Z panem też tak będzie...

- Pięć dni aresztu! - krzyknąłem.

- Akurat! - wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Za trzaśnięcie drugie pięć! - dodałem.

Większej kary nie miałem. Ta była najwyższa w mojej gestii. Wsiadłem z nim do gazika i osobiście odwiozłem do aresztu w Tuplicach. Czesław Dudek się nazywał. Był starszym przewodnikiem psa. Psy na strażnicy dzieliły się na śledcze i patrolowe. Patrolowe biegały luzem wzdłuż granicy, a śledcze prowadzone były przez przewodnika na długiej linie i tropiły po śladach. Były specjalnie szkolone, strasznie ostre i słuchały tylko swego przewodnika. A przewodnik też musiał z nimi uważać. Bo jak krzyknął, to i na niego ten wilk mógł się rzucić. Do klatki ze śledczym psem nikt obcy nie mógł się zbliżyć. Dudek wiedział o tym i dlatego tak się stawiał. No i zaczęła się polka. Jak nakarmić tego psa. Nie dawał sobie wstawić miski, kurczę. Mało klatki nie rozsadził. Laliśmy na niego wodę z węża, by się cofnął, i kijem pchaliśmy miskę. Nie dało rady. Musiałem sprowadzić Dudka. Raz dziennie brałem go z Tuplic i po nakarmieniu psa z powrotem odstawiałem. To był jedyny sposób, by pies nie zdechł w klatce, a Dudek odsiedział w pudle. Potem jadł mi z ręki. Musiałem dbać o autorytet, bo inaczej zjedliby mnie. A tak - wiedzieli. Pozartować lubię, ale żartów ze służby nie ma. Dyscyplina musi być. Robiłem wariackie numery. W nocy podkradałem się na przykład pod strażę. Potrafiłem podejść wartownika i jak widziałem, że smacznie śpi - wyjąć mu z ręki karabin. Potem budziłem go. Gdy odruchowo krzyczał: - Stój! Bo strzelam! - Ciekawe z czego!? - śmiałem się.

Oczywiście szedł do raportu i na drugi raz się pilnował.

- Panie Majorze, klienci! - krzyknął ciastowy Newyorker. Godnie ukłonił mi się z daleka i udał, że się nie znamy. Nasza konspiracja w pełni została zachowana. Gdy tak pracował w tym białym pierożku, nikt by się w nim nie domyślił błyskotliwego hrabiego Bielskiego, mojego

wiernego „ucha” z kawiarni „New Yorker Deli” na Bay Street.

- O, ja. Profesor z Alabamy. Umówiłem się z nim. Warto go poznać - rzekł Major.

Przeszliśmy na tył piekarni. Przy zielonym wanie stał starszy pan w binoklach o wyglądzie typowego przedwojennego inteligenta. Towarzyszyła mu żona, wciąż - mimo zaawansowanego wieku - atrakcyjna blondyna. Oboje byli stałymi klientami „Ontario Bread Company” i raz na kwartał przyjeżdżali ze Stanów po większą partię chleba. Jarek odłożył im trzydzieści bochenków.

- U nas na południu biała wata, to człowiek stęskniony. Żona wsadzi do frizera i na jakiś czas jest - tłumaczył profesor, kładąc bochenki „mazowieckiego” na naturalnym zakwasie do swego zielonego vana.

- A biali tam jeszcze u was na południu z pochodniami chodzą? - Jarek gestem pokazał płaszcz...

- E, nie, panie - zaśmiał się profesor. - Huragan był, ale Ku-Klux-Klan dawno przeszedł...

Po ich odjeździe Jarek wyjaśnił mi, że to wybitny fachowiec po Politechnice Lwowskiej. Wykładał inżynierię na Uniwersytecie w Toronto. A potem Amerykanie zaproponowali mu utworzenie katedry inżynierii lądowej na Uniwersytecie Alabama.

- Tam pod palmą nie ma źle. Popija sobie whisky. Nie jak my w Rokicie berbeluchę, kurczą - wrócił znów na strażnicę.

- To bimber ta berbelucha?

- Nie. Świeże wino. Pędzone na drożdżach. Nie całkiem jeszcze sfermentowane. Piliśmy berbeluchę lub koszulówkę...

-Z koszuli?!

- Rozumie się!

- O zupie na gwoździu słyszałem, ale o bimbrze z koszuli nie.

- To nie bimber. Czysty spirytus. Perfect!

- Wyciskany z koszuli?

- Z cysterny. Ruscy w transporcie nigdy wszystkich cystern do końca nie spuszczała. Zawsze coś zostało. Jak to wybrać? Proste. Gdy pociąg wracał z NRD z miasteczka Frost, po drugiej stronie granicy, to u nas zwalniał. Nieliczni miejscowi wskakiwali i wrzucali w otwór w cysternie koszulę. Po nasiąknięciu wyciągali, wyżyłali koszulkę do bańki i spirytus był. Na wszystko jest sposób. Jak się pomyśli, panie Jarku...

-1 piliście koszulówkę?

- A, co?! Nuda, rozrywek brak. Czasem wyprawa do Krosna na film czy mecz. Iwsio. Człowiek na różnych strażnicach strzegł szczerze granicy PRL-u przed naszymi sojusznikami. No, tak. A co? Prawda. Z nimi przecież graniczyliśmy, kurczę. Były czasy.

-Berbeluchowe...

- Dokładnie. Tu ciężko pojąć - pokiwał głową i poprawił się w krześle ustawionym w zacisznym kącie na podwórku wjazdowym do piekarni „Ontario Bread Company Ltd” przy Ossington Avenue 178 at rear w Toronto.

UKRYCI W KRZAKACH

Siedzę z panem Janem Dobruckim w Brampton. Popijamy domowe wino, takie, jakie kiedyś w Czortkowie robił jego ojciec Andrzej Doliwa-Dobrucki, kierownik „Sokoła”, zwany w tej organizacji gospodarzem, i pan Jan sięga do swego złotego źródła.

- Jako młody chłopak, proszę pana, trafiłem w 1945 roku do wojska i ze względu na biegłą znajomość rosyjskiego i niemieckiego przydzielono mnie do grupy wojsk radzieckich w charakterze tłumacza.

- Niemiecki więc się przydał...

- A jakże! Z moim rosyjskim miałem zresztą kłopot. Za dobry był. Raz w Kłodzku wezwano mnie do Smiersza, a Smiersz był jeszcze gorszy niż NKWD, i komendant pyta:

- Odkuda wy tak priekrasno znajecie nasz jazyk? Wy gowońcie prosto kok Puszkina. Kak Puszkina! Zamieczatielno - zachwycił się. - Wy nawierno Ruskij!

-Niet. Ja Polak. Dobruckij - mówię mu.

- Et, Dobruckij - machnął ręką. - Dobruckij kak Dubrowskij. Możet byt' Ruskij. Izwiestnyj giejroj Puszkina Dubrowskij? Wy znajecie?

-Znam.

- Wot wy Ruskij kak Dubrowskij. Bo od kuda byjewo znali?

- Ja czytał Puszkina kak rabotał w bibliotece w Czortkowie. Tam była bibliotekarka Rosjanka, bardzo ładna dziewczuszka, ja się w niej zakochałem i ona mnie tak pięknie nauczyła rosyjskiego. Razem recytowaliśmy wiersze Puszkina - tłumaczę mu. Ale on znów machnął ręką.

- Eto skazki. Ty bajuszki Puszkina bajesz - i pewny, że ja, jak wielu Rosjan, kryję się w polskim wojsku, kazał mnie aresztować. Język Puszkina kosztował mnie cztery dni karceru. Wyciągnął mnie z niego dopiero przyjaciel mojej rodziny Munio Hausner, który jako Franek Mularczyk był majorem w sztabie polskim. Jego córka Inka jako dziewczynka ukrywała się podczas wojny w naszym domu i dziś mieszka w Los Angeles wraz ze swoją sędziwą matką, kiedyś upojnej urody niewiastą, pięknością Czortkowa. Inka zresztą po matce odziedziczyła urodę. Traktuję ją jak młodszą siostrę. Korespondujemy ze sobą. I właśnie jej ojciec wyciągnął mnie z tego karceru w Kłodzku, zaświadczając, że ja Polak Dobrucki, nie żaden dezertor, że zna całą moją rodzinę z Czortkowa. Dzięki temu mogłem działać po wojnie jako tłumacz w Nysie... - W Nysie?!

- Tak jest. Tam głównie stacjonowaliśmy...

- No, proszę. Spadł mi pan jak z nieba. Przecież w Nysie uczył się mój bohater Jarosław Wawrów. W Technikum Weterynaryjnym...

- To ja miałem z tego technikum kolegę. Śliwiński się nazywał. Ale on musiał studiować

wcześniej.

- Mój Major w 1952 roku...

- A ja byłem w Nysie z wojskiem już w 1945 roku. Tuż po wojnie. Koszarowaliśmy także w Paczkowie i Otmuchowie. Bajeczne miejsca w Sudetach. Wojną nietknięte. Ze starymi, średniowiecznymi murami. W Otmuchowie Niemcy zrobili wielką zaporę wodną, piękne jezioro. A nad nim, proszę pana, stary zamek obronny na wysokiej górze. Cudo! Widok jak z pocztówki...

- Półmisek rozkoszy, jak pan mówi.

- Tak jest. Na dziedzińcu studnia na trzysta metrów w głąb. Do zamku prowadziły „końskie schody”, bo po nich i konie mogły wejść. Ponoć pod zamkiem były olbrzymie lochy.

- Bez lochów nie ma uroku, panie Janie.

- Z tym, że podczas wojny Niemcy wykorzystali lochy pod zamkami, niezwykle je rozbudowali i ukryli tu, w górach, swoje zagłębienie zbrojeniowe. Pod ziemią stworzyli wielkie zakłady przemysłowe i magazyny, powiązali je labiryntem przejść i schronów, połączyli podziemną linią komunikacyjną. To wojskowe kretowisko, proszę pana, obejmowało ponoć olbrzymi teren, sięgający aż do granicy czeskiej. Trudno to było sprawdzić, bo Niemcy, odchodząc, wiele z tych obiektów wysadzili i zatopili. Sowietci, jak weszli do Nysy w 1945 roku, to właściwie z niej nie wyszli. Dopiero niedawno wyjechali, dewastując przedtem wszystko. Jak przed pół wiekiem. Rosjanie mieli tu, w Sudetach, zamknięte bazy wojskowe.

-Jak w Legnicy...

- Tak jest. W 1945 roku większość niemieckich urządzeń jeszcze działała. Choćby pompy melioracyjne. Niemcy nawet okoliczne wsie pięknie skanalizowali, wszędzie była bieżąca woda, nie mówiąc o elektryczności. Na rynku w Nysie, pamiętam, stał śliczny ratusz z wielkim zegarem słonecznym na wieży. Wokół pełno było urokliwych kamieniczek i pałacyków, zadbanych i wycackanych jak u nas w Galicji. Jeszcze Niemców nie wywieźli i mieszkali oni w swych domach, kiedy Rosjanie przekazywali nam władzę, co było fikcją, bo panoszyli się, jak chcieli. I my musieliśmy we wszystkim słuchać tych dzikusów...

- Durnojobów, jak mówił Wincenty Wawrów w wojsku pod Berlinem...

- Wielu żołnierzy niemieckich kryło się po lasach i próbowało uciec przez Sudety. Do granicy z Czechosłowacją było parę kroków. Pewnego dnia, proszę pana, jadę ja sobie w szoferce z komendantem grupy operacyjnej wojsk radzieckich kapitanem Kozakowem, do którego zostałem przydzielony. My jechaliśmy w szoferce, a jego żołnierze w skrzyni za nami. Nagle na skraju szosy paru młodych ludzi na nasz widok kucnęło i skryło się w krzakach. Kozaków spostrzegł to i krzyknął:

-Nawierno Giermańcy! Bieri ich!

Zatrzymał wóz. Żołnierze wyskoczyli, szybko ich pojмали i doprowadzili do nas.

- Spytaj, kto oni - rozkazał mi. Więc ja ich dokładnie przesłuchałem i wylegitymowałem. Były to młode, piętnastoletnie szczeniaki z Yolksturmu, siłą wcielone przez Hitlera w ostatnich dniach wojny...

Jak Karol Hiller, pomyślałem.

- Pokazali mi swoje Soldatenbucher i przyznali się, że właśnie ich puścili i wracają do siebie do domu. Widząc, że to smarkateria, tłumaczę Kozakowowi:

- Towariszcz kapitan, eto malczyki.

- Kak malczyki? Eto gitlerowcy, swołocz, i ich wsiech nado razstrielat'! Bieri ich w lies i ubij! - rozkazał mi.

Jezus Maria, nogi się pode mną ugięły i zacząłem mu klarować, że to żadni hitlerowcy, po prostu dzieciarnia, jeńcy zwolnieni z niewoli, ale on nie chciał o tym słyszeć i upierał się, bym ich rozstrzelał.

- Ale za co? - pytałem.

- Za to szto giermańcy! Wsiol Priaklatyje faszysty! - to mu starczało za wyrok. - Razstrielaj! - powtórzył.

- Ale dlaczego ja?! - broniłem się. - Japieriewodczyk, tut sowietskije sołdaty, pust' oni ich razstrielajut!

- Oni nie mogut, bo eto Polska i ty tut choziain - oświadczył. - Ty tolko imiejesz prawo ich ubit'. Strielaj! - rozkazał mi. Niezłe prawo i ładny ja gospodarz, pomyślałem, i nagle mnie olśniło.

- Choroszo! Razstrielaju ich! - oświadczyłem i wyciągnąłem pistolet z kabury. Krzyknąłem do Niemców:

- Handehoch! Yorwarts!

I oni grzecznie z rączkami do góry pomaszerowali przede mną do lasu za tymi krzakami. Po drodze uspokoiłem ich, żeby się nie bali, nic im nie zrobię, tylko tak gram przed Rosjanami. Ale oni mi nie wierzyli, pewni, że za chwilę zginą. Jeden chłopak, pamiętam, rzucił mi się z płaczem do nóg.

- Bitte nicht schiessen! - błagał mnie.

- Będę strzelał na pokaz w powietrze - zapewniłem go i kazałem im uciekać jak najdalej od szosy. Oni jednak pewni, że w czasie ucieczki strzelę im w plecy, dalej stali i nie ruszali się. Wtedy na dowód prawdy odwróciłem się do nich plecami i oddałem pięć strzałów w górę. Nie oglądając się za siebie, tak że nawet nie wiem, co oni zrobili, wróciłem do Kozakowa i zameldowałem mu o wykonaniu rozkazu.

- Razstrzelał ty ich wsiech?- spojrział na mnie badawczo, wciąż siedząc w szoferce.

- Wsiech, towarzyszczy kapitan - zapewniłem go, chowając pistolet do kabury.

- A dlaczego ty pięć razy strzelał, jak ich było tylko trzech? - zdziwił się.

- Bo dwóch musiałem dobić. Ruszali się jeszcze - odparłem szybko.

- Nu, ładno. Tak ty maładiec! - pochwalił mnie i klepnął w kark. Bałem się, że nie daj Bóg zechce sprawdzić, to wtedy leżę, ale on spieszył się. Rozkazał:

- Dawaj, jediem! Pozdno! - i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Kamień z serca mi spadł, proszę pana, bo byłem bardziej przerażony od tych chłopców - pan Jan roześmiał się i naleł mi do kieliszka nową porcję swego domowego wina. - Tak jest. To były czasy, panie Jarosławie, że trudno w nie uwierzyć. Zwłaszcza tu, w Kanadzie - ciągnął śpiewnie. - I druga moja przygoda z tymże Kozakowem, proszę pana. Otrzymaliśmy meldunek, że we dworze pod Nysą Niemcy ukryli duże zapasy broni. Wsiedliśmy więc do powozu. Kozaków, jako ten „świecznik” w Nysie, komendant sowieckiej grupy operacyjnej, jeździł eleganckim troflejnym powozem, ciągniętym przez dwa odświętnie przybrane konie. A jakże! Rozparty jak hrabia na tylnym siedzeniu zadawał szyku w Nysie...

- Jak ciotka Klopnicowa w Czortkowie. Zabrakło tylko cygańskiej kapeli. I nowej panienki.

- Tak jest. Ale burdel-promocja była! Ze mną jako polską panienką, panie Jarosławie. Na pokaz - zaśmiał się. - Ale wtedy to nie były żarty, o nie - spoważniał znowu. - Po jakimś czasie, proszę pana, stanęliśmy przed starym, zabytkowym pałacem z dużym, angielskim parkiem. Brama wjazdowa była zamknięta,

więc zaczęliśmy tarabanić. Po chwili otworzył nam kamerdyner. Wyjaśniłem mu, kim jesteśmy i że chcemy widzieć się z właścicielką.

- Frdulein jest u siebie - odparł i poprowadził nas schodami na górę. Kozaków, słysząc „frdulein”, ucieszył się i zatarł ręce. Słowo „panienka” zrozumiał. Na górze czekało go rozczarowanie. W pałacowej komnacie siedziała stara, nobliwa dama, jakaś baronowa czy margrabina ze znanego, arystokratycznego rodu.

- Miejskowa hrabina Cielecka, czy Baworowska - wtrąciłem. - Tak jest.

- Wot starucha priaklatajajobjejo mat'. Szczastia u mienia niet - westchnął Kozaków i zaklął pod nosem.

Grafina powitała nas po francusku, ale słysząc, że władam biegle jej językiem, przeszła na niemiecki. Wyjaśniłem jej grzecznie, że kapitan Kozaków jest nowym komendantem wojsk rosyjskich w Nysie, a ja jego polskim tłumaczem i że przychodzimy tu w sprawie służbowej. Kozaków na dźwięk swego nazwiska trzasnął w obcasy i zaszalutował gracko. Dama, widząc, że ma do czynienia z dżentelmenami, odetchnęła z ulgą i spytała, czym może nam służyć. Powiedziałem jej, że

otrzymaliśmy meldunek, iż na terenie jej majątku znajduje się broń.

- A, tak - przyznała szybko. - Złożono ją w wozowni i mój kamerdyner zaraz panom wyda.

Siedziała w zabytkowym fotelu z Biblią w ręku, proszę pana, a w jej pałacowej komnacie - poza wiszącymi na ścianach wspaniałymi obrazami - stała w szklanych gablotach kolekcja saskiej porcelany boskiej wprost piękności. Talerze, misy, wazy, no, cacka najwyższej próby. Muzealne zabytki. Byłem oszołomiony. Nigdy takich cacek nie widziałem i pożerałem je wzrokiem. Kozaków też z zainteresowaniem wodził okiem. Baronowa, widząc naszą ciekawość, oświadczyła, że jak rosyjski komendant dalej będzie tak grzeczny i uprzejmy, a któryś z jej talerzy w gablotach mu się spodoba, to ona gotowa mu podarować na pamiątkę. Przetłumaczyłem to Kozakowowi, a on oburzył się:

- Co ona może mi darować, łaskę robi?! Ja sam mogę sobie wziąć, jak zechcę! Albo zrobić wot tak! - Wyjął pistolet i zaczął kolejno strzelać do tych cacek w gablocie! Przerazona dama złapała się za głowę, a ja z trudem powstrzymałem go przed zniszczeniem całej kolekcji. Zdążyłem tylko powiedzieć baronowej:

- Yerzeihen Sie, madame, bardzo przepraszam.

I szybko wyszliśmy. Było mi tak wstyd, tak wstyd za Kozakowa, panie Jarosławie, że nie ma pan pojęcia. A on nic. Widząc moje wzburzenie, zdziwił się i klepnął serdecznie w plecy:

- Sztoż ty Iwan Adriejewicz? Idiot? Giermancow żaliejesz? Grafów, burżujow?!

Stalin jasno skazał. Riezaj, swołocz. A wsio troftejne bieri ilijebi w kibini matieri! Tak ja dal staruchie szkołu - zaśmiał się. - Ipodarok. Nie zabudiet mienia, blad'junkierskaja!

Nowy graf Knut, cholera, pomyślałem. Tyle że on by grafa Sołoguba też zabił w Husiatynie, jako jaśnie pana i burżuja...

- Nic nie czuł, wandal - ciągnął pan Jan. - W wozowni zaś znaleźliśmy całego kramu kilkanaście karabinów, parę automatów i masek gazowych, i to wszystko. Cały ten magazyn broni okazał się jednym wielkim niewypałem. Wyprawa chybiła. Tylko kule Kozakowa trafiły. Zdążył damie zostawić podarok, sokół stalinowski. Narozrabiać jak słoń w składzie porcelany. To była dzicz, panie Jarosławie. Wszędzie, gdzie weszła, grabiła, rabowała, niszczyła. Wszystko zasmrodziła jak u nas w Czortkowie. I na Podolu...

Ta grafina spod Nysy, rozmyślałem, nie uchodząc w porę chłopskim wozem jak hrabia Lanckoroński, doczekała się podarku Kozakowa. Łatwo domyśleć się, jaki był jej dalszy los.

- Jeszcze jeden przykład, panie Jarosławie - rzucił pan Jan. - Raz idę sobie po Nysie i widzę, że radziecki oficer rozmawia z jakimiś dość szabrowymi typami, najwyraźniej szabrownikami, bo stali z dużą platformą wyładowaną niemieckimi meblami..

- Szabrowy to po warszawsku szemrany?

- Tak. Typ spod ciemnej gwiazdy. Lump społeczny. Z bud szabrowych, mówiło się u nas w Czortkowie...

- To stąd pewnie wzięło się słowo „szabrownik”?

- Rozumi się, panie Jarosławie. My tych z centralnej Polski, co rabowali po niemieckich domach, tak nazwali. Szabrownicy. I ci właśnie szabrownicy grasowali w Nysie, proszę pana. Zatrzymałem się, a ten oficer zwraca się do mnie:

- Towariszcz, skazy im, sztoja choczu od nich pakupat’ etot rojal!- Wskazał piękny fortepian, który ci szabrownicy mieli na platformie.

Ja im przełożyłem, a oni mi na to:

- Panie drogi! Rusek chce ten fortepian za pięć litrów spirytusu i my za taką cenę mu nie damy. Pijany chyba.

Widzę, że Rusek istotnie chwieje się na nogach, potrząsa kanistrem w rękę i ponagla ich:

- Bystro, dawajcie, pany, rojal, i bieritie spirt! - A pany nie chcą i targują się z nim. Czuję, że ten meloman wkrótce może przestać być grzeczny i jak Kozaków zostawić podarok, więc mówię im:

- Panowie, nie targujcie się z nim, bo on zamiast kanistra wyjmie pistolet, weźmie ten fortepian sam i jeszcze któregoś z was zastrzeli.

W końcu się zgodzili, oficer rozkazał swoim żołnierzom wnieść ten fortepian na drugie piętro willi, w której kwaterował. Ci z wielkim trudem wtaszczyli go po schodach, bo ten koncertowy fortepian był wyjątkowo ciężki i długi. No, myślę sobie, teraz zacnie się bal. Czastuszki, pijacka orgia i granie. Będzie „Katusza”: „Razwietafy jabłoni i gruszy”. Nadstawiam ucha, a tu tymczasem drzwi balkonowe otwierają się, staje w nich ten oficer i, krzycząc do nas:

- Smotritie, polskije pany! Kakoj budiet koncert! - każe swym żołdatom zrzucić fortepian z góry. Żołdacy bez słowa spełniają rozkaz i piękny fortepian leci z drugiego piętra w dół, roztrzaskując siew driebiezgi na naszych oczach. Struny gną się z jękiem, lakierowana pokrywa pęka, no, widok straszny. Serce się ściska. A ten bydlak, rechocząc ze szczęścia, strzela w górę.

- Zapartiu! Za Stalina! Wot i uwidieli, pany. Dalsze koncerta nie budiet! - i dumny ze swego występu zwycięsko zamyka drzwi.

W tym kontekście, pomyślałem, „Fortepian Szopena” Norwida brzmi proroczo:

„(...) I znów widzę, acz dymem oślepiam,

Jak przez ganku kolumny

Sprzęt podobny do trumny

Wydźwigają... runął... runął... - Twój fortepian!

Ten!... co Polską głosił od zenitu (...) Nawołując: „Ciesz się późny wnuku!... Jękły - głuche kamienie: Ideal - sięgnął bruku”.

- Ciężko w to uwierzyć - rzuciłem głośno.

- Gdybym tego nie widział, też bym nie wierzył. Ale oni tak to traktowali. Trofiejne, więc niszc! Za Stalina ipartiu! Co gorsza, byli nieobliczalni. Trochę jak dzieci. Nigdy pan nie wiedział, co taki dzikus robi. Zastrzeli, czy wyściska jak brata. Bo co to dla niego zabić? Nic. Tyle co splunąć. Trach, i po wsiem. Do tego pili strasznie. Raz, pamiętam, któryś z moich żołnierzy przyniósł olbrzymi kosz z butlą wina. Do kosza doczepiona była kartka, ale pisana starym gotykiem, więc nie mogłem jej odczytać. Wezwałem naszego głównego mechanika w kompanii, Ślązaka Peteję, żeby mi pomógł. W mojej kompanii było sporo śląskich pierunów, co przedtem służyli w Wehrmachcie i przeszli na naszą stronę. Bardzo ich lubiłem. Morowe chłopcy. Mówię więc do Peteji:

- Zobaczcie no, co to jest?! Czy to wino? On przyjrzał się kartce i mówi:

- A to, panie poruczniku, bydzie taki ziołowy kraut! Wino, ale koncyntrat. Silne świństwo. Samo nie idzie pić. Trza proporcja. Jedna łyżka na szklanka woda i bydzie gut. Inaczej spali, pieruna.

Nadszedł Kozaków, zobaczył nasz kosz i pyta:

- Trofiejny? - Tak.

-A szto eto?!

Wyjaśniłem mu, że to stężony koncentrat ziołowego wina.

- Kak wińco, to dawaj! - ucieszył się. Ostrzegłem go, że to koniecznie trzeba rozcieńczyć wodą.

- Woda dla łoszadiej! - rzekł z pogardą. - A ruskij naródpiot czystyj! - odlał nam kapkę tego krautu, a sam wziął resztę...

-1 wypił czysty?

- Rozumi się! Woda dla koni, a prawdziwy Rosjanin pije bez... -1 trofiejny fortepian idzie na złom...

- O, właśnie. A propos złom, panie Jarosławie. Dobrze, że mi pan przypomniał. Pod Nysą była duża niemiecka fabryka czołgów, która po wojnie produkowała znane samochody nysa. Popularne nyski. Raz wybrałem się do tej fabryki z moim dowódcą, inżynierem Henrykiem Gauze, bardzo miłym gościem, który - jako młody metalurg - został mianowany delegatem naszego rządu do spraw przemysłu ciężkiego na Ziemiach Odzyskanych. Gauze bardzo mnie lubił, bo podobał mu się

mój lwowski bałak, jak to my mówimy. Jesteśmy na terenie tej fabryki, proszę pana, i mnie się za przeproszeniem zachciało siusię. Odszedłem więc na bok w krzaki. Podlewałem sobie spokojnie te krzaczki i nagle widzę, że obok z gałęzi wystaje jakaś ręka. Ki czort?! Zapinam więc spodnie, podchodzę bliżej, nachylam się, rozcieram krzaki i co widzę? Na ziemi leżą szczątki pomnika. Schowane przez Niemców w ostatniej chwili i przeznaczone na przetopienie. A ta ręka to ręka Chrystusa Króla sprzed naszego kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Poznałem go natychmiast. Obok złożona głowa z koroną

cierniową i urwane ramię z krzyżem. Do końca jednak nie będąc pewny, zawołałem inżyniera Gauze i on to potwierdził. Nie było wątpliwości, że to nasz pomnik z Krakowskiego Przedmieścia zniszczony przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego, przywieziony tu i przeznaczony na wojenny surowiec. Niemcy w tej fabryce wiele naszych pomników przetopili na czołgi. Dużo kościelnych dzwonów i posągów odnajdowaliśmy. Ale to była sensacja na skalę krajową. Gauze zaraz wezwał Peteję, który akurat naprawiał motocykl, i pchnął go do Gliwic, by natychmiast powiadomił nasze władze o tym niezwykłym odkryciu. Niech przyślą dużą platformę z dźwigiem. Zaraz przyjechała, myśmy na nią załadowali wszystkie części pomnika, z krzyżem i tą ręką, która mnie przywołała, wóz pięknie umailiśmy i oflagowaliśmy, ja wsiadłem do szoferki i eskortowałem go aż do Katowic. Z Katowic z pomnikiem ruszył osobiście inżynier Gauze, by uroczyście wręczyć go władzom w Warszawie. Radość była wielka. Gauze za ten wyczyn: załatwienie się we właściwym miejscu - zaśmiał się pan Jan - przedstawił mnie do odznaczenia, ale naszą grupę operacyjną dość szybko rozwiązano i z orderu wyszły nici...

- A należał się panu, panie Janie. I należy... - Za co?

- Za dwa ocalenia w krzakach: tych młodych chłopców z Yolksturmu, których pan nie rozstrzelał mimo rozkazu Kozakowa, nie chcąc się na nich mścić za tych Niemców, co bestialsko niszczyli Warszawę, no i pomnika Chrystusa Króla, przeznaczonego na złom i przetopienie. Pan pierwszy go w tych krzakach odkrył i uratował. Za te dwa ocalenia należy się panu order. Niewątpliwie...

- Byłoby i trzecie, choć nie w krzakach, panie Jarosławie, ale gra nie wyszła. Koncertowego „rojala” nie udało się uratować, niestety. Roztrzaskał się w driebiezgi - przeciągnął śpiewnym bałakiem, który tak lubił inżynier Gauze, i w szerokim, zaraźliwym uśmiechu zmarszczył swój zadarty, chłopięcy nos. Teraz łatwo mogłem go sobie wyobrazić, jak wyglądał w Nysie, a wcześniej w Czortkowie, gdy był uczniem profesorów Opackiego i Czyżdy.

ELEMENT GRANICZNY

- W styczniu 1958 roku po raz pierwszy pełniłem służbę na granicy i było to w Świnoujściu, kurczą - wspomina Major. - Wysłano nas tam wtedy czterech w ramach praktyki i ćwiczeń. W ogóle to ja granicę znałem od dziecka. Bo jak ojciec był zawiadowcą stacji w Dytmarowie, to granica z Czechami biegła piętnaście metrów od torów. Ale co innego patrzeć, co innego strzec. Odcinek tej pierwszej granicy lądowo-morskiej, od Bałtyku w dół, był bardzo krótki. Liczył zaledwie siedemset czterdzieści metrów i nasycenie elementami służby granicznej było bardzo duże. W dzień jeden żołnierz widział drugiego z prawej i z lewej strony, a w nocy słyszeli swoje głosy. Z wieży strażniczej na plaży wartownik pokrywał wzrokiem cały odcinek. Nasza strażnica mieściła się w pięknej poniemieckiej willi. Dzielił ją z milicją. Jedna połowa to był posterunek MO, druga - strażnica WOP-u. Wystawialiśmy oddzielne warty...

- Jak wyglądało wtedy Świnoujście?

- Zrypane strasznie. Większość miasta leżała w gruzach. Pustka, szaro, dzień krótki, bo to styczeń, po służbie nie było gdzie iść. Nie pamiętam, żebym poszedł do kina. Siedziało się na strażnicy, spało, obierało kartofle i cześć. Dzień zszedł. Dużo nas szkolili.

- To piliście z nudów...

- A skąd! Nie było za co. Poza tym pilnowano nas. Oczywiście nie tak jak Ruskich. Bo tych trzymano za pysk strasznie! Straasznie. Jak w obozie...

- Dużo ich było?

- Pełno. Siedzieli zamknięci w koszarach. Samych ich na miasto nie puszczali. Zawsze maszerowali w kolumnie czwórkami. Jak przechodzili koło nas na poranne ćwiczenia, czy gimnastykę, to wołali do naszych wartowników: - Towariszcz! Daj kurit'! Cigariety! - i robili znaki rękami. Nawet fajek im brakowało. Nie mówiąc o żarciu. Bida straszna. Nas prosili, bo cywilów się bali. Rzucaliśmy im w ramach braterskiej pomocy. Żołnierz żołnierzowi bratem. A radziecki superbratem. Wiadomo. Przez nasz odcinek biegła szosa do Niemiec, ale dozwolona tylko dla Rosjan. Jeździli nią do swych baz w NRD. Wyjęta była całkowicie spod kontroli naszego WOP-u.

- Braterski korytarz... - Tak jest.

-1 na czym polegała praktyka na tej strażnicy?

- Odprawiała elementy służby granicznej do służby na granicy...

- A prościej?

- Przynależano nas do zadań obrony granicy. Na to składała się instrukcja, co mamy robić, jaki odcinek chronimy, droga domarszu, znaki porozumiewawcze między elementami, sygnały, hasło rozpoznania każdego obojętnie ubranego elementu, bo często służba graniczna była po cywilnemu.

- To jak to w praktyce wyglądało?

- Gdy kogoś zauważyłem, wołałem: - Stój! Służba graniczna! - Jak odpowiadał: -1 tu służba graniczna! - wołałem dalej: - Jeden zbliżyć się do rozpoznania! - Bo mogło być ich kilku. Kiedy się zbliżył, żądałem: - Hasło! - Gdy mi prawidłowo odpowiedział, on z kolei żądał ode mnie: - Podaj odzew! - Kiedy podałem i wszystko się zgadzało, już wiedziałem, że jest naszym elementem granicznym. Dzwoniłem zaraz na strażnicę i meldowałem o tym oficerowi dyżurnemu, ten z kolei łączył się z dowództwem batalionu i pytał, czy potwierdzają wysłanie elementu granicznego. Jeśli potwierdzali, wszystko było okay.

- Czyli żołnierz był elementem granicznym?

- A czym mógł być? Tak to w regulaminie służby granicznej określano. Nic na to nie poradzę. Instrukcja, to instrukcja. Nie poemat. Ma wydać żołnierzowi konkretne zadanie, ściśle wyznaczyć stąd - dotąd, co ma robić...

- Jako element graniczny?

- Oczywiście. I nie ma się co śmiać. Wojsko to wojsko. Rządzi się swymi prawami. W końcu straż graniczna nie śmiech. Chwila nieuwagi kosztuje życie. Przed moim przyjazdem na strażnicę był taki wypadek w lesie. Żołnierz na warcie przysnął w krzakach i zasłonił się od komarów pałatką. Obudził go trzask gałęzi, zrzucił pałatkę z głowy i nim zdążył krzyknąć: - Stój! Służba wartownicza! - dostał kulę w łeb. Trup na miejscu. Ktoś, przekradając się na niemiecką stronę, strzelił do niego z bliskiej odległości. Brykał na Zachód i unieszkodliwił go. Kto? Nie wiadomo...

- No, tak. Tędy szła droga do wolności... - Ajak?! Rozumie się.

- Przed wzniesieniem muru berlińskiego ten skok był możliwy...

- Oczywiście. Dalej już poszedł. Tak że nie było całkiem bezpiecznie. Choć walka ze zbrojnym podziemiem ustała, nasi sąsiedzi, koledzy milicjanci, mieli portki pełne strachu. Żyli w ciągłym pogotowiu. Zawsze wieczorem, co mnie bardzo śmieszyło, jak jeden wychodził, to drugi mówił: - Idź pierwszy, przodem, a ja cię będę z tyłu ubezpieczał. - Dobry był, nie? Kozak! Chodzili parami, kurczą. Pamiętam, że podczas tej praktyki ci milicjanci urządzili u siebie kocioł. Złapali żonę i córkę jakiegoś bandziora, jak mówili, i trzymali je u siebie w willi, licząc, że go w ten sposób zwabiają.

- Nie był chyba tak naiwny, żeby samemu pchać się na komendę?!

- E, to była willa, okna bez krat, teren nieogrodzony i chłop mógł zaryzykować. Całkiem bez sensu ten kocioł nie był. Pewne szansę miał. Ale im nie wyszedł, o ile pamiętam. Mieliśmy oczywiście dużo ćwiczeń...

- Ćwiczenia z bronią nie były więc teorią? Jak u nas na studium woj skowym.

- Jasne. W końcu kontrabanda i nielegalne forsowanie granicy to odwieczny cel przemytników i elementów przestępczych. I państwo musi się bronić. Ustawiać...

- Element na element...

- No, tak. Nie ma co kpić. Na strażnicy w Pieńsku, pamiętam, zabity został starszy strzelec Wróbel. Szmugler do niego strzelił podczas przechodzenia granicy. Tym razem go złapano. Okoliczny chłop. Ale często chłopcy sami robili głupoty. Jeden w nerwach posłyszał szelest w krzakach i wystrzelił. Myślał, że to człowiek, a to był dzik, kurczą. Ale przestraszył się, że się wyda, powiesił swój płaszcz na gałęzi i wystrzelił. Następnie zameldował na strażnicy, że jakiś dywersant do niego strzelał i przestrzelił mu płaszcz. Wszystkich postawiono w stan alarmu. Nawet jednostkę KB W wezwano na pomoc. Zaczęli czesać las. Żadnego dywersanta nie znaleźli. Dopiero na drugi dzień bałwan się przyznał, że to on sam płaszcz przestrzelił, bo pomylił człowieka ze świnią, kurczą...

- Robiąc operację „Dzik”...

- Tak jest. W tym wypadku żołnierz okazał się durniem i strzelcem marnym, ale byli u nas prawdziwi mistrzowie. Ja sam nieźle strzelałem, byłem w reprezentacji naszej brygady w Krośnie, ale legendarnym wprost strzelcem o sokolim oku był dowódca kompanii kapitan Salomoniak. Jak żołnierze chybiali do tarcz, skarżąc się, że ich karabin ma wielki rozrzut, ustawiał ich obok tablic strzelniczych i między nich kolejno walił w sam środek tarczy, dowodząc im, że karabin jest okay, tylko oni do dupy. Zrobił raz lepszy numer. Szedł drogą kolega i Salomoniak mówi mu:

- Jak zechcę, to ci tę czapkę zdmuchnę z głowy!

- E, tam, pieprzysz?!

- Nie wierzysz? To załóż się o flaszkę koniaku!

- Okay. Strzelaj! - odparł kumpel ze śmiechem.

- To uważaj! Idź prosto i równo. - Wyjął pistolet i z trzydziestu kroków: paf - czapki nie ma. Trafił w sam środek orzełka. Ten kumpel zdumiał. Nim zdążył się przestraszyć, już był bez czapki i bez flaszki. Przegrał zakład. Nie wierzył, że Salomoniak strzeli...

- Ryzykował. Rosyjska ruleta. Tamten mógł go zabić...

- E, tam! Bzdura. Salomoniak dobrze strzelał. Po prostu dobrze strzelał, kolego! Wiedział, co robi...

- No, jednak głowa...

- To co? Ryzyko pudła żadne. Jedno co mogło być to to, że sam nabój fabrycznie zawierał trochę, mniej prochu i wówczas pocisk poszedłby ciut niżej. Ale to trafna milion. Salomoniak był legendarnym strzelcem. Służbę pożegnał w stopniu pułkownika. Tak jest. Były numery. Chłopcy fiksowali. Nie wiedzieli, co z nudów robić. Raz szef kompanii grał z kumplem w karty, znużył się i dla relaksu sięgnął po swój kbks. Zmierzył się do tego kumpla i kolejno wodząc po nim lufą zastanawiał się:

- Gdybym ci, Stasiu, strzelił w głowę, byłbyś trup na miejscu, w serce też bym cię zabił, w brzuch, cholera, również niedobrze, bardzo byś się męczył, bracie, podobnie jak w jaja, ale tu mogę

- i trach: strzelił mu w łydkę. Kula przeszła przez mięsień. Oczywiście sprawę załatwiono po koleżeńsku, wypadek z bronią, kulka mała, bo to kbks, kość nieruszona, szybko się zagoiło. Chłop kulał przez parę dni i po wsiem. Ale pomysł szef miał, co?

Jak Janek Kamuda w Czortkowie, pomyślałem. Tylko pan porucznik w sanacyjnej armii strzelał w obronie oficerskiego honoru, a obywatel szef w ludowej - z nudów. Ale pomysłowość jedna. Wojsko to wojsko. Rządzi się swymi prawami. I nie da rady inaczej. Stary wiarus Jarek ma rację. Spojrzałem na niego, jak siedzi teraz w swym torontońskim domu, w szarym golfie, potrząsając bujną czupryną. Wciąż zadziwiająco młody jak na tyle lat służby w LWP i tak odległe czasy, które pamiętam. Próbuję go sobie wyobrazić na tej strażnicy w Świnoujściu jako „element graniczny”...

- Potem jak służyłem w Krośnie - ciągnął Major dalej - to często jeździłem z zastępcą dowódcy batalionu do spraw politycznych Kubera na kontrolę służby granicznej. Byliśmy dokładnie poinformowani, gdzie o danej godzinie w nocy znajduje się element służby granicznej. W ciemno podjeżdżaliśmy wozem jak najbliżej, a potem już na piechotę podkradaliśmy się do niego. Jak prawidłowo zatrzymywał nas, krzycząc: - Stój! Służba graniczna! - odkrzykiwaliśmy mu przepisowo i wszystko było okay. Ale raz zastaliśmy budkę pustą, a strażnika w lesie nakrytego pałatką przed komarami. Spał tak mocno, że wyjąłem mu karabin i nic nie poczuł. Poszedł oczywiście „pod prokuratora”. Jednego znów w ogóle nie mogłem znaleźć, tak się zaszył. Łaziłem po lesie, świeciłem latarką, nigdzie go nie było. Dopiero po chrapaniu go odkryłem. Piłował strasznie i to go zdradziło - zaśmiał się.

- Leszek opowiadał mi, że tam właśnie, w Świnoujściu, doszło do głośnego na całą Polskę wypadku...

- E, tam, głośnego. Brat jak zwykle przesadza...

- To co to było?

- Pełniłem akurat służbę wartowniczą, to było popołudnie, niedziela. Stałem sobie z karabinem w lesie w pobliżu ruin byłego hotelu. Ten hotel musiał być elegancki, bo duży taras, który ocalał, był niezwykle solidnie zbudowany. Pod płytkami glazury znajdowała się jeszcze gruba warstwa papy i aluminiowej blachy. Tę aluminiową blachę wydlubywałem sobie bagnetem, ciąłem i robiłem z niej stateczki, które puszczałem potem, będąc na plaży nad morzem. Tego dnia chodziłem sobie wzdłuż swego stanowiska z karabinem przewieszonym przez ramię i nagle z lasu wyszło na mnie dwóch młodych ludzi. Krzyknąłem więc:

- Stój! Służba graniczna!

Oni, zdziwieni, spojrzeli na mnie, zatrzymali się i na mój krzyk podnieśli ręce do góry. Szybko zorientowałem się, że nic nie rozumieją po polsku. To byli Niemcy. Najwyraźniej zbłądzili i nie zauważyli w lesie naszej granicy. W zimie ten zabronowany pas śnieg przysypał i nie było go widać. Czort wie zresztą, jak to zrobili, ale przeszli do nas. Musiałem więc działać zgodnie z instrukcją. Połączyłem się zaraz z oficerem dyżurnym i zameldowałem o zatrzymaniu obcego elementu na granicy. Szybko przyszedli po nich. Niemcy nie stawiali żadnego oporu i przerażeni

grzecznie pomaszrowali przed nami na strażnicę. Potem nasi odstawili ich do NRD. Dawno zapomniałem o tym incydencie, gdy nagle dziewczyna, z którą wtedy chodziłem, napisała mi w liście, że nie myślała, iż ze mnie taki bohater, że aż gazety o mnie piszą. Na dowód prawdy dołączyła artykuł z „Żołnierza Wolności”, w którym stało jak byk, że młody podchorąży Jarosław Wawrów z pierwszego roku szkoły oficerskiej w Kętrzynie, na praktyce w Świnoujściu, podczas pełnienia służby wartowniczej po krótkiej walce unieszkodliwił dwóch groźnych dywersantów, usiłujących nielegalnie wtargnąć na nasze terytorium. Przetarłem oczy, boja nawet karabinu z ramienia nie zdjąłem, ale skoro pisali, że walczyłem - to walczyłem. Nie będę się kłócił. Warszawa wie lepiej, nie?! - zaśmiał się. - Widać naczalstwu bardzo potrzebny był bohater pierwszego rocznika i na mnie wypadło. Otrzymałem w nagrodę premię rzeczową w postaci radzieckiego aparatu zorka. Dziewczynie oczywiście odpisałem, że dziękuję za miłą wiadomość...

- Znaczący prasa kłamała, a piosenka nie.

- Czemu?

- Bo „...w (...) strażnicy na granicy żołnierz pisał list. (...) Gdzieś daleko za mgłą jest rodzinny mój dom” - przypomniałem mu pieśń naszej młodości...

- No, tak - westchnął. - Tylko ja, tak szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, gdzie ten mój rodzinny dom jest. Za którą granicą? Za Bugiem w Hadyńkowcach raczej nie. Zbyt duża mgła. To dom moich rodziców. Oni do niego tęsknili i tęsknią. Prudnik? Może Prudnik, dawniej Neustadt. Why not? Teraz rozmawiamy znów w Toronto. Po prostu za dużo granic. Za dużo granic było w moim życiu, kurczę. Stąd kłopot. I kim właściwie człowiek jest? - wzruszył ramionami, patrząc na mnie dłużej.

- Obcym elementem granicznym, obywatelu Majorze - odparłem zgodnie z instrukcją WOP-u.

- Dziękuję, pane. Teraz już wiem - rozchmurzył się, wracając do swego zwykłego pogodnego tonu, do którego od dawna przywykłem.

CIEŁĘ NA BIURKU

- Po skończeniu studiów we Wrocławiu - mówił na drugim naszym spotkaniu w Brampton doktor Jan Dobrucki - zgodnie z nakazem pracy mianowano mnie rejonowym lekarzem weterynarii w Potęgowie.

- Już sama nazwa jak dzwon. Kiedy się pan tam znalazł?

- W 1952 roku, proszę pana... - W szczycie stalinowskim... - A jakże!

- Gdzie to Potęgowe było?

- Na Pomorzu Zachodnim, między Słupskiem a Lęborkiem, proszę pana...

- Nieźle kadry panem rzuciły. Z gór nad morze. Bo ostatnio oprowadzał mnie pan po Nysie i Sudetach.

- A teraz będę po Potęgowie. To była mała miejscina, proszę pana, z gminną gospodą przy Państwowym Gospodarstwie Rolnym, rzeźnią, stacją kolej ową, pocztą i oczywiście gminnym komitetem partii oraz Komendą Milicji Obywatelskiej. Bez tego ani rusz. Na szczęście dyrektorem PGR-u był przedwojenny rządcą dużych majątków, fachowiec Czesław Krysiak, tęgie chłopisko o tubalnym głosie, rasowy rządcą hreczkosiej. Jak huknął, to szyby w oknach drżały. Niestety nie on miał decydujący głos w tym okresie...

- Sam drżał przed personalnym...

- Tak jest. Podobnie jak drugi stary fachowiec, kierownik rzeźni, przedwojenny mistrz masarski Stanisław Nowicki. Właściciel dużej jatki, którą mu zabrano...

- Też kiepska opinia w kadrach...

- U mnie świetna. Z obydwoma wspianiale współpracowałem. Gorzej szło z głównymi „świecznikami”. Z awansu, na bazie i po linii - z fachem raczej byli na bakier. „Idejowcy”, jak jeden z nich mawiał. Pewnego dnia dzwoni do mnie dyrektor Krysiak i grzmi w słuchawkę:

- Słuchajcie, panie kolego. Mam u siebie buhaja, ale on jakiś marny. Traci na wadze, nic nie je, schnie w oczach, boję się, że mi padnie. A szkoda takiej tuszy w naszym kartkowo-oszczędnościowym kraju, nie?! „Wiadomo akcja”! - zaśmiał się, podśpiewując znaną piosenkę...

- „Małe mieszkanko na Mariensztacie” moich starszych kolegów Gozdawy i Stępnia - dopowiedziałem, podrywając się jak stary kawaleryjski koń.

- A jakże! Pan fachman od piosenek, widzę...

- Głównie radzieckich i masowych, panie Janie - przyznałem szczerze.

- Świetnie! -1 chcę go skierować na ubój. - Buhaja, znaczy, nie pana, broń Boże, panie

Jarosławie. -1 byłbym mocno zobowiązany - grzmiał dalej Krysiak w słuchawkę - gdyby kochany pan doktor dobrodziej zechciał go przebadać. Wtedy byłbym spokojny...

- Z przyjemnością, dyrektorze - zgodziłem się z chęcią.

- W takim razie dziękuję i kieruję go do rzeźni. Ze Związkiem Radzieckim na czele. - Krysiak lubił podśmiewać się z władzy, jak wiedział, że jesteśmy sami.

- Nie drżał przed podsłuchem?

- W telefonie na korbkę nie było to groźne.

- Technika przodującego kraju postępu i pokoju mu to gwarantowała?!

- Żelazną kurtyną. A jakże! Idę więc do rzeźni, oglądam tego byka, widzę wybroczyny na błonach śluzowych, na jelitach, do tego Krysiak mówił, że byk tracił na wadze - typowe objawy paratyfusu. Szkolny przypadek. Pokazuję Nowickiemu, on też się ze mną zgadza, że byk jest niepewny. Wieszam więc na nim czerwoną kartkę, przybijam pieczętkę, a część mięsa przesyłam do laboratoryjnego przebadania w Państwowym Zakładzie Higieny i Weterynarii w Gdańsku. W Słupsku jeszcze takiego laboratorium nie było. Jednocześnie mówię Nowickiemu:

- Panie Stanisławie, mięso mocno podejrzané, pan się wstrzyma z nim do czasu otrzymania wyników.

- Jasne, panie doktorze - odparł. - Nie spiesz mi się, mam inną robotę. Świetnie rozumiał groźbę. Wiele mięsa w życiu przerobił i ten byk jemu też się nie podobał. Przyrzekł mi solennie, że go nie ruszy. Ale przyszedł do niego komendant milicji starszy sierżant Roch Majak, obejrzał tego byka na haku i pyta:

- Co to za czerwona kartka na nim wisi, kierowniku?

- Lekarza. Nasz weterynarz opieczętował. - Po diabła?!

- Bo uznał, że ten buhaj był chory...

- On chyba jest chory. Ten nasz weterynarz. Nie słuchaj go pan.

- Podejrzewa paratyfus!

- Jaki paratyfus?! Z tego byka spadł! Buhaj zdrow jak rydz, patrz pan, jaki ma zad mięsny, nabity. Wykrójcie mi z niego kawał polędwicy, tak na pięć milicyjnych befsztyków - chcemy na komendzie z towarzyszami uczcić Święto Odrodzenia dwudziestego drugiego lipca!

- Nie mogę, komendancie. On mi surowo zabronił.

- Co zabronił?! Gównu się zna i sra. Dno się od dupy oderwało i podskakuje! Krójcie od zadu te najlepsze na befsztyki, kierowniku, a gówniarzem się nie przejmujcie. W razie czego go usadzę...

- Kiedy ja mu służbowo podlegam, sierżancie - bronił się Nowicki.

- Mnie podlegacie! A ja wam mówię: króćcie byka w tym miejscu - wskazał gdzie.

- Może być zarażony bakteriami...

- To weteryniarz jest zarażony miazmatami Zachodu. Jako stary partyjniak, nie dam się zwieść. Jak on tak czuwa nad zdrowiem naszego społeczeństwa, to dlaczego, powiedzcie mi, opieczętował wam mięso akurat dziś?! W przeddzień święta lipcowego? Co?! No, powiedzcie mi?! Nie pomyśleliście o tym? Widzicie. A ja pomyślałem, jako świadomy idejowiec. Bo bojkotuje nasz system. Ot co! Ja znam taktykę wroga. Po to mnie nasza partia na tym posterunku postawiła! Wróg czyha i jest perfidny! Ma wiele twarzy, kierowniku. Nie bójcie się! Aleja czuвам. I - na mój gust - on jest nie całkiem nasz. Ten nowy weteryniarz. Śmierdzi mi czarną reakcją. I ja bym go też na wszelki wypadek opieczętował. Ale na razie obserwuję i przyglądam się. Tak że niech on tak nie podskakuje i nie stempluje. Króćcie śmiało, szefie, od zady dla naszej komendy. Chłopcy się ucieszą...

Władza każe, rzeźnik kroi. Nazajutrz przychodzę do rzeźni i pytam Nowickiego:

- Dlaczego pan ruszył to mięso?! - Majakmi kazał...

- Przecież panu zabroniłem. Pan świetnie wie, czym to grozi!

- Wiem, panie doktorze, ale on groził mi bardziej. - I powtórzył mi rozmowę. - Przykro mi, panie doktorze, ale gdybym mu nie dał, to sam pan wie. Oskarżyłby mnie zaraz o sabotaż gospodarczy. A ze mną, jako była inicjatywą prywatną, rozprawić się łatwo. Więc wykroiłem mu te befsztyki. Niech się udławi.

Nie miałem do Nowickiego pretensji, bo za Stalina walka z Majakiem nie była lekka. On był panem i władcą. Po trzech-czterech dniach, panie Jarosławie, łomot do drzwi. Otwieram - stoi w nich Smyczek, najmłodszy z milicjantów. Miły chłopak, najbardziej jeszcze z nich dał się lubić.

- Co za gwałt, Smyczek? Po nocy - pytam go.

- Straszne rzeczy, panie doktorze!

- Zamordowany ktoś!

- Gorzej. My się mordujemy. Krew się leje, rzygamy, sramy, wojna przy kiblu, nawet pies chory...

- A co się stało? - udaję Greka.

- Komendant usmażył nam befsztyki z tego byka, zjedliśmy, no i tragedia.

- To trzeba do szpitala do Słupska...

- Mamy srała, doktorze. Jak się wyda, że mięso z nielegalnego uboju, to wszyscy pójdziemy do pierdła. Pan doktor nas ratuje, bo cała komenda wykituje. Ja jeszcze najlepszy, trzymam się jakoś, ale reszta towarzyszy zdycha. O retyle! - przerwał. - Znów muszę biec do kibla, bo puszcę - i zgięty wpół wypadł, po drodze spuszczaając spodnie. Po chwili wrócił błady i dokończył:

- Komendant wysłał mnie i błaga, żeby pan mu coś przepisał. Jakiś lek...

- Kiedy ja mam tylko dla cielaków...

- On też cielak, to mu pomoże. Tak nas urządził, platfus - znów skręcił się z bólu. Nie było rady, panie Jarosławie, zesrała się bida i płacze. Trzeba ją ratować. Platfus platfusem, a z paratyfusem nie żarty. Wymaga szpitalnej terapii. Inaczej doprowadzi do zgonu. Z biegunki i wykrwawienia. Ale oni się boją, to co zrobić? Na szczęście miałem sporo węgla drzewnego i sulfaguanidynę. Silny środek bakteriobójczy. Dałem Smyczkowi całą torbę. Złapał ją jak największy skarb i pyta:

- Ile mamy tego brać?

- Pchać do gęby tyle, ile się da! Może pomoże... Stuknął w obcasy i wciąż zgięty wpół wybiegł na komendę. -1 jak się to skończyło?

- Szczęśliwie. Jakoś wyzdrowieli. - Nawet pies?!

- Pies najszybciej! Jaki byłby ze mnie weterynarz, gdybym ja psa nie wyleczył?! Punkt honoru. Od razu miałbym opinię pod zdechłym Azorkiem. Raczej Titem. Bo Tito ten milicyjny wilk się nazywał.

- Na cześć wodza Jugosławii marszałka Broz-Tito?! Łańcuchowego psa imperializmu?!

- Rozumi się..

- To powinni się cieszyć, jakby Tito zdechł. Marzenie Stalina...

- Oni woleli go szkolić. Jak „idejowiec” Majak wołał: - Tito do nogi! Łapę! Służyć! - to zaraz czuł się bardziej na linii...

- Zwalczał odchylenie i przywoływał Titę do porządku...

- A jakże! Aleja Majaka też doprowadziłem do porządku. Kiedy potem mnie widział, już z daleka salutował grzecznie.

- Dzień dobry, panie doktorze - wołał usłużnie.

- No i co, sierżancie? Dno od dupy się oderwało?

- Oj, Boże, panie doktorze, co to była za męka! Wrogowi nie życzę...

- Nawet klasowemu?!

- Nawet. Bez pańskiej torby byśmy wszyscy wyginęli. Jak za Niemca...

- Widzicie. To jednak ten zasraniec „weteryniarz”, coś wie. Jak stempluje byka.

- Jasne.

- Po to mnie sześć lat szkolili, żebym umiał odróżnić zdrowego od chorego byka. Was w MO też szkolą, prawda? Wiedziałem, co robię...

- Tak jest, panie doktorze, to był błąd - przyznał z pokorą.

I odtąd miałem spokój. Jak chłopci przybiegali do niego, że czepiam się ich krowy, mówiąc, że ma gruźlicę, jak ona zdrowa jak rydz, odpowiadał: - Każdy swoje. Doktor wie swoje, my swoje. Jako władza nic do niego nie mamy. Nie mieszamy się... - Tak że jeden „świecznik” był z głowy...

- Pozostał drugi?

- A jakże! I Sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Potęgowie. Towarzysz Wirgiliusz Gwóźdź. Tak pięknie się nazywał...

- Też z awansu?

- Rozumi się. Z chłopca król. Miał swoje małe, biedniackie gospodarstwo. Raz przyszedł do mnie do ośrodka i mówi, żeby mu krowę wybrakować. Zezwolić na ubój. A ja miałem przepis, że krowy poniżej szesnastu lat nie można wybrakować bez sprawdzenia, czy nie jest cielna. A to była młoda krowa. Więc mówię mu, że chętnie dam zgodę, ale przedtem muszę zwierzę zbadać. I że jak mu trudno z tą krową przyjść, to obejrzą ją w oborze.

- Na co do obory leźć, kiej ona cielna nie jest, nie bawcie się w papierki i biurokrację...

- To nie biurokracja, a przepis. I ja go łamać nie mogę. Bez zbadania waszej krowy nie mogę dać zgody. Muszę skontrolować...

- Nawet mnie?

- Nawet.

- Kiej ja wam słowem I Sekretarza Komitetu Gminnego PZPR ręczę, że ona niecielna! I można ją śmiało wybrakować!

- Ja nie wypuszczę braku. Znacie to hasło?! No. To ja wobec waszej krowy też muszę być taki i nie wypuścić braku. Nie mogę być lekarzem bumelantem - rzekłem w jego języku.

- Rozumie - zgubił ostatnią głoskę, co często zauważałem u działaczy. - Znaczy nie macie zaufania do naszej partii...

- Do partii mam, a do krowy nie. Muszę ją zbadać. Od tego tu jestem.

- Dajcie mi zgodę, doktorze, i kwita. Nie traćmy czasu po próżnicy...

- Niby dlaczego?

- Bo w moim wypadku to zbędne.

- W waszym tak, ale krowy nie - powtórzyłem. - Wasza krowa nie jest partyjna, tylko wy. Nie mylcie dwóch spraw!

-Bo co?!

- Bo przychodzicie tu jako gospodarz, nie sekretarz. Z krową. Nie deklaracją ideową. A wszystkie krowy w kraju podlegają tym samym przepisom, których ja muszę się trzymać. Wyraźnie w nich stoi, że przed wybrakowaniem obowiązkowo trzeba je zbadać...

- Znaczy po prostu bruździecie nam. I utrudniacie...

- Nie „nam” tylko „wam”. Tobie, chłopie, coś przyszedł z krową. A ściślej bez krowy. Po co zaraz uogólniać...

- Na jedno wychodzi.

- Dla mnie nie.

- I co wy się tak upieracie przy tej kontroli? No, dobra. Jak mówicie: nie uogólniać, to nie uogólniać. Uterenowimy sprawę. I ujmijmy ją w konkretnym, ludzkim aspekcie. Twarzą do człowieka. Zgodnie z hasłem dnia. Myślę, że rzeczywiście nasza rozmowa jest jałowa, jak moja krowa, doktor masz rację, nie badajmy jej więc, i cześć pracy. Zamykam dyskusję. Jesteście młody lekarz, na dorobku, macie swoje potrzeby, ja to rozumiem i idę wam naprzeciw. Dla rozruchu macie tu, na pewno wam się przyda na przednówku - i pcha mi kopertę do rąk...

- Schowajcie tę kopertę, sekretarzu, i idźcie po krowę! Bez zbadania nie wybrakuję jej...

-Nie? - Nie.

- To ja was wybrakuję. A wtedy będzie gorzej. Uprzedzam.

- Nie straszcie mnie.

- Lepiej zaufajcie mojej krowie i dajcie mi kwit do rzeźni. Na moją odpowiedzialność. Dobrze wam radzę. Jako I Sekretarz KG...

- Sami jesteście kage! Wynoście się stąd!

- Co?! - zdziwił się.

- I nie zgłaszajcie się bez krowy! - wskazałem mu drzwi.

- Ty śmiesz mnie wyrzucać?! Ty?! - zaczął mi pięścią wygrażać przed nosem. - To ja ci pokażę, reakcjonisto! Jak my cię zbadamy i przepuścimy przez nasze organa, to się ocielisz, gówniarzu! W zębach mi swą zgodę przyniesiesz! I w dupę będziesz lizać moją krowę!

Tego było dość.

- Won, chamie! - krzyknąłem. Dałem mu po mordzie. Schwyciłem za kark i kopniakiem wypchnąłem go na dwór. Byłem młody i krewki, wyszedłem z siebie, jak to się mówi...

Nazajutrz dwie czarne skody zajechały pod mój ośrodek. Jak skody to UB. Tylko „organa” ze Słupska takimi jeździły...

- U nas francuskimi citroenami BL 11 i BL 15, panie Janie...

- W terenie takich wozów nie było. Wsiadło z nich kilku smutnych panów w czarnych skórzanych płaszczach i weszło do mego gabinetu.

- To wy jesteście doktor Dobrucki? - Tak.

- Obraziliście naszą partię...

- Nic o tym nie wiem...

- Stawiają wam zarzut sabotażu gospodarczego... - Kto?

- Towarzysz Gwóźdź. Był tu wczoraj u was...

- Był. I nawet po mordzie dostał. W kwestii formalnej. Wykopałem go za drzwi...

- No, właśnie. Wykopaliście członka naszych kadr, I Sekretarza KG...

- Wykopałem gospodarza, który próbował wymusić na mnie nielegalny ubój krowy groźbą i przekupstwem! Gwóźdź był u mnie prywatnie. Jako właściciel krowy, nie działacz kadrowy. I niech on nie gada o sabotażu, bo on jest największym sabotażystą i łapówkarzem! I za to dostał po mordzie. Boja nie mam zamiaru tego tolerować i łamać przepisów góry. Na odprawie w Warszawie otrzymałem wyraźne dyrektywy. W terenie ja i tylko ja, jako lekarz rejonowy, odpowiadam za stan bydła i prawidłową jego klasę! Więc niech on mi klasą robotniczą nie grozi, boja z tej jego krowy zrobię użytek! Nie będzie mi zawałał planu i sabotował państwowych ustaw dlatego, że on w gminie wierchuszka! Wielikijpierwyj siekrietar', a w aferę mięsną mnie pcha! To ladno tak, aa? - a miałem zwyczaj w takich wypadkach, panie Jarosławie, wtrącać rosyjskie słówka i przeciągać bardziej. To zawsze skutkowało. A jakże! Nie byli pewni, kto zacz? A nuż mam wysoką protekcję u naszych towarzyszy z za Buga?! Woleli nie ryzykować. Teraz też się speszyli, pokiwali smutno głowami, zapięli skórzane płaszcze.

- To my to jeszcze u siebie sprawdzimy, doktorze - mruknęli, po czym odjechali do Słupska.

Nie koniec tej afery mięsnej. Nazajutrz idę do rzeźni i widzę: piękna krowa wisi na haku. Już rozebrana i przerobiona. Pytam Nowickiego:

- Czyja to krowa, panie Stanisławie?

- Sekretarza Gwoźdźcia.

- A zgodę na ubój dał?

- Nie. Mówił, że ustnie z panem doktorem ustalili. I pan się zgodził...

- Bzdura! Nie zgodziłem się. No, dobrze. Proszę mi pokazać jej wnętrzności, panie Nowicki.

- A, tu gdzieś odłożyłem. Nie bardzo wiem gdzie..

- Pan łaskawie poszuka.

Odszedł i za chwilę przynosi mi je i rozkłada na stole. Oglądam i widzę: żołądek jest, wątroba jest, jelita są, serce jest. Pytam:

- To wszystko?

- Wszystko.

- Czegoś mi w tych wnętrznościach brakuje, panie Stanisławie...

- Nie powinno nic brakować, panie doktorze - zapewnia.

- Ejże, panie Stanisławie?! Pan, stary wróbel, mi to mówi?

- Naprawdę - przysięga.

- A to byk, czy krowa?

- No, krowa - mruczy niepewnie.

- No więc krowa ma jeszcze macicę, prawda? Jako stary rzeźnik, świetnie pan o tym wie. Proszę mi ją pokazać...

- O, Boże, panie doktorze, gdzieś mi się zapodziała - wykręca się znowu.

- Panie Stanisławie. Niech pan ze mną nie gra w ciuciubabkę, krowa została wybrakowana i ja muszę widzieć jej macicę...

- Ale to krowa wie pan czyja...

- Wiem.

- No, więc - bezradnie rozłożył ręce i wytarł o fartuch. - Lepiej się jej nie czepiać. Nie jest ona zwyczajna...

- Myśli pan, że urodziła się bez macicy?! Na cześć naszego I Sekretarza... - No, nie...

- To niech mi pan jałaskawie da. Bardzo proszą - powiedziałem z naciskiem.

- Może jednak nie, panie doktorze? Na co nam ta wojna z sekretarzem? Pan jest tylko lekarzem. Lepiej dać spokój. W dzisiejszych czasach...

- Pan się nie boi. Powie pan, że ja panu kazałem i musiał pan to wykonać.

- No dobrze. Spróbuję - westchnął i po chwili przyniósł spory pakunek. Rozwijam go, a tam panie Jarosławie, piękne czteromiesięczne cielę. W tej macicy było. Krowa była cielna. Zobaczyłem to i zatarłem ręce:

- Dobra nasza, panie Nowłcki. O to mi szło. Teraz mam go w garści! Chwyciłem to cielę, zapakowałem i walę do komitetu partii. Wchodzę do

sekretariatu i pytam: - Sekretarz jest?

- Jest. Ale rozmawia ze Słupskiem, a potem wyjeżdża w teren. Zastępuje go sekretarz propagandy Sikora. A sekretarz Gwóźdź na razie nie przyjmuje. Prosił nikogo do siebie nie wpuszczać...

- Mnie wpuści! - otwieram drzwi i wchodzę do jego gabinetu. Spojrzał na mnie po pańsku i, odsuwając słuchawkę od ucha, krzyknął:

- Co tu za granda odchodzi?! Kto was tu wpuścił?! Mam bojowe zadanie! Marsz mi stąd! Już wyjść! I nie przerywać mi! Rozmawiam ze Słupskiem.

- To świetnie. Dajcie słuchawkę. Ja z nim też porozmawiam.

- Niby o czym?

- O tym - i położyłem mu cielę na biurko.

Zbaraniał. Szybko skończył rozmowę i położył słuchawkę.

- Co to? Skąd to macie?!

- Z waszej jałowej krowy, sekretarzu. Ty wiesz, serdeńko, czym to grozi?! Jak ja to zgłoszę do Słupska, to z twego dupska za tym biurkiem mało co zostanie. Wysadzą cię z tego stołka i wsadzą. Za taką aferę mięsną - kryminał, kochasiu! Staniesz przed Komisją do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym w Słupsku. Właśnie tam jadę...

-Nie jedźcie...

- Jadę! Tyś zgłosił na mnie na UB, doniosłeś o wrogim elemencie, to ja cię załatwię tym cielęciami. I będziemy kwita. Nie mogłeś mi dostarczyć lepszej bomby pod swój tyłek - potrząsnąłem mu cielęciami nad biurkiem, tak jak on mi wygrażał pięścią pod nosem.

-Nie rób mi pan tego, doktorze! Ja mam rodzinę, dzieci - zaczął skomleć i błagać o litość...

- Dobrze. Nie zrobię - odparłem. - Ale umowa. Ja cielę wkładam do słoja i konserwuję. Nigdzie go nie zgłaszam. Pod warunkiem, że ty raz na zawsze odpieprzysz się ode mnie. I przestaniesz mi zatruwać życie. Nie istniejemy dla siebie. Rozumiesz? Ty dla mnie, ja dla ciebie. Działamy obok. Jak zobaczę, że próbujesz judzić i szczuć, nie ma spokoju! Cielę czeka w słoju. Rozumiesz?!

- Rozumie.

- Umowa stoi?

- Stoi.

- To cześć pracy i ku chwale ojczyzny! - zgarnąłem ciele, z biurka i wyszedłem z gabinetu. Odtąd miałem święty spokój i bycze życie. Drugi „świecznik” zgasł...

- Mógł coś robić, by zniszczyć dowód rzeczowy...

- E, nie. To był prosty chłopak. Bał się. Tak że nudno w Potęgowie nie było. O, nie. I sporo radości. Przy ogólnym braku wszystkiego każda rzecz cieszyła. Raz odwiedził mnie inżynier Henryk Gauze...

- Ten, co odwoził odnaleziony pomnik Chrystusa Króla do Warszawy? I tak lubił pański bałak?!

- Ten sam. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo i często odwiedzaliśmy się wzajemnie. On mieszkał w Bytomiu. Nawet pamiętam jego adres: ulica Wieczorka 40, a jakże! Zaprowadziłem go zaraz na obiad do naszej gospody. To był czas dni bezmięsnych i kartek, ale w naszej stołówce przyzakładowej mięsa nie brakowało...

- Wybrakował je towarzysz Gwóźdz...

- Tak jest. Gauze był zachwycony i, jedząc ze smakiem befsztyk, zauważył, że u nas w bufecie jest czekolada. Nie bardzo wierząc oczom, zapytał:

- To atrapa, czy prawdziwa?!

- Prawdziwa.

- Znaczący pracownikom na legitymację wydają. Po jednej tabliczce na głowę. Bo nigdzie nie ma w wolnej sprzedaży - westchnął smętnie. - Gdybyś mi mógł choć jedną skombinować i wziąć na siebie, byłbym ci wdzięczny. Może ci się uda.

- Spróbuję - odparłem.

Znałem bufetowego. Podszedłem do niego i mówię:

- Panie szefie. Mój przyjaciel z Bytomia zobaczył u pana czekoladę za szkłem. I marzy, bym mu jedną tabliczkę wziął. Zgodzi się pan?!

- A bierz pan nawet wszystkie. Mam na składzie. Właśnie świeżo zapotrzebowałem.

Kiedy powiedziałem to Gauzemu, złapał się za głowę:

- Rany Boskie, Janek! Czy ty wiesz, co to będzie za radość w domu?! Jak ja im do Bytomia przywiozę dwadzieścia tabliczek czekolady?! Taki skarb! Od roku nie widzieli.

Taka to była dystrybucja. W Zakopanem było pełno ryb, ale oszczypków na lekarstwo, a w Słupsku - w bród. Latarki i baterie były w Słupsku, ale bez lampek. W Potęgowie nie było latarek, ale za to były lampki, więc wreszcie zdobyłem komplet. Dorobiłem się dwóch latarek. Szczęście nie miało granic. Świeciłem nimi koniofn pod ogon w całym Potęgowie i okolicach. A jakże!

- Długo tam pan był?

- Trzy lata. Potem w drodze awansu przeniesiono mnie do Słupska na kierownika ośrodka weterynaryjnego. Był całkowicie zdewastowany przez poprzednika, wysokiego partyjniaka, ale pijaka, który wszystko rozkradł i wyniósł na wódkę.. Udało mi się ten ośrodek odbudować i postawić na takim poziomie, że wysokie czynniki z Warszawy mnie zauważyły. I pewnego dnia dwa „świeczniki” z Najwyższej Izby Kontroli złożyły mi wizytę. W nagrodę zaprosili mnie do najdroższego lokalu na suto zakrapianą kolację.

- Z befsztykiem? I koniakiem?

- A jakże! Jarzębiakiem. Wtedy nasz jarzębiak tego się piło. Po paru kieliszkach oświadczyli, że chcieliby ze mną porozmawiać służbowo w ściśle poufnej sprawie i proszą, bym wszystko, co usłyszę, zachował do swojej wiadomości. Kiedy im przyrzekłem, przystąpili do rzeczy:

- Widzimy pańskie piękne osiągnięcia zawodowe, doktorze, przede wszystkim zaś cenimy waszą uczciwość i walory osobiste. Zdołaliście sobie wyrobić markę i zaskarbić szacunek środowiska. To bardzo cenne. W związku z tym chcieliśmy wam zaoferować wysoki awans i przeniesienie do Warszawy w charakterze głównego inspektora nadzwyczajnej komisji NIK do zadań specjalnych...

- Na czym by te zadania specjalne miały polegać?

- Na kontroli i inspekcji ośrodków weterynarii w całym kraju i składaniu nam informacji o wszelkich nieprawidłowościach i nadużyciach popełnianych przez pracowników. Praca więc najwyższej wagi państwowej.

- To bardziej nadawałby się do niej wypróbowany członek partii. Ja nim nie jestem, niestety.

-Nie szkodzi. Tym lepiej. Mamy do was zaufanie. Co ważniejsze - ludzie je mają. A to niezbędne w tego rodzaju pracy. Chodzi przecież o to, by przez kontakty osobiste dotrzeć do źródeł korupcji. I wydobyć na światło dzienne wszelkie ciemne sprawy, siuchy i układy. Wiadomo, że drogą oficjalną się tego nie da. I właśnie taki ktoś jak pan znakomicie się do tego nadaje. Pański sposób bycia szalenie nam odpowiada. Po prostu jest pan równy gość, doktorze, wesoły chłopak ze Lwowa...

- Z Czortkowa, panowie - sprostowałem.

- Znaczy jeszcze weselszy czort! Skoro nawet my w Warszawie o panu usłyszeliśmy - zaśmiał się jeden z nich. - Właśnie pan sprawdzi się znakomicie! Jestem pewien. „Ta joj ta jojku, a dawaj pyska, skąd się tu wzięłeś, zaraz mów!” Zna pan tę piosenkę?

- Jasne.

- No, więc. Z piosenką weselej...

-Nie myślałem, że tak głośno śpiewam...

- No, widzi pan. Wierzmy, że na tym stanowisku pójdzie panu śpiewająco. Z wielkim pożytkiem dla kraju. Otrzyma pan oczywiście specjalny fundusz reprezentacyjny, darmowy przejazd, w ramach delegacji osobne diety z dodatkiem funkcyjnym. Praca wymaga wielu spotkań towarzyskich. W lokalu, jak my teraz. Wiadomo. Rozliczać się pan będzie w specjalnym referacie, nie w kasie pracowniczej, z wiadomych względów. Przydzielimy panu duże służbowe mieszkanie w Warszawie, odpowiednie do funkcji, i wysoką gażę z premią uznaniową. Zwiększaną w miarę wyników. A będą na pewno, znając pańską energię i operatywność, doktorze...

Nieźle, Jasiu, pomyślałem. Z doktora awansowałeś na informatora. Prawość została nagrodzona...

- Oczywiście nasza rozmowa jest ściśle tajna - zastrzegli znowu. - Nawet z małżonką proszę o tym nie mówić. Im mniej osób wie, tym lepiej. Gdyby konieczność tego wymagała, możemy panu zmienić personalia. I będzie pan występował pod innym nazwiskiem. To nie problem. Słowem - stawiamy do pańskiej dyspozycji wszystko. Reszta zależy od pana. Od pańskiej inicjatywy i przebiegłości. Dajemy panu w tym względzie pełną swobodę ruchów i duże pole do popisu, doktorze. Oczekujemy tylko wyników.

Donosów. Nieźle trafiliście, panowie, pomyślałem. Wiedziałem, że teraz nie mogę im odmówić, zbyt się odsłonili, odparłem więc, że wstępnie się zgadzam, tylko właśnie wyjeżdżam na wakacje...

- Nie szkodzi. Po wakacjach się do nas zgłosicie i dopniemy resztę - zapłacili kelnerowi słony rachunek i wręczyli mi swoje wizytówki.

- Bardzo chętnie - schowałem je do portfela i wylewnie, po czortkowsku, podziękowałem za zaufanie, awans i kolację.

- Oczywiście, jak się pan domyśla, panie Jarosławie, do drugiej rozmowy nigdy nie doszło. Mieliśmy z żoną w kieszeni paszporty na wycieczkę do Austrii. Ta wizyta przypieczętowała moją decyzję ucieczki z PRL-u. I z tej wycieczki już nie wróciliśmy. Wybierając tak zwaną wolność. Taak - zamyślił się chwilę. - Kupę lat. Czas leci...

- W którym to roku było?

- W 1957, proszę pana.

- Tuż po Październiku. W okresie największej odnowy i demokratyzacji...

- Dlatego dostaliśmy z żoną paszporty na Zachód. -1 już szukali tajnych współpracowników?!

-Ażakże! Rozumi się.

- To dobrze, że się pan nie zgodził. Choć z drugiej strony szkoda. Śpiewająco by pan wypadł. Mieli rację. Wiedzieli, kogo wybrać. Widać, że wysokiej klasy specjaliści.

- Co też pan mówi?! Ojciec by mnie zza grobu przeklął. Syn gospodarza „Sokoła” tajnym współpracownikiem?! Daj pan spokój!

- Właśnie tak. Przylepny, z czortkowskim, jak pan mówi, życiorysem. Przypomniałem sobie kierowcę Wąsie, co tak pięknie śpiewał „Bradiagę”

baronowi von Ungern Stenbergowi i „Dumkę o sokole” Janowi Korsakowi. Zasada czystych głosów trwała. Miły i przylepny pan Jan, ze swym lwowskim bałakiem był ideałem dla naszych służb.

- Powiedziałem to w tym sensie, panie Janie - dodałem wyjaśniająco - że jako mój informator sprawdził się pan świetnie. Pamięta pan wszystko, nawet numery ulic, a jednocześnie wybiera pan tylko to, co jest cenne i ciekawe. Kiedy opisywał pan Czortków, Nysą czy Potęgowe, to wszystko widziałem jak na dłoni. Dar narracji ma pan boski...

- Dziękuj, cafe rączki, jak mawiał radca Strońc. Zawsze twierdził, że Zakopane to przepiękne miasto, tylko szkoda, że góry widok zasłaniają. Strońc był wspaniały w wesołej lwowskiej fali. Właśnie nasz wspólny przyjaciel, niezmordowany Janusz Wasylkowski, przysłał mi Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z „Na wesołej lwowskiej fali”Wiktora Budzyńskiego. Przepyszne. Zaśmiewałem się do łez. Boja ich jeszcze słuchałem na moim bakelitowym detektorze, który przed wojną kupił mi ojciec. W tym radiu na słuchawki był taki szklany cylinderek i igła z kryształkiem. Igłą wodziło się po kryształku i wyławiało stacje. Ojciec kazał w lesie wyciąć dwie długie tyczki, które przybiliśmy z dwóch stron płotu, na czubku każdej zainstalowaliśmy porcelanowe izolatory, przez które przeciągnęliśmy miedzianą antenę. I z tą ogrodową anteną łapałem na mym radiu Lwów śpiewająco. Jak teraz czytam te teksty, to słyszę głosy Aprikosenkranca i Untenbauma. Janusz z uporem lepszej sprawy zbiera te „misztygałki” i ocala od zapomnienia. Jest nadzwyczajny. Nadzwyczajny - przeciągnął śpiewnie.

- Pan też. - Ja?

- Jako prezenter. Jak najlepszy sprawozdawca radiowy. Nawet o żydowskim klubie „Hasmodeja” od pana się dowiedziałem. Dlaczego nie rozgrywał meczów z KOP-em. Kto by mi to nadał? Tylko pan! Z unikalnej stacji w Brampton.

- Przed wojną był taki słynny sprawozdawca sportowy Wojciech Trojanowski, proszę pana. Wspaniały. Mówiono mi, że - siedząc w oflagu - urządzał kolegom takie transmisje z meczów, że wszyscy podniecali się w baraku jak na trybunie...

- Po wojnie takim sprawozdawcą był Bogdan Tomaszewski. Jak wołał: - Szkoda, że państwo tego nie mogą zobaczyć - widziało się wszystko. A co ważniejsze, mówił zawsze: „Szanowni państwo” lub „Drodzy państwo”. Nigdy: „Szkoda, że wyście tego nie widzieli” lub „wyście nie widzą!” - w modnym wówczas komsomolskim stylu. Zachowując na antenie przedwojenny styl, edukował i odchamiał najszerze rzesze słuchaczy. Pokazywał im, że istnieje jeszcze inny język. Język dżentelmenów ifairplay nie tylko w sporcie.

- No, ja tak mówić nie potrafię. Moja obecna żona jest Szkotką. Rozmawiamy dużo po angielsku. Wiele słów mi wypadło. Coraz ciężiej mi bajdurzyć. Język wymaga świeżego dopływu. Inaczej wysycha.

- Pańskie źródło trwa. Wciąż tryska ze złotego jaru. A to cielę na biurku sekretarza Gwoździa to prawdziwa uczta. Półmisek rozkoszy, jak pan mówi...

- Tego Gwoździa to już pan wymyślił, panie Jarosławie. Pisząc to opowiadanie. W rzeczywistości to on inaczej się nazywał.

- Grzech młodości. Kabaretowa skłonność do gry słów mnie zgubiła...

- Za bardzo chciał pan Gwoździa przygwoździć, co?

- Jak ksiądz Bohomolec, co swych bohaterów piętnował po nazwisku. Szambelan Safandulski czy sługa Głuptakiewicz...

- Tak jest. Ale historia wiernie spisana. Nic pan nie zmyślił, panie Jarosławie.

- Nie dałbym rady. Bo kto by wymyślił befsztyki z byka spożyte na cześć Święta Odrodzenia przez stróżów ładu i porządku, które o mało nie doprowadziły ich do grobu? Tylko życie. Tylko życie jest tak niespożyte, panie Janie. Byłby zbiorowy pogrzeb jak nic. I dzień ogólnopolskiej żałoby w MO! Prasa pisałaby, że wierni „idejowcy” padli ofiarnie na posterunku w Potęgowie...

- Martwym bykiem - zaśmiał się pan Jan. - A padliby jak nic...

- Gdyby pan im w ostatniej chwili nie podał pomocnej dłoni i nie wyciągnął z wygodki. Nie ocalił na komendzie, tak jak tych chłopców z Yolksturmu ukrytych w krzakach.

- Tylko tego by znów nie podali, że zarazili się paratyfusem z mięsa chorego byka, panie

Jarosławie...

- To prawda. Raczej na miazmaty zgniłego Zachodu by zwalili - i zaraz dodałem: - Ale to dowód, doktorze, że uwieczniony przez pana w piosence Kajo Smoła miał rację, kiedy na obozie harcerskim w Skolem przyznał panu sprawność Samarytanina...

- Ach, Skole! W Skolem było cudownie, panie Jarosławie! Tego nie da się opisać. Po prostu nie da - pan Jan sięgnął po butelkę koniaku. Nalał po kieliszku i wznosił toast:

- „Przez całe życie ta miłość mnie goni. Do pięknych kobiet, koniaku i koni!” Tego wierszyka pan nie zna, co?

-Nie.

- A widzi pan. Kawaleryjski. Od stryja Stanisława Augusta go znam.

- Z Niżgoroda Szlacheckiego?

- Tak jest. Generał Bolesław Wienława-Dhigoszowski go ułożył. Bardzo mądry, uważam. Tej dewizie starałem się być wierny. Z dobrym skutkiem, jak pan widzi. Służy. Polecam! - pan Jan ze smakiem upił łyk koniaku, gotów sięgnąć do swego złotego, kryształowego źródła...

SMAGNIĘCIE LEGITYMACJĄ

- Po odpłynięciu rodziców „Batorym” w 1962 roku zdałem pisemny służbowy raport z ich wyjazdu. Zeznałem w nim zgodnie z prawdą, że moja rodzina wyjechała na stałe do Kanady. Nie będę przecież tego ukrywał? Głupota. I tak dojdą. No i za jakiś czas wezwał mnie dowódca brygady pułkownik Kazimierz Weron i oświadczył, że zwalnia się miejsce zastępcy dowódcy kompanii w Krośnie.

-Chcecie przejść?

- Chcę - odparłem.

- To idziecie - zdecydował.

To było niezwykle, żeby młodego oficera zdjęli z Rokity. Nikt tam nie chciał iść. Każdy marzył, by stamtąd się wyrwać. Diabeł tam mówił dobranoc, zwłaszcza w zimie...

- Zgodnie z nazwą - wtrąciłem. - Na zamku w Łęczycy przecież słynny diabeł Boruta vel Rokita grasował, pilnując zaklętych skarbów. O północy wychodził z lochów i straszył. Tańcząc na murach...

- U nas diabeł nie tańczył, najwyżej moje królice na bunkrze, ale dla mnie to było jasne, że chcą mnie odsunąć od granicy po wyjeździe rodziców i to jest pretekst. Dalsza moja służba to potwierdziła. Zazwyczaj awans na porucznika dają po czterech latach. Mnie dali po siedmiu. I tak dziwię się, że dali. Po moim wariackim wystąpieniu z partii - zaśmiał się.

- Kiedy to było?

- W 1965 roku. Wiadomo, że partii nikt nie rzuca. Zwłaszcza w wojsku. Chyba że wariat. Zaskoczenie więc było pełne, gdy na jednym zebraniu oświadczyłem, że składam legitymację partyjną. Dostyc już miałem ciągłych zarzutów, że gloryfikuję Zachód i socjalizm mi się nie podoba.

- Linia partii wam się nie podoba? - spytał sekretarz Grzybczak.

- Linia partii mi się podoba, ale towarzysze na linii nie za bardzo. I nie chcę z nimi być w jednej organizacji. Proste.

W życiu ważne jest umieć się odezwać. Wszyscy na mnie skoczyli. Dowódca brygady Kazimierz Weron wykrzyknął:

- Ja wam się dziwię, Wawrów! Jak wy możecie bez partii?!

- Bo on chce na Zachód, towarzyszu pułkowniku. Szykuje się do Kanady - podrzucił usłużnie sekretarz Grzybczak.

- Na Zachód?! Miejsce każdego dobrego oficera i Polaka jest nad Wisłą. Tu mamy bronić naszych granic. Po to nas nasze państwo ludowe kształciło!

- Zgadzam się z towarzyszem Weronem - podchwycił Grzybczak - i proponuję, by nasza pop wystąpiła do ministra z wnioskiem o zwolnienie porucznika Wawrowa z wojska.

- Hola, hola, towarzysze! - rzekł pułkownik Holak, zastępca dowódcy brygady do spraw liniowych. - On tylko czeka, by myśmy go wyrzucili, bo chce sobie pojechać do Kanady. A my go z wojska nie puścimy. Nie ułatwimy wam tego manewru, Wawrów! Wot!

Holak był starym frontowszczykiem spod Lenino, wiedział, co mówić, i wniosek Grzybczaka padł. Zostałem w wojsku. Tyle zwojowałem, że nie chodziłem na zebrania, które były farsą. Przed zebraniem Grzybczak zawsze rozdzielał głosy: - Dziś ty mówisz, ty, ty, ty. A jak mi się któryś, kurwa, rozgada lub zgłosi do dyskusji, to zabiję. W godzinę ma być koniec. Bo jadę na ryby...

Nie krył, że łowienie ryb w brygadzie WOP-u jest dla niego ważniejsze niż zebranie popu. Miałem z nim na pieńku i wiele razy wygarnąłem mu w oczy, że jest szuja. Inni podobnie go nienawidzili, ale się go bali. Grzybczak wiedział, że ja do niego piję, mówiąc, że nie chcę być z niektórymi w partii. Tym wystąpieniem dałem mu w pysk. Postanowił się zemścić i rozrobił mnie u Holaka. Holak zaś był twardym liniowcem, cenił wyżej musztrę i linię bojową niż linię partii, wiedział, że ja szkole żołnierzy najlepiej, jak umiem. Grzybczak podrzucił mu donos, że ja na zajęciach za bardzo żołnierzy ganiem. Holak wezwał mnie i pyta:

- Co to, Wawrów. Skarżą się, że wy jako dowódca plutonu zupak straszny!

- Kto się skarży?

- Żołnierze. - Jacy?

- Poborowi. Mówią, że ich ganiacie. I znęćacie się nad nimi w polu...

- A ja sam co robię, obywatelu pułkowniku? Jadę na koniu? Na rowerze? Stoję w miejscu i patrzę? Też ganiem z nimi. I to na czele plutonu...

-Na czelie, ale może za bystro!

- Co za bystro! Przepraszam, czyja mam kaleki w plutonie? Rencistów? - Nu, niet...

- To o co chodzi? Ja, starszy od nich, mogę ganiać i dołożyć sobie jeszcze od tych słabych z tyłu trzy maski, trzy karabiny i tak obładowany przed nimi] biec, a oni, kurczą - młode chłopaki - nie mogą i padają? To co to za wojsko? I jakie zupactwo, obywatelu pułkowniku?

- Nu, ladno, Wawrów - roześmiał się.

Przeciąłem jak szablą, kurczą. Ważne w wojsku odezwać się. Czasem najgorszej aferze celnym strzałem łeb się urwie. I mordę ludziom zatka.

Gdy o tym mówił, przypomniał mi się jego przodek Fiodor Ławrow, który ćwiczył swych kozaków na granicy po drugiej stronie Zbrucza. Też zawsze na czele. I to jego nagłe cięcie szablą grafa Knuta, który kazał mu się czołgać przed frontem żołnierzy. I te intrygi sztabkapitana Jerosiejewa, które mało co odbiegały od intryg sekretarza Grzybczaka dwieście lat potem. Cóż za zbieżność scen w starych i nowych czasach. Z tą małą różnicą, że tamten chlasnął Knuta szablą na płask, a Major w afekcie rzucił w Grzybczaka legitymacją partyjną. Ale czyn ten w PRL-u był równie szalony co skok Fiodora Ławrowa na koniu przez skuty lodem Zbrucz...

ZACHODNIE POMARAŃCZE

Szefem służby weterynaryjnej w naszej Lubuskiej Brygadzie WOP-u w Krośnie - ciągnął Major - był pułkownik Błaszczyk. Wybitny lekarz weterynarii, o wielkiej wiedzy i talencie. Mógł z powodzeniem wyklądać na wyższej uczelni. Z urodzenia poznaniak, ale studia skończył na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Tam przed wojną był najlepszy wydział weterynarii. Słynny w całej Polsce. Dlatego Błaszczyk przeniósł się z Poznania. Wiele mi opowiadał o Lwowie i swoich profesorach. Niektórzy byli światowej sławy uczonymi. Raz wyciągnął z szuflady swój indeks i pokazał mi. Pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem stopnie celujące. Błaszczyk chciał być profesorem, prowadzić pracę badawczą i wyklądać. Wylądował jako szef służby weterynaryjnej w naszej brygadzie. Dlaczego? Nie wiem. Wyraźnie się marnował. Typowy przykład kariery zniszczonej przez wojnę. Jak Błaszczyk stawiał diagnozę - to była przyjemność, kurczą. Zawsze bezbłędnie. Wiele zwierząt uratował swym szybkim i trafnym rozpoznaniem. Pułkownik lubił mnie i często zapraszał do siebie. Wiele rozmawialiśmy. Dużo od niego skorzystałem. Nie tylko zawodowo. Edukował mnie. Udzielał rad. Lubię w życiu iść do przodu, nie stać w miejscu. Wiedziałem, że konie w brygadzie znikają, wszystko motoryzuje się i służbę weteryjną w batalionach likwidują. Postanowiłem więc zdobyć nowe kwalifikacje. Zapisalem się na zaoczne studia do Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich imienia Mariana Buczka w Poznaniu.

- Przykładowego żołnierza-komunisty, który tuż po wyjściu z sanacyjnego więzienia padł w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku?

- Zgadza się. Żeby było śmieszniej, komendantem tej szkoły był też Buczek. Tyle że nie Marian i nie krewny patrona szkoły, ale zawsze nazwisko na linii. Klasowo słuszne, kurczą. Tę szkołę w Poznaniu skończyłem z wynikiem dobrym. Nie celującym. Błaszczukiem nie byłem, niestety. Z Krosna przeszedłem do Słubic. Dowódcą batalionu był kapitan Jerzy Mościcki. Zdolny gość, po historii. Język miał jak brzytwa. Że on z wojska nie wyleciał, to cud! Ja przy nim to małe piwo.

- Może krewny ostatniego prezydenta II Rzeczypospolitej...

- Może. Jego żona pracowała u nas jako księgowka w mundurówce. Miła kobieta. Mościcki miał zagrania, kurczą. Jak ktoś głupio się odezwał, to mówił:- Ebonit. Jesteście ebonit. -I stukał się w czoło. - Co ebonit? - pytał tamten. - Sprawdźcie sobie w Małej Encyklopedii Powszechnej PWN pod „e”. Tam znajdziecie definicję - wyjaśniał kapitan grzecznie.

Tamten sprawdzał i dowiadywał się, że mózg ma w dużym stopniu wypełniony szarą, kauczukową masą...

- Na granicy w Słubicach - ciągnął dalej Major - urodził mi się w 1969 roku syn Jarek...

- A mnie córka Magda - odparłem.

- Drugi syn, Lesio, przyszedł na świat również w Słubicach. Tuż przed moim wyjazdem do Chełma. W 1974 roku...

- Wtedy mnie urodziła się druga córka, Basia - wtrąciłem.

- Znaczą szliśmy łeb w łeb...

- Aleja mam trzecią córkę, Marysię. Roczniak 1980. Narodzoną wraz z „Solidarnością”...

- Roczniakiem zostałem przebity, ale o mleko w proszku i pieluchy nie było wtedy łatwo, oj nie było, kurczą, co?! - roześmiał się.

- To prawda - przyznałem.

Naszą rozmowę przerwał Jarek Junior, który wszedł właśnie do pokoju.

- Chcesz coś, Jarcu? - spytał syna Major.

- Klucze od wozu...

- Którego?

- Vana.

- Bierz. Kolacja w kuchni. Naszykowana. Możesz słuchać.

- O czym? - O Słubicach...

- Słubice pamiętam - rzekł szybko. - Co?

- Czołgi. Jak mnie ochlapały...

- To było dobre - podchwycił Major. - W Słubicach stał pułk czołgów Dywizji Gubińskiej i akurat ruszał na Czechosłowację. Ja szedłem z Jarcim na plecach. Miał on na sobie czerwony skafander i jak czołg obok przy gazo wał i dał w rurę, to Jarcio był cały w kropki. Jak biedronka, kurczą. Pamiętasz to?

- Jasne. Ale to nie było w czasie inwazji na Czechosłowację, ojciec. Mnie w 1968 roku nie było na świecie...

- To prawda - przyznał Major. - W każdym razie czołgi gdzieś szły. Na jakieś bratnie manewery Paktu Warszawskiego. I strasznie Jarcia ochlapały.

- Ze Słubic pamiętam, jak uciekłem z przedszkola. Nie lubiłem pomidorów i mięsa. Dziś dalej nie lubię. A oni we mnie w przedszkolu wciąż je wpychali. Więc im uciekałem do domu. Z posiłków najlepiej lubiłem żelazną żołnierską rację żywnościową. W nią wchodziły, pamiętam, suchary, kawa zbożowa, dwa cukierki z glukozy i konserwa. Fasola czy mielonka. Tę mielonkę ubóstwiałem. Zażerałem się nią. W Słubicach ojciec skombinował mi mały hełm, telefon na korbkę i maskę. W tym hełmie sobie chodziłem...

- W hełmie chodziłeś w Chełmie, Jarcu - poprawił go Major.

- W Słubicach też, ojciec. Tuż przed naszym wyjazdem do Kanady - zapewnił go Jarek Junior, wyjmując jedzenie z lodówki.

- Ze Słubic pamiętam barki na Odrze - podjął Junior.

- O, ja. To było fajne - podchwycił Major. - Granica na rzece żeglownej biegnie głównym nurtem, a niezeglownej środkiem rzeki - zacytował instrukcję WOP-u. Barki po Odrze były ciągnięte przez holowniki albo popychane przez pchacze. Według prawa takie barki nie mogły przybijać do brzegu. Mijając kolejne punkty strażnicze, były bacznie obserwowane i kontrolowane, czy prawidłowo płyną.

- Przemyt jak na Czeremoszu był niemożliwy - wtrąciłem.

- O, nie. W wypadku awarii holownika czy pchacza - tragedia. Musieli zakotwiczyć się pośrodku rzeki i czekać na zmiłowanie. Wtedy właśnie popsuł się pchacz, który pchał berlinkę i starą krypę ciągniętą przez studentów do portu w Szczecinie. Na tej żagłówce siedziało ich uwięzionych czworo. Dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Sternik berlinki wezwał nas na pomoc i myśmy tam wtedy łodzią motorową z Jarcim podpłynęli.

- Ta łódź miała motor pozaburtowy Schneidera, który mnie zafascynował. Podobnie jak wielki kapok, który był na mnie za duży - mruknął Jarek Junior.

- Ten sternik berlinki fajny był - uśmiechnął się Major. - Panie poruczniku - rzekł do mnie. - Ci studenci to tyle jedzą we czworo przez cały dzień, co ja jeden na śniadanie. Taką garsteczkę ryżu - pokazywał. - Jak oni, kurwa, żyją?! - dziwił się. Nie mógł tego pojąć. Sam miał brzuch jak balon i widać było, że lubił zjeść. Leszek, będąc w Polsce, wybrał się do Schneiderów do Poznania. To była rodzina jego żony Ireny. Siostra Ireny, Krystyna, wyszła za mąż za Przemka Schneidera. Z tych Schneiderów od motorów pozaburtowych do łodzi. Schneider jeden je produkował w Polsce...

- Czyli nasz WOP na granicy był napędzany prywatnie przez krewnego żony Leszka, Schneidera?

- Dokładnie. Jego motorem pozaburtowym, kurczą - zaśmiał się Jarek.

- Wyrzuconym za burtę jak sztandar swobód demokratycznych przez burżuazję - przypomniałem mu stalinowską metaforę naszej młodości.

- Zgadza się. Wszyscy pływaliśmy na motorach Schneidera. W wojsku, w milicji...

- To dla mnie pewna nowość. Do tej pory wiedziałem tylko, że precyzyjne puszki aluminiowe do naszych odrzutowców były dorabiane ręcznie przez mego teścia Władysława Kozbóra w Krakowie. Żadna bowiem państwowa zbrojeniówka nie była w stanie tak precyzyjnie ich zrobić, jak on na swoich maszynach tokarskodrykierskich z czasów CK monarchii austro-węgierskiej...

- No, właśnie - przyznał Jarek. - Ten Schneider w Poznaniu był bardzo zamożny gość. Poznałem go. Świetnie mu się powodziło. Dużo lepiej niż jego krewnym w Kanadzie. Q, ja. Pod koniec 1974 roku wezwał mnie znów pułkownik Weron i rzekł, że zwalnia się etat szefa

finansowego w Nadbużańskiej Brygadzie WOP-u w Chełmie...

- Mogę iść - odparłem.

- Naprawdę? - zdziwił się. Był pewien, że odmówię.

Chełm traktowano w WOP-ie jak u nas Rokitę. Jak zsyłkę. Nikt nie chciał tam iść...

- Mimo że miasto Manifestu Lipcowego?

- Każdy wolał na Zachód. Nad Odrę. Nikt nie pchał się nad Bug. Bliżej Zachodu, kurczą. Pojechałem więc do Chełma. Przyjął mnie dowódca brygady Kazimierz Zakrawacz, krwawy Kazio, jak go nazywali, nie wiem czemu. Dla mnie był okay. Nic nie mogę powiedzieć. Zdziwił się, jak mnie zobaczył, i na wstępie uprzedził:

- Ale wiecie, kapitanie. Mieszkania to ja dla was nie mam. Niestety.

- Nie szkodzi, obywatelu pułkowniku. Jest praca, będzie mieszkanie. Ja przyjechałem do pracy.

- Do pracy? Wy pierwsi mi o pracy mówicie. Każdy o mieszkanie pyta. Nawet chorąży. Wszystkiego mu mało. Fontannę z wodotryskiem mu daj, kurwa. A i to będzie narzekał, że z zimną wodą.

Moja odpowiedź tak mu się spodobała, że po chwili rzekł:

- Czekaście, czekaście. Jak wy o pracy mówicie, to ja przesunę z kolejki majora z łączności i was wstawię na jego miejsce. On może poczekać. A wy macie troje dzieci. - Bo mnie Lesio się właśnie urodził. I w ten sposób mi dał. Umieć odezwać się, kurczą. To co mówię. Jedno zdanie załatwiło sprawę. Jest praca, będzie mieszkanie. I było. Koniec! Dostałem trzy duże pokoje z kuchnią, łazienką. Sufity wysokie. Białe piece kaflowe. Kuchnia na węgiel. Przedwojenne budownictwo...

- Carskie. W naszych koszarach mieścił się kiedyś duży garnizon. Część baraków zbudowanych z takich bali przerobiono na kwatery dla oficerów i podoficerów zawodowych...

- Te baraki były żółte?

- Częściowo tak.

- Mój ojciec mówił, że za cara Mikołaja nazywali ten kolorgawienno-gosudarstwiennyj cwiet. Państwowo-gówienny kolor. A niektóre były z czerwonej cegły. Jak w Jabłonnie...

- Zgadza się.

- Jedliście zatem w kasynie oficerskim, w którym przed wojną kucharzem był Hadryś.

- Tak jest. W Chełmie były super warunki. Sala kinowa, gimnastyczna, odkryty basen. Własne

przedszkole. Pracownia fotograficzna. Modelarska.

- Ja tam konstruowałem. Miałem całą kolekcję, małych modeli. Super. Samoloty, samochody. Przed wyjazdem posprzedawałem i rozdałem. Teraz przez kolegę chcę część odzyskać. Może się uda - rzekł Jarek Junior, który krążył z talerzykiem między pokojem i kuchnią. Z przyjemnością patrzyłem na jego gwardyjski wzrost i warunki. Dowcip jak u ojca go nie opuszczał. Mówił bezbłędnie po polsku, jakby wczoraj wyjechał. A to już piętnaście lat. Miał wtedy tyle lat co jego chrzestny, stryj Leszek, gdy w dziewczęcych sandałkach, kupionych mu przez starszego brata, stanął po raz pierwszy na kanadyjskiej ziemi.

- Do dziś po stryju noszę długie baczki w skos. Bo on wtedy takie nosił, jak przyjechał z wizytą do Chełma. W Chełmie był tor przeszkód. Strzelnica kbks. W strzelaniu z karabinka małokalibrowego Urszula była dobra. Zawsze pierwsze miejsca zgarniała na mistrzostwach - dokończył, jedząc sałatkę bez pomidorów.

- Bo mieliśmy zawody dla dzieci kadry. Rzut granatem - dodał Major.

- Ja rzucałem petardą z Witkiem Piętakiem, synem sapersa. Albo z Januszaniem...

- Synem naszego płatnika, starszego sierżanta Jana Januszania. Czyli Jana Uszanisa. Bo imię miał w nazwisku, kurczą...

- Jego ojciec był myśliwym, więc on miał flintę, a ja strzelałem z pistoletu. Jak ojciec wracał do domu, to pierwsze wołałem: - Daj pistolet! - Ojciec wyjmował magazynek i mi dawał. Fajne czasy były. Raz, już w stanie wojennym, złapał mnie patrol w kurtce wojskowej i z pistoletem. Szliśmy z kolegą. Psy chwyciły mnie za kark.

- Skąd masz?

- Od ojca. Jestem synem majora Wawrowa - odparłem.

- A, to idź - puścili mnie, a kolegę zwinęli...

- W Chełmie znalazłem się dlatego - ciągnął Major - bo po wyjeździe rodziców do Kanady byłem niepewny politycznie i nie powinienem pełnić służby nad granicą. Zwłaszcza zachodnią. To dali mnie na wchodnią. Ale też z trudem, jak widać. Zakrawacz przyjął mnie na własne ryzyko. Wschodnią granicę uważano za formalność. Bracia z drugiej strony strzegli jej lepiej od nas. Myśmy nie musieli... - westchnął.

- Mysz się nie przecisnęła...

- Mysz może nie, ale nasz chłop tak... - W jaki sposób?

- Prosty. W zimie, jak zawiąło i Bug był skuty lodem, przechodzili na drugą stronę odwiedzić rodzinę na święta. Popili sobie, sprawdzili swoje pole za Bugiem i z powrotem wracali. Czasem ich nasi łapali, ale nic nie robili...

- A Rosjanie?

- Wtedy było gorzej. Wsadzali ich, ale potem na ogół deportowali do nas... Wielkie ryzyko...

- To prawda. Ale miłość do rodziny za miedzą była większa. A że ich w Jałcie przedzielili na pół, to nie ich wina. Musieli sobie radzić. I przez tę granicę jakoś przechodzić...

„Żyje Polska, żyje Polska, żyje, nie umiera, boją chłopcy - chłop nasz polski dźwiga i podpira”, przypomniałem sobie wierszyk pośła Furmaniuka powtórzony niedawno przez Ukrainkę spod Tarnopola podczas lepienia pierogów w piekarni na Osington Avenue...

- Mieliście orkiestrę? - spytałem.

- Jasne. Reprezentacyjną orkiestrę dętą. Z kapelmistrzem w randze kapitana i tamburmajorem.

- Prawie jak z panem Eisenbajferem w Czortkowie?

- Ten tambur-major wywijał tylko w rytmie buławą i podawał zwroty, a kapelmistrz mu z boku podpowiadał i podrzucał tonację. Na próbach, jak ćwiczyli w koszarach, to kapitan rugał tego tambur-majora. Kapelmistrz był zawodowym muzykiem. Tak, panie Jarku - Major wstał z krzesła lekko zgięty. - Pieńsk się odzywa, kurczą. Na strażnicy w Pieńsku, jeszcze podczas praktyki, przespałem się parę razy na cementowej płycie nagrobnej na niemieckim cmentarzu, wszędzie wilgoć, i weszła mi w krzyż. Teraz korzonki napieprzają - poprawił szeroki pas z woreczkiem podgrzanego w microwave ziarna zboża.

- Na woreczku napisane jest magię, ale cudów nie należy oczekiwać. Po latach wiernej służby w WOP-ie. No tak. Tu nie ma się z czego śmiać. Z krzyżem nie ma żartów.

W Chełmie udało mi się pójść na zaoczny wydział prawa i administracji na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie - ciągnął dalej Major, który w 1976 roku został majorem - i coraz poważniej myślałem o wyjściu z wojska. Tymczasem zamiast mnie poszedł na zasłużoną emeryturę dowódca brygady Kazio Zakrawacz. Miał pecha. Jechał wozem i na przejściu granicznym wepchnął się przed niego bezczelnie swoim autem jakiś typ. Zakrawacza wszyscy na granicy znali, bo jego brygadzie podlegały trzy województwa. Kazio wysiadł i krzyknął na tamtego:

- Co się pchasz! Nie widzisz kolejki?!

- Mnie kolejka nie dotyczy - odparł tamten.

- Nie dotyczy?! To ja ci pokażę! Zjeżdżaj mi na sam koniec, ale to już! - rozkazał mu. Był lekko na gazie.

- Sam zjeżdżaj. I nie rycz tak. Nie jestem w wojsku...

- To będziesz. Ja cię zaraz usadzę, gnojku!

- No, no. Radzę nie krzyczyć, pułkowniku, i nie rządzić się na moim terenie.

- Jakim znów twoim?

- Moim. Ja tu jestem gospodarzem. Jako wojewoda zamojski...

- Jako wojewoda zamojski to możesz sobie rządzić w Zamościu, a na przejściach granicznych ja jestem gospodarzem. Zrozumiano?! I ja, jako dowódca brygady WOPu, mówię ci: zjeżdżaj mi na koniec kolejki, i to już! Dupku żołądny!

- To ja ci pokażę dupka. I kto tu zjedzie, stary chuju.

I pokazał. Kazio, stary frontowiec, z gospodarza zjechał na gospodarkę. Młody szczun go załatwił. Miał w Warszawie w nowej ekipie lepsze układy. Czerwony czerwonemu nie podskoczy, panie Jarku. Zawsze znajdzie się inny czerwony, co go usadzi. Nie ma siły. Moment - i szef zgasł. Ale lubił pracować w polu, kupił sobie kawał ziemi nad Bugiem i tam gospodarzył. Pewnego razu wypożyczył wóz z parą koni, zwoził zboże, stał przy dyszlu, konie nagle szarpnęły, on wywrócił się, pechowo upadł, uderzył w coś tyłem głowy, doznał urazu czaszki i wkrótce zmarł. Byliśmy na jego pogrzebie. Z orkiestrą i wszelkimi honorami. Niektórzy cieszyli się. Jeden major nie powstrzymał się, by nie szepnąć w kondukcje:

- Konie wiedziały, kogo ponieść, co?! Poszedł nam Krwawy Kazio. Szkoda, że tak późno. Dobrze, że zdechł, chuj...

A za życia mu kadził. Nie wiem, za co go tak nie cierpiał. Dla mnie Kazio Zakrawacz był równy gość. Lubiłem go. Prosty chłop z naszych stron, wzięty do armii w 1944 roku, przeszedł szlak bojowy aż po Berlin, jak mój ojciec. Tylko mój ojciec nie poszedł na wojenny kurs oficerski i pozostał starszym sierżantem. A Kazio poszedł i awansował na pułkownika. Ojciec dostał poniemiecką gospodarkę, lecz jej nie wziął i był kolejarzem, Kazio Zakrawacz zaś, zostając w wojsku, całe życie o tej gospodarce marzył. I kiedy ją wreszcie dostał - konie poniosły. Z czego tu się śmiać? Nie wiem! Typowy los tamtego pokolenia. Według mnie, ten major był chuj...

Na szefa sztabu naszej brygady przyszedł mój kolega ze szkoły w Kętrzynie, podpułkownik Andrzej Żurek, świetny sportowiec. Jeszcze przed przyjściem do szkoły grał w I lidze piłki ręcznej na Śląsku. Wybitnie zdolny gość. Bardzo lubiliśmy się. Niestety szybko umarł na serce. Szkoda. Z mojego rocznika ze szkoły prawie nikt nie żyje. Najlepszy dowód, jaka ta średnia życia naszej kadry oficerskiej jest. Nie był to lekki kawałek chleba. O, nie - przerwał i poprawił się na krześle. - Szefem kadr w brygadzie został inny mój kolega z roku, podpułkownik Józef Ogonowski. Chwostowski, jak go przezwaliśmy. Sytuację więc miałem dobrą i postanowiłem napisać podanie o zwolnienie z wojska. Prośbę tę uzasadniałem tym, że weszły nowe przepisy finansowe i ja już nie bardzo daję sobie radę. Nowy dowódca brygady, wykształcony, kulturalny gość, wziął to podanie i oświadczył:

- W to nikt nie uwierzy. To nie ma sensu. I własnoręcznie dopisał: „Major Wawrów ma rodzinę w Kanadzie i planuje w przyszłości połączyć się z nią. Popieram jego podanie i zezwalam na wyjście z brygady”. Podpisał się. W 1978 roku przyszła zgoda i w wieku czterdziestu lat

przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Mieszkanie i wszystkie korzyści zachowałem. Dowódca brygady bardzo elegancko się zachował, zaprosił mnie do swego gabinetu na małą uroczystość pożegnalną i przy kawie i koniaku podziękował mi za dotychczasową służbę w wojsku, mówiąc, że rozumie moją decyzję i ma nadzieję, że rozstajemy się w przyjaźni.

W tym czasie dowiedziałem się, że mój dowódca z Krosna Odrzańskiego, pułkownik Kazimierz Weron, przeniesiony do Bałtyckiej Brygady WOP-u w Koszalinie, szykował się na dowódcę WOP-u w Warszawie. Bardzo bystry oficer, inteligentna bestia, prymus Akademii Sztabu Generalnego, więc nie zdziwiłem się. Miał wszelkie dane. Nagle zamiast niego na to stanowisko poszedł pułkownik Stupiński ze szczecińskiej brygady WOP-u. Weronowi dali prztyczka. Stupiński szybko awansował na generała. Weron poczuł się tym tak dotknięty, że Stupińskiego nie uznawał jako dowódcy i porozumiewał się tylko z szefem sztabu WOP-u generałem Stramikiem. Tym, co wizytował nas w Rokicie.

- Wiem. Identyczną historię z przedwojennego wojska opowiadał mi Jurek Mond, syn generała Bernarda Monda, dowódcy 6 Dywizji Piechoty w Krakowie. Przed wojną bardzo liczyło się, kto z czyjej ręki otrzymał awans na generała. Monda mianował sam Komendant Józef Piłsudski w Belwederze w 1933 roku, a podporządkowano go generałowi awansowanemu z pułkownika po 1935 roku przez marszałka Rydza Śmigłego. I Mond tego młodszego stażem dowódcy nowej Grupy Operacyjnej w 1939 roku nie uznawał, porozumiewając się ponad jego głową bezpośrednio z dowódcą armii...

- Wierzę - kiwnął głową Major. - Normalne. I tak było z Weronem. Wkrótce dotknął go następny cios. Jego siostra wybrała wolność, została za granicą, w Niemczech Zachodnich. Weroną ściągnięto z granicy i usunięto z wojska. Przypomniałem sobie, jak mnie pouczał na zebraniu w Krośnie, gdzie jest moje miejsce. Nie taję, że miałem satysfakcję. I proszę. Nic nie zwojował. Zdolny, ostro partyjny; z plecami i nie podskoczył, panie Jarku. Drugi partyjny go załatwił. Taki był system. Jeden drugiego dobrze strzegł. Lepiej niż my granicy. Nie było mocnych, kurczą. Pamiętam, stałem w grupie kolegów na jakichś zajęciach. Rozeszło się, że ja wychodzę z wojska, i jeden Wiesio - zakuty, partyjny łeb z łączności - chciał mi przy wszystkich przyłożyć. Być takim bardziej dowcipnym. Popatrzył na mnie z ironią, popatrzył i, przytupując z wyższością nogą, wypalił:

- To co, obywatelu majorze? Opuszczacie nas? Opuszczacie. Jedziecie sobie na Zachód, do tej Kanady? Jedziecie...

- Jadę.

- I ładnie to? Porzucac własny kraj, by wzmocnić obóz wroga?

- Nie bój się, Wiesiu - odparłem. - Jak my tu wejdziemy, a ja będę na wieży strażniczej, to ci zawsze coś podrzucę po starej znajomości. Jakiś kawałek dobrej wędlinki, czy skrzynkę pomarańczy...

Cisza. Zatkąło go. Do końca zajęć wszyscy milczeli. Nikt słowem nie pisnął. Skończyło się. Kropka. Ważne odezwać się, kurczą. Tak jak mówię.

Powoli mijał przepisowy termin mego wyjścia z wojska. Klauzula o ochronie tajemnicy wojskowej traciła moc. Dostawałem jednak wciąż odmowy w biurze paszportowym. W 1981 roku wstąpiłem do „Solidarności”, nosiłem znaczek. Pamiętam, jak jakiś znajomy major spojrzał na mnie i rzekł:

-1 wy, Wawrów, w „Solidarności”?

- A co? Duży związek zawodowy. Walczy o prawa pracownicze. Niby dlaczego nie? - Już nie byłem w partii. Wtedy zresztą niektórzy koledzy z wojska też wstąpili do NSZZ. Józek Ogonowski na przykład złożył legitymację partyjną i zaczął ostro działać w „Solidarności”.

- Ten szef kadr brygady?

- Tak jest. Chwostowski. W listopadzie 1982 roku powołali mnie znów do wojska. W sztabach wojewódzkich zabrakło im ludzi i sięgnęli po rezerwy. Zostałem zastępcą komisarza. Przydzielono mnie do nadzoru Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego „Autobusy Chełmskie”.

Raz patrzę, a na tablicy przyzakładowej wisi duża mapa przedwojennej Polski przez środek przeciętej granicą z paktu Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku. Z jednej strony narysowana swastyka, z drugiej sierp i młot. Hitler i Stalin podają sobie ręce. I podpis: „Nóż w plecy”.

Ja tak sobie chodzę koło tej mapy, chodzę i pytam jednego:

-Ładna. Podoba mi się. Ciekawe, kto ją powiesił?

- Nie ja, obywatelu majorze - wyparł się zaraz. - A kto?

-My nie wiemy...

- Warto by kogoś spytać...

- Najlepiej naszego sekretarza partii, obywatelu majorze - doradził mi usłużnie. Poszedłem do sekretarza i mówię mu:

- Tam u was na tablicy, towarzyszu sekretarzu, coś wisi. - Co?

- Idźcie, zobaczcie.

Pobiegłem, spojrzałem, zbladłem i jednym ruchem zdarłem mapę z tablicy. Gdyby mógł, tobyjązzał, cholera...

- Ja nic nie widziałem - odwróciłem się plecami. - To wy zrobiliście...

- Oj, to dobrze - ucieszył się - bo inaczej musiałbym pisać raport...

Tak się śmiałem, jak on z ulgą odetchnął, że ja nic nie powiem. Często pozwalałem sobie na

takie żarty. Raz do mojego komisarza mówię:

- Jak to jest, pułkowniku, że z języka polskiego zginął jeden wyraz. Był i nie ma.

-Jaki?

- Junta. Junta wojskowa. Jak w Chile armia przejęła władzę, to co było? Junta. Junta Pinocheta, prawda? A jak w Polsce - cisza. Co to, my nie rządymy w sztabie wojewódzkim?! Nasz generał gorszy? I ani słowa o nim. Dlaczego?! Wytlumaczcie mi to, towarzyszu komisarzu!

Zastanowił się chwilę i odparł:

- To nie jest pytanie na czasie...

- A kiedy? Po stanie wojennym?

- Przestalibyście się wygłupiać, Wawrów..

Różne numery robiłem. Raz miałem dyżur w sztabie. Włączyłem telewizor. Akurat umarł Leonid Breżniew. Wpadł szef i mówi, że bym jechał na kontrolę w teren. A mnie się nie chciało i mówię:

- Ja oglądam transmisję z pogrzebu towarzysza Breżniewa w Moskwie. Nie mogę się oderwać...

- A, to oglądajcie, oglądajcie. Oczywiście. Poślę kogoś innego - i wybiegł.

A ja sobie pospałem w fotelu w takt marsza żałobnego cały dzień. Bo transmisja z Moskwy tyle godzin trwała. Cała moja praca w sztabie była fikcją. Wiedzieli o tym, że jestem z rezerwy. I chcę jak najszybciej wyjść z wojska. W styczniu 1983 roku, po trzech miesiącach starań, wreszcie mnie puścili, ale to nic nie zmieniło. Paragraf o tajemnicy wojskowej znów mnie objął. Mogłem ujawnić sprawę mapy w zajezdni albo pogrzebu towarzysza Breżniewa, prawda? Groźne dla interesów państwa - zaśmiał się.

SREBRNE ANTENY

- Nas próbowali nieźle ogłupić i zastraszyć, ale to nic w porównaniu z tymi, co zostali za Bugiem. Ci dopiero dostali szkołę. Ja to kręca! - Major spojrział na mnie wymownie. - A najlepszym przykładem mój kuzyn Bohdan Petryk, syn ciotki Irki, siostry mojej matki, który teraz pracuje u nas w piekarni. Bohdan oprowadzał mnie w 1978 roku po Hadyńkowcach podczas moich pierwszych odwiedzin u rodziny* i słowem nie pisał o swoim życiu. Słowem! Chociaż powinien mieć do mnie zaufanie jako do swego kuzyna. Ale niestety. Byłem dla niego wciąż inostraniec. Yisitor iż Polszy, kurczą..

Dopiero tu, w Kanadzie, przyznał się, że był w Egipcie w wojskach raketowych. I to przyznał się za drugim podejściem. Bo za pierwszym, jak przyjechał sam, bez rodziny i pracował u nas w piekarni, to my z Leszkiem dziwiliśmy się, co ten Bodzio tak ciągle trzyma ręce w kieszeni. Dopiero za drugim razem, gdy wyemigrował na stałe, powiedział nam, że przed wyjazdem do Kanady wezwało go KGB i uprzedziło, że policja i CIA będą chciały mu podrzucić materiały szpiegowskie do kieszeni, więc żeby uważał. I on uważał. Wierzył im, kurczą. Paradował z rękami na jajach i czuwał. Wciąż w pogotowiu - zaśmiał się.

- Teraz już macha rękami swobodnie - zauważyłem.

- Teraz to Bodzio kozak! Kanadyjczyk. Ale musiało minąć sporo czasu, nim z tej duraoty i od tego strachu się uwolnił. Okazało się, że po tym pierwszym pobycie wezwało go KGB i pytało, co w tej Kanadzie widział. On odparł im, że nic, bo cały czas chorował i leżał u matki w domu.

- Myślałem, że zastosował receptę męża swej matki, Stepana Bodnaruka, i ogłuchł - zakpiłem..

* Opisałem te odwiedziny w Nawiało nam burzę.

- Nie, nie. Bodzio, jako lekarz, wykreślił się chorobą, ale ta recepta go nie zbawiła. Kazali mu podpisać jakiś artykuł. On go podpisał i poszedł do domu. Po pewnym czasie ukazał się w gazecie lwowskiej artykuł doktora Bohdana Petryka, w którym skarżył się, jak to mu źle było w Kanadzie i jak się wycierpiał podczas choroby, pozostawiony bez opieki lekarskiej. Nikt by o tym artykule nie wiedział, gdyby ktoś życzliwy nie przesłał go do Toronto. I doszło to do ciotki Irki. Biedny Bodzio musiał się gęsto tłumaczyć, że to nie on napisał, tylko jakiś dziennikarz za niego. Ja się tam specjalnie z niego nie śmiałem, bo z prasą miałem już podobny wypadek na strażnicy w Świnoujściu - dokończył Major.

Tych rakiet w Egipcie nie mogłem oczywiście darować. Spytałem w końcu

o nie Bohdana podczas któregoś jego nocnego dyżuru w piekarni.

- To było tak, proszę pana - zaczął w całkiem niezłej polszczyźnie, którą zdobył dzięki pracy z Newyorkerem, Medalikiem i Walcmistrzem. - Mnie ojciec uinierł i nie wzięli mnie w terminie do wojska. Odroczyli o rok, czy dwa,

1 ja dalej studiował medycynę na Akademii we Lwowie. Jak mnie znów wzięli, to ja był już starszy, medycynę trochę przyswoiłem i służyłem w wojsku w Czernobylu. A im kiedyś potrzebny był lekarz i jeden lekarz. Nas zgrupowali na lotnisku w Dnieprodierżyńskie. To było żółte...

- Listopad?

- Niet. Listopad to u nas listopad, a to październik był, bo po obu stronach płyty lotniska kukuruza jeszcze nieścięta rosła. No i nas wzięli, wsadzili na samoloty i powieźli w Kair. A z Kairu na transporterach przez pustynię do Assuana. Tam z tymi raketami postawili nas na straży wielkiej zapory wodnej, którą my im zbudowali. Nasz obóz był mniej więcej taki...

Bohdan wziął z biurka kartkę i zaczął rysować. Z rysunku wynikało, że w tym obozie mieli sześć rakiet S-75 ustawionych półkolem na nasadach z szyn w pozycji 45 stopni w górę. Wyrzutnie te były ruchome i nakierowane w stronę spodziewanego ataku nieprzyjaciela, czyli Izraela. Cały czas wodziły nosami w powietrzu jak wahadło. W celu wczesnego wykrycia samolotów ustawiono wysokie anteny ostrzegawcze. Jedna określała pułap wysokości samolotu, druga odległość, trzecia jego tożsamość. Wiele bowiem własnych, sowieckich, myśliwców wtedy nad Egiptem latało. Po drugiej stronie zapory też stał taki sam oddział raketowy. Jednostka Bohdana liczyła około sześćdziesięciu żołnierzy i trzydziestu oficerów. Oficerami byli specjaliści Rosjanie, żołnierze zaś rekrutowali się ze wszystkich narodów ZSRR. Wieża Babel.

- Byli u nas Tadżyki - ciągnął Bohdan. - Trzy Gruziny, cztery Uzbeki, mój kolega Norik był Uzbek, Ukraińcy, Białorusini, Kałmuki, wsie. Wojna już skończyła się i w 1974 roku w trawniku chyba lub czerwcu...

- W czerwcu...

- Tak jest... nagle przestali nam dowozić prowiant. My nic przez tydzień jeść nie dostaliśmy. Tylko ostatnim transportem zamiast chleba przynieśli drut kolczasty. Czort wie na co? Na początku nas nie grodzili i teraz chcieli? W tydzień potem dali rozkaz, że misja skończona. - Bystro, bystro, wyjeżdżamy - mówią. Szybko kazali demontować wszystko. My tych rakiet nie zdążyliśmy nawet wziąć, tylko te najważniejsze części, serce rakiet i anteny. Ja nie wiedziałem, że one takie ważne. Jedną antenę rozbierałem i mi spadała.

- Szto ty? Job twojego matki! - zrugnął mnie oficer. - Toż ona sieriebrianaja! Boże ty mój!

Kto znalazł? Wszystkie na zielono pomalowane. Gdybyśmy wcześniej znaleźli, że one srebrne, to by ich na kawałki pocięli - zaśmiał się. - Części rakiet w tych skrzynkach też złotem i platyną były łączone. Resztę wyrzutni na szynach i drut kolczasty my zostawiliśmy Arabom i uszli. Ja nawet nie wiedziałem wtedy, że nas z Egiptu wygnali. Dowódcy powiedzieli nam, że wojna skończona, zadanie z honorami wykonali, nam nie trzeba już Assuana strzec i wszystko. Każdy był rad, że do domu, na rodzinę wraca. Ot i tak to było, proszę pana, z tym Egiptem...

Borys Kotański, wnuk Martyna Wynnyczenki, który najpóźniej dołączył do rodzinnej piekarni w Toronto, sprowadził niedawno do Kanady swego szwagra Wołodę Smeczuka. Wołodia ma już ubezpieczenie i pracuje w piekarni razem z Borysem. Smeczukowie są najszczęśliwszymi

ludźmi w Toronto. Przez wiele lat nie mogli mieć dzieci. Już prawie zrezygnowali. W rok po przyjeździe do Kanady urodził im się piękny syn. W Yalentine Day, więc jest Walenty. Ich szczęście nie ma granic. Hadyńkowce mocno wzmocniły polską dzielnicę Roncesvalles w Toronto, a mnie dostarczyły nowych świadków z ostatniej chwili.

Wołodia Smeczuk w czasie pierwszej „Solidarności”, w 1981 roku, jako młody czołgista Armii Czerwonej stał w pełnej gotowości bojowej w swej jednostce nad naszą granicą nad Bugiem. Twierdził, że z dnia na dzień czekali na rozkaz ruszenia na Polskę. Mówiono im, że tam jest antysocjalistyczny przewrót. Władza wymyka się z rąk klasy robotniczej i trzeba zdrowym siłom narodu udzielić bratniej pomocy. Dać odpór wichrzycielom z „Solidarności”. Język Kolskich z „Czerwonego Sztandaru” królował w ZSRR dalej. Mieli w pierwszej kolejności zajmować wielkie obiekty przemysłowe i przywracać w nich ład i porządek. Po dwóch tygodniach wycofano ich z powrotem do koszar w Mińsku.

Gdyby ten rozkaz padł, czołgi w parę godzin przekroczyłyby granicę na Bugu i zajęły Chełm - ostatnią strażnicę WOP-u, na której służył major Jarosław Wawrów przed swym wyjazdem do Kanady w 1983 roku.

PRAWDZIWY CZŁOWIEK NA TORZE

- Leszek podczas swego pobytu w Polsce nagrał okupacyjne wspomnienia Marii Antoniów i jej córki Halusi. Ich dramatyczne przejścia rodzinne, zwłaszcza śmierć bohaterskiego Józka Antoniowa, zamordowanego tylko za to, że zdecydował się kierować młynem w Hadyńkowcach po wejściu Rosjan, zrobiła na mnie silne wrażenie i przysłoniła inne ciekawe historie, o których wspominał mąż Halusi, Józek Łabus. Z jednej z nich wynika, że on grał w filmie, pani Olgo...

- Ta pewnie. Rozumie się - potwierdziła z uśmiechem.

-1 to główną rolę. W słynnym filmie Andrzeja Munka „Człowiek na torze” dublował wielkiego aktora Kazimierza Opalińskiego. Obaj wystąpili w tej samej roli maszynisty. Jak kamera szła w ruch, to klapser krzychał: - Uwaga! Lecimy! Józek, kucaj!

Józek kuczał, a Opaliński wprawną ręką starego maszynisty uruchamiał parowóz. Pierwszy nim jechał, drugi udawał, że jedzie. Za kreację maszynisty w tym filmie (choć było ich dwóch) Kazimierz Opaliński otrzymał państwową nagrodę, zaś przykucnięty Józek Łabus, co naprawdę prowadził lokomotywę, wyparował. Choć była to jego życiowa rola. Na tym polega różnica, pani Olgo, między fikcją a rzeczywistością...

- To prawda. Józek do dziś przeżywa tę rolę z Opalińskim, proszę pana. Opowiada, jak oni razem tym parowozem jechali. I jak on go uczył, za co ma się chwycić...

-1 chwycił. To się nazywa talent, pani Olgo.

Kazimierz Opaliński był aktorem o rzadkiej sile wyrazu. W każdej roli był prawdziwy. Prywatnie mam do niego sentyment, bo w 1970 roku zgodził się zagrać w mojej sztuce telewizyjnej Żaglowce, białe żaglowce. Był już bardzo leciwy, a w telewizji nie istniał wtedy montaż taśmy i cały tekst nagrywano w całości na żywo. Jak ktoś się pomylił, wszyscy aktorzy musieli zaczynać od początku, przeklinając wpadkę kolegi. Był to więc dodatkowy stres. Opaliński się spiał i nie pomylił, choć na próbie bardzo się bał, czy mu pamięć dopisze.

Zagrał starego profesora przejmująco. Wszyscy wzruszyliśmy się. Niestety, była to jego ostatnia rola. Więcej już w telewizji nie wystąpił. W niedługim czasie umarł.

Drugą ciekawą historię Józek Łabus opowiedział o właścicielu młyna w Wojniczu. Ten młynarz miał go od przed wojny, po wojnie rozbudował i unowocześnił. Włożył w ten młyn kupę forsy. Wtedy przyszedł dekret o upaństwowieniu wszystkich młynów w Polsce. Chciano mu ten młyn zabrać, ale uratował go obóz koncentracyjny, pani Olgo...

-Obóz?

- Tak. Bo siedział w nim razem z Józefem Cyrankiewiczem, żelaznym premierem PRLu. Młynarz szybko pojechał do Warszawy, do Józka, a Józek dał mu z Urzędu Rady Ministrów specjalne zezwolenie na dalsze prowadzenie młyna w Wojniczu. I znów sobie spokojnie mąkę mielił, gwizdząc z nacjonalizacji przy tej lagrowej koligacji. Przetrwał cały stalinizm i dalsze lata

PRL-u.

- To rzeczywiście udało mu się - przyznała pani Olga.

- No. Hitlerizm uratował go przed stalinizmem. Tak to można filozoficznie ująć...

-Ja. Nigdy nie wiadomo, kiedy nieszczęście przejdzie w szczęście. I szczęście w nieszczęście. Szkoda, że Józek Łabus nie miał takiego Józka i musiał tak ciężko w życiu pracować w swoim parowozie.

- No, właśnie. Mój teść Władysław Kozbór mówił, że podczas okupacji, jako młody chłopak, raz ze swoim wujkiem Pałkowskim, maszynistą, z Krakowa ruszył jako palacz w trasę do Rzeszowa. Jak zszedł na dworcu z parowozu, to przyrzekł sobie, że nigdy już do węglarki nie wsiądzie. Woli kotły w parowozowni szorować, a to też lekka praca nie była. Taka to katorżna harówka. A po wojnie ten zawód opiewali poeci. Parowóz był ulubioną przerośnią. Jeden z pierwszych wierszy, na który natknąłem się w Kalendarzu Robotniczym w 1947 roku, - nosił tytuł: „O palaczu, który czytał Marksa”... Mielicie więc i wy w rodzinie palacza, pani Olgo.

- Ale on nie czytał Marksa. Dom budował...

- Zgodnie z piosenką: „Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom”... - Ja, proszę pana...

- Czasem i piewcy reżymu pisali prawdę. Budowało się ten dom. Tylko takim właśnie kosztem. Z całej Polski trzeba było zwieźć materiał, by ten dom wreszcie zbudować. A nie każdy miał parowóz i tyle pary co Józek Łabus. To niemal symbol, ten jego dom w Wojniczu, pani Olgo. I ów parowóz, którym woził mistrza naszej sceny w „Człowieku na torze” oraz szyny stropowe i budulec na swój dom przez przeszło trzydzieści lat...

ŚWIĘTO DUCHÓW

Nie sypie drobny, suchy śnieg jak wtedy, gdy męczyłem się nad pierwszym opowiadaniem, tylko żółte liście spadają z drzew. Fruną smutno w powietrzu. Silny wiatr od północy zwiewa je z klonów. Szeleszczą pod nogami. Jest rzeźki, słoneczny ranek.

Idę po Saint Mary Street. Webster jak zwykle namiętnie wacha liście, z nosem przy ziemi i ogonem w górze. Nagle krótkie rzenie konia ozwało się w końcu ulicy. Webster uniósł przednią łapę na alert i szczeknął. Co u licha? Spojrzałem w tamtą stronę. Przy kamiennej bramie Yictoria University, zamykającej tę ślepą ulicę, stał kary koń uwiązany do drzewa. Obok niego długa naczepa na kółkach. Podszedłem bliżej i odczytałem napis: „Lionels Pony Farm Petting ZOO. Firma poleca swe usługi w zakresie ślubów, wesel, rocznicowych party, parad, filmów i heyrides na przełaj!” Tym razem obsługuje film.

Dźwig operatora z wysokim siodełkiem w górze czekał już przy jupiterach ustawionych na ziemi na składanych trójnogach. Przed kamienną bramą dekorator instalował tabliczkę imitującą w świątłach mosiądz: „Greyrock Private School”. Mur uniwersytetu Yictoria zmienił się w gimnazjum Greyrock. Widać tam rozgrywała się akcja filmu. Z przewoźnej stajni na kółkach pracownik Lionelsa w zielonym kombinezonie i pomarańczowej czapce wytoczył już za dwa dyszle stare lando. Przed wyruszeniem w drogę skrzętnie pozbierał szufelką urobek karego konia, który zdążył wypuścić parę pączków na chodnik. Zniknęły w plastikowym worku.

Chwała Bogu, pomyślałem, bo inaczej Webster wyrwałby mi rękę. To jego ulubiony przysmak...

Pracownik firmy przystąpił do odkurzania szprych kół i drzwiczek powozu. Powsadzał skórzane kanapy w ramy siedzeń. Włożył bat w boczną tulejkę przy koźle. Wraz z kolegą rozłożył harmonijkę budki i naciągnął ją na dwa boczne pręty. Baldachim nad dwukółką nadał jej klasyczny kształt.

Brak tylko mości Kazareckiego herbu „Głaz”, pomyślałem. Takim koczem musiał jeździć z Ambrożym hrabia Cielecki na swe wyprawy po złote runo w dobrach hrabiów Bielskich. A kary koń wprzęgany w dyszle też mi coś przypomina...

Hadyńkowiecki obraz znów mnie dopadł w sercu Toronto. Co prawda melodia dumki ukraińskiej „Gdyby orłem być”, co „lotem orłem lub sokołem unosi się nad Podolem”, jeszcze nie doszła moich uszu, ale już zaczęło się magicznie. W końcu Halloween. Święto duchów, strachów i dziwnych zjaw. Ludzie w maskach i karnawałowych czapeczkach paradują z balonami jak na Sylwestra. Przebrane i wymalowane dzieci kwestują wszędzie. Z groźnym okrzykiem trick or treat pukają do drzwi i zgarniają do torebek swoją słodką zdobycz. Dziś w każdym domu otwiera się przed nimi kłapa z cukierkami. Nie tylko „owoczewymi”, jak w Hadyńkowcach i posiołku Skaczok. Przed każdym domem ogromna żółta dynia z płonąca świeczką w pustym czerepie uśmiecha się śmiesznie wykrojonymi ustami.

A u nas Zaduszki. Święto Zmarłych. Płoną znicze, harcerze i kombatanci zaciągają honorowe warty. W kościołach i alejach cmentarnych ostatni weterani wojny przechadzają się wśród białych,

brzozowych krzyży swych kolegów poległych przed ponad pół wiekiem. Młodych chłopców z Szarych Szeregów, powstańców, więźniów Sybiru, łagrów i kacetów. Stają przy symbolicznych mogiłach, bo ciała przepadły w nawałnicy. Jak ciało Józefa Antoniowa, bohaterskiego młynarza, zabitego przez UPA. Duch wojny ożywa, szarpiąc bólem ich serca.

Dumam nad tytułem dla resztki ziaren, skrzętnie zebranych po „nawianej burzy”. Powinien być w miarę lekki w tych ciężkich, wolnorynkowych czasach. Przynajmniej nie odstraszać. Tu, w Kanadzie, nawet śmierć potrafią dobrze sprzedać. I zachęcić do przejścia na tamten świat. W radiu zakład pogrzebowy z wdziękiem reklamuje się, zapewniając szybką i sprawną kremację, pod hasłem: „Życie jest skomplikowane, reszta powinna być prosta!” - Sarysfakcja first class cremation gwarantowana! Kłopotów żadnych! - powtarza spiker ciepłym głosem na tle muzyki Chopina. W czasie odwożenia córki do szkoły zobaczyłem raz przed sobą wielki napis umieszczony z tyłu na dużej chłodni: „Kosher Poultry. Products high quality and the respect for the tradition „. Ten napis, promujący drób koszernej najwyższej klasy, gwarantujący szacunek dla tradycji, ujrany tuż po usłyszeniu w radio reklamy szybkiej kremacji zwłok, dawał coś do myślenia...

Byłem niedawno w torontońskiej synagodze, zaproszony na bar micwę brata Kariny, przyjaciółki mojej Marysi ze szkoły, Rafaela Daniela. Tutejszy rabin wybrał z tej okazji fragment ze Starego Testamentu mówiący o tym, jak Bóg nagle przekleństwo i złe moce, trapiące lud Izraela, w szczęśliwość i dobrobyt obrócił. Wiara i moc tradycji to sprawiła.

- I to powinieneś mieć za swą gwiazdę przewodnią Danielu Rafaelu - rzekł do chłopca. - Jako młody emigrant w nowym kraju. Przybyłeś tu z dalekich stron. Wszystko jest dla ciebie trudne i obce. Nie znasz języka i tutejszych zwyczajów. Musisz się uczyć wszystkiego od nowa. Ciężko ci. Ponosisz same klęski. Ale pamiętaj. Jeśli będziesz wierzył i trwał w postanowieniu, że - jako obcy - musisz być lepszy, będziesz. Bóg ci pomoże. Zmieni twoje dzisiejsze klęski w jutrzejszy sukces. Nagrodzi twój upór i pracę.

Rabin podzielił się z wiernymi swymi wrażeniami z podróży do trzech stolic Europy Środkowej: Budapesztu, Pragi i Bratysławy.

- Były tam kiedyś wielkie skupiska Żydów i kwitnące ośrodki życia. Wspaniałe synagogi w centrum miasta - mówił. - Dziś są piękne, martwe muzea i ciężko zebrać wystarczającą liczbę wiernych, by odmówili kadysz, modlitwę za umarłych. Raz w Bratysławie, tym naszym słynnym za austriackich czasów Pressburgu nad modrym, pięknym Dunajem - ciągnął - wśród pięciu starców spotkałem młodego Żyda. Zagadnałem go. Okazało się, że jest Słowakiem, ale żydowska przeszłość Pressburga tak go zafascynowała, że nauczył się hebrajskiego i jidysz i przeszedł na judaizm. Teraz jedzie do Nowego Jorku na dalsze studia. Dziękujemy więc Bogu i Kanadzie, że stworzyła nam takie warunki, pozwoliła żyć w spokoju, pracować i modlić się. My tu, w Toronto, nie mamy ani jednego muzeum, jak tam w Europie, bo nam nie trzeba. Nasze synagogi są żywe, pełne młodych ludzi, jak Daniel Rafael na dzisiejszej bar micwie. Tu zmartwychwstaliśmy z popiołów...

Gdy to mówił, pomyślałem sobie o kopyczyńskich Żydach i świadectwie Isydora Dienera, nadesłanym z Nowego Jorku do Józefa Ruñki.

Rodzice Kariny są Żydami z Libanu. Zdążyli szczęśliwie uciec do Włoch tuż przed wojną

domową. Ich rodzinnym językiem jest francuski. Na późniejszym party większość krewnych i gości przybyłych tu z całego świata mówiła po francusku. Ale Daniel Rafael na swej bar micwie w obecności ojca i trzech najbliższych członków rodziny odczytał biegle po hebrajsku długi fragment Tory. Daniel, tak jak i Karina, zna język swych przodków.

Wiara i to święto rodzinne wszystkich zjednoczyły...

Również niedawno byłem w greckokatolickiej cerkwi na Bathurst Street na uroczystych chrzcinach małej Anastazji, córki Majka Horaka. W gablotce przy wejściu natrafiłem na kolorowy folder z historią archikatedry Świętego Jura we Lwowie. Z niego dowiedziałem się, że ufundował ją w 1280 roku na wzgórzu książę halicki Lew Daniłowicz. A w 1933 po zniszczeniach wojennych jej renowacji na zlecenie metropolity Andreja Szeptyckiego podjął się Jarosław Pasternak...

W Kanadzie, gdzie nigdy od czasów Indian nie palono obiektów sakralnych i nie niszczone miejsc kultu, nie burzono kościołów i nie zmieniano ich w magazyny soli lub domy młodzieży, to żywe, zgodne współżycie wielu religii i kultur jest godne podziwu i zazdrości. Podobnie jak niezwykła tolerancja...

W Halloween, magicznie rozpoczętym tym karym koniem, wracałem wieczorem ze spotkania u przyjaciół i nagle w małej uliczce Saint Joseph przy Queens Parku ujrzałem migające w górze cztery czerwone światełka. Były małe, poruszały się wolno, lekko tańcząc w powietrzu. Nie był to ani samochód, ani rower. Zbyt wysoko. Ki diabeł? Duchy?, pomyślałem. Dopiero kiedy podjechałem bliżej, rozpoznałem dwóch policjantów na koniach. Z tyłu do siodeł mieli przytroczone po dwie czerwone lampki. Kołyszac się sennie w siodłach, patrolowali swój rejon z wyżyn koni, na wypadek gdyby jakaś grupa wesołków w maskach wyskoczyła ze zbyt dużym wrzaskiem i rozróbami na ulicę...

Halloween upłynął więc pod znakiem konia. Policyjnego i tego karego, który zagrał w historycznym filmie. Tylko świeczka pod portretami moich rodziców przypominała mi, że w Polsce są Zaduszki...

POMNIK NAD JEZIOREM ONTARIO

- Leszek mi wciąż książki podtyka. Lubię te z moich stron. Rodziewiczówną - mówi Olga Wawrów. - Niedawno dał mi jedną do poczytania, czekaj pan. Ja do tytułów nie mam głowy. Coś ta zawiąło w nim...

- Zasypie wszystko, zawieje...

- O, ja. „Zasypie wszystko zawieje” - powtórzyła śpiewnie. - Leszek mówił: „trudna, ale niech mamusia spróbuje”. Ja spróbowała i fajna jest. Całą ją przeczytała. Nad ranem dopiero skończyła. Nic ta trudnego w niej nie było. Sama prawda, widzi pan. Ja to wszystko na sobie przeszła. Co tam jest napisane. I wiem. Tak było. On nic nie zmyśla, proszę pana. Ten autor.

- Włodzimierz Odojewski.

-Ja, ja. Teraz ja sobie przypomnęła. Lesio bardzo go chwali. I podziwia...

-Nie tylko Lesio, pani Olgo. Odojewski dał świadectwo prawdzie, gdy innym pisarzom w kraju się o tym nie śniło. Na samo słowo „Katyń” mdleli. Ja też. Nie będę krył. Bałem się. Unikałem tego tematu jak ognia i po cichu podziwiałem wówczas Włodka za jego desperację i odwagę. Pisał do szuflady. Mord katyński w 1969 roku był w Warszawie absolutnym tabu.

- W Toronto też, proszę pana. Pamiętam, ile Wieko i inni kombatanci musieli się nachodzić, nim wreszcie ten pomnik katyński wzniesli. Nasz City Hall nie chciał im dać zgody i wciąż zwlekał z decyzją...

- Wiem. To był chyba pierwszy katyński pomnik na świecie w centrum wielkiego miasta. Przypominam sobie, jaki podniósł się krzyk, gdy nasi kombatanci przedefilowali ze sztandarami główną ulicą King Street i zaciągnęli wartę honorową przed pomnikiem, oddając hołd swym pomordowanym w Katyniu kolegom. Głośno mówiąc, że to nie Hitler dokonał tej zbrodni, lecz Stalin. Słuchałem wtedy w Warszawie tych sprawozdań z Radia Wolna Europa. Toronto jeszcze nie znałem. Ambasada ZSRR wystosowała ostrą notę, żądając usunięcia pomnika i położenia kresu prowokacjom antyradzieckim. Tak samo zareagowała ambasada PRL-u, twierdząc, że to perfidnie przez bankrutów politycznych, dążących do storpedowania polityki odprężenia, wybrany moment. Nie tylko w Polsce Katyń był sprawą drażliwą. W wolnym świecie też. Kłopoty z tym pomnikiem nad jeziorem Ontario najlepiej o tym świadczą.

Byłem wtedy nad innym jeziorem - we Wdzydzach Tucholskich na naszych Kaszubach - gdy ten rozdział katyński Odojewski mi czytał z maszynopisu na cienkiej, przebitkowej bibułce. Spędzaliśmy wspólnie wakacje i Włodek szlifował trzy tomy swej powieści (pierwotnie planował trylogię), które potem ścisnął do jednego. Wieś Wdzydze wciąż miała chaty słomą kryte, odcięta była od świata i swym zastojem przypominała czas opisywany przez Włodka.

Pewnego dnia poszliśmy odebrać mój kajak-składak nadany z Warszawy na tutejszą stację. Stacyjka nazywała się Baję i leżała w samym sercu Borów Tucholskich. W dworcowej poczekalni ze zdziwieniem ujrzeliśmy dużą lampę naftową wiszącą u sufitu. Elektryczności tam jeszcze nie było.

Wracając przez stary, sosnowy bór, natknęliśmy się na opuszczony pałacyk myśliwski, malowniczo położony nad leśnym jeziorkiem. Gdy spytaliśmy naszą gospodynię, dlaczego stoi pusty, pani Słomińska odparła, że w tym domu straszy. W nocy pojawia się tam duch panny młodej w białej sukni, z długim welonem. Podobno ta panna młoda umarła przed wojną i odtąd z uporem nawiedzała ten pałacyk. Ostatni właściciel w strachu przed nią uciekł. Pani Słomińska twierdziła, że też ją raz widziała, jak błędziła nad stawem.

Pływaliśmy potem kajakiem po jeziorze Wdzydze, dyskutując o książce Włodka. Pejzaż tej małej kaszubskiej wioski sprzyjał szczerym rozmowom. Podłuchu na drzewach nie było. Co najwyżej ptaki śpiewały.

W naszej chacie wynajął też izbę przedwojenny pułkownik lotnictwa, który tu, w lesie, zbierał rogi jelenie i handlował porożem. Opowiadał nam sporo o przedwrześniowym wojsku, gdy upewnił się, że może z nami swobodnie rozmawiać. Pod topolą stał wózek z moją trzymiesięczną wówczas Magdą, córka Włodka Kątka, która dziś mieszka we Francji, miała wtedy trzynaście lat i bawiła się obok, a my gadaliśmy sobie na przyzbie. Potem przyjechał do nas mój ojciec i dołączył do tych rozmów. Znał Włodka jako młodego chłopca z Koła Młodych Związku Literatów Polskich w Poznaniu, którym się opiekował z ramienia Zarządu Głównego ZLP. Tata pierwszy zwrócił uwagę na jego elegancką, jak się wyraził, prozę i od razu powiedział do mnie, pamiętam:

- Z niego będzie pisarz, synu.

A był to rok 1954. W 1969, po piętnastu latach, kiedy dowiedział się, jak wielkiego tematu w swej książce Włodek dotknął, i zapoznał się z fragmentami tekstu, miał wielką satysfakcję, że się na nim nie zawiódł. Zawsze cieszył się z rozwoju talentu swych wychowanków. Był urodzonym pedagogiem. Tak że z tą książką wiążą się moje dodatkowe, rodzinne wspomnienia. W 1993 roku moja najstarsza córka, Magda (wówczas w wózku, jak powiedziałem), napisała na Uniwersytecie Jagiellońskim pracę magisterską pod tytułem: Językowa realizacja pojęcia pamięci w opowiadaniach Włodzimierza Odojewskiego. Dlatego ta proza jest mi tak bliska. I cieszę się, że spodobała się mojej bohaterce Oldze Wawrów - zwróciłem się do pani Olgi.

- Bardzo, proszę pana - przyznała z przejęciem.

- Bo dla tej książki Odojewski zdecydował się zostać na Zachodzie. Pamiętam wszystkie jego rozterki, o których rozmawialiśmy, chodząc razem po Paryżu w 1971 roku.

Za powiedzenie prawdy o Katyniu i opublikowanie jej w Instytucie Literackim Jerzego Giedroycia w Paryżu, a potem natychmiastowe wydania: francuskie, niemieckie i włoskie, zapłacił bardzo wysoką cenę. Opuścił kraj, swoje świeżo kupione piękne mieszkanie na Żoliborzu przy placu Inwalidów i musiał wieść żywot politycznego emigranta. Do tego mieszkania, bezprawnie zagrabionego przez ludzi z byłej nomenklatury PRL-u w czasie, gdy pracował w Radiu Wolna Europa, dopiero przed paru laty mógł wrócić. Odzyskał je w trudnym procesie, który cudem wygrała Jola Zabarnik-Nowakowska - żona pisarza Marka Nowakowskiego, świetny i odważny adwokat, śmiała obrończyni wielu członków naszej opozycji demokratycznej i podziemia „Solidarności”, dziś znanych działaczy politycznych - wraz ze swym kolegą mecenasem Markiem Mazurkiewiczem. Było to wielkie zwycięstwo sprawiedliwości nad pseudoprawem PRL-u. W strachu przed tą katyńską

prawdą dyspozycyjni krytycy i pisarze obrzucali błotem Odojewskiego. Gdy już nie mogli podważyć jego bezspornego talentu, ukuli obiegową formułkę, że to bardzo trudna, zawiła proza, całkiem nieczytelna i niezrozumiała dla zwykłych czytelników, dostępna tylko dla wybranych.

- To ja jestem wybrana - zaśmiała się Olga Wawrów. - Bo ja wszystko rozumiała, co w niej jest. I dawno ta żadnej książki tak nie przeżyła...

- Jeszcze jeden przykład, jak często krytycy się mylą...

- Ta pewnie. A że się pan bał, panie Jarko, to ja się całkiem nie dziwię. Bo ja boję się do dziś. Nawet tu pewnych rzeczy nie mówię. Bo po co? Lepiej furtkę zamknąć i już. Ostrożnym być...

- Jak tato Martyn?

- Ja. Może ja to po nim mam? Tę ostrożność w sobie, proszę pana.

LOT „KUKURUDZIANNIKIEM”

Późnym wieczorem zachciało mi się kiełbasy swojskiej. Kucnąłem więc przy lodówce i, wstając, rąbnąłem czołem w kant rączki zamrażarki. Jak to zrobiłem - nie wiem. Widać Bóg chciał mnie pokarać za grzech obżarstwa. Nie je się o tej porze. I do tego kiełbasy. Tylko Webster je non stop. Ale nie można się aż tak upodabniać do swego psa.

Rozbiłem czoło w tym samym miejscu co kiedyś. A może to znak?, pomyślałem. Bóg, pukając mnie w czoło, przypomniał mi, że powinienem o tym napisać. Odkładałem więc Hadyńkowce i wracam do Warszawy.

Jest grudzień 1967 roku. Sypie drobny, suchy śnieg. Wybieram się na polowanie do pięknego łowiska Koła Literatów w Płytnicy. Droga daleka, ale ma mnie wieźć Jerzy Pomianowski, więc lżej. On się będzie męczył za kierownicą. Biorę moją flintę, prezent od ojca, i pakuję się. Moja żona Irena jest pełna obaw. Wierzy w swoje przeczucia. Miała wyjątkowo zły sen. Prosi, bym nie siadał obok kierowcy. Przysięgam więc jej solennie. Jesteśmy świeżo po ślubie, ledwie sześć tygodni.

Wyprawa się nie klei. Umówieni byliśmy o trzeciej w kawiarni Związku Literatów, a o szóstej Pomianowskiego wciąż jeszcze nie ma. Czekamy we trzech. Oprócz mnie poeta i tłumacz Zbigniew Stolarek i Jan Knothe, znany architekt, parający się również piórem. Już chciałem zrezygnować z całej wyprawy, gdy wpadł zdyszany Pomianowski i, uchylając z gracją myśliwskiego kapelusza, zawołał:

- Darz Bór, koledzy! Wóz gotów, kierowca także. Darujcie mi ten mały poślizg, ale knę się na Boga i partię, że nie mojaż to wina! Sud ‘ba, jak mówią przyjaciele Moskale...

Okazało się, że miał pierwszy firmowy przegląd nowego fiata 124, którego właśnie był dostał na przydział od ministra. W tych latach iść z nowym zachodnim wozem do przeglądu to tak, jak wieść dziecko do Pierwszej Komunii. Równa duma i wielkie przeżycie. Zrozumieliśmy więc to w pełni i usprawiedliwiliśmy. Po obejrzeniu szczęśliwego nabytku i złożeniu gratulacji nabywcy zaproszeni zostaliśmy przez niego do środka.

- Wzywam waszmościów na stanowiska - rzekł Pomianowski. - Miejsc nie wyznaczam, jednakowoż jeśli któryś z szanownych kolegów zapragnie siąść przy kierowcy i zechce go zabawiać, tenże będzie szczerze rad. Daję słowo - spojrzał na mnie wymownie.

Taktownie ustąpiłem miejsca starszym kolegom. Oni jednak zdecydowali inaczej:

- My mali, mamy krótkie nóżki, z powodzeniem zmieścimy się z tyłu. A pan Jarek wyższy, niech sobie siada z przodu...

Nie było wyjścia. Złamałem słowo dane żonie i zająłem miejsce przy kierowcy. Pasów ten nowy fiat nie miał... Ruszyliśmy. Długa droga przed nami była jak lodowisko. Do Płytnicy bite sześć godzin jazdy. Ale od czego kierowca. Nie musiałem go bawić, sam nas bawił. Trzeba znać Pomianowskiego. Wyjątkowo kolorowy ptak. Wkrótce odleciał do ciepłych krajów „na emigrację erotyczną”, jak sam mawiał, gdzie został zasłużonym profesorem literatury na Uniwersytetach w Bari

i Pizie, świetnym tłumaczem dzieł Sołżenicyna. Wtedy, w 1967 roku, był już znanym krytykiem teatralnym i scenarzystą filmowym. Z zawodu lekarz pełnił jednocześnie godność prezesa Polskiej Unii Pisarzy Lekarzy.

Od chwili powstania Studenckiego Teatru Satyryków w 1954 roku wiernie nam towarzyszył. Był na liście stałych gości. A to niemało. Każdy chciał przyjść na naszą premierę, w strachu, że do drugiego spektaklu już nie dojdzie. Cenzura go zdejmie. Bywało już tak... Pomianowski najgłośniejsze się śmiał, najzyczliwiej o nas pisał. Tłumaczył cenzorom i władzy, że ten STS to jeno niewinne studenckie igrzyska i PRL od tych żartów się nie zawali. Ta rozładowująca robota recenzencka, zaświadcza, że w STS-ie min niet, była wtedy bardzo cenna. Nie chroniła jednak samego sapera od częstego wpadania na miny, zwłaszcza gdy chciał przyswoić nam prawdziwie wielką literaturę rosyjską.

A właśnie był przetłumaczył Armie Konną i Opowiadania Odeskie Izaaka Babla. Zachwyciliśmy się tą prozą i postanowiliśmy wystawić. Cenzura łaskawie nam puściła i monodram w wykonaniu Wojciecha Siemiona cieszył się wielkim powodzeniem. Dodatkową atrakcją tego spektaklu był temat. Wojna 1920 roku. Oficjalnie w naszym państwie - w którym obowiązywała przyjaźń polsko-radziecka - wojna ta nie istniała. Nagle wskrzeszona w surowym zapisie Babla, który wiernie i bez upiększeń ukazał okrutny bój kozaków Budionnego z polskimi ułanami, obudziła uspięte emocje. Ludzie przecierali oczy. Tylko w naszym - teatrze mogli usłyszeć takie rzeczy. Biegli więc tłumnie, spiesząc się w obawie, że ten trefny spektakl władza zdejmie.

Jerzy Pomianowski jako myśliwy to oddzielny temat. Las zmieniał w teatr.

Na polowanie jechał jak aktor. W kostiumie i z własnymi rekwizytami. Mój ojciec, który z nim się przyjaźnił, mówił, że Pomianowski w lesie jest jak bażant. Mieni się wszystkimi kolorami tęczy i dopiero tu może pokazać swój barwny ogon. My przy nim to szaraki... Był bohaterem wielu anegdot. Raz przechadzał się w lesie tam i z powrotem. W końcu nie wytrzymał i krzyknął:

- Czy wy, do cholery, nie widzicie moich nowych, myśliwskich butów?! Jego popisowym numerem był rzut japońskim kordelasem. Demonstrował go z lubością zdziwionej służbie leśnej.

- Pan leśniczy raczy spojrzeć - mówił. - Rzucam ten nóż do wody, a on, bestia, nie tonie. Pływa sobie jak kaczka - i rzeczywiście nóż pływał. Zdumienie leśników i nagonki było pełne. Aż pewnego dnia rzucił nóż, a on, bestia, zatonął. Teraz Pomianowski oniemiał. Jeden z kolegów zrobił mu ten głupi żart: wywiercił w rączce dziurkę i unikalny kordelas japoński poszedł na dno. Pomianowski był niepokieszony.

Andrzej Jarecki opowiadał, że gdy raz odwiedził go w jego mieszkaniu na Narbutta i pili spokojnie kawę, nagle Pomianolo, jak go ciepło nazywaliśmy, zerwał się, chwycił za strzelbę i złożył się do dużej kawki siedzącej na drzewie. Jarecki przestraszył się, że wypali.

- Szyba, panie Jerzy - krzyknął. I to go, jak sądził, powstrzymało. Oczywiście Pomianowski nie strzeliłby. Wszystko było dobrze wyreżyserowane.

W dniu naszej wyprawy do Płytnicy zmarł liberalny popaździernikowy minister kultury i sztuki

Karol Kuryluk, redaktor przedwojennych lwowskich „Sygnałów”. Pomianowski wysłuchał radiowego komunikatu i bardzo się tym zmartwił. Wciąż powtarzał: - Niezwykle przyzwoity człowiek. Skromny, przyjazny naszemu środowisku. Znakomity redaktor. To wielka strata. Wielka. Odszedł zbyt wcześnie. Zbyt wcześnie...

Co jakiś czas zatrzymywał wóz i sprawdzał warunki: - Mała próba nawierzchni - wyjaśniał, suwając butem po oblodzonej szosie. - Musimy wiedzieć, czego się trzymać, a trzymać się nie ma czego, panowie. Przyczepność kół żadna - wyrokował. - Poślizg w każdej chwili grozi. Wszelako - znów siadał za kierownicą - od czego kierowca, moi mili? Od tego, by ten niekontrolowany poślizg zmienił w kontrolowany, a siłę niszczącą w budującą. - Ruszaliśmy znowu. - Jak to zrobić, zapytacie? - wykladał dalej. - Primo nie hamować, to zasada. Secundo - żadnych gwałtownych ruchów. Łagodnie sterować wóz...

Nagle urwał. Łagodnym łukiem pędziliśmy na przydrożną topolę. Gwałtownie wcisnął hamulec. Na nic. Czarny pień ogromniał przed nami. W świetle reflektorów zdawał się magiczny. Przyciągał do siebie z jakąś fatalną siłą. Szansa, że go minimy, była żadna. Czekałem na to czołowe zderzenie dziwnie spokojnie. Z jakąś głupią nadzieją, że nie będzie to moja ostatnia sekunda. Zaparłem się mocno nogami w podłogę i fotel, pamiętam, i czekałem na cios. Trwało to wieki. Wreszcie nastąpił. Błysnęło. Gdy otworzyłem oczy, było ciemno. W grobowej ciszy odezwał się głos Pomianowskiego:

- Czy wszyscy żyją?

- Tak - odparli koledzy z tyłu.

- A pan, panie Jarku?

- Też. Tylko raka nie mogę ruszyć...

- To szczęśliwie - odetchnął z ulgą. - Robiłem, co mogłem. Wierzcie mi, panowie. Ale te drzewa przy szosie to zbrodnia. Specjalnie je sadzą, by nas zabić. Cudem umknęliśmy śmierci. Cudem!

Dotknąłem czoła. Było mokre. Krew zalała mi oko. Pomianowski wysiadł. Nasz wóz odrzucony został od drzewa i wylądował pośrodku szosy. Wysiadłem również i ułożyłem się w pryzmie śniegu na poboczu. Zacząłem sobie przykładać śnieg do czoła. Pomianowski biegał ode mnie do wozu i wciąż powtarzał: - Mój Boże. Nowy fiat zdruzgotany. Cała maska zmiażdżona. A pańska ręka?

-Też. Wisi...

- Tuż po przeglądzie. Co za pech! Co za pech! Musimy go zepchnąć, panowie...

Z trudem przesunęli wóz na pobocze. W ciemnościach rozróżniałem tylko ich głosy. Szosa jak na złość była pusta. Nikogo nie było widać. Wreszcie z daleka ukazały się światła reflektorów. Nadjechał wóz. Kierowca nysy zatrzymał się i zgodził się zawiadomić najbliższy posterunek milicji

i pogotowie o naszym wypadku.

Pomianowski w rozpaczy omiatał latarką to mnie, to swego nowego fiata i narzekał: - Cały bok do wymiany. Nie wyklepie go. O, Boże! Co za nieszczęście. A pan?

- Mnie też trzeba będzie klepać. I składać, obawiam się. Bo ręką nie mogę ruszyć, tylko palcami...

- Zbadałbym ją, ale tu nie mam warunków. Odwagi. Zaraz nadjedzie pomoc - pocieszył mnie i znów pobiegł do wozu. - Nawet jakbym zapalił motor, panowie, to i tak nie możemy jechać, bo ramię dźwigni zmiany biegów wyrwane - stwierdził.

To ja je wyrwałem, łamiąc o nie moje ramię. I z odrzutu wybijając boczną szybę własnym czołem. W sumie, jak na tak duże zniszczenie fiata, nie czułem się źle. Leżałem w przyzbie śniegu przytomny. Krew śniegiem udało mi się zatamować. Tylko ta ręka. Nawet nie bardzo bolała. Koledzy pocieszali mnie, że pogotowie już w drodze. Wkrótce rzeczywiście przyjechało. Z karetki wysiadł dyżurny lekarz i spytał:

-Są ranni?

- Są, doktorze - Pomianowski poprowadził go do mnie. - Według mojej wstępnej oceny kość ramienia złamana, chyba z przemieszczeniem, i ogólne urazy ciała. Wstrząsu mózgu nie stwierdziłem. Jestem lekarzem, kierowcą tego wozu - dokończył.

- Ach, tak? - rzekł z szacunkiem młody lekarz. - Niech się pan nie rusza - rzekł do mnie. - Zaraz weźmiemy pana na nosze...

Wraz z kierowcą wniósł mnie do karetki. Po zabezpieczeniu fiata wszyscy koledzy ruszyli za mną... Okazało się, że wpadliśmy na topolę pod Aleksandrowem Kujawskim i do tego miasta nas wieźli. Na miejscu nasz kierowca cały szpital postawił na nogi:

- Jestem doktor Jerzy Pomianowski - przedstawił się. - Osobisty przyjaciel ministra zdrowia. Jadąc z Warszawy, ulegliśmy wypadkowi. Najbardziej poszkodowany jest kolega - wskazał na mnie - i on wymaga pomocy w pierwszej kolejności. Tuszę, że jej pan natychmiast udzieli, doktorze. Sprawnie i skutecznie...

Tak wywołany lekarz rentgenolog z konieczności postanowił zostać chirurgiem. Dał mi zastrzyk znieczulający, unieruchomił rękę w szynie i przystąpił do twarzy.

- Nie jestem w tym specem - przyznał szczerze. - Prześwietlam raczej płucka, buziek nie szyję, ale zszyjemy ją. Zaccserujemy - kiwnął się lekko. - Czego Polak nie robi, jak musi, nie? - mrugnął do mnie serdecznie. Jego twarz zmniejszała się i zwiększała. Przy bliższych najazdach na mnie chuch i poślizg mowy wskazywał, że lekarz też jest po zastrzyku. Lekko znieczulony. Ale jego spokój i luz oraz to miarowe kiwanie się działały na mnie kojąco. Co jakiś czas nawlekał igłę, wzdychając ciężko: - Ucho nie to, psia kość. Ciężko trafić. Ale trafimy. Spokojnie. Czego Polak nie robi, jak musi...

Jako chirurg plastyczny najwyraźniej debiutował na mojej „buźce”, wywołany ostro przez Pomianowskiego.

Nazajutrz obejrzał mnie dyrektor szpitala, starszy, miły chirurg o pięknym nazwisku Dębiec, które zaraz zapamiętałem, i oznajmił, że moja ręka wymaga operacji, której on chętnie się podejmie, ale decyzję pozostawia mnie. Osobiście uważa, że w Warszawie warunki będą miał lepsze. Wysokie koneksje Pomianowskiego w Ministerstwie Zdrowia najwyraźniej sprawiły, że stałem się pacjentem wagi państwowej i nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał ryzykować. Chyba że po zastrzyku znieczulającym, jak ów rentgenolog.

Wybrałem Warszawę. Dwóch kolegów wracających z rana do Warszawy (Jerzy Pomianowski, lekko potłuczony, został trochę dłużej) poprosiłem, by jak najdelikatniej powiadomili moją rodzinę. Telefony zamiejscowe działały wtedy tak, że przez okazję było szybciej. Potem o tym „delikatnym” zawiadomieniu tak opowiadał mój ojciec:

- Zadzwoił do mnie Zbyszek Stolarek i mówi:

- Słuchaj Igor. Jarek miał wypadek samochodowy. Przepraszam cię, ale jestem tak zdenerwowany, że zadzwonię za chwilę...

Tata był pewien, że nie żyję. Potem usłyszał, że tylko ręka, ale wciąż uważał, że stan jest bardzo ciężki. Nie chcąc powtarzać błędu Stolarka, powiadamiając mamę, od progu wołał:

- Basiu! Jarek złamał rękę! Tylko rękę! Żyje! Przysięgam! Mieli kraksę samochodową!

Mama znów myślała, że tą ręką tata ją pociesza, a w rzeczywistości jestem umierający. Krótko mówiąc, katastrofa pod Aleksandrowem Kujawskim nabrała w Warszawie apokaliptycznych rozmiarów. Mój stan uznano za krytyczny i postanowiono natychmiast przewieźć mnie do Warszawy. Włodek Odojewski, z którym wtedy pracowałem w radiu w dziale literackim na Myśliwieckiej, stanął na głowie i przez prezesa Włodzimierza Sokorskiego załatwił dla mnie samolot sanitarny. Był to stary kukuruźnik z wojny. Ponieważ wzięto mnie prosto z łóżka na nosze, licząc na szybki przelot do Warszawy, nie włożyłem nawet spodni, pozostając w długich, zielonych myśliwskich gatkach. Niesiony z wszelkimi honorami z karetki do samolotu czułem, jak mnie lekko podwiewa pod kocem na tym polowym lądowisku.

Dzień był mroźny. Nie sypał co prawda drobny, suchy śnieg, ale mgła była straszna. Bałem się, że samolot nie odleci, ale dzielny pilot wystartował. W środku kabiny, obok moich noszy siedział młody chłopiec, który miał sparaliżowane nogi. Dopiero jednak w locie się o tym przekonałem. Kukuruźnik perkotał i trząsł się strasznie. Gdy bujało nas mocniej, chłopiec zsuwał się na mnie tak, że zdrową ręką musiałem go z powrotem osadzać na miejscu. Co gorsza, wraz z perkotem nasilał się smród spalin, który wdzierał się do naszej kabiny. Ten smród wraz z huśtaniem wywoływał mdłości. Pierwszy zaczął chłopiec. Sanitariusz podał mu torebkę. Lot stawał się coraz bardziej nieznośny. Byłem

pewien, że za chwilę będę w Warszawie, tymczasem minęła godzina, a my wciąż trzęśliśmy

się w tym smrodzie. Nasza kabina nie była przedzielona i mogłem słyszeć strzępy rozmowy sanitariusza z pilotem.

- On się nie nadaje na te warunki. Przyrządy całkiem wysiadły. Mówiłem nie lecieć - skarżył się pilot.

- Orientuj się według Wisły, Wacek - doradzał mu sanitariusz.

- Bez ciebie wiem. Ale w tej mgle mało co widzę. Ten grat z demobilu dobry na złom, cholera. To nam go przydzielili! Kiedyś się na nim zabiję...

- Ruska myśl techniczna. Przodująca - drwił sanitariusz.

Ogarnął mnie lęk. Do tego było mi duszno. Chłopiec obok wymiotował do torby. Perkotało mi w głowie. Miałem dość tego kukuruźnika. Pocieszałem się tylko, że po tej godzinnej męce dolatuję już do Warszawy. Nagle usłyszałem głos pilota:

- Zgubiłem Wisłę, kurwa. Nic nie widzę. Nie ma co ryzykować, Zenek. Zawracamy.

I wylądowaliśmy w Bydgoszczy, dalej od Warszawy niż Aleksandrów, skąd wylecieliśmy. Na pogotowiu lekarka bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie mam żadnej wolnej karetki do Warszawy, panowie - zaklinała się. Widząc jednak, że my z samolotu sanitarnego - lepsi goście - zdobyła w

końcu ambulans i z dużym poślizgiem czasowym ruszyliśmy do Warszawy. Na ten poślizg widać byłem skazany. Kierowca jechał ostro. Chłopiec obok zasnął ze zmęczenia. Teraz jeszcze bardziej bezwładny spadał ze swego siedzenia na moje nosze. Musiałem więc być w pogotowiu. Po tym zderzeniu z topolą na każdym zakręcie wydawało mi się, że łagodnym łukiem wylatujemy z szosy. Najwyraźniej miałem uraz.

Wreszcie po pięciu godzinach jazdy zajechaliśmy przed szpital Akademii Medycznej na Lindleya w Warszawie. Rodzina i bliscy czekali już od popołudnia i nie wiedzieli, co o tym naszym opóźnieniu myśleć. Irena podbiegła do mnie nerwowo, wciąż nie mogąc sobie darować, że mnie puściła.

- A mówiłam, nie jedź! Czułam, że coś się stanie! Czułam! I proszę - wzdychała, patrząc na mnie. Do dziś widzę przerażoną twarz mamy. Ze śliwą pod okiem i raną „zaccserowaną” przez ofiarnego rentgenologa nie wyglądałem tego, ale żyłem. Wszyscy odetchnęli z ugięciem.

W szpitalu wzięto mnie na zabieg. Dostałem się w ręce dwóch świetnych chirurgów, doktorów Szulca i Bieżańskiego. Zrobiono mi rentgen. Po obejrzeniu zaczęto składać kość metodą zachowawczą. Oczekiwałem największej tortury, tymczasem ból okazał się niestraszny. Nazajutrz na obchodzie profesor Marian Garlicki, znakomity chirurg ortopeda, przedwojenny absolwent wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, oświadczył śpiewnie:

- Złamanie z przemieszczeniem, szpara na palec, ale zostawimy ramię bez operacji. Młody

człowiek, niech się zrasta. Weźcie go na samolot...

- Jezus Maria! Tylko nie to! - przeraziłem się. Miałem dość samolotów. Na myśl o nowym kukuruźniku brały mnie mdłości...

Okazało się, że ten samolot to z kolei twór polskiej myśli ortopedycznej. Konstrukcja polegała na tym, że pacjenta zawijało się od bioder po szyję w gipsowy pancerz, zostawiając mu tylko okrągłą dziurę wokół pępka na swobodniejszy ruch żołądka. Przedtem zgiętą w łokciu rękę odводziło się do poziomu barku i wspierało na kijku od szczotki biegnącym ukośnie od biodra po łokieć. Z tym białym skrzydłem wyglądałem może nie jak kukuruźnik, ale jednopłatowiec z pierwszej wojny światowej. Nie była to konstrukcja wygodna (dzięki niej nauczyłem się spać na plecach), ale skuteczna. Byłem szczęśliwy, że na Boże Narodzenie wyjdę do domu. Spędzę święta ze świeżo poślubioną żoną w naszym nowym mieszkaniu na Filtrowej.

„Samolot” utrudniał mi wiele czynności, tym bardziej, że jestem mańkutom, a to była lewa ręka. Mój dowcipny przyjaciel z STS-u Andrzej Jarecki kiwał smutno głową i powtarzał: - Biedny Jarek. To czym on teraz będzie pisał? - sugerując, że dotąd wszystko pisałem lewą ręką.

W tym pancerzu poszedłem na nasz zjazd szkolny w rocznicę matury. Na moim zagipsowanym biuście, jak na popiersiu pomnika, złożyli podpisy wszyscy koledzy z klasy. Również ci, którzy wkrótce po Marcu 68 mieli wyjechać na stałe z Polski. Wśród nich Wilek Dichter, późniejszy fizyk, specjalista od pocisków balistycznych, którego niedawno wydana książka Koń Pana Boga, o dzieciństwie w Borysławiu, stała się wydarzeniem literackim. Znów kresowy Borysław i koń. No, proszę. Przyrzekłem sobie, że ten pancerz gipsowy z autografami kolegów schowam na pamiątkę. Niestety. Gdy mi go wreszcie zdjęli, ze szczęścia zostawiłem gips w szpitalu.

Z kierowcą fiata 124 Jerzym Pomianowskim spotkałem się po latach w Warszawie w jego nowym mieszkaniu, które - jak twierdził - kupił za pieniądze z Sołżenicyna. Tyle bowiem po 1989 roku wyniosło honorarium za pierwsze wydanie Archipelagu Gułag i innych dzieł Sołżenicyna w jego pięknym przekładzie. Mieliśmy o czym rozmawiać. To właśnie do Pomianowskiego mój ojciec napisał swój ostatni list. Na dzień przed śmiercią w październiku 1987 roku.

Tak więc nagłe uderzenie starą blizną w rączkę zamrażarki spowodowane przyziemną chęcią zjedzenia kiełbasy swojskiej wywołało taką lawinę wspomnień.

I to znów „nieprzypadkowy przypadek”, myślę. Na pewno zaś znak.

IDĄC NA PRZECHŁOST

W dziesięciolecie polskiego Października Leszek Kołakowski wygłosił słynny odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym poddał miazdzącej krytyce politykę ekipy Gomułki. Twierdził, że z przyrzeczeń odnowy i demokratyzacji partii nic nie zostało. Wrócono do starych metod. Na górze PZPR-u zawrzało. Autor, wówczas członek partii, stanął przed Komisją Kontroli Partyjnej. Postanowiono poznać zdanie innych partyjnych pisarzy i - licząc, że go potępia i odetną się od niego - zaczęto ich pojedynczo wzywać przed specjalnie powołaną Komisję KC, której przewodniczył towarzysz Zenon Kliszko. Wśród wezwanych pisarzy znalazł się mój ojciec. Kiedy przyszedł, puszczone mu niewyraźną taśmę magnetofonową z przemówieniem Kołakowskiego i kazano ustosunkować się do treści. Tata powiedział, że taśma jest niewyraźna, ale - z tego co usłyszał - w zasadzie zgadza się z Kołakowskim. Uważa bowiem, że w Polsce dzieją się rzeczy, które nie mają nic wspólnego z socjalizmem.

- Na przykład? - spytał Kliszko.

- Choćby nasze prawo. Wie towarzysz, ile ono kosztuje na Mazurach, w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom?

-No, ile?

- Pięćset złotych. Bo tyle trzeba dać w łapę, żeby jego uniknąć. I wie o tym każdy chłop...

Kliszko oburzył się i zaczął robić ojcu wykład z podstaw socjalizmu. Potraktowany przez niego jak uczeń tata zdenerwował się i rzucił:

- Wy mnie nie ucicie socjalizmu, towarzyszu, bo ja go poznałem nieco wcześniej, w 1919 roku w Rosji i mam na ten temat wyrobione zdanie...

Kliszko skrzywił się i mruknął:

- Niedaleko padło jabłko od jabłoni, jak widzę - najwyraźniej myśląc o moich Derbach w pałacu.

Nazajutrz po tym przesłuchaniu ojciec udał się do pop Związku Literatów i osobiście złożył legitymację partyjną. W ten sposób chciał uniknąć ciosu i nie być narażony na różne nagany czy wyrzucenie z partii. Potem zadzwonił do mnie, mówiąc, że chce się ze mną spotkać. Gdy przyszedłem, nic w domu nie powiedział i przeszliśmy do jego garażu. Ponieważ urządził sobie w nim stolarnię, myślałem, że chce mi pokazać swój nowy mebel. Tymczasem on otworzył drzwi od swego samochodu i gdy usiedliśmy w jego starej skodzie, ścisłym głosem oznajmił mi, że właśnie złożył legitymację partyjną.

- Nadchodzą ciężkie czasy, synu - powiedział. - Dla ciebie i dla mnie. Musimy się z tym liczyć. Partia nam tego nie daruje...

Nie czekałem długo. Prezent nadszedł 4 grudnia 1966 roku, akurat na imieniny mojej mamy. Siedzieliśmy sobie wesoło przy stole, gdy zadzwonił Jerzy Kreczmar, który po Jasińskim objął

dyrekcję Teatru Polskiego, i poprosił mnie na chwilę rozmowy. Ponieważ mieszkał w sąsiedniej klatce, zaraz tam pobiegłem. Kreczmar, który znał mnie od dziecka, zafrasowany oświadczył, że właśnie otrzymał z ministerstwa zalecenie „wyciszenia” mojej sztuki. Tak to się wtedy nazywało. Ostatnie trzy przedstawienia mają się odbyć w najbliższym tygodniu.

- Prywatnie bardzo mi przykro, panie Jarku, bo planowałem długo utrzymać pańską sztukę w repertuarze, ale - jako dyrektor - muszę się podporządkować dyrektywie ministerstwa. Jeśli pragnie pan coś działać w tej sprawie, to chętnie się włączę, choć osobiście wątpię w skutki podobnej interwencji. Myślę, że klamka zapadła. Na ogół nie cofa się takich decyzji. Zwłaszcza teraz...

Dziś dziwię się, że znalazłem w sobie tyle energii do prowadzenia walki. Mietek Rakowski, który - jako stary entuzjasta STS-u - ofiarował swą pomoc, doradził mi, bym się odwołał właśnie do Kliszki, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że decyzję tę uważam za karę wymierzoną mi za ojca. Sztuka bowiem szła od paru miesięcy w wielu teatrach i nagle we wszystkich ją zdjęto. A oficjalnie mówi się, że odpowiedzialność rodzinna w Polsce nie istnieje.

Kliszko sam nie odpowiedział mi na list, ale w jego imieniu wezwał mnie do siebie ówczesny kierownik Wydziału Kultury KC Wincenty Krasko. W przyjaznych słowach, wyraźnie zakłopotany, próbował uzasadnić zdjęcie sztuki błędną koncepcją reżysera Ludwika Renę. Twierdził, że Renę niepotrzebnie pewne sceny przejawiał. Stało na tym, że sztukę „odwieszą”, jeśli te reżyserskie zmiany zostaną wprowadzone. Sprawę dalej miało przejąć Ministerstwo Kultury, czyli dyrektor Witold Halicki, teatrolog i mój kolega z ZLP, któremu formalnie podlegał Państwowy Teatr Polski w Warszawie.

W grudniu 1966 roku na próżno kołatałem do jego ministerialnego gabinetu. Poinformowano mnie, że od jego decyzji zależy wznowienie sztuki. Nigdy by jej

nie podjął, gdyby nie zmusił go do tego jego zwierzchnik, wiceminister kultury i sztuki Kazimierz Rusinek. W przeciwieństwie do bezpartyjnego Balickiego - zdeklarowany komuch, jak byśmy dziś powiedzieli. Przedwojenny działacz PPS-u, organizator ochotniczych brygad „Czerwonych Kosynierów” w obronie Gdyni w 1939 roku. Podczas okupacji więzień Oświęcimia. Na przełomie 1967 i 1968 roku jako sekretarz generalny ZBoWiD-u wygłosił ostre, prorządowe przemówienie uznane przez nas za moczarskie i antysemityczne. Rok wcześniej jednak w sprawie moich Derbów zachował się przyzwoiciej od mojego kolegi z ZLP. Straciwszy nadzieję, że kiedykolwiek się do Balickiego dostanę, w rozpaczy zapukałem do gabinetu jego szefa. O dziwo, natychmiast mnie przyjął. Wyjaśniłem, że mam dość gonitwy wokół moich Derbów i chcę wreszcie usłyszeć męską odpowiedź: tak czy nie.

- To jeszcze jej nie macie? - zdziwił się. - Słyszałem, że dali wam zgodę...

- Może i dali, ale teatr o tym nic nie wie...

- A kto ją ma wydać?

- Dyrektor Balicki. On jest wprowadzony w całą sprawę...

- Wezwijcie dyrektora Balickiego. Niech weźmie ze sobą akta sprawy sztuki Abramowa Derby w pałacu - zlecił sekretarce. - Zaraz wszystko wyjaśnimy - uspokoił mnie.

Prawie natychmiast zjawił się w gabinecie nieuchwytny przed chwilą dyrektor Balicki. Zwalisty i wielki, z teczką moich akt pod pachą, sunąc, usłużnie zgięty w pół, nieodparcie przypominał postacie z Gogola.

- Co jest, dyrektorze?! - natarł na niego Rusinek. - Siedzi tu u mnie towarzysz Abramow i skarży się, że robimy z niego wariata. Wciąż nie dajemy odpowiedzi. Jak to w końcu jest z tymi Derbyami? Słyszałem, że KC i towarzysz Kliszko dali zgodę. Tylko reżyser miał coś zmienić...

-No, właśnie. W tym sęk, towarzyszu ministrze. Jest tam bowiem fragment wciąż dla nas nie do przyjęcia. Mianowicie scena torturowania, przy koniu, głównego bohatera sztuki Karbota. Kojarzy się ona niedwuznacznie z działaniami naszych służb. I cenzura to kwestionuje...

- Nie cenzura - przerwałem mu. - Cenzura dawno puściła i przedstawienie szło sześćdziesiąt sześć razy, tylko potem je zdjęto...

Wiedziałem, że zdyął je ten sam Kliszko, któremu już na premierze sztuka się nie podobała. Siedział ponuro w pierwszym rzędzie obok swej córki i ministra spraw zagranicznych Jędrychowskiego i ani razu się nie uśmiechnął. Obserwowałem go z górnej bocznej łoży. Zdenerwowany dyrektor Teatru Jerzy Jasiński (już wkrótce przestał nim być) wpadł do mnie na przerwie i blady z emocji powiedział:

-Niedobrze, panie Jarku. Leżymy. Kliszko bardzo niezadowolony. Ale jest nadzieja. Córce się podoba. Może ona go w domu przekona...

Przez trzy dni od oficjalnej prasówki w żadnej gazecie nie ukazała się recenzja - rzecz bez precedensu. Zwykle już nazajutrz po premierze się ukazywały. Wreszcie wszyscy recenzenci jak jeden mąż orzekli, że tylko pierwszy akt udał się młodemu autorowi. Potem, niestety, sztuka się rozlaźla i jest chybiona. Przeżyłem to mocno. Wiedziałem, że jest odwrotnie. Kwestionowany fragment sztuki pochodził właśnie z III aktu. Po latach dopiero dowiedziałem się, że wszyscy recenzenci wezwani zostali na odprawę do Wydziału Prasy KC, gdzie zalecono im „dać odpór” i pisać o sztuce krytycznie. MofeDerby więc od prapremiery wisiały na włosku.

- Ja naprawdę nic nie widzę w tej scenie - rzekł Rusinek po przeczytaniu podsuniętego mu przez Balickiego tekstu.

- Chodzi o kwestię sekretarza Byrczaka, towarzyszu ministrze - wskazał palcem Halicki. - Konkretnie o to zdanie - cytował głośno: „Podkreście mu rączki, chłopcy. Hrabia daje za »Rubina«, »Sarmatę« i »Domatora« po pięć tysięcy dolarów. Otrzymasz swoją dolę. No, Karbot! Nie udawaj Chrystusa! Znalazłoby się coś niecoś w twoim rewolucyjnym życiorysie. Jest o co zahaczyć”.

- No to jest. I to was tak zaniepokoiło?

- Nie mnie. Uważam, że obiektywnie źle się kojarzy. Współpraca hrabiego, emigranta z

Kanady, z sekretarzem naszej partii ma niedobry wydzźwięk. Handlują wspólnie końmi za dolary...

- A za co mają? Za złotówki?! - zaśmiał się minister. - Przecież wiadomo, że pilnie potrzebujemy dewiz...

- Nie za cenę pryncypiów, towarzyszu ministrze - bronił się Halicki. - Podkręcanie rączek i podwieszanie na koniu pozytywnego bohatera sztuki przez sekretarza partii Byrczaka i jego chłopców sugeruje, że nasza władza stosuje niedozwolone środki przymusu. Sekretarz Byrczak osobiście smaga dyrektora Karbota pejczem. A przyglądający mu się hrabia mówi o knucie i zwyczajach Tatarów stepowych, którzy idą na przechłost. Ten „przechłost” polegał na wzajemnym batożeniu się po odsłoniętych plecach. Kto pierwszy w polu padł, ten przegrywał, a zwycięzca zabierał konia. I to wszystko mówi się w kontekście podkręcania dyrektorowi Karbotowi rączek, towarzyszu ministrze. Przesłanie jest jasne...

- Można mniej podkręcać - rzekłem pojednawczo. - Reżyser zawsze może złagodzić tę scenę...

- No, właśnie. To kwestia reżyserii - poparł mnie Rusinek. - To co? Wznawiamy sztukę w nowej inscenizacji, czy nie? Człowiek nie może bez końca czekać na naszą decyzję. Chce wreszcie wiedzieć. Odpowiedzmy mu po męsku. Wznawiamy sztukę, czy nie? Co proponujecie, dyrektorze?

- W takim razie puśćmy ją może próbnie. I ograniczmy liczbę przedstawień do dwóch w miesiącu. Zmniejszymy w ten sposób oglądalność...

- Po co? Jak ludzie chodzą - niech chodzą. Co mamy zmniejszać?

- Skoro towarzyszu minister tak twierdzi, to ja, oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. Tym lepiej dla naszego autora. Będzie miał znów dewizy - zażartował po koleżeńsku.

- Uzgodniliśmy więc. Sprawdzicie w takim razie, dyrektorze, przebieg tej próby. I nową wersję inscenizacji sztuki...

- Jeśli nie ja, towarzyszu ministrze, to na pewno ktoś z resortu - zapewnił Balicki, taktycznie uchylając się od odpowiedzialności.

- Czy mogę w takim razie zawiadomić teatr, że jest zgoda na wznowienie prób? - spytałem.

- Tak. Możecie się powołać na mnie - oświadczył Rusinek i z tym się rozstaliśmy.

Ludwik Renę wznowił próby, lekko przereżyserował scenę tortur przy koniu i nikt z ministerstwa tego nie obejrzał. Hrabia Dembopolski z Toronto dalej mówił w Warszawie - ponad sto razy - swoją kwestię: „Azja nadchodzi”, ku radości widzów, - dopóki sztuki definitywnie nie zdjęto po marcu 1968 roku.

Wcześniej, po szesnastu przedstawieniach zdjęto ze sceny Teatru Narodowego w Warszawie Dziady Adama Mickiewicza. Ten głośny spektakl Kazimierza Dejmka wzbudził olbrzymie emocje. Jeszcze większe jego zdjęcie. Paru kolegów, wśród nich Jan Józef Lipski, Antoni Słonimski, Paweł Jasienica i Andrzej Kijowski, postanowiło publicznie zaprotestować. Wystąpili z inicjatywą

zwołania w tej sprawie nadzwyczajnego zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich.

W rzeczy samej było ono nadzwyczajne. Takiego zebrania nie zwołano od 1922 roku i aby do nie'go doszło, należało zebrać ponad jedną trzecią głosów całego Oddziału Warszawskiego. Liczył on przeszło sześćset osób, w tym stu dwudziestu członków pop PZPR, której I Sekretarzem był wówczas Jerzy Putrament. Władze partyjne, przeciwne zebraniu, zakazały swym członkom składania podpisu pod wnioskiem. Mimo to około czterdziestu kolegów wyłamało się z dyscypliny partyjnej i podpisało się pod nim. Wśród nich Jerzy Pomianowski. Zebrano dwieście trzydzieści trzy podpisy i prezes Oddziału Wanda Żółkiewska rozesłała do wszystkich komunikat informujący, iż „na wniosek członków Oddziału Warszawskiego ZLP w liczbie przewidzianej przez statut Zarząd Oddziału Warszawskiego zwołuje Nadzwyczajne Walne Zebranie, które odbędzie się w dniu 29 lutego br. w sali ZAIKS-u (ulica Hipoteczna 2). W pierwszym terminie o godzinie 16.00, w drugim o 16.30. Wstęp za okazaniem legitymacji ZLP”*

Przybyło około czterystu osób. Prowadziła zebranie prezes Wanda Żółkiewska. Do pomocy jej wybrano z sali dwóch asesora, którymi zostali Artur Międzyrzecki i mój ojciec, Igor Newerly. Zdecydowano, że rezolucje głosowane będą tajnie. Odczytano list znanego publicysty i kompozytora Zygmunta Mycielskiego adresowany do prezydium zebrania. Mycielski życzył nam w nim „aby zebranie stało się wyrazem stanowiska Związku Literatów Polskich, które wykaże, że zakazy i zezwolenia w stosunku do największych dzieł literatury światowej i polskiej nie mogą być rezultatem obaw i małostkowego tropienia aluzyjności”. Odważny ten list narzucił nam odpowiedni ton i przypomniał, że zebraliśmy się tu rzeczywiście w nadzwyczajnej sprawie, której dotąd w Polsce nie było.

* Dane i cytaty z dokumentów zaczerpnąłem z książki Jerzego Eislera Marzec 1968, Warszawa 1991.

Ze strony władz - zabrał głos dyrektor generalny w Ministerstwie Kultury i Sztuki Stanisław Witold Balicki, z którym, jak właśnie opisałem, miałem świeże porachunki. W długim wystąpieniu próbował uzasadnić decyzję rządu. Tłumaczył, że Dejmek w swej inscenizacji odstąpił od pierwotnych ustaleń, które razem z nim, Balickim, uzgodnili. Zacytował przedwojenną recenzję Słonimskiego, w której poeta pisał, że „ogrom natchnienia zawarty w Dziadach jest bogactwem narodowym, ale bogactwem dość kłopotliwym”. Podpierając się tym cytatem, dowodził, że utwór wymaga nadzoru politycznego. Sala zrozumiała „nadzoru policyjnego” i wybuchnęła śmiechem.

Balicki w typowo orwelowskiej nowomowie przekonywał nas w imieniu władzy, że kiedy „przedstawienia Dziadów stały się pretekstem do opozycyjnych demonstracji nieodpowiedzialnych ludzi, postanowiono usunąć pretekst, żeby przede wszystkim wielkość Mickiewicza nie była nadużywana...”

Przypomniałem sobie rozmowę w gabinecie Rusinka. Również stanął mi w oczach fotos młodego Balickiego, przypadkowo znaleziony na okładce jubileuszowego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, tak zwanego IKC-a. Był to konserwatywny dziennik krakowski, w którym Balicki przed wojną pracował. Z poglądami IKC-a walczyła prasa lewicowa i dla pepeesowca Rusinka IKC przed wojną był nie do przyjęcia. Byli więc wtedy po dwóch stronach nie tyle biurka, co

barykady. Na tym zdjęciu z okazji dziesięciolecia pisma młody Balicki stał w pierwszym rzędzie, tuż obok redaktora naczelnego, szefa tego potężnego koncernu prasowego, Mariana Dąbrowskiego. Wtedy pracował dla IKC-a, dziś dla KC i kac był spory.

Gdy słuchałem teraz jego wywodów, mdliłp mnie jak w tym kukuruźniku, który z braku przyrządów orientował się według Wisły. Tacy dyspozycyjni eksperci byli po stokroć gorsi od prostych aparatczyków. Ci przynajmniej nie udawali naszych kolegów i po zebraniu nie przysiadali się w kawiarni, rozprawiając o wyższych sferach sztuki.

Zaczepony w referacie przez Balickiego Antoni Słonimski pierwszy zabrał głos. Przyznał, że istotnie napisał przed wojną, iż Dziady są bogactwem dość kłopotliwym, ale - czego Balicki nie przeczytał - dla rządów dyktatorskich. W błyskotliwym stylu wyśmiał wszystkie bzdury polityki kulturalnej partii.

Przypomniałem sobie, jak w sali tegoż naszego Związku polemizował z wszechmocnym szefem PZPR-u, towarzyszem Zenonem Kliszko. Kliszko przyszedł wtedy uzasadnić szkodliwość tak zwanego Listu 34 i „dać odpór” jego sygnatariuszce Marii Dąbrowskiej, która treści tego listu broniła. Przywykły do wstawania z miejsc i braw na każde jego wejście, powitany martwą ciszą już był mocno spięty. Ledwie włożył okulary i zaczął martwym głosem czytać, gdy z pierwszego rzędu ozwał się głos:

- Głośniej, synku, bo nic nie słyszę...

Sala gruchnęła śmiechem. To przedwojenna piękność Izabela Czajka-Stachowicz, prototyp panny Leopard ze Wspólnego pokoju Zbigniewa Uniłowskiego, tak ciepło go powitała.

Oniemiały Kliszko zdjął okulary z nosa i z miną karawaniarza oświadczył:

- No, wiecie. Nigdy jeszcze nikt tak do mnie nie mówił - i, obrażony, zwinął kartki, chcąc zejść z mównicy.

Czujący swą partyjną odpowiedzialność za zabezpieczenie sali, Jerzy Putrament zawołał swymi ostrym głosem z wileńskim akcentem:

- Nie bójcie się! Towarzysz Sekretarz zaczął cicho, za to skończy głośno!

Znów się zaśmiano. Kliszko się nieco udobruchał i przystąpił do przemówienia. Gdy skończył, zabrał głos Słonimski. Stojąc na estradzie o dwa kroki od dygnitarza, mówił do niego wprost:

- Pan, panie Kliszko, próbuje nas tu przekonać...

To „pan” zamiast „towarzysz” odarło nagle wszechwładnego luminarza, szefa ideologicznego PZPR-u z wszelkiej władzy. Oto siedział przed nami mały, szary człowieczek, który wielkiemu poecie nie był w stanie nawet do rzeczy odpowiedzieć. Słonimski po prostu sprowadził go do właściwego wymiaru. W polemice, jak wiadomo, był mistrzem. Miał też natychmiastową ripostę.

W 1973 roku z jego inicjatywy ustanowiliśmy Nagrodę Niezależnych i postanowiliśmy ją

przysłać Kazimierzowi Orłowskiemu za powieść Cudowna melina wydaną na emigracji w Instytucie Literackim w Paryżu. Wręczenie jej miało nastąpić w moim domu. Mieszkałem wówczas na czwartym piętrze w starym budownictwie na Filtrowej i głupio mi było tak wysoko fatygować starszego już pisarza. Kiedy przystanęliśmy, by odetchnąć, na drugim piętrze, wskazałem otwór na klatce schodowej, mówiąc:

- Jak pan widzi, windę zaplanowano tu w 1928 roku i dotąd jej nie zrobiono.

- Nie szkodzi. To ja poczekam - odparł natychmiast. Humor nie opuścił go nawet podczas tej wspinaczki.

Myślę, że wściekły atak na Słonimskiego po naszym zebraniu w sprawie Dziadów miał swoje źródło w tym wcześniejszym spotkaniu na sali ZLP. Ponura ekipa Gomułki nie cierpiała umysłów błyskotliwych i dowcipnych. Bała się ich. Po doświadczeniach Kliszki i innych dostojników PRL-u jak ognia unikała publicznych spotkań z literatami. Wiedziała, że w naszej wolnej, nie w pełni zabezpieczonej sali jest z góry przegrana. A może być nawet ośmieszona. Dlatego do literatów wysyłała ludzi typu Halickiego. Wyższych urzędników państwowych ze środowiska, którzy, umiejętnie strasząc nas w imieniu rządu, starali się nagiąć opornych do linii partii.

Sami przywódcy zaś pilnie wsłuchiwali się w nasz głos. A mieli czego posłuchać. Po Słonimskim wszedł na mównicę Paweł Jasienica. Uznał zdjęcie Dziadów za typowy przykład „rządzenia bez żadnej kontroli społecznej” i domagał się jej przywrócenia. Odczytał antysemitkę ulotkę, kolportowaną na Uniwersytecie Warszawskim, mającą wyraźnie ubecki charakter. Na zakończenie krzyknął: - Hańba!

- Hańba! - odkrzyknęliśmy chórem.

W podobnie krytycznym tonie zabierali głos inni wybitni pisarze: Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski, Artur Międzyrzecki. Leszek Kołakowski powiedział, że „cała dramaturgia światowa - od Ajschylosa poczynając, poprzez Szekspira, a na Ionesco kończąc - jest jednym wielkim zbiorem aluzji do Polski Ludowej”.

Do historii przeszło przemówienie Stefana Kisielewskiego. Jak zwykle przekorny i odważny Kisiel mówił tak:

- Byłoby oczywiście rzeczą śmieszną, gdybyśmy dzisiaj mówili o sprawie Dziadów, nie rzucając jej na szersze tło. Ja bym drastycznie mógł powiedzieć, że jeśli ktoś przez dwadzieścia dwa lata dostaje po gębie i nagle w dwudziestym trzecim się obraził - to jest coś dziwnego...

Upomniał się o przemilczanych w PRL-u pisarzy emigracyjnych: Lechonia, Wierzyńskiego i największego poetę swego pokolenia Czesława Miłosza.

- Co się stało ze znanym na całym świecie, a nieznanym w Polsce Witoldem Gombrowiczem? Historia w Polsce korygowana jest wstecz na zasadzie interesu politycznego jakiejś partii... Zarządzenie cenzurą zależy od jakiegoś ciemniaka, który na przykład zabrania pisać o stuleciu urodzin Józefa Piłsudskiego. Ciemniacy w Polsce uzbrojeni są w monopol władzy.

Jeszcze raz powtórzył o „skandalicznej dyktaturze ciemniaków w polskim życiu kulturalnym”. Nie sądziłem, że ci „ciemniacy” zrobią taką karierę. Przyznaję, że to słowo „ciemniak” wydało mi się wtedy mocno tracące myszką. Z innej epoki. Ty ciemniaku, czy ty neptku, mógł powiedzieć bohater Wiecha Maniś Kitajec, ale nie my, młodzi. Tymczasem „ciemniak” użyty przez Kisiela w odniesieniu do naszych władców nagle odżył i nabrał siły pocisku. Trzeba przyznać, że nasi wodzowie też walnie się do tego przyczynili. Wściekła polemika Gomułki jeszcze bardziej to słowo wśród ludzi spopularyzowała. Ciemniak stał się własnością narodu.

Zgłoszono pod głosowanie dwie rezolucje. Jedną w imieniu pisarzy partyjnych przedstawił Stanisław Ryszard Dobrowolski, drugą Andrzej Kijowski, reprezentujący tych, którzy do tego walnego zebrania doprowadzili. Partyjna rezolucja Dobrowolskiego ubolewała nad zdjęciem Dziadów, przestrzegała jednak przed prowokacją wrogich sił „sprzecznych z interesami naszego ludowego państwa”. Rezolucja Kijowskiego, ostro zredagowana, w pięciu punktach kategorycznie domagała się od władz PRL-u nie tylko wznowienia Zjazdów, ale przywrócenia tolerancji i swobody twórczej zgodnie z naszą wiekową tradycją. W drugim punkcie stwierdzono: „System cenzury oraz kierowania działalnością kulturalną i artystyczną jest arbitralny i niejawnny, nie określone są w nim kompetencje poszczególnych władz ani sposób odwoływania się od ich decyzji”.

Trudno się było z tym punktem nie zgodzić. Każdy z nas przeszedł go na własnej skórze. Koledzy partyjni też. Niemniej na sali stwarzano atmosferę psychozy. Nasi nadzorcy wpadli w panikę i, zarzucając nam histerię, sami mówili takim tonem, jakby odrzucenie przez nas partyjnej rezolucji Dobrowolskiego miało ściągnąć na kraj katastrofę, a na nasze głowy największe nieszczęścia. Putrament klarował po koleżeńsku, że to nie jest metoda rozmowy z kierownictwem partii. Forma nacisków i żądań wywoła tylko przeciwną reakcję.

- Wierście mi, koledzy - mówił. - Cenzura się jeszcze zaostry i wszystko stracimy. Ja ich znam, wiecie. Gomułka to trudny facet. Bardzo ciężki w rozmowie. Nie ma poczucia humoru. Ma uraz na punkcie literatów. Ale powiedzcie, kto, według was, mógłby go zastąpić? Może kardynał Wyszyński, co nawet z Watykanem, proszę ja was, nie potrafi się dogadać?! Nikt. Innego kandydata niż Gomułka nie ma. Niestety. Krótko i węzłowato, moi mili. W żołnierskim stylu, rozumiecie. Chcecie wojny? To będziecie ją mieć. Tylko pamiętajcie. Mnie za to będą bić...

Przywykliśmy do jego stylu. Mieszanki grózb i obietnic okraszonych często dowcipem. To jego wileńskie zaciąganie, owe „wiecje, rozumiecie”, przypominało lepsze czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ten kresowy zaśpiew wzbudzał mój sentyment i mocno łagodził polityczny ton wypowiedzi. Wiedziałem: Pucio to Pucio. Stupaja, ale miła. I mocno oswojona. Ani trochę się go nie bałem.

Gorzej było z innymi. Przemówienia autora popularnych Kolumbów, żołnierza Armii Krajowej i działacza podziemia kulturalnego podczas okupacji niemieckiej, Romana Bratnego autentycznie się zląkłem. Znałem go z paru polowań jako miłego kumpla. Na tej mównicy nagle ujrzałem zimnego gracza politycznego, który z ręką w kieszeni, pewny swych racji i poparcia góry, przestrzega nas przed zgubnymi emocjami. Odwołał się do swego narodowego życiorysu, a nawet do ojca, przedwojennego pułkownika. Stwierdził, że nie umiemy myśleć w kategoriach państwa. Z uśmiechem wyższości odradzał nam porywanie się z motyką na słońce. Co prawda minister kultury

i sztuki Lucjan Motyka siedział na sali, ale milczał. Wiadomo było, że nie o tego Motykę chodzi. Ten był miękkim liberałem, podobnie jak Rusinek przedwojennym pepeesowcem i więźniem Oświęcimia. Mówiło się o nim, że Motyka każdego namydli, nikogo nie ogoli. Czyli miły chłop, ale nic nie może. A tu chodziło o mocnego człowieka, który nie zawaha się wziąć nas za pysk. Po tej zgubnej rezolucji nie będzie się z nami cackał jak Motyka. Wyaresztuje, powsadza i cześć. Cień tego wodza z chłopcami od podkręcania rączek i znajdowania haków w życiorysie unosił się nad przemówieniem Bratnego. W kontekście panicznych głosów, że za chwilę na salę wkroczą „zdrowe siły narodu”, by nauczyć nas prawdziwego patriotyzmu i poszanowania władzy, nie brzmiało to miło. Ktoś powiedział, że widział budy na placu Teatralnym, I że aktyw organizacji Wola, najbardziej pracy do konfrontacji, ma spacyfikować nasze zebranie.

W moim pancerzu gipsowym, z odwiedzioną ręką „na samolocie”, nie bardzo rwałem się do tej walki. Nie chciałem mieć drugiej ręki złamanej. W przerwie obrad Jerzy Pomianowski podszedł do mnie i serdecznie przywitał.

- Niezmiernie mi przykro, panie Jarku - powiedział - że tak się stało. Szczerze nad tym boleję. Ale naprawdę byłem bezsilny.

- Wiem.

- Szczęście, że udało mi się rąbnąć w bok tej topoli, a nie w sam środek, bo wtedy byłoby po wszystkim. O cztery głosy mielibyśmy mniej na tym zbraniu...

- To prawda.

- Raz jeszcze pana przepraszam. Czuję się strasznie podle, że tak paskudnie pana urządziłem. Proszę mi wierzyć.

- Ależ, panie Jerzy! Nie ma o czym mówić! - zbagatelizowałem sprawę.

- No, jednak. Lewica wciąż w gipsie. Ten pancerz nie ułatwia panu życia, jak mniemam - spojrzał na mnie smutno.

- Jakoś się z tym skrzydłem sokoła zżyłem. Wszędzie dolecę - zakpiłem.

- Jak sokół z Konarmii Izaaka Babla, co? - Zagipsowany...

- No, właśnie. Łowy z sokołem nam nie wyszły, ale miejmy nadzieję, że będzie lepiej. Choć osobiście wątpię. Czarno to widzę. Bardzo czarno. Zbyt mocno trąci sowiecką lekcją, którą już przerabiałem. Ale co robić?! Wypadliśmy z kursu i lecimy na drzewo. Poślizg to poślizg - rozłożył bezradnie ręce. - Boję się tylko, że dziś będzie czołowe zderzenie jak nic. Frontalne. Przetasowanie na najwyższych szczeblach władzy. Nasze zebranie to tylko przygrywka. Podgatowka. Po niej polecą głowy. Tak mniemam. Obym się mylił. Słowem, dorogoj towarzysz Abramow, partyjna czystka, według klasycznych stalinowskich wzorów. Jestem tego w pełni świadom, nadstawiając dziś karku. Absolutnie. A zatem - puknął mnie w pancerz - teraz pan wie, na jaką rezolucję mamy głosować. I kogo należy bezwzględnie odstrzelić? - spojrzał na mnie wymownie.

- Jasne, panie Jerzy.

- A jeśli nawet niejasne i nie bardzo wiadomo, jak postąpić, to na wszelki wypadek warto zachować się przyzwoicie. Tak radzę. Tej złotej dewizy Słonimskiego się trzymam. Nawet jeśli przyjdzie mi popamiętać ruski miesiąc. Z czym serio się liczę, jako członek partii wysłuchawszy naszych popów z popu. Krasnych komandarmów awangardy świata, jak mawiał smacznie cudowny Izaak Emmanuelowicz, rozstrzelany przez tychże „krasnych komandarmów”, którym służył. Miałem zaszczyt go tłumaczyć i z uporem lepszej sprawy przepychać u naszych „komandarmów”. Z marnym skutkiem, jak pan wie?

- Wiem, panie Jerzy - przyznałem.

-No, więc, drogi panie Jarku, na Boga, trzymajmy się! I życzę jeszcze raz szybkiego zrzucenia tego gipsu, w który pana tak niecznie zakułem, mój drogi sokole...

- Postaram się.

- Z pewnością pozbędzie się go pan szybciej niż my sztywnego dogmatu na tej sali. Bo właśnie zaczyna się gipsowanie. Nasze tajne głosowanie ma „dać odpór”. Ale czy da? Skoro tej „awangardy” coraz więcej? Chłopcy moczarowcy i „zdrowe siły narodu” już stoją kielnią w rękę, by kneblować nam usta! Boję się, drogi panie Jarku, że bronimy z panem straconej sprawy. Obym był fałszywą Kasandrą. Wkrótce się przekonamy! I uwidim, drogoj drug. Zbierając ten plon - potrząsnął wyborczą kartką i jak straceniec udał się na swoje miejsce.

W tej atmosferze przystąpiliśmy do wyborów. W tajnym głosowaniu partyjna rezolucja Dobrowolskiego uzyskała sto dwadzieścia cztery głosy, a Kijowskiego - dwieście dwadzieścia jeden. Dziesięciu kolegów oddało białe kartki. Na czterystu trzydziestu obecnych na sali w głosowaniu wzięło udział trzystu pięćdziesięciu sześciu. Jeden głos był nieważny. Komisja skrutacyjna ogłosiła oficjalnie, że Walne Nadzwyczajne Zebranie Oddziału Warszawskiego ZLP większością głosów przyjęło rezolucję zgłoszoną przez Andrzeja Kijowskiego. Na sali zerwały się oklaski. Przy tych naciskach i groźbach był to wielki sukces.

W pewnym momencie do prowadzącej zebranie Wandy Żółkiewskiej podbiegł Andrzej Tchórzewski i powiedział, że budynek ZAIKS-u jest otoczony wozami pancernymi. Żółkiewska wyszła z sali, po chwili wróciła i dramatycznym głosem zaapelowała do zebranych o wyrażenie zgody na zamknięcie zebrania.

- Są bardzo ważne powody, ażebyśmy zebranie natychmiast skończyli. Zaufajcie mi, koledzy. Staralam się przewodniczyć i dać wam dowody swojej lojalności. W tej chwili przerywam zebranie. Bardzo was o to proszę. Zamykam obrady.

Po chwili zaczęliśmy opuszczać salę. Artur Międzyrzecki potem wspominał, że pół godziny wcześniej nie było już wśród nas członków partii. Tego nie pamiętam. Natomiast pamiętam świetnie rozmowę telefoniczną Jerzego Putramenta. Stałem przy szatni i słyszałem, jak mówił:

- Nie przysyłajcie ludzi. Nie trzeba. Odeślijcie ich z powrotem. Sami opanowaliśmy

sytuację...

Wychodząc z grupą kolegów, spodziewałem się jakichś bojówek robotniczych. Tymczasem nikogo nie było. Plac Teatralny był pusty.

Potem nastąpił wściekły atak na literatów i polemika z nimi samego Gomułki. Z poparciem dla nas wystąpili studenci i pracownicy naukowcy. Zaczęły się tak zwane wypadki marcowe. W prasie oskarżano komandosów i członków klubu „Babel” o organizowanie wieców. Wyciągano na pierwszy plan nazwiska Blumsztajnow, Szlajferów, Rabinowiczów i Dajczgewandów. Pisane w liczbie mnogiej miały sugerować wroga, żydowską robotę.

Istnieje pogląd, że generał Moczar chciał wykorzystać to lutowe zebranie, parł do awantury i że prowokacja się nie udała. Wykorzystał moment, że Gomułki chwilowo nie było w kraju. Zgrana, masowa akcja jego chłopców w całej Polsce tę teorię potwierdzała. Na wszystkich kontrwiecach padały te same hasła: „Studenci do nauki”, „Pisarze do pióra”, „Żydzi do Izraela”! Co głupszy krzyczeli „Syjoniści do Syjamu”! W walce o władzę Moczar nie oszczędził i premiera Cyrankiewicza. Moczarowcy od dawna głosili, że naprawdę nazywa się Cymerman. O przyjacielu Gomułki Marianie Spychalskim na długo przed marcem krążył dowcip: „Halo?! Czy to Mosiek?! - Nie. Marszałek Spychalski”. Od razu wiedziałem, że komórka od żartów MSW (bo i taka była) nie śpi.

Gomułka po powrocie do kraju rozprawił się z literatami i studentami w sobie właściwy sposób. Z pasją zacieklepryncypialności napiętnował po nazwisku Słonimskiego, Kisielewskiego i Jasienicę. Pucio się nie mylił. Poczucia humoru I Sekretarz nie miał. I nawet on, Putrament, członek KC i wypróbowany towarzysz po pieriekowce we Lwowie, musiał się gęsto tłumaczyć z tego, że w ferworze naszego zebrania, mówiąc o nim, użył zwrotu „ten facet”. I Sekretarz KC PZPR w żadnym wypadku nie mógł być facetem. I do tego trudnym w rozmowie.

Zaczęło się słynne pałowanie studentów. Młodzież śpiewała:

„Generał Moczar ma rację!

Mamy w Polsce demokrację!” - na nutę znanej lwowskiej melodii „Maruszka, moja Maruszka!”

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem studentów skandujących do uzbrojonych w maski i pały zomowców: - „Gestapo! Gestapo!”

Wołali też: „Prasa kłamie!” Kłamała w istocie. Styl lwowskiego „Czerwonego Sztandaru” królował wszędzie. Stefan Kolski doczekał się godnych następców. Mógł być z nich dumny. Paru naszych kolegów (w tym uroczy kompan z polowań i bohater Powstania Warszawskiego) włączyło się do tej nagonki. Po co? Nie wiem. Dziś pewnie żałują.

Raz, uciekając ze swoim „samolotem” po jakimś studenckim wiecu, ratowałem się skokiem do taksówki. Taksówkarz, patrząc na moją rękę, z wrodzonym warszawskim humorem rzucił:

- Ładny gips. Nieźle pana załatwili. W tym Wietnamie. Na polach ryżowych - mrugnął do mnie porozumiewawczo. Wstyd mi było się przyznać, że to nie ryżowe pola, lecz topola, więc przytaknąłem tylko, udając ofiarę wypadków marcowych.

W szkole deklamowaliśmy w chórze recytatorskim prowadzonym przez naszego niezapomnianego znakomitego polonistę profesora Zdzisława Liberę wiersz Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego zaczynający się od słów:

„W kolebce całowanym wolności ustami.

Został ten znak na czole i ten znak mnie pali”.

Było to moje pierwsze zetknięcie z poezją Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, autora partyjnej rezolucji z lutowego zebrania ZLP.

Nagle przypomniało mi się nazwisko Zygmunta Mycielskiego. Od jego listu przecież to zebranie się zaczęło. On poddał nam właściwy ton. Świetny kompozytor. Laureat nagrody muzycznej księcia Monaco. Ulubiony uczeń słynnej Nadi Boulanger, której cennych rad słuchał sam Igor Strawiński.

Zygmunta Mycielskiego znałem przelotnie. Moje pierwsze spotkanie z nim było czysto wizualne. W połowie lat pięćdziesiątych na koncercie jazzowym my tańczyliśmy, a on stał obok orkiestry wysoki i smukły, z zadartą wysoko głową, jak koń cugowy”, wsłuchany w grę muzyków. Zastanawiałem się, kim jest ten godny, starszy pan. Nie tańczy. Widać miłośnik jazzu, pomyślałem. Dużo później dowiedziałem się, że to Zygmunt Mycielski.

Drugie nasze spotkanie miało miejsce w Paryżu na dworcu Gare St.Lazare. Polecony zostałem Mycielskiemu przez Zygmunta Hertza, z którym od dawna się przyjaźnił. Mycielski odjeżdżał właśnie do Warszawy i ja, korzystając z okazji, dałem mu list i książki „Kultury”. Wziął tę trefną przesyłkę bez słowa, elegancko, jakby chował chusteczkę do butonierki.

Trzeci raz spotkaliśmy się w jego domu. Tym razem odbierałem paczkę od Zygmunta Hertza i list z „Kultury”. Uderzyło mnie wtedy, że wybitnie skromnie mieszka. Wręcz po spartańsku: w małym pokoju, w którym w zasadzie jest tylko wielki czarny fortepian ze stertą nut.

Zygmunt Hertz mówił o nim zawsze: - Zygmunt Mycielski to bardzo miły, porządny człowiek. Jeden z najprzystojniejszych ludzi, jakich znam..

Pochodził ze starego hrabiowskiego rodu, tego samego, z którego wywodził się Stanisław Cielecki, rotmistrz kawalerii narodowej, starosta borszczowski i właściciel Hadyńkowiec, syn Anny z Mycielskich Cieleckiej. W przeciwieństwie jednak do marcowych „patriotów” nie potrząsał narodową szabelką. Godnie i odważnie stanął po stronie bitych, a wcześniej stać go było na ten list w sprawie Dziadów do naszego Prezydium ZLP. Podobnie jak stać go było na jednostkowy protest przeciw wkroczeniu wojsk Paktu Warszawskiego do Czechosłowacji.

Może dlatego, że miał te głębokie - hadyńkowieckie, chciałoby się rzec - korzenie.

OSTATNI MOHIKANIE

Dokładnie 16 września 1998 roku, w typowe dla Kanady Indian Summer, gdy liście na drzewach z wolna żółciły się, a pogoda wciąż była ciepła i letnia, witałem na lotnisku Pearson w Toronto profesora Bohdana Wynnyczenkę, syna stryjka Iwanka, tak szczegółowo opisanego przeze mnie w Nawiało nam burzę. Bohdan zaproszony został przez Leszka Wawrowa, którego dopiero teraz ujrzałem. Ze swoją stryjeczną siostrą, panią Olgą, ostatni raz widzieli się przed wojną w Hadyńkowcach, kiedy Bohdan był małym chłopcem.

Wracając z lotniska po szerokiej, pięciopasmowej autostradzie, rozmyślałem o tym niezwykłym spotkaniu, które z zapalem lepszej sprawy próbuję opisać. Kogo to, zwłaszcza tu, obchodzi? I komu to potrzebne?! Z uporem lepszej sprawy zaciągam honorową wartość, jak ten weteran pod obeliskiem w Queens Parku, wypinając bohatersko pierś do fotografii. Śmieszne wlec za sobą ogon wojny jak welon ślubny. A jednak? Swobodny przylot Bohdana Wynnyczenki z Kijowa do Toronto i zwyczajne przekroczenie przez niego granicy to moment historyczny. Jeden z największych w tym wieku. Że Zachód tego nie rozumie - nie moja wina. Nie moja wina, że Jałta trwa do dziś, zbierając swe żniwa w kolejnych pokoleniach. Łącząc rodziny o pół wieku za późno.

Pobyt Bohdana Wynnyczenki był ściśle zaplanowany. Gość zamieszkał u Olgi Wawrów, a głównymi jego przewodnikami byli Leszek i Jarek Wawrowie oraz Bohdan Petryk, syn drugiej kuzynki, Irki Bodnaruk, który ze względu na bliską znajomość z wujem, jeszcze ze Lwowa (studiował medycynę na Akademii, w której ćwiczenia z chirurgii prowadził Wynnyczenko), mianowany został przez Majora przybocznym tłumaczem. Jarek dużo słabiej od Bohdana władał swym hadyńkowieckim ukraińskim. Mój kontakt z Wynnyczenką ułatwiał fakt, że zdążył on przed wojną chodzić do naszej szkoły i całkiem niezłe mówił po polsku. Z rozmową nie było więc kłopotu. Wszyscy trzej kuzyni na zmianę dyżurowali przy wuju. Na trzeci dzień warta przypadła Jarkowi i Major postanowił pokazać mu swój letni „kotycz” w Cawaja.

Cawaja leży nad Georgian Bay, piękną zatoką jeziora Huron. Tylko te indiańskie nazwy zostały z wielkiego ongiś i potężnego plemienia Huronów. Jak podaje tutejszy przewodnik turystyczny, czterech wodzów Indian sprzedało te tereny białym w 1795 roku. U nas akurat upadła insurekcja kościuszkowska i odbył się trzeci rozbiór Polski. Galicja i Podole, a na Podolu rodzinne Hadyńkowce Wawrowych, od pierwszego rozbioru w 1772 roku były w posiadaniu monarchii austro-węgierskiej.

Pierwszymi białymi, którzy się w Cawaja osiedlili, byli Irlandczycy wygnani ze swej ojczyzny przez wielką klęskę nieurodzaju na kartofle w 1840 roku. Oni tu wprowadzili angielskie nazwy miejscowości, takie jak na przykład Saint Patrick od imienia swego świętego patrona. Zbudowali tartak i zaczęli karczować lasy. Ci pierwsi farmerzy wnieśli wraz z przybyłymi nieco później osadnikami francuskimi w 1860 roku kościół „Pod sosnami”. Przewodnik wspomina, że najstarsi mieszkańcy Cawaja pamiętają jeszcze wizyty Indian, którzy tu parę razy w roku przybijali swymi dużymi czółnami. Ich każdorazowy przyjazd był wielką sensacją. Z daleka już wołano: - Indianie płyną! Indianie płyną!

Wzdłuż obecnej drogi Concession 11, prowadzącej do jeziora, Indianie rozstawiali swoje kramy. Ich sprzęt domowy i gospodarski cieszył się u miejscowych farmerów wielkim

powodzeniem. Obecnie zarówno o te wyroby, jak i o Indian w Cawaja trudno. Tylko nazwa została. Tak jak z „wałem Trajana” pod Sidorowem.

Po półtoragodzinnej jeździe dotarliśmy przed „kotycz” Majora. Jarek wyładował z bagażnika kontenery.

- Głodu jak na Ukrainie za marszałka Stalina nie będzie, wuju - zapewnił. - Jest moja podstawowa żołnierska racja, czyli co?

- Zupka! - odkrzyknąłem.

- Dokładnie. Ale oprócz tego mamy kurkę pieczoną z supernadzieniem, są żeberka, wędlina, chlebek firmowy, ogórki kiszane przeze mnie...

- A musztarda jest? - spytał profesor. - Bardzo ją lubię...

- Jest. Sarepska. Proszę! To przyzwoity polski dom, wuju. Nie głodzi się krewnych zza Buga i Sanu. A wuj też Polak!

- Jaki ja Polak?! - zaprotestował Wynnyczenko.

- Mały. „Kto ty jesteś? - Polak mały!” Uczyli wuja. Gdzie się wuj urodził? W Polsce. Jak ja...

- Ty Polak, a ja Ukrainiec...

- Ja Kanadyjczyk. W paszporcie mam napisane. I wuj też miał napisane Kołomyja. Polska. Żadna Ukraina.

- Nu, dobrze, Jarek. Ty nie zaczynaj - rzekł dobrodusznie Bohdan Wynnyczenko.

- Straszny nacjonalista ukraiński z wuja. Straaszny!

- Jaki ja nacjonalista? Ja patriota ukraiński. To różnica...

- A ja patriota kanadyjski. Poważnie. Kanada przyjęła mnie. Dorobiłem się. Świetny kraj. Spokojny. Co będę na niego krzyczał? Że ja wielki Polak?! Jak wielki Polak, to jedź do Polski, kurczą! Co tu robisz?! No, nie jest tak?

- Nie całkiem. Ty lubisz prowokować...

- To wuj lubi. Uważa, że Ukraina najpiękniejsza!

- Bo najpiękniejsza!

- Kanada ładniejsza, kurczą! - rzekł Major z przekorą. - Nie widzi wuj? Wuj się rozejrzy! Cisza, spokój, ptaszki śpiewają, nikt mi do domu nie wejdzie, szanujemy private property, najwyżej sąsiad Ukrainiec kwiatki podleje...

- Jednak Ukrainiec. Widzisz! - ucieszył się wuj.

- Bo ja Ukrainiec. Moja matka Ukrainka! Wynnyczenko! Wuj wie?! - Jarek zaśmiał się z własnej logiki i machnął ręką. - Nacjonalizm to bzdura. Co mnie obchodzi, kto kim jest? Niech będzie nawet Ukrainiec. Jak wuj. Byle nie szowinista. Szowinistów nie lubię...

- Ja też - przyznał profesor.

- To dobrze. Za siekiereę znaczy wuj nie chwyci.

- Za nóż. I pokroję cię na kawałki. Ja chirurg. Ty wiesz? Kroić umiem.

- To pokroi wuj kurkę. Po zupce. Na razie zjemy zupkę...

- To ja do zupki mam „hirkę”. Prosto ze Lwowa.

- Wypijemy! - rzekł Major. - Zadzwoń tylko do moich Ukraińców. Powiem, że mam dla nich chleb i wujka prosto z Ukrainy. Ucieszą się.

- Najpierw musimy pogadać - powstrzymałem go.

- Okay. Nie spieszy się. Mamy czas. Należę zupki i już gadamy. To znaczy wuj gada.

Nazajutrz, korzystając z letniej pogody, wybraliśmy się nad jezioro. Sąsiad Ukrainiec czekał już przy furtce.

- Zachodte! Zachodte! Maju dobru horyłkutBrandyl - wołał.

- To mój wujko Bohdan Wynnyczenko - pochwalił się Jarek. - Ukrainiec. Prosto ze Lwowa, kurczą!

- Really? Wy iż Lviva pryjichali? - ucieszył się sąsiad.

- Ze Lwowa. Pozawczoraja szcze buł u Lvivi - potwierdził profesor.

- Wuj znany dochtor. Chirurg - dodał Major.

- Łoo! Chirurg! - sąsiad westchnął z podziwem. - Tak dawaj, zachodte! Mam dobru kołbasu - zapraszał ze zdwojoną siłą.

- My po śniadaniu. Diakujemo! -1 jak tam na Ukrainie?!

- Jedź sam, zobacz! - obciął go Major.

- Eee, ne. Złapią za haltz! - zaśmiał się. - Ja tam nejidu. Never...

- On dziwnie nie chce jechać. Za Boga. Od trzech lat go bez skutku namawiam. Podejrzewam, że był w Dywizji SS „Galitzien”. Bardzo dobra dywizja.

Co wuj na to? - znów podpuszczał go, gdy oddaliliśmy się od „kotyczu” gościnnego sąsiada.

- Oj, Jarko. Ty daj pokój - uciał dobrotliwie wuj.

- Albo był siekiernik - ciągnął Major. - Rznął Lachów, Żidiw i komunistów jak chleb! A teraz dusza chłop. Do rany przyłoż. Muchy nie skrzywdzi. Tak to jest, kurczą. Wojna to wojna. Nie ma siły. Z najlepszego chłopaka zrobi bydlaka...

Stanęliśmy na piaszczystej, wydmowatej plaży. Z dala słabo rysował się drugi brzeg. Białe mewy krążyły nad wodą. Lekki szkwalik spiętrzał fale i jezioro sprawiało wrażenie morza.

- To gdzie my jesteśmy? - spytał Bohdan Wynnyczenko.

- Nad Georgian Bay. Wielką zatoką jeziora Huron, wuju! - odparł Major.

- A dalej Ameryka? - profesor wskazał przed sobą horyzont.

- Nie. Kanada. Ameryka jest po drugiej stronie jeziora Ontario. W Toronto. I nad Niagara Fali. Stryj dokładnie tam zobaczy amerykański brzeg. Granica biegnie środkiem rzeki.

- Głównym korytem! - poprawiłem go zgodnie z instrukcją WOP-u.

- Zgadza się. Niagara żeglowna jak Odra. Pływają po niej przecież stateczki.

- „Maid of the mist”, czyli „Zamglona Dziewica” w przekładzie mego bohatera z książki Pan Zdzich w Kanadzie - zareklamowałem się nieskromnie.

- Stryj też nim popłynie. Statkiem, nie Zdzichem...

- No, proszę. Gdzie ja zajechał? - zdziwił się Bohdan, syn stryjka Iwanka, i zdjął słoneczne okulary. - To trzeba się nam wykąpać, panowie - zaproponował.

- Wuj kozak, niech wchodzi. Ja postoję. Co mam się zmuszać. Z wojska wyszedłem - rzekł Major i zaczął spacerować wzdłuż plaży, zbierając muszle. Chcąc dotrzymać kompanii gościowi z Ukrainy, też rozebrałem się i powoli zaczęliśmy wchodzić do wody.

- Łoo! Troszku zimna - zaśmiał się Bohdan Wynnyczenko rubasznie. Męczyłem się, bo nie mogłem ustalić, kogo on mi przypomina. Wreszcie

doszedłem. Bohdana Osadczyka. Również Bohdana, profesora i Ukraińca, stałego współpracownika paryskiej „Kultury”. Ta sama rubaszność. I chyba poglądy. Obydwaj zdążyli urodzić się przed wojną w Polsce. I sprawy polsko-ukraińskie są im bliskie.

Płynęliśmy obok siebie. Profesor silnymi ruchami rąk ciał fale, nurkując pod wodą. Świetnie pływał. We Lwowie ponoć codzień przed pracą chodzi na basen. To go trzyma w formie. Orzeźwieni kąpielą raźnie wyskoczyliśmy na brzeg. Profesor starym pływackim zwyczajem z przechyloną głową próbował wyskakać wodę z zatkanego ucha. Opalony i krzepki, z grzywką na

czole, wyglądał jak młody chłopak. Ja też, spuszczać beztrąsko za wydą gątki, zapomniałem o swym wieku. I poczułem się jak „lew mojego podwórka”. Co najmniej jak na spływie kajakowym na Mazurach. Dopinając spodnie, pomyślałem: Nie jest źle, cholera... I z radości zawyłem: - Aaa-łuuu! Aaaa-łuuu! - jak gość w Queens Parku, który wzorem Indian wypuszczał z siebie smrody cywilizacji. W sumie mieliśmy szczęście, Wynnyczenko i ja, kurka wodna. Urodzeni przed tą nawałnicą ze Wschodu i tą z Zachodu przeżyliśmy je i stoimy na poindiańskiej plaży jak ostatni Mohikanie. Przedwojenne sześciolatki. Ja z Warszawy, on z Kołomyi. Z tej Kołomyi, w której ponoć byłem, ale nic nie pamiętam. Sentyment jednak do niej i Huculów został. Obydwaj już w 1939 roku mogliśmy nie żyć. Bóg hojną ręką dołożył nam sześćdziesiątkę. Ten trzeci przedwojenny chłopiec, mój imiennik Jarek, też maszeruje dziarsko jak na strażnicy w Rokicie. Z młodzieńczą grzywą i zgrabną figurą. Nikt by mu nie dał sześćdziesiątki. I nie powiedział, że zdążył siedzieć na karej klaczy Mańce w swych rodzinnych Hadyńkowcach.

Mój przyjaciel Andrzej Jarecki napisał kiedyś, że tego, co się nam w życiu dostało, nikt nam nie odbierze. A dostało się nam. Nie można narzekać.

Gdy wracaliśmy do domu Majora starą drogą Concession 11, na której Indianie rozstawiali swe kramy, Bohdan Wynnyczenko dorzucił do mej sterty parę ziaren, które skrzętnie jako sterтник i rogowy wykorzystałem w Nawiało nam burzę.

Tuż przed naszym odjazdem do Toronto przyszła do nas sąsiadka Anna Rużyło z kluczami od cerkwi, by ją nam pokazać. Gdy profesor ujrzał cebulastąkopułkę w tym kanadyjskim pejzażu, zawołał:

- Hospodi! Jak nasza huculska. U nas dużo takich drewnianych cerkiewek w górach, ale nie wiedziałem, że i w Kanadzie są!

Pani Anna otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to wielki portret metropolity Andrieja Szeptyckiego z długą, siwą brodą. Szeptycki czczony jest tu jak święty. Drugi obraz metropolity, z wcześniejszych lat, wisiał obok głównego ołtarza. Pod nim leżały świeże kwiaty.

- To wszystko mój mąż budował. A sam ołtarz robili artyści z Ukrainy. I te rzeźby. Jeden to wszystko z Ukrainy przywiózł i na miejscu montował...

- Dużo was się na tę cerkwę złożyło? - spytał Bohdan.

- Ze trzydzieści rodzin - odparła.

Zaprowadziła nas jeszcze do sali parafialnej, gdzie po niedzielnym nabożeństwie zawsze się spotykają na kawie i pępuszkach, czyli pączkach.

- I tak my tu sobie żyjemy, widzicie panowie. Na tej naszej małej Ukrainie...

Major zrobił nam pamiątkowe zdjęcie. Jak we troje stoimy przed tą huculską cerkwią Świętego Wołodomyra i Olhy w Cawaja. Ja z Warszawy, Bohdan Wynnyczenko z Kołomyi i Anna Rużyło

z Sosnowa pod Podhajcami - ostatnie przedwojenne dzieci. Uśmiechamy się do siebie na tej małej kanadyjskiej Ukrainie.

ŻMIJE NAD NIAGARĄ

W parę dni później pojechaliśmy nad Niagarę. Po drugiej stronie widać było amerykański brzeg, zgodnie z obietnicą Majora, starego fachowca od granic. Długi most, wiodący do najbliższego miasta Buffalo, wzniesiony został przez naszego rodaka Kazimierza Gzowskiego, powstańca listopadowego, który tu zdobył sławę jako twórca kanadyjskich dróg żelaznych i mostów. Właśnie setna rocznica jego śmierci minęła w tym roku. Była obchodzona w Kanadzie niezwykle uroczystie. Most Gzowskiego nad Niagarą stoi jak przed wiekiem. Nigdy niewysadzany i nieodbudowywany jak to jest z mostami u nas w Europie. To, że postawił go sir Casimir Gzowski, na tablicy reklamowej jest napisane. Dla Polaków to dodatkowa nad Niagarą atrakcja.

Bohdan Wynnyczenko przez chwilę wpatrywał się w rozlewisko rzeki przed wodospadem.

- Jak nasz Dniepr - rzekł i wskazał na żelazny wrak statku, który utkwiał między porohami na kilkaset metrów przed wielkim spadem.

Kiedy pierwszy raz byłem nad Niagarą, miałem to samo skojarzenie... Potwierdziło ono jeszcze raz diagnozę Newyorkera, że groźny to znak. Złośliwy Piotr Bielski miał rację. Jeśli zobaczę, że dumny i piękny orzeł szybuje nad szczytami urwistych skał, to znaczy, że poezja mojej młodości porwała mnie bez reszty i oszalałem. Stałem się szkwalem. Obsesyjnym maniakiem chorym na przeszłość. Zarażonym dawnymi miazmatami i szarpanym między porohami jak ten wrak.

Przerywając moje myśli, Bohdan Wynnyczenko zaczął mówić o innej turystycznej atrakcji: Pamirze-Dachu Świata. Z lodowcami i linią wiecznego śniegu między szczytami urwistych skał Hindukuszu i Altaju...

- Pojechaliśmy tam z wyprawą naukową, by poznać medycynę ludową tamtej szych nomadów: Tadżyków, Bartangów i Jazgulów. Mieli oni swe odwieczne metody kuracji ziołami i jadem żmij. Bardzo skuteczne. Tych żmij wiele rodzajów i gatunków żyło w Pamirze. Prawdziwe żmijowisko.

Jak w Podwisience, która stała się Hadyńkowcami, pomyślałem.

- Żmije cieszą się u Tadżyków wielkim kultem - mówił dalej Bohdan - zwłaszcza naja-naja, czyli kobra, jadowita okularnica, której ukąszenie, jak wiadomo, jest śmiertelne. Dla nas. Bo oni są uodpornieni. Nie tylko na jad żmij, ale i Moskwy..Choć nazwano im grzbiety skalne Górami Akademii Nauk ZSRR i Górami Piotra I, a najwyższy szczyt mianowano Pikiem Komunizmu i tylko Góry Jazgulemskie przypominały, że żyją tu Jazgule i Tadżycy, nie Rosjanie, to nazwy te „były na pokaz. Tadżykowie na to „ukąszenie heglowskie”, tak groźne dla ludzi Zachodu, na Dachy Świata nie reagowali. Marksizm-leninizm spływał po nich jak woda po kaczce. Żyli sobie pod Pikiem Komunizmu, w swoim języku i obyczaju. Po rosyjsku prawie nie mówili.

Tam właśnie, w Pamirze, pierwszy raz jadłem zupę ze żmii i poznałem zawodowego ich łowcę. Łapał je w górach, zamykał u siebie w klatce i pobierał jad, niezwykle cenny i poszukiwany. Potem z powrotem wypuszczał je na wolność. Idąc z nim ścieżką, zawsze drżałem przed kobrą, ale on mi tłumaczył, że ona - jako królowa żmij - jest szlachetna, ma swoje zasady i nie napada na ludzi zniecka jak człowiek. Czuł dla niej wielki respekt. Niektórych żmij nie łowił,

uznając je za święte. Ich dotknięcie znaczyło bliską śmierć. Zjedzenie zaś innej w całości dawało męską siłę, zdrowie i długowieczność. Widziałem suchych staruszków, co na żmijach i jadzie dożywali stu lat. Prości jak sękaty kij. To była wielka, tajemna wiedza, wciąż dla nas niedostępna. Raz ten Tadżyk namówił mnie, bym się nie bał i wziął do ręki jedną ze żmij. Wyciągnął ją z klatki jak

królika i pokazał, jak mam brać. Z wielkim strachem capnąłem ją za łeb i ogon tak, by syczący język mnie nie sięgnął. Była wstrętna i śliska w dotyku, ale trzymałem ją, bojąc się puścić. Miała chyba półtora metra długości. Wielka hadyna! - zaśmiał się. - Koledzy zrobili mi z nią zdjęcie. I mam je do dziś. Jak stoję dumnie na Dachy Świata - dokończył.

Podeszliśmy do kasy i kupiliśmy bilety na statek.

Za chwilę zawinięci w żółte płaszcze płynęliśmy na pokładzie „Maid of the Mist”, by z dołu rzeki podziwiać spiętrzony żywioł wody, który spadał na nas ze straszliwym hukiem. Nie był w stanie jednak wybić nam z głów politycznych jadów, które wsączano nam przed laty. Wciąż byliśmy na nie mało odporni. Nawet tu. Nad Niagarą. Pod tym niebem z fantastyczną, kolorową tęczą.

SKOK PRZEZ KAŁUŻĘ

Dojechaliśmy z Majorem pod Haliburton. Trzysta kilometrów na pomoc od Toronto. Tu kilka lat temu Major kupił trzydzieści akrów lasu w lekko górzystym terenie, a Jarek Junior zbudował jednoizbową kolibę, w stylu traperskim. Skóry niedźwiedzie wiszą na ścianach. W kącie izby stoi wielki żeliwny piec. Zbacząc z asfaltowej szosy w dukt wyrąbany w lesie, zgubiłem cywilizację. Jest matecznik jak w Miodoborach. Wokół cisza i wiekowe „białowieskie” dęby. Naturalne gęste poszycie. W dole strumień wije się zmijowato. Woda wyziera spod tafli lodu. Widok jak z zimowych pejzaży Fałata. Traperska koliba z grubych bali przypomina leśne chaty z Bieszczad albo spod Irkucka. Kiedyś widziałem taką w syberyjskiej tajdze. Pod tym domkiem na wysokich betonowych słupach szczapy drewna złożone na opał. Tu na jesieni Leszek II, syn Majora, przyjeżdża na rykowisko jeleni. Zapalony deer hunter. A Jarek Junior uprawia nurkowanie, łowi ryby, pływa na windsurfingu i chodzi na długie piesze wyprawy. Majora dawno tu nie było. Brak czasu. Woli jeździć do Cawaja. Bliżej i warunki mniej spartańskie.

- Dość się wybiwakowałem na granicy - mówi. - Człowiek na starość rozbestwił się. Stał się wygodny. Sam łokietek pod głowę i pałatka podściół nie wystarczają. Wolejasiemek, kurczą - zaśmiał się.

Z komina idzie dym. Biała smuga bije w niebo. W kolibie bucha ciepłem. Chłopcy wcześniej napalili. Przybyliśmy na gotowe.

- Dobrze mieć synów, co?! - Major zatarł ręce. - To jak? Towarzyszu pisarzu?! Proponuję kielicha i do bani! Jak carscy oficerowie, kurczą - wskazał żeliwną wannę stojącą pod starym świerkiem.

- Tę wannę taszczyliście z Leszkiem i Wiekiem? - spytałem.

- Skąd! - zaprzeczył Jarek Junior. - Ja ją przywiozłem ze złomowiska. Ale zaraz możemy się wykapać. Jak ojciec każe...

- Ja tylko proponuję, Jarcu. W Kanadzie nikt nikomu nic nie każe.

- Czasem tato - rzucił kąśliwie Leszek.

Major wyjął z wozu kontenery i podręczną kuchnię polową. Z tradycyjną zupką na kurce. Przystąpiliśmy do biesiady. Na zydlach przykrytych zwierzęcą skórą obsiedliśmy stół z desek. Ogień huczał miło. Gruba blaszana rura i wielka żelazna koza grzały jak ciepłuszka. Stara lampa naftowa z mlecznym szkłem stała na półce pod rogami łosia. Obok obraz ze sceną myśliwską. Łowczy na koniu, a przed nim sfora websterów ochoczo tropi zwierza, sunąc z nosem przy ziemi...

- W takiej traperskiej chacie musiał grzać się dziadek Martyn Wynnyczenko, gdy przed drugą wojną światową pracował tu, w Kanadzie, na bindudze. Przy zrywce drzewa nad jeziorem - wtrąciłem.

- W takiej na pewno nie. To mój patent - zaprzeczył Jarek Junior. Po lunchu zgodnie z planem

ruszyliśmy w plener.

- To jak jedziemy? Tato z panem Jarosławem, a ja z Jarkiem? Czy odwrotnie? - spytał Leszek II, nakładając skafander.

- Seniorzy razem. Jeszcze mi zgubisz po drodze pisarza i będzie szpas! Ty jeździsz jak wariat, Lesiu...

- Ale bez wywrotki. A ojcu się zdarza. Niestety. Nie chcę pana straszyć - uprzedził mnie - ale rok temu tato pierdyknął ze skidu - to takie motorowe sanie - w zaspę...

- Na razie przegazujemy się trejlem, a potem skoczymy na jezioro - rzekł Jarek Junior, nakładając czapkę, spod której wystawały baczki w skos zapuszczone na wzór stryja Leszka, gdy ten bawił z wizytą w Polsce. Leszek dawno je zgolił, a bratanek nosił. - Trejl jest super! - zapewnił.

- To specjalna trasa dla skidu - wyjaśnił Major. - Leci przez całą Kanadę. Jak byśmy tu wsiedli, to moglibyśmy jechać przez miesiąc, nie zsiadając z sań. Ten trejl ma piętnaście tysięcy kilometrów. Więcej niż odległość do Polski. Tor jest świetnie utrzymany. Każdy płaci za prawo jego użytkowania. Coś sto dwadzieścia dolarów rocznie od sań. Na trasie są stacje benzynowe do tankowania paliwa i co dziesięć kilometrów stacje, w których można się przespać i coś sobie ugotować...

- Ja w takiej stancji nocowałem - przerwał mu Leszek. - Czynna non stop. Byłem w niej sam. W środku automat z drinkami. Lodowa. Kuchenka. Łóżka. I żywego ducha. Zjadłem, przespałem się i pogałem dalej. Bez tej stancji ładnie bym wyglądał. Bo śnieżyca była straszna, a odbiłem stąd o jakieś tysiąc kilometrów. Nawet pod tą przyłbicą nos by mi odpadł - wskazał na wełnianą kominiarkę...

Ubrałem się w ciepły skafander. Mróz nie był silny. Śnieg szkił się w słońcu. Na szczęście nie było wiatru. Major nałożył papachę i zawiązał futrzane uszy pod brodą.

- Sprawdzony wzór. Może nietwarzowy, lecz bojowy. Radziecki, mołoecki, kurczą...

„Ruszyliśmy stępa, pędziliśmy w kłębach”. Granada Swietłowa? Tak jest. W przekładzie Juliana Tuwima. Tam ta papacha i sokół stepowy. Rewolucyjna dumka kozacka. That right. Znów poezja mojej młodości dopadła mnie w tej głuszy. Major swą papachą zawadził o gałąź świerka. Z nawyku dowódcy szedł pierwszy. Skidy garażowały na niższej polanie. Idąc przede mną, poślizgnął się na oblodzonej, stromej ścieżce. Nim zdążył runąć, wykonał zręczne salto. Bezpiecznie podparł się ręką i wylądował miękko jak kaskader.

- Brawo! - krzyknąłem. - Ja bym się połamał! Kiedyś, równie podcięty na lodzie w parku walnąłem głową tak, że chirurg musiał mnie zszywać. Tydzień miałem śliwę pod okiem...

- Nawyk - odparł. - Tyle razy ćwiczyłem upadki z żołnierzami, że mam odruch Pawłowa. W nocy to zrobię. Służba w wojsku też coś daje - otrzepał kolana ze śniegu.

Leszek z Jarkiem wyprowadzili motorowe sanie z szopy.

- Rozgrzejcie się, panowie, i za kwadrans spotkamy się na jeziorze. Przy przystani. Ojciec wie gdzie. My z Jarkiem damy w rurę na trejlu. Mały test terenowy.

- Okay - mruknął Major.

Leszek kopnął motor. „Arctic cat” ryknął czterdziestoma pięcioma kołmi mechanicznymi. Chłopcy wskoczyli w siodła i pognali na przełaj, znikając za najbliższym zakrętem...

Wolno wdrapałem się na siodełko. Zaparłem się nogami w próg sań. Kurczowo chwyciłem uchwyt za plecami Majora. Nigdy nie jechałem na skidzie. Na motorze chyba przed wiekami. Ale jak szaleć, to szaleć. Wiz czy perewiz...

-Gotów?!

- Tak jest - odparłem.

- To wio! Tylko spokojnie, kurczą...

-I nie zrobić błędu - odkrzyknąłem. Mój głos ugrzął w szumie motoru.

Ruszyliśmy leśną drogą. Po chwili wyskoczyliśmy na tor dla skidu. Był wyslizgany od płóz. Twardy jak czortkowska murowanka. Major dodał gazu. Mknęliśmy wąską przecinką wśród drzew, które uciekały nam do tyłu.

- Hej, traktory, rumaki stalowe!

Hej, na pola prowadźcie wy nas! - ryknął Major, przestawiając na nowe tory starą radziecką pieśń.

Zgodnie z nią wypadliśmy na pola. Naprzeciw nas mknęły dwie czarne kropki. Powoli rosły i zbliżały się. To Leszek i Jarek zawracali na swym skidzie w stronę jeziora. Tam, gdzie umówiliśmy się. Rwali na przełaj jak hrabia Lanckoroński przez swoje dobra. Major pociągnął za nimi. Podskakiwaliśmy na muldach i wybojach. Jarek zwolnił. Na skróty w terenie nie dało się tak gnać. Po paru minutach wjechaliśmy na skute lodem jezioro Keninskeg. Chłopcy już na nas czekali.

- No, jak, panowie? Okay?!

- Okay - odparliśmy.

- Będziepuddle-jumping, tato! - uprzedził Leszek.

- Żadnychpuddle-jumping, Lesiu! Tylko spokojnie!

- Przy tej szybkości no risk! Mogę lekko wyciągnąć sto dwadzieścia mil. Ojciec widzi, jakie warunki...

- Nie wygłupiaj się.! Zawsze jest risk! Paru durniów już poszło pod lód i nie wyszło...

- Nie bidzie puddle-jumping, tatuś. Lesio tylko tak straszy. Ja chcę żyć - uspokoił go Jarek Junior.

- Co to puddle-jumping? - spytałem.

- Skok przez kałużę. Oni tak to nazywają. W miejscu, gdzie łączą się dwa prądy, najczęściej pod mostami, jest pasmo, które nie zamarza, kilkanaście metrów, i wariaci przez nie skaczą na saniach. Przy tej szybkości na ogół im się udaje. Ale czasem po drugiej stronie kałuży jest zbyt krucha warstwa lodu i facet ląduje pod wodą. A wtedy umarł w butach. Z tym ciężarem idzie jak siekiera na dno. Nie ma szans. Tak że Lesiu nie szalej. Bądź mądry, synku!

- Don 't worry, dad. Na tym jeziorze wszędzie lód na pół metra. Czołgiem przejedzie - zapewnił.

- Pamiętajcie, chłopcy. Po śmierci Jaśka Wawrowa i zmianie nazwiska przez jego syna na Ławrow już tylko wy, tu, w Kanadzie, odpowiadacie za polski ród Wawrowych. I przedłużenie linii. Musicie więc ważyć każdy krok. By nie przekroczyć granicy - powiedziałem.

- Oj, boy! - zaśmiał się Leszek i poprawił czapkę.

- Nie boy, tylko tak jest! Pisarz ma rację! Nie szaleć mi, kurczę!

- Okay, okay. Ojciec nie psuje słońca. Lefs go! - zapuścił motor. Odpalili jak rakietę. Ruszyliśmy za nimi. Wyglądaliśmy na naszym skidzie jak Danyło Wynnyczenko na remontowej kobyle przy Rusłanie. Chłopcy rwali po skutym lodem jeziorze Keninskeg jak Fiodor Ławrow na drugą stronę Zbrucza. Tylko smuga śniegu po nich została. Coraz bardziej oddalali się od nas. Aż zniknęli za linią horyzontu. My też nie próżnowaliśmy. Major dawno przekroczył setkę. Wiatr huczał mi w uszach, śnieg skrzył się w oczach, tafla jeziora zmieniła się w pas startowy. Wyspa na jeziorze, z czarnymi koronami drzew, przypominała teraz terminal lotniska. Czekałem, jak kiedyś w So-Ho-Mishu, równie poindiańskiej wiosce, kiedy mój rozpostarty na plaży spadochron porwie mnie w górę. Gdy motorówka Gierka Bieraackiego ruszyła i wyrzucony zostałem jak z procy w powietrze, dynadając na trzydziestometrowej lince za motorówką, mając pod nogami wielkie jezioro, doznałem podobnego uczucia.

Śnieżny horyzont przykrył czerwone słońce. Z wolna zachodziło. Sterczał tylko maleńki czubek. Nagle z tego czubka urwał się krwawy skrawek i wolno popłynął w naszą stronę.

- Mohyła! - krzyknąłem. - Leci z tatarskiego kurhanu*! Uważaj!

Major nie reagował. Wciągnięty w pościg za synami, wciąż zwiększał szybkość tym zjawisku opowiedziała mi pani Olga. Jej relację przekazałem w Nawialo nam burzę kość stalowego rumaka. Zaczął sypać śnieg. Zrazu płatki były małe. W miarę pędu zwiększały się. Zmieniały w pierze. Tańczyły w powietrzu.

Mewy, uświadomiłem sobie, widząc, że mają skrzydła i dzioby. Patrzyły na mnie czarnymi

oczkami. Nagle zatrzepotały bardziej. Sanie wzbily się w górę. Zawirowało mi w oczach. Ujrzałem przed sobą pannę młodą w ślubnej sukni. Ze śnieżnym długim welonem.

- Wszystko prawda. Czemu by nie? - powtórzyła słowa Olgi Wawrów. Mały Leszek pomachał do mnie ze swego gniazda na wierzbie. Poda mną gnali na „arktycznym kocie” zgięci w siodłach synowie Majora: Jarek Junior i Leszek II. Ostatni potomkowie Fiodora Ławrowa.

Gdy zmęczeni wróciliśmy do koliby, pod żeliwną wanną płonął już ogień. W kłębach pary Leszek bił się w atletyczny tors. Śnieg topniał na jego barkach.

- Muszę pod półdupki podłożyć słupki. Bo parzy jak diabli! - skarżył się.

- Mówiłem! Bania to bania, kurczą. Nie ma siły. Jak za cara. Dobrze, że z ojcem przydźwigaliśmy tę wannę. Nie jest źle, panowie! Hej, hej, oficerowie! „Płonie ognisko i szumią knieje, drużynowy jest wśród nas! - ryknął na cały las. - Opowiada starodawne dzieje, bohaterski wskrzesza czas. O rycerstwie spod kresowych stanic, o obrońcach naszych polskich granic!” W Chełmie, kurczą! - zaśmiał się i klepnął mnie przyjaźnie. Zdjął papachę i przeczesał ręką zmierzwiłone włosy. Drgnąłem. Z tranzystora stojącego na pniu drzewa popłynął Radetzky March. Ten sam, który w Borszczowie, w swoim majątku, nuciła babcia Jana Korsaka.

Ocknąłem się w moim pokoju. Po chwili spiker zapowiedział chór Armii Czerwonej imienia Aleksandrowa z pieśnią Saławiowa-Siedoja „Podmoskiewskie wieczory”. Pierwszy raz usłyszałem ją na Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1957 roku. Nasz STS wszedł wtedy w skład delegacji.

Mimo że w swym słynnym referacie na XX Zjeździe KPZR Nikita Chruszczow zdążył już potępić „kult jednostki” oraz „błędy i wypaczenia” Stalina, a nazwana tak od tytułu książki Ilji Erenburga zaczęła się oficjalna „odwilż”, mróz stalinowski w Moskwie trwał. Nasz październikowy rewizjonizm tam nie dotarł, choć po cichu wypuszczali już ludzi z łagrów. Milczeli jednak dalej.

W środowisku twórczym Moskwy budziła podziw Anna Abramowna Bierzin, żona Brunona Jasińskiego, która świeżo wyszła z łagru po latach katongi. Głośno opowiadała o swych przeżyciach. Zaprowadziła nas - mnie i paru moich kolegów - do niej Zina Szatałowa, tłumaczka książki mego ojca Chłopiec z Solskich Stepów, która również zachowywała się odważnie. To ona odnalazła bohatera powieści, Włodzimierza Diektiarowa, któremu ojciec przezornie zmienił nazwisko na Diergaczow, przewidując ewentualne kłopoty. I nie pomylił się. Diektiarow, jako były sowiecki jeniec, po powrocie z Majdanka skazany został w swej ojczyźnie na przymusową zsyłkę. Stalin uznał wziętych do niewoli czerwonoarmistów za zdrajców narodu. Mieli zginąć, a nie poddać się. Po ukazaniu się w Moskwie Chłopca z Solskich Stepów zrobił się szum, Diektiarowa szybko zrehabilitowano i wysoko odznaczono. Z dnia na dzień awansował na bohatera Związku Radzieckiego.

Pierwszy mąż pani Anny Abramowny, Bierzin, był bliskim współtowarzyszem Lenina, komisarzem ludowym i jednym z wodzów rewolucji 1917 roku.

- Kiedy siedzieliśmy z Bierzinem na ławce na Kremlu - wspominała pani Anna Abramowna -

stale podchodził do nas mały, ospowaty człowieczek z teczką akt pod pachą i przerywał nam nasz flirt. W końcu zniecierpliwiłam się i spytałam:

-Kto to jest?

- A to Gruzin Stalin - Bierzin machnął lekceważąco ręką. - Komisarz od spraw narodowościowych. Kawał osła, dlatego przewaliśmy go w partii Iszak. I widzisz, jaki uparty - zaśmiał się.

- Niech da nam spokój! I odczepi się. Błagam cię - zawołałam.

- Zaraz go spławię - przyrzekł mi i gdy Iszak znów do nas podszedł, zbeształ go i kazał mu z tą teczką przyjść nazajutrz. Ten posłusznie usłuchał i mogliśmy dalej romansować. Kiedy w 1939 roku w ramach wielkiej czystki Stalin kazał mnie aresztować, jako żonę wroga ludu Brunona Jasińskiego, drżałam, by sobie nie przypomnieć o tym moim romansie na kremłowskiej ławce z Bierzinem. Bo wtedy bym już żywa nie wyszła. Jego dawno zdążył rozstrzelać - dokończyła.

Anna Abramowna w 1957 roku była w Moskwie wyjątkiem. Reszta bała się głośno mówić. Na Kremlu dalej urzędowała stara gwardia Stalina. Słynne moskiewskie metro wciąż nosiło imię Łazara Kaganowicza. Jego nazwisko wkućte mosiężnymi literami w marmurowe ściany widniało na każdej stacji. Kaganowicz przed rewolucją był kolejarzem i „wielki maszynista dziejów” postanowił go w ten sposób uczcić. Dawny reżym panował wszędzie. Sielankowe „Podmoskiewskie wieczory” puszczane bez przerwy z „kołchoźników” w naszej festiwalowej wiosce miały nas, inostranców, i resztę świata przekonać o wyższości Moskwy nad Zachodem. Kłapa z cukierkami Stalina działała. Tylko nam je teraz fundowano.

Kanadyjczycy, nie mając pojęcia o propagandowej roli tej pieśni, podziwiają jej czystą formę. Tylko mnie to muzyczne piękno zatruwają młodzieńcze jady. Jednak szkwał. Grooźny! - przyznałem rację Newyorkerowi.

Webster, który ma zegarek w brzuchu, domagał się swego. Wybiła jego pora. Smutno patrząc mi w oczy, uparcie skuczał w swej budzie pod moim biurkiem, przypominając mi, że jestem wybitnym psiarzem i jego spacerowym. Zjechaliśmy więc windą na dół. Radośnie zaczął sunąć z nosem przy ziemi w nadziei, że coś znajdzie.

- Brawo, Webster! - pochwaliłem go. - Bez ciebie nie zrobiłbym nic. Nie doszedłbym do tego, co znaczy ten cios zza Zbrucza w 1939 roku, który jak szablą przeciął domy, rodziny i serca, rozsiewając nas po całym świecie. I do tego, że w zasadzie ten groźny szkwał trwa. Zmuszając nas ciągle do ucieczki przed tą granicą strachu. Do stawiania wszystkiego na jedną kartę. Do rodzenia się na nowo w innym świecie jak Fiodor Ławrow. Nawet w nowym stuleciu, które właśnie nadeszło.

Bo z nawałnicą nic nie wiadomo. Spada nagle w jasny, słoneczny dzień. Jak wtedy we wrześniu, gdy chłopci w Hadyńkowcach spokojnie wyszli w pole, by zwieźć do stodół swoje plony. Nie przyszło im do głowy, co ich czeka. Że taki właśnie zbiór. Jak w tej stercie.